



MEREDITH
CATTLEYA

ZŁODZIEJKA
ARTEFAKTÓW

WEJDŹ DO MROCZNEGO ŚWIATA
MGŁY, ZBRODNI I MAGII

Meredith Cattleya

ZŁODZIEJKA ARTEFAKTÓW

dla ^{magiczne}czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla ^{magiczne}  czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Jędrzej Bargłowski

Opieka wydawnicza: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadzący: Ewelina Chudzicka

Redakcja: Magdalena Białek

Korekta językowa: Patryk Białczak

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i łamanie: Anna Nachowska | PracowniaKsiazki.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Warszawa 2023

Wydanie I

ISBN papier: 978-83-67691-59-8

ISBN e-book: 978-83-67852-18-0

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

kontakt@dlaczemu.pl

Wszystkim, którzy czują się niezrozumiani

1

Krople wybijały o parapet stały, miarowy rytm. Zora Muškatoва siedziała przy oknie w swoim pokoju na poddaszu, opierając podbródek na przedramieniu, i oglądała spadającą z nieba deszczową lawinę.

Szaro, buro i ponuro, pomyślała. Zupełnie jak opis mojego życia.

Zora nie nazwałaby siebie osobą cyniczną ani zgorzkniałą, a raczej trzeźwo i racjonalnie patrzącą w przyszłość i na otaczający ją świat. Jej matka i ojciec znajdowali dla niej jeszcze inne określenia, ale ich nie lubiła roztrząsać.

Szaro... Kropla spadła... Buro... I następna... Ponuro... A jak by to było zamienić się w strugę deszczu? Nie przejmować się niczym, po prostu spadać i spadać bez końca?

Westchnęła.

Nieosiągalne marzenia.

Zora drgnęła, podniosła się lekko i zerknęła na duży, okrągły zegar wiszący na ścianie. Uświadomiła sobie, że dochodziła dziesiąta, a to znaczyło, że nadszedł czas, by zebrała się do pracy.

Z jękiem wstała z krzesła i rozciągnęła mięśnie pleców. Poruszyła kilka razy barkami, podchodząc do niedużej, drewnianej szafy z nierównymi drzwiczkami. Otworzyła je, wybrała szarą sukienkę bez żadnych zdobień, a z drugiego wieszaka zdjęła świeżo wykrochmalony, biały fartuch.

Szara suknia dla szarej dziewczyny. Uśmiechnęła się lekko i ironicznie tylko jednym kącikiem ust.

Szybko ściągnęła z siebie luźne spodnie i koszulę, a w ich miejscu pojawił się wcześniej przygotowany strój. Ziewnęła i z ręką na kłamce rzuciła ostatnie spojrzenie swojemu małemu, ale przytulnemu pokoikowi. Duże okno zapewniało dobre oświetlenie nawet w taką melancholijną pogodę, więc światło padało na pojedyncze, schludnie zasłane łóżko i spoczywające na nim jasnoniebieskie poduszki, ciemny dywan oraz posprzątane biurko. Na ścianach wisiały ryciny przedstawiające ją i jej przyjaciółki: Danę oraz Irmę. Niektóre ilustrowały je w parku, inne w kawiarni, a jeszcze inne były zupełnie fantazyjne, ukazywały je w pięknych sukniach lub wymyślnych przebraniach. Zora miała swój ulubiony rysunek: stała na nim w środku, z jednej strony na jej szyję zarzucała ramię Dana, a z drugiej Irma wychylała się lekko do przodu, robiąc zeza.

Z jaśniejącymi radością oczami zamknęła za sobą drzwi i zaczęła schodzić po skrzypiących schodach. Im niżej się znajdowała, tym więcej głosów słyszała: wołającą matkę, mrużącemu ojca, jękającą się służącą. Wpadła na chwilę do kuchni, porywając z lady

świeżo upieczoną bułeczkę. Posmarowała ją masłem i bezceremonialnie włożyła do buzi.

– Spóźnisz się! – skarciła ją matka.

– Wcale nie – mruknęła z pełnymi ustami, po czym wyszła z pomieszczenia bez pożegnania.

Ten segment kamienicy należał do jej rodziny. Na pierwszym, drugim i trzecim piętrze oraz na poddaszu znajdowało się okazałe mieszkanie, natomiast parter przeobrażono w kawiarnię. Pohledna Beruška była isticie wyjątkowym lokalem, do którego zlatywały się jak ćmy do ognia najznamienitsze osobistości miasta. Jako jedyna w Bydgošcy serwowała *egzotyczne* napoje, sprowadzane z za morza, z sąsiadującego kontynentu o nazwie Svitani, dlatego ich cena dochodziła do horrendalnych wysokości. Každy bogacz, gdy chciał pokazać, że jego majątek rozrósł się do imponujących rozmiarów, przychodził do Pohlednej Beruški.

Jego stopy zatapiały się w miękkich dywanach, uszy raczyły się delikatnymi dźwiękami muzyki wydobywającej się z gramofonu, a w rękach trzymał filiżankę z najlepszej porcelany.

– Spóźniłaś się – syknęła Dana, gdy Zora dołączyła do niej za półkolistą ladą.

– Wcale nie – zaprzeczyła oczywistemu, przełykając ostatni kęs bułeczki.

Poprawiła wiązania fartucha za plecami, a z oczu odsunęła zbłąkany kosmyk włosów. Napotkała zirytowane spojrzenie przyjaciółki i nonszalancko wzruszyła ramionami, tym samym jeszcze bardziej wprawiając w gniew Danę.

– Nie? Chcesz powiedzieć, że straciłaś umiejętność odczytywania godziny na zegarku?

– Dana, no weź, rujnujesz moją próbę zagięcia czasoprzestrzeni.

– To nie jest zabawne.

– Jak to nie jest? – Zora się obruszyła. – Petr by zrozumiał. Na mojego brata można przede wszystkim narzekać, ale jedno w nim jest dobre: poczucie humoru.

Nie poczekała na odpowiedź przyjaciółki, tylko rozpoczęła rutynowe sprawdzanie sprzętu do przygotowania kawy, potem zerknęła na naczynia, następnie wstąpiła do kuchni, jako że w Pohlednej Berušce można było nie tylko napić się kawy, ale też zjeść świeże ciasto lub pyszne kanapeczki.

Kawiarnia wreszcie rozpoczęła swoją działalność. Rankiem i w południe nie przychodziło zbyt wielu gości – to popołudniami i wieczorami zbierały się największe tłumy. Czasem lokal wypełniał się do tego stopnia, że niektórzy robili rezerwacje, by upewnić się, że wystarczy dla nich miejsca.

Pierwsi klienci przyszli kilkanaście minut po otwarciu. Usiedli przy okrągłym stoliku w rogu, tuż koło dużej, zielonej rośliny w doniczce. Dana chwyciła oprawione w skórę

menu i ruszyła w ich kierunku. Zora oparła się łokciami o ladę, obserwując pomieszczenie oraz przyjaciółkę. Ściany wyłożono jasnymi tapetami w łagodne, złote zawijasy, z którymi kontrastowała ciemna drewniana podłoga. Dywany, rośliny oraz obrazy okolicznych artystów wiszące na ścianach dodawały lokalowi uroku. Z sufitu zwisały też kryształowe żyrandole, stylem nawiązujące do lamp gazowych wystających ze ścian.

Dana w fartuszkach stanowiła stały element tego ekstrawaganckiego wnętrza. Drobna i chuda, z rudymi włosami upiętymi na czubku głowy, trzymała się prosto niczym jakaś zamorska królowa rządząca swoim ludem z wdziękiem i elegancją. Kiedy przyjęła zamówienie, ruszyła z powrotem, więc Zora zawiesiła wzrok na jej owalnej twarzy z małym noskiem i brązowymi oczami. Gładka skóra lśniła zdrowym blaskiem, a ciemne brwi były zadbane z pedantyczną precyzją.

– Dwie kawy. Dwa kawałki ciasta czekoladowego – rzuciła Dana, patrząc znacząco.

Zora pokręciła głową i podeszła do ekspresu. Kiedy woda w karafce zaczęła się gotować, umieściła nad nią specjalny pojemnik z przygotowaną wcześniej sypką kawą. Para wodna uniosła wodę wyżej, mieszając się ze zmielonymi ziarnami, a Zora przemieszała zawartość, czekając, aż całość porządnie się zaparzy. Szybko zdjęła ekspres z ognia, oglądając, jak do wychłodzonej karafki za sprawą grawitacji i różnicy ciśnień spływa pyszny, gotowy do podania gościom napój.

Zapadał zmierzch, gdy Zora złapała dorożkę, żeby ta zabrała ją do centrum miasta. Robiła to już tyle razy w życiu, że wszystkie ruchy nawet jej samej wydały się mechaniczne. Wsiadła tuż przed drzwiami wysokiej na trzy kondygnacje kamienicy i weszła do środka bez oglądania się za siebie. Pokonała schody po dwa stopnie i bez zatrzymywania się wkroczyła do mieszkania na pierwszym piętrze. Lokum rozciągało się na dwa poziomy i niezależnie od pory dnia lub nocy wypełnione było dymem z fajek i niskim śmiechem. Zora przemierzała pomieszczenia szybkim krokiem, aż wreszcie dotarła do celu.

– No, jesteś. – Po pokoju rozlał się sympatyczny męski głos.

Kobieta kiwnęła głową, zdjęła płaszcz i opadła na stojący nieopodal trzaskającego ognia fotel obity kwiecistą tkaniną. Emil przechadzał się w tę i z powrotem przed kominem. W rękach trzymał kartki, a niebieskie oczy za drucianymi oprawkami przeglądały spisany na nich tekst. Koszula opinała jego silnie umięśnione ramiona, a kamizelka podkreślała szeroką klatkę piersiową.

– Jestem. A skoro już tu jestem, powtórzmy sobie plan – poprosiła Zora znudzonym tonem.

Przełożyła nogi przez podłokietnik i zagapiła się na postumenty z marmurowymi popiersiami stojące po dwóch stronach kominka.

– Rezydencja Leviego Draboña znajduje się dziesięć kilometrów na zachód od Centralnego Placu. Widziałas mapę, najlepiej naucz się jej na pamięć.

Kobieta mruknęła coś niezrozumiałego, ale Emil nie przerwał monologu, by nakazać jej powtórzyć.

– Pójdiesz tam za pięć dni, licząc od dziś. Jak tylko Levi Draboń opuści swój dom, żeby udać się na bal u Kněnickich, ty zaczniesz włamywać się do środka. Ominiesz strażników, ale uważaj, Zora, to są wonni i wizualni, więc nie daj się wyczuć ani zauważyć. Draboń ma też dwoje służących i kucharza. Kucharz codziennie wieczorem siada w fotelu w swojej kwaterze i czyta książkę, służący natomiast grają w karty. Możemy podejrzewać, że tego wieczora będą bardziej rozluźnieni i nieuważni, skoro ich pana nie będzie w domu, ale Zora, będziesz musiała zachowywać bezwzględną ostrożność.

Znowu coś wymamrotała, coś niebezpiecznie przypominającego: „jasne, naucz szewca, jak się robi buty”.

– Drzwi kuchenne mają najsłabsze zamki, więc wejdiesz od tamtej strony. Kuchnia znajduje się z tyłu rezydencji, nieopodal stajni. Przejdiesz przez nią i znajdziesz się w holu, a stamtąd na pewno wypatrzysz schody. Podobno są olbrzymie i wykonane z największą precyzją, bo ich zaprojektowanie zlecono...

Emil złapał znużone spojrzenie Zory i odchrząknął.

– Jasne. Nie zbaczajmy z tematu – kontynuował z lekkimi rumieńcami na policzkach.

– Na piętrze będziesz musiała uważać, bo pokój na końcu korytarza zajmują służący, ale powinni być już podpiści i w dobrych humorach. W każdym razie...

– ...mam uważać. Wiem o tym – dokończyła za niego, kręcąc nieznacznie głową, a burza jej ciemnych, falowanych włosów się zakołysała.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że się powtarzam, ale sama dobrze wiesz, że na ten artefakt Gustav polował od roku. – Mężczyzna spojrzał na kobietę znacząco. – Odkąd tylko Figurka Założycieli ponownie trafiła na czarny rynek, jej cena stale rośnie. A skoro Levi jeszcze jej nie wystawił na sprzedaż, najprawdopodobniej zachował ją dla siebie.

Zorze akurat *tego* nie trzeba było powtarzać. Gustav, szef Krakavców, największego gangu miasta, dobitnie już wbił jej to do głowy. Wciąż pamiętała niebezpieczny błysk w jego oczach i ostrze noża na skórze. Wiedziała, że jeśli zawali, Gustav nie tylko ją ukarze, ale też zwiększy dług jej brata.

Jej zakichanego brata tchórza, który uciekł z miasta i zostawił ją w tym szambie.

– Dobrze, jestem na piętrze, znajduję to jego sławne archiwum artefaktów, zabieram figurkę i spadam – rzekła kobieta niezrażona. – Omówmy jeszcze raz drogę ucieczki.

– Oczywiście. – Mężczyzna kiwnął głową, przeczesał palcami jasne włosy i zerknął na kartki. – Wyjdiesz tą samą drogą, którą przysłaś. Opuścisz bezpiecznie teren rezydencji i pójdziesz na południe. Szybko dotrzesz do Udoli, a tam będzie już na ciebie czekał nasz człowiek na barce. Odpłyniecie rzeką w stronę Centralnego Placu, a stamtąd to już chyba trafisz do bazy, co? Jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz mogła wyjść przez drzwi kuchenne, kieruj się do drzwi tarasowych. Będą dalej niż drzwi główne, ale główne są ciągle obserwowane przez strażników, więc jeśli przez nie przejdziesz, na pewno coś zauważą. Pamiętaj, żeby zabrać linę, bo być może będziesz musiała skakać z piętra, a na pewno nie chcesz, żeby skończyło się to tak, jak w Osvětimanach? – Uśmiechnął się, ale Zora nie odwzajemniła uśmiechu. Zapytał więc: – Chcesz jeszcze raz zobaczyć rysunek Figurki Założycieli?

Kobieta skrzywiła się nieznacznie.

– Czemu nie. Przecież to nie tak, że ten obraz prześladuje mnie w koszmarach.

Podał jej kartkę, a Zora chwyciła ją drżącymi dłońmi. Zerknęła na dwie trzymające się pod ramię sylwetki. Kobieta miała na sobie suknię w kruki, a jej głowę przyodzabiały zausznice. Mężczyzna natomiast dzierżył pióro. Nie pomyliłaby tego posążka z żadnym innym, w końcu należał do Wielkiej Piątki, czyli artefaktów najbardziej pożądanym przez wszystkich kolekcjonerów i handlarzy z Bydgošcy i okolic.

– Powinno pójść jak z płotka. W końcu jesteś „ulubioną hmatową Gustava” – dodał Emil z pogodnym uśmiechem.

Zora spiorunowała go wzrokiem. Jej towarzysz dobrze wiedział, jak bardzo nie znosiła tego określenia. Nie chodziło oczywiście o „hmatową”, bo to neutralnie odnosiło się do jej umiejętności, a o „ulubioną”. Powinna się cieszyć, że szef gangu darzył ją aż taką sympatią, ale to miało swoje wady. Nie mówiąc już o tym, że jeśli spadłaby z tego stanowiska, to na pewno nie na cztery łapy.

Zora wkrótce opuściła dwupiętrowe mieszkanie w kamienicy, z nikim się nie żegnając, choć odprowadzały ją rozbawione spojrzenia. Kobieta oficjalnie nie należała do gangu, więc nikt nie okazywał jej szacunku, ale zazwyczaj nikt jej także nie zaczepiał. Krakavce mieli swoje zasady, a ich działalność skupiała się na takich aspektach jak kradzieże, organizacja nielegalnych walk, handel rzadkimi magicznymi istotami lub przedmiotami oraz produkcja i sprzedaż likieru. Ostatnio zainteresowali się także bronią.

Gdy Zora usadowiła się w dorożce na wysłużonym siedzeniu, jej myśli powędrowały do dnia, gdy Krakavce przyszli do jej domu. Minął zaledwie dzień od nagłego wyjazdu jej starszego brata; pamiętała dokładnie, jak nie mogła wyjść ze zdumienia z racji tego

pośpiechu. Jadła śniadanie, rozmyślając o Petrze, gdy Krakavce wyważyli drzwi kuchenne, wchodząc z brudnymi buciorami do budynku. Pamiętała, jak się wzdrygnęła, a widelec wypadł z jej dłoni. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy doskoczyli do niej, związali ją, zakneblowali i zasłonili oczy. Kiedy zaprowadzili ją do swojej bazy w kamienicy na Śródmieściu, Zora po raz pierwszy usłyszała o Krakavcach. Powiedzieli jej, że Petr pożyczył od nich pieniądze i uciekł, nie spłaciwszy długu. W zastaw postawił ją i jej moce.

Ją i jej moce.

Sprzedął ją własny brat.

Od tamtej pory włamywała się więc do budynków i kradła to, co jej kazali. Nie byli jednak zupełnie bezduszni, o nie. Dostawała dziesięć procent zysków z tego, co udało jej się zdobyć.

Najbardziej pogardzała sobą za to, że lubiła to, co robiła. Czuła się wtedy niepokonana, a odkąd zaczęła się tym parać, ani razu nikt jej nie przyłapał. Przed Krakavcami jej życie było niejasno związane z nauką i kawiarnią, a po nich rozciągała się przed nią świetlana przyszłość kryminalna. Po spłaceniu długu mogłaby wstąpić do Krakavców jako pełnoprawna członkini i jakąś jej część naprawdę kusiło, by się do nich przyłączyć. Być ważną. Docenioną.

Zawahała się.

Zauważoną.

Zora była zmysłownicą. Zmysłownictwo, najogólniej rzecz biorąc, dzieliło się na pięć kategorii, a wszystkie luźno wiązały się ze zmysłami ludzkimi. Wizualni kojarzeni więc byli ze zmysłem wzroku, hmatowi z dotykem, wonni z węchem, słuchowi ze słuchem, a wikusowi ze smakiem. Każda z tych kategorii dzieliła się oczywiście na osobne podkategorie, ale ile osób nie starałoby się tego zgromadzić w jedno i spisać, dotychczas nikomu się to nie udało.

Młoda kobieta potrafiła zmieniać strukturę swojej skóry, co pozwalało jej się kamuflować, choć potocznie mówiło się o niewidzialności. To naturalnie łączyło ją ze zmysłem dotyku, więc wszyscy znawcy nazywali ją hmatową. Ta moc była jedyną rzeczą, która dawała Zorze prawdziwą siłę, ale też i ją odbierało. Sprawiała, że mogła zrobić cokolwiek chciała, ale spychała ją do ciemnego kąta, w którym wszyscy ją ignorowali.

Dorożka zatrzymała się przed Pohledną Berušką, tym samym wyrrywając Zorę z przemyśleń. Kobieta szybko się z nich otrząsnęła, wcisnęła w dłoń stangreta kilka monet i zwyczajowo rozpląnęła się w cieniu.

2

Zora kończyła już swoją zmianę, gdy do jej uszu dobiegła rozmowa dwóch osób siedzących przy małym stoliku niedaleko lady. Od razu przestała błędzić myślami po zbliżającej się misji i całą sobą skupiła się na konwersacji. Rzuciła okiem na dyskutującą parę znad wycieranej szmatką filizanki. Elegancka kobieta w czerwonej sukni z trenem nachylała się w stronę mężczyzny ubranego w najwykwintniejszą koszulę i kamizelkę. Ich głosy stawały się coraz głośniejsze.

– Nie możesz przestać finansować moich badań. – Ton kobiety zabarwiła nuta groźby.
– Mogę i zrobię to, jeśli nadal nie będą dawać żadnych wyników – syknął mężczyzna, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nadal zbieram materiał i prowadzę testy...

– Miałaś coś mieć po pół roku od zawiązania naszej współpracy. Mam ci przypomnieć, ile czasu minęło od tej chwili?

Kobieta zmarszczyła brwi i z rozmachem oparła się na krześle. Miała brązową skórę, jasne włosy i garbaty nos, ale to jej ciemne oczy przyciągały uwagę.

– Jestem coraz bliżej, Kvido.

– Tak samo mówiłaś miesiąc temu. I dwa miesiące temu. I, zgadnij, trzy miesiące temu.

– Nic nie wiesz o nauce – stwierdziła spokojnie. – A badanie zmysłownictwa to najtwardszy orzech do zgryzienia, jaki widział ten świat. Moja teoria...

– Nie chcę już o tym słuchać, Edito.

– Pozwól mi ten ostatni raz.

Kvido westchnął. Uniósł swoją filizankę, spojrzał do jej wnętrza i odłożył ją na spodek. Zora czekała w napięciu. Istniał pewien czas – przed kawiarnią i przed Krakavcami – kiedy rozważała naukowe badanie zmysłownictwa. Bydgość posiadała rozbudowaną Dzielnicę Naukową, która skupiała wszystkich ludzi zajmujących się nauką, a Zora chodziła tam do szkoły. Pokręciła głową z żalem, bo teraz wydawało jej się, jakby zdarzyło się to w poprzednim życiu.

– W porządku. Byle szybko – oznajmił mężczyzna niechętnie. Oparł głowę na dłoni, a łokieć o blat stolika i patrzył na Editę spod czarnej grzywki.

– Jak wiesz, zmysłownictwo należy do sfery zewnętrznej, namacalnej, często cielesnej. Nie ma to nic wspólnego z umysłem czy z duchowością – mówiła pospiesznie.

– Ludzie zza morza twierdzą co innego – przerwał jej.

Machnęła dłonią, jakby odganiała muchę.

– Bo to głupcy. Nazywają zmysłowników czarownikami, ale sami mają skrzydła i potrafią tworzyć kule ze światła. To już prędzej oni są wymysłem ludzi zakochanych w starych baśniach i legendach, nie my. Niemagiczni myślą zmysłownictwo z magią umysłu, ale to błąd. Zmysłownictwo to nie jest mamrotanie zaklęć, machanie różdżką czy inne bzdury. Zmysłownictwo czerpie swoją moc z zewnątrz, ze świata. Moja teoria skupia się na źródłach i pochodzeniu tej mocy. Twierdzę, że każdy zmysł działa trochę inaczej. Wonna nie tylko potrafi manipulować zapachami, ale to zapachy dają im moc. I tak dalej. Rozumiesz? – Edita coraz mocniej gestykulowała i coraz szybciej mówiła, a jej oczy błyszczały. – Każdy zmysłownik lub zmysłownica rodzą się ze swoim darem, ale ich moc wcale nie jest dziedziczna, jak twierdzą niektórzy moi koledzy naukowcy. Skoro ich moc miałyby swoje źródło w świecie zewnętrznym, musiałyby on także decydować o tym, czy ktoś dostanie tę moc, czy nie.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że – zrobiła dramatyczną pauzę – o posiadaniu magii decyduje czas i miejsce urodzenia. Przebrałam już dziesiątki zmysłowników i...

– Dość, Edito. To zbyt ryzykowne. Nie będę już finansował twoich badań.

Kobieta zazgrzytała zębami, a jej oblicze spochmurniało.

– Nie rób mi tego, Kvido.

– Znajdź sobie innego osła.

Mężczyzna wstał, nie czekając na odpowiedź. Zabrał ze sobą marynarkę i laseczkę, a po chwili ruszył ku drzwiom szybkim krokiem. Zora patrzyła na jego smukłą sylwetkę, z rozmarzeniem myśląc o tym, że ona też chciałaby dokonać jakiegoś naukowego odkrycia. Wyobrażała sobie docenienie i szacunek, jakie by na nią spłynęły i...

Skrzywiła się, wracając do rzeczywistości. Czasem za bardzo dawała się ponieść nierealnym myślom.

Jiřina Muřkatova zatrzymała córkę, gdy ta biegła do swojego pokoju na poddaszu.

– Chodź tu! – krzyknęła za nią, więc Zora niechętnie odwróciła się i weszła do kuchni.

Szczupła, dość wysoka kobieta stała przy stole zastawionym miskami, łyżkami i produktami spożywczymi. Ciemne, kręcone włosy miała upięte z tyłu głowy. Jej umorusane mąką ręce wyrabiały ciasto na stolnicy. Machnęła głową w bok, wskazując na parującą blachę, z której wystawał smacznie wyglądający placek. To dzięki niemu w pomieszczeniu roznosił się przyjemny zapach.

– Właśnie ulepszyłam przepis na ciasto z jagodami. Zjedz kawałek i powiedz mi, czy jest lepsze niż poprzednie – oznajmiła.

Zora westchnęła cierpiętniczo, choć w głębi duszy lubiła być testerem ciast matki. Wyjęła z szuflady nóż i gładkim ruchem ukroiła sobie kawałek, po czym wcisnęła go do buzi. Żuła i żuła, a Jiřina patrzyła na nią wyczekująco, nie przestając zagniatać ciasta.

– No?

Zora przełknęła.

– Smaczne – stwierdziła. – Słodkie. Ale poprzednia wersja była bardziej puszysta i wilgotna, ta jest za sucha.

– Niech to! – Jiřina energicznie uderzyła w ciasto. Wytarła dłonie o fartuszek zawiązany wokół bioder i klatki piersiowej. – Dam jeszcze ojcu na spróbowanie – dodała.

Jej córka zeszywniała na te słowa.

– Potrzebujesz ode mnie czegoś jeszcze? – spytała, a jej żyłami popłynął lód.

Unikała ojca, kiedy tylko się dało. Eufemistycznie mówiąc, nie dogadywali się.

Jiřina natychmiast wychwyciła nerwowość Zory i od razu zrozumiała, co powiedziała nie tak. Potrząsnęła głową i odprawiła córkę ruchem dłoni.

– Nie, nie. Możesz odejść.

Zmysłownica szybko wspięła się na poddasze, w myślach odcinając się od rozważań o ojcu. Zamiast tego skupiła się na zadaniu, które przed nią stało. Robiło się coraz ciemniej, ale nie zapaliła lamp gazowych. Miała zresztą coraz mniej czasu, więc musiała się sprężyć. Porzuciła skromną sukienkę, założyła na siebie czarne spodnie i koszulę, a włosy i część twarzy owinęła chustą. Do pasa przytroczyła sztylet, wahając się nad wzięciem pistoletu. Ostatecznie stwierdziła, że i tak by go nie użyła, bo wywołałby za dużo hałasu, więc chwyciła tylko linę i wytrych.

Słońce dotykało horyzontu, gdy przemykała mrocznymi alejkami Bydgošcy. Pół kilometra dalej czekał na nią zadaszony powóz na wielkich kołach. Zaprzężone konie zarżały, niepokojąc się spadającą temperaturą i rosnącą wilgotnością. Zora wiedziała, że mgła wkrótce okryje wszystkie ciemne kamienice i budowle miasta, nadając im jeszcze bardziej złowieszczy klimat.

A Bydgošć wywoływała ciarki nawet w południe. Stłoczone kamienice z szarych cegieł rzucały cień na brukowane ulice. Dachy często lśniły od pozostałości deszczu, a na gzymsach przesiadywały kruki, spoglądając ciekawie na przechodniów. Powozy przemykały w labiryntach budowli, a stukot kopyt i rozmowy mieszkańców niosły się echem po najbliższej okolicy. Dwie rzeki, wijące się przez te tereny, zapewniały Bydgošcy stały kontakt i wymianę handlową z innymi większymi miastami, ale od tak dużej ilości wody nad alejami często tworzyła się mgła.

Trzysta metrów od rezydencji Leviego Draboña stangret zatrzymał konie, a Zora wyslizgnęła się z karety. Nie spojrzawszy nawet na mężczyznę siedzącego na koźle, poprawiła chustę wokół twarzy i ruszyła na swoją misję. Z sercem w gardle trzymała się cieni przy murach i drzewach. Zmrok zapadał szybko, a Zora go lubiła. Chociaż radziła sobie z ukrywaniem się w każdych warunkach, w ciemności było jej najłatwiej.

Przystanęła przy wielkim dębie i poprzez żelazne ogrodzenie oraz wysokie krzewy rosnące wzdłuż niego zerknęła na rezydencję, do której miała się wkraść. Nerwowo przełknęła ślinę. Szara budowla z daleka przypominała niezdobytą twierdzę, ale kunszt jej zdobień architektonicznych rzucał się w oczy nawet z tej odległości. Brukowana droga wiała się pomiędzy zadbanym ogrodem aż do małego placu, z którego w górę wystrzelały stopnie. Na ganku, wyznaczanym przez kolumny, stały fotel bujany i schludna ławeczka. Ogromne, główne drzwi z żelazną kołatką wołały: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”.

Zza nich właśnie wyszedł Levi Draboń.

Zora powstrzymała westchnienie, a potem zeszywniała. Upewniła się, że wszystkie ubrania i przedmioty przylegały do jej skóry. Mimo że na ramionach pojawiła się gęsia skórka, kobieta nie mogła pozwolić sobie na założenie płaszcza. Mogła stać się niewidzialna i przedłużyć swoje umiejętności na dowolną część garderoby, ale tylko wtedy, gdy te bezpośrednio dotykały jej ciała.

Czekała, starając się nie myśleć o mężczyźnie, który właśnie wsiadał do powozu. Dzieliła ich zbyt duża odległość, by Zora mogła mu się przyjrzeć, ale widziała go już raz czy dwa. Oczywiście, on nigdy *nie widział* jej, ale do tego kobieta już się przyzwyczyła. Zawsze się chowała, zawsze trzymała się cieni. Ona obserwowała wszystkich, ale sama pozostawała poza jakimkolwiek postrzeganiem. Nawet gdy nie używała swoich zmysłowniczych umiejętności, wtapiała się w tłum. Jej matka mówiła, że po prostu taka już *była*. Niezauważalna. Cicha. *Nieistotna*.

Levi był natomiast bezwzględny kolekcjonerem antyków, tak przynajmniej mówiono. Część z artefaktów zostawiał w swojej prywatnej kolekcji, ale część sprzedawał z zyskiem i nigdy, przenigdy nie rezygnował z upatrzonego przedmiotu. Krakavce go nienawidzili, ale dotychczas nie poważyli się na włamanie do jego posiadłości. Widocznie czara goryczy Gustava tym razem się przelała.

Karoca sunęła po bruku, wyjechała z ogromnej posesji i wkrótce zniknęła za rogiem posępnej ulicy w Dzielnicy Bogaczy. Zora natychmiast maksymalnie skupiła się na zadaniu. Poczekała, aż jeden z wartowników zrobił obchód, i patrząc na postać przy drzwiach głównych, przeszła przez ogrodzenie. Uważnie ruszyła wzdłuż niego, nie spuszczać oczu ze strażników. Chowała się w cieniach, wspomagana własną niewi-

działnością, ale wartownicy też byli zmysłownikami. Mogli ją wyczuć, mimo że powzięła wszelkie środki, by do tego nie dopuścić. Z walącym sercem obeszła rezydencję i w oddali dostrzegła proste, kuchenne drzwi. Uniosła głowę, czując pod chustą drobne krople deszczu. Czekała, zerknęła na skośny dach budynku, ale ten nikał już w mroku. Kiedy strażnik przeszedł, Zora bezszelestnie podbiegła do budowli. Wyjęła nieco już wysłużony wytrych i z wprawą rozpracowała zamek, po czym błyskawicznie znalazła się w środku.

Opierając się o drzwi, walczyła z przyspieszonym oddechem. Objęła kuchnię skoncentrowanym wzrokiem i ku swojej uldze nie dostrzegła niczego alarmującego. Minęła blaty, piece i niezliczone przyrządy kuchenne, aż przystanęła na środku wyłożonego ciemnoczerwona wykładziną korytarzu. Na ścianach paliły się lampy gazowe, a płomień odbijał się od kryształowego żyrandola i oświetlał olbrzymie schody.

Niesamowite. Emil miał rację. Gdy jej dłoń sunęła po poręczy przy pokonywaniu stopni, nie mogła przestać się dziwić, że ktoś zadał sobie tyle trudu, by z taką dbałością o każdy szczegół wyrzeźbić zwykłe schody wraz z balustradą. Przyjrzałaby się dłużej, ale... figurka sama się nie ukradnie.

Zatrzymała się na szczycie, przylgnęła do ściany i nasłuchiwała. W oddali słyszała brzęk szklanek i zduszony śmiech, co nieco ją uspokoiło. Zerknąwszy w jedną i w drugą stronę, skręciła w lewo i policzyła drzwi. Zatrzymała się przy czwartych i objęła je krytycznym wzrokiem. Zakończone łukowato i delikatnie rzeźbione, z prostą, złotą gałką, nie wydawały jej się w żaden sposób zabezpieczone.

Ostrożnie weszła do środka i mimo ciemności aż jej dech zaparło na widok mieszczącej się tu potężnej kolekcji. Regały i gabloty ciągnęły się wzdłuż wszystkich czterech ścian, z przerwą na otwór drzwiowy i okienny. Masywne kotary zwisały z karnisza, a na środku pokoju z rozmysłem poukładano różnorakie meble ze stosownymi dekoracjami.

Zora wyjęła świecę oraz zapalniczkę z kieszeni i już po chwili wokół niej rozlał się ciepły blask. Jej oczom ukazały się wazy, rzeźby, obrazy, meble – wszystko stare i warte *fortuny*. Nie miała czasu, by podziwiać te artefakty, zaczęła bowiem szukać Figurki Założycieli. Wykonana z brązu, wysoka na piętnaście centymetrów. Prawie parsknęła śmiechem, gdy wreszcie ujrzała to ustrojstwo w całej swojej okazałości – dumnie posadzone na środku stolika o trzech misternie wyrzeźbionych nogach.

Zgasiała świecę i wyciągnęła w stronę rzeźby dłoń, gdy nagle po jej kręgosłupie przeszedł dreszcz.

Coś kliknęło.

Jej serce znowu waliło jak oszalałe, gdy cofnęła rękę i obróciła się w stronę drzwi.

W progu stał Levi Draboń i przyglądał się Zorze z zawadiacko uniesioną brwią.

Krew odpłynęła jej z twarzy, a z gardła prawie wyrwał się jęk.

Jak... Co... Zora była *niewidzialna*, tymczasem on zdawał się patrzeć prosto *na nią*. Bezdźwięcznie przysunęła się do jednej z gablot, chcąc się przekonać, czy jego spojrzenie było przypadkowe. Nie. Jego oczy podążyły za nią. Wysoka sylwetka mężczyzny ubrana w ciemny frak zdawała się dominować nad wszystkim w tym pomieszczeniu.

Rozejrzała się po wnętrzu z rosnącą paniką i gorączkowo próbowała wymyślić jakieś rozwiązanie. Oczywiście byłoby łatwiej, gdyby wiedziała, jakim rodzajem zmysłownika był Levi, ale tego sekretu strzegł lepiej niż oka w głowie. Niektórzy mówili, że to wonny, a inni, że wikusowy. Nikomu nie można było ufać, a ci potencjalnie wiarygodni informatorzy nie chcieli dzielić się wiedzą. Ani jej sprzedać.

– Wiem, że tu jesteś – wymruczał, na co kobieta zeszywniała, bojąc się ruszyć nawet koniuszkiem palca. – Wiem, że jesteś niewidzialny, ale nie uciekniesz mi. Możesz się pokazać.

Czyli widział ją, ale nie wiedział, że to *ona*. W takim razie musiał być wizualnym.

Levi postawił krok do wnętrza pokoju i z cichym trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Pewnie powinna poskromić te wyrafinowane myśli na czas wydostania się z tej pułapki.

– Nie zmuszaj mnie do tego, żebym do ciebie podszedł – rzucił, ściągając groźnie brwi, a Zorą po raz kolejny wstrząsnął dreszcz. – Pokaż się.

Pokaż się. Jej żołądek zacisnął się w odpowiedzi na ten rozkaz, a oddech nieznacznie przyspieszył. Została przyłapana. Po tylu latach włamań i kradzieży ktoś złapał ją na gorącym uczynku i teraz żądał, żeby się *pokazała*. A oczy, które miały ją oglądać, należały do jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich Zora kiedykolwiek widziała. Nie żeby to robiło jakąś różnicę.

A jednak robiło.

– Masz ostatnią szansę – oznajmił niskim głosem, sięgając ręką gdzieś w bok.

Sekundę później po pomieszczeniu rozlało się światło, a kobieta zamrugała. Drabon musiał mieć tu zainstalowaną instalację elektryczną. To nie powinno jej dziwić – bogacze pierwsi rzucali się na nowinki technologiczne.

Zora wreszcie się otrząsnęła. Wzięła głęboki oddech, wyjęła sztylet, przyjęła odpowiednią postawę i kierując ostrze w stronę Leviego, przestała używać mocy. Jej skóra lekko zamrowiała.

Mężczyzna zaniemówił, lustrując ją wzrokiem. Dokładnie obejrzał całą jej szczupłą, nijaką sylwetkę: ciemne buty, nogi, biodra, dekolt i oczy wystające zza chusty. Była ciekawa, co sobie pomyślał. Że taka niepozorna panna wkradła się do jego posiadłości? Że wyglądała żałośnie słabo, nawet ze sztyletem między palcami? Ona nie była oszołomio-

na jego osobą, ale on wydawał się skonfundowany na jej widok. Zora widziała już wcześniej te bladoniebieskie oczy i gładko uczesane, ciemne włosy. Szczupłe ramiona odziane we frak. Ładnie skrojone usta. Kilka razy zdarzyło jej się myśleć o tym, co by poczuła, przesuwając palcami po jego skórze czy włosach. Napawałaby się ich miękkością czy wręcz przeciwnie?

– Jeśli spróbujesz walczyć – Levi przechylił lekko głowę na bok z rozbawieniem – albo uciekać, to zawiadomię strażników miejskich i wniosę oskarżenie o włamanie. Ale myślę, że możemy się dogadać. Nie sądzisz?

Zora udała, że poważnie rozważa te słowa. Usilnie nie patrzyła w bok, na znienawidzoną figurkę, ale jej umysł układał już pewien plan. Nie sądziła, by dała radę pokonać tego mężczyznę w walce, zwłaszcza że nie znała jego możliwości. Wolała nie ryzykować.

– W jaki sposób chcesz się dogadać? – spytała, zyskując na czasie.

Levi tak intensywnie ją obserwował, że oblała ją fala gorąca. Wydawało jej się, że prześwieślał wszystko, łącznie z jej umysłem i najskrytszymi myślami. Z trudem przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle. Plan. Miała obmyślać plan. *Skup się.*

– Przede wszystkim powiesz mi, dla kogo pracujesz – zaproponował. – A potem pomożesz mi im zaszkodzić.

Parsknęła.

– Jesteś uroczo naiwny. – Uśmiechnęła się pod chustą, a jego oczy psotnie zabłyśły. – Jeszcze jakieś pomysły?

Przez jego twarz przemknął dziwny cień, ale zaraz odzyskał nad sobą panowanie.

– Tak. Może ściągniesz tę chustę? Chciałbym cię... zobaczyć.

Jej serce nie nadążało już z pompowaniem krwi.

Wielka, wielka szkoda, że zamierzała go skrzywdzić. Wielka. Bardzo. W tej chwili wyglądał tak seksownie, że wolałaby go pocałować, ale cóż zrobić? On zamierzał wsadzić ją do więzienia. Wątpiła, by jego pocałunek był tego wart.

– Czemu nie?

Wzruszyła ramionami.

A potem rzuciła w niego sztyletem.

Chwyliła Figurkę Założycieli pod pachę, podbiegła do okna i z wprawą je otworzyła. Wyskoczyła na zewnątrz, czując, jak chusta ześlizguje się z jej twarzy. Nie zdołała jej chwycić, bo jej palce desperacko próbowały złapać za listwy lub zdobienia architektoniczne budynku. W kontrolowany sposób osunęła się po ścianie, zdzierając sobie skórę z dłoni i nóg, łącznie z materiałem spodni. Upadła na trawę, choć zaraz chwiejnie wstała i pobiegła, pozwalając, by jej sylwetka wtopiła się w tło.

Emil by się zaśmiał. Wszystko skończyło się dokładnie tak jak w Osvětmanach.

Levi zeskoczył z toru lotu sztyletu, zderzając się z własną gablotą, która zadrżała pod wpływem nacisku. Zafascynowany do granic możliwości włamywaczką szybko podniósł alarm i sam ruszył w pościg. Akurat w porę wydostał się z domu, by dostrzec, jak przeskoczyła przez jego ogrodzenie i z tą absurdalną rzeźbą w rękach pobiegła chodnikiem. Levi ruszył za nią, po drodze podnosząc coś z wilgotnej trawy. Ścisnął między palcami chustę, jeszcze nie tak dawno skrywającą jej twarz.

Uśmiechnął się podczas biegu. Jego moc pozwalała mu na *bardzo dokładne* przyjrzenie się tej sprytniej złodziejce.

Kulała, a i tak go wyprzedzała, nie zwalniając. Mężczyzna był pod wrażeniem. Mijali majestatyczne rezydencje, ale w miarę pokonywania kolejnych odcinków Dzielnicy Bogaczy budynki stawały się mniejsze i mniej wytworne. Poczul zapach rzeki, zanim jeszcze ją zobaczył. Na brzegu stały podupadłe chaty, spowite mgłą, a na wodzie unosiła się niewielka barka. Kobieta wskoczyła do niej z gracją i coś krzyknęła.

Kiedy zdyszany Levi dopadł brzegu, poślizgnął się i prawie wpadł do rzeki. Kobieta stała na krawędzi barki i zdjęła z siebie osłonę niewidzialności. Z powiewającymi włosami spoglądała na niego wyzywająco, szybko oddalając się wraz z wartkim prądem wody. Mężczyzna patrzył za nią, aż jej sylwetka zupełnie zniknęła mu z oczu. Dopiero wtedy uniósł do twarzy chustę, zaciągnął się jej zapachem i przyrzekł sobie, że nie spocznie, dopóki nie odnajdzie tej dziewczyny.

3

Levi Draboň nigdy nie pojawił się na balu u Kněnickich. Jak tylko wrócił z nad Udoli, usiadł przy biurku w swoim gabinecie, sięgnął po kajet i zaczął gorączkowo w nim pisać. Lepiej mu się myślało, gdy mógł swoje refleksje przelać na papier. Zwykle robił to z odpowiednią dozą spokoju i metodyczności, ale dzisiaj zapisywał urywane zdania i pojedyncze słowa, co przypominało chaotyczny strumień świadomości, a nie bystry plan działania.

Złodziejka. Ominęła strażników. Jak? Niebezpieczna? Głupia? Wskoczyła z okna. Szalona? Zabrała Figurkę Założycieli. Niech to. Przepytać strażników. Przeszkolić ich jeszcze raz. Mocniej zabezpieczyć archiwum. Odwiedzić Jonaša.

Odchylił się na krześle i przetarł dłońmi twarz, a potem włosy, odrobinę burząc ich staranne ułożenie. Chwycił muszkę przy szyi i ją poluzował. Odprawił służących i kazał sobie nie przeszkadzać. W nikłym świetle lampy gazowej zerknął na okno i popadł w jeszcze większą zadumę.

Próbował rozpoznać buzujące w nim uczucia. Złość. Zaintrygowanie. Trochę rozba-
wienia. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Czy do jego archiwum ktoś niepożądany w ogóle się kiedyś wkradł? Nie za jego życia. Może, gdy jego rodzice jeszcze się tym zajmowali... Ale nie słyszał o takim przypadku.

Zgarbił się.

Działał sam od pół roku i proszę... już bezczęścił dziedzictwo matki.

Draboň to nazwisko, które znali wszyscy w Bydgošcy. Od pokoleń zajmowali się zbieraniem starożytnych artefaktów i handlem nimi, co zapewniło im bogactwo. Zasiadali w Radzie i liczono się z ich głosem. Odkąd pół roku temu Andrea Draboňova odeszła z tego świata, Levi tylko korzystał z potęgi swego nazwiska, ale na żadnych posiedzeniach się nie pojawił. Co innego bale. Te zawsze poprawiały mu nastrój.

– Młodzieńcze.

Levi drgnął i zerknął na próg, w którym stał starszy, elegancko ubrany mężczyzna.

– Mówiłem, że chcę chwili dla siebie – wymamrotał, bo wciąż rozmyślał o dziewczynie i pościgu.

– Nie sądzisz, że ostatnio za dużo masz tych chwil dla siebie?

– A co to ma niby znaczyć, Františku? – spytał ostro, marszcząc brwi.

– Tylko tyle, że się przepracowujesz. Ciągłe tylko mówisz o artefaktach, w ogóle już nie wychodzisz...

– Jak to nie? Ciągłe uczęszczam na bale.

Mężczyzna pokręcił głowę. Oparł się o framugę i zacisnął usta w wąską linię, a jego pomarszczona twarz się napięła.

– Nie. Chodzisz tam, by rozmawiać o pracy.

Levi zamrugął.

– Nie możesz tego wiedzieć – powiedział głupawo, a do jego głosu wdarła się nawet jakaś dziecięca nuta. Odchrząknął z irytacją. – Nie chodzisz tam przecież ze mną.

I chwala duchom. František pracował dla Draboňów od czasów swej młodości, a dla Leviego zawsze był trochę jak dziadek – jedyny, jakiego kiedykolwiek miał. Lokaj wyznawał jednak swoje sztywne zasady i kiedy ktoś je według niego łamał, nie bał się zwrócić na to uwagi. I ubierał się jak z zeszłego stulecia, nosił rajtuzy, a jego głowę często przyozdabiał cylinder, ale gust akurat Levi mu wybaczał.

– Nie musisz tam być, by wiedzieć, co robisz – skontrował staruszek. – Przestań przesiadywać w tym gabinecie dniami i nocami. Znajdź sobie jakiegoś towarzysza. – Zrobił wymowną pauzę. – Albo towarzyszkę.

Levi się skrzywił.

– Zostałem dziś okradziony, Františku. Obok tego nie mogę przejść obojętnie.

– Nie. Ale zająłbyś się tym jutro. Teraz mógłbyś dołączyć do mnie i do Gabriela i zagrać z nami w karty. – Wyraz jego pobrużdżonej twarzy złagodniał. – Od lat nie grałeś ze mną w karty.

Młody mężczyzna jęknął, odchylając głowę do tyłu.

– Dobrze. – Wstał i się zawahał. Zamknął kajet i schował go do szuflady biurka. Zgasił lampę gazową. – Skoro prosisz.

W półmroku Levi nie miał szans, by dostrzec radosny uśmiech na obliczu swego służącego.

Levi wstał o świcie, nie chcąc marnować nawet sekundy z cennego dnia. I tak miał już wrażenie, że cały wieczór zbijał bąki, podczas gdy jakaś dziewczucha biegała po Bydgošcy z jego rzeźbą.

Zabrał się za rozpracowanie tej sytuacji ze starannością, jakiej nauczyła go matka. Dokładnie przepytał strażników, którzy mieli strzec jego posiadłości. Nie chciał tego po sobie pokazać, ale z każdym ich słowem rosła jego irytacja. Niczego nie dostrzegli. Niczego nie wyczuli. Jak to możliwe? Patrolowali cały teren. Nawet ktoś niewidzialny nie powinien przed nimi tak łatwo umknąć. Ale jeszcze bardziej rozwścieczył go sposób, w jaki ta złodziejka dostała się do środka. Przez drzwi kuchenne!

Levi obejrzał je z samego rana i przeklinał samego siebie za niezabezpieczenie ich w lepszy sposób. Mógłby zainstalować tu jeden z tych najnowszych, pancernych zamków. Zapisał to w swoim kajecie.

Wybiło południe, gdy wreszcie wyszukał wszystkie błędy, które tak sprytnie wykorzystwała ta kobieta. Przez następne dni będzie im zapobiegał, ale na popołudnie zostawił sobie lepszą rozrywkę.

Zamierzał ją wyśledzić. Levi nie mógł sobie pozwolić na to, by ktokolwiek sobie z nim w ten sposób pogrywał. Musiał zachować nieskazitelną reputację potężnego kolekcjonera, z czym wiązało się nazwisko Drabońów. Część niego nie mogła się już doczekać spotkania z nieznaną i zobaczenia wyrazu jej twarzy, gdy sobie uświadomi, że zadarła z nie tymi ludźmi, z którymi powinna.

Stanął przed lustrem, zapinając guziki dwurzędowej, różowej kamizelki. Na swoje szczupłe, acz dobrze zbudowane ramiona nałożył marynarkę w podobnym kolorze, a potem wziął do ręki mały słoiczek i go otworzył. W twarz buchnął mu zapach drzewa sosnowego. Nałożył na palce odrobinę żelu i za jego pomocą ułożył swoje niesforne brązowe włosy w taki sposób, by żaden kosmyk nie odważył się na odstawanie. Za pośrednictwem jasnyniebieskich oczu posłał sobie pewne siebie spojrzenie i mrugnął zalotnie. Odwrócił się, by zerknąć na nieposłane łóżko i otwarte drzwi szafy, której zawartość wybuchła mu w pokoju. W bałaganie zdołał odnaleźć swoją cenną laseczkę ze złotą gałką, po czym zostawił za sobą ten syf z myślą, że służący się nim zajmie.

– Panie. – Dobiegający pięćdziesiątki Gabriel ukłonił się przed Levim lekko. Czarnosiwie pasma włosów spływały mu na kark. – Powóz już czeka.

– Doskonale. Lubię, gdy wszystko idzie po mojej myśli.

Służący uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Andrea Darboňova zatrudniła go dwa lata przed swoją śmiercią, dosłownie wyciągając go z rynsztoka. Od tamtej pory pałał bezgraniczną lojalnością dla tej starej, szlachetnej, bydgoskiej rodziny. Co prawda za swoją była pracodawczynią nie przepadał, ale Leviego bardzo lubił. W skrytości ducha cieszył się, że teraz on zarządzał majątkiem. Martwiły go tylko ta... pustka i samotność. Razem z Františkem starali się temu zapobiec, ale co mogło działać dwóch podstarzałych służących?

Zmysłownik zatrzymał się w pół kroku i zerknął na mężczyznę.

– Gabrielu, czy przysły do mnie jakieś nowe wiadomości?

– Dzisiaj nie, panie.

Levi kiwnął głową, nie kryjąc rozczarowania. Wyszedł ogromnymi drzwiami głównymi, zagłębiając się w szarą, wilgotną aurę Bydgošcy. Czuł ją nawet wtedy, gdy siedział już w powozie, a stangret popędził konie. Podskakując na nierównej drodze, mężczyzna

wyjął z kieszeni czarną chustkę i po raz tysięczny jej się przyjrzał. Nie miała żadnych zdobień, a w dotyku była miła i delikatnie, niemal niewyczuwalnie pachniała jaśminem. Jemu do niczego się ten skrawek materiału nie przyda, ale znał ludzi, którzy zrobią z niego bardzo dobry użytek.

Kareta toczyła się po brukowanych ulicach miasta, w miarowym tempie przemierzając jego dzielnicę. Żeby spotkać się z Jonašem, Levi musiał przejechać niemal przez całą Bydgość, więc podróż miała zająć dłuższą chwilę. Przez ściany powozu docierały do niego dźwięki innych karoc, nawoływania kupców, a w trakcie przejażdżki przez Dzielnicę Muzyczną – brzmienia pianina, fletu i skrzypiec. Wreszcie stanęli, a Levi natychmiast wyskoczył na zewnątrz.

Zmarszczył nos, czując odór nieczystości i ryb. Fordon, najpaskudniejsza dzielnica miasta, zawsze go rozczarowywała. Stały tu wysokie na dwa lub trzy piętra rozpadające się kamienice i budynki, które desperacko chciały przypominać kamienice. W ciemnych zaułkach młodzież paliła tytoń, a nad rzeką Vesłą zbierały się najgorsze typy. Gorsze niż gangi, bo te przynajmniej były zorganizowane i działały według jakichś zasad, podczas gdy zbiry z Fordonu kradły, co akurat wpadło im w oko, a straż miejska zawsze miała z nimi ręce pełne roboty.

Drzwi stały otworem. Levi na schodach minął się z nadzwyczaj żwawą staruszką, która zbiegała w dół, oraz z około dziesięcioletnim chłopcem, który najwyraźniej ją gonił.

Fordon w pigułce, pomyślał z rozbawieniem.

Zapukał w obskurne drewno, a po chwili w progu stanął barczysty mężczyzna o ciemnej karnacji.

– Już dawno powinienes się stąd wynieść, Jonaś – rzucił Levi, nawet nie kryjąc znieśmaczenia w głosie.

Przecisnął się obok niego, po czym wszedł do niewielkich rozmiarów kuchni z jasną, odchodzącą tapetą na ścianach. Przywitał się z małą dziewczynką z apetytem zjadającą ciastka; siedziała przy stole pokrytym ceratą w kwiatki. Levi, nie czekając na zaproszenie lub pozwolenie, wyjął z kredensu blaszany kubek, do którego nalał sobie wody.

– Zmykaj do swojego pokoju, Mi. – Jonaś potarł dziewczynkę po ciemnych włosach, wywołując jej pisk.

– Dobrze, tato!

Levi obserwował tę scenę z delikatnym uśmiechem na ustach. Jonaś zajął miejsce córki, gestem wskazując swojemu gościowi drugie krzesło przy stole. Ten usiadł, nieprzyzwyczajony do niewygody i widoku biedy, jaka roztaczała się wokół. Nie dając niczego po sobie poznać, wziął łyk wody.

– Wiesz, że wtedy już tak łatwo byśmy się nie spotkali – podjął temat Jonaś, zakładając ramiona na szerokiej piersi. – A ja nie mógłbym zdobywać informacji, za które tak dobrze mi płacisz.

Levi przyjrzał się uważniej tej wielkiej sylwetce, ubranej w pogniecione coś, czemu przydałoby się pranie. Zerknął na łysą głowę, krzywy nos i w bystre oczy. Spotkał Jonaśa kilka lat temu w dość... nieoczekiwanych okolicznościach. Levi zdobywał wtedy artefakt do kolekcji w... powiedzmy, że nie do końca legalny sposób, a Jonaś mu przeszkodził. Pracował wówczas dla tego, kogo Levi chciał okraść. Drabon zapłacił mu za milczenie, a hardość w głosie mężczyzny i w jego ruchach spodobała mu się na tyle, że potem go odnalazł i złożył propozycję, której tamten nie mógł odrzucić. Był w końcu samotnym ojcem z trzema dorastającymi córkami. Każde źródło pieniędzy było dla niego cenne.

– Przejdźmy do rzeczy – oznajmił Jonaś, patrząc wyczekująco na swojego towarzysza.
– Co cię do mnie sprowadza tym razem?

Mężczyzna wyjął z kieszeni chustkę i niemal dramatycznym gestem położył ją na stole między nimi.

– To.

– Ach. A więc tym razem potrzebujesz moich zdolności wonnego.

– Tak. Zapach jest słaby, trochę już wywietrzał. Ale ty znasz się na swojej robocie, więc...

– Kogo spodziewasz się znaleźć? – Jonaś delikatnie chwycił materiał i uniósł go odrobinę znad ceraty. Nigdy nie owijał w bawełnę, preferował surowe konkrety i Levi właśnie za to go lubił.

– Kobietę. Szczupłą, dość wysoką, ponad metr siedemdziesiąt. Brązowe włosy, jasna skóra i najbardziej... – Odchrząknął. – Jest zwinna, a do tego niewidzialna.

Jonaś uniósł brwi.

– Hmatowa?

– Najpewniej.

– Co ci zrobiła, że ją ścigasz?

– To, drogi przyjacielu – Levi uśmiechnął się psotnie i przechylił głowę – zachowam dla siebie. Ale nie musisz się martwić, nie jest potencjalnie niebezpieczna, tylko... irytująca.

Jonaś uśmiechnął się z przekąsem.

– Nieudana randka? Wreszcie znalazła się jakaś, która cię nie chce?

– Z tym szyderstwem nie jest ci do twarzy, mój drogi.

Mężczyzna stłumił śmiech i zacisnął palce na chuście.

– Przyślę ci wiadomość, gdy tylko ją namierzę.

Levi wypił wodę do końca i wstał. W jedną rękę chwycił swoją laseczkę, a drugą wyciągnął w stronę Jonaša.

– Będę na to czekał z niecierpliwością.

Wymienili uścisk, po czym Levi opuścił małe, zaniedbane mieszkanie w jednej z fordońskich kamienic i wrócił do swojej luksusowej, bajecznej klatki.

Dwa dni później dostał nazwisko złodziejki i adres jej zamieszkania. Jonaš spisał się na medal, a Levi swoje zadowolenie okazał sowitym wynagrodzeniem. Krótco po tym Draboń skontaktował się ze swoim następnym informatorem. Ten uwielbiał przesiadywać w Pekle znajdującym się w Zachodniej Dzielnicy – knajpie do złudzenia przypominającej spelunkę. Schodziły się do niej różne typy, większość lamp gazowych nie działała, a zepsuty gramofon sprawiał wrażenie raczej upiornego niż nastrojowego.

Każda wizyta w tym miejscu przyprawiała Leviego o nagłą chęć kąpieli. Miał wrażenie, że tu wszystko lepiło się od wylanego piwa i kurzu: stoliki, krzesła, lada, podłoga, a nawet ściany i przebywający tu ludzie.

Laura wzniosła kufel z piwem na jego widok w geście raczej szyderczego toastu.

– Co jest? – zakpiła, mrużąc lekko powieki. – Ktoś na ciebie nasikał, że tak się krzywisz?

– Krzywię się, bo muszę na ciebie patrzeć. – Usiadł przy stoliku, starając się po sobie nie okazywać, że to miejsce go brzydziło.

– A co ci się we mnie nie podoba? – spytała z nagle przejętą miną i rozszerzonymi, zielonymi oczami. Nachyliła się w jego stronę, jakby desperacko oczekiwała odpowiedzi i zamierzała ją spijać z jego ust.

Levi posłał jej krzywe spojrzenie. Laura była aktorką – dosłownie i w przenośni. Na stałe zatrudniał ją Bydgoski Teatr, a po godzinach dorabiała sobie w ciemnym półświatku. I oczywiście olśniewała swoją urodą, choć nie była ładna w klasyczny sposób. Jej spojrzenie obiecywało niezapomniane przygody, a przyjemny głos potrafił zwodzić na manowce. Jasne, proste włosy do ramion zwykle trzymała rozpuszczone i rzadko nosiła sukienki – wolała raczej skórzane spodnie, opinające jej kształty w sposób, który odebrał już rozum niezliczonej rzeszy osób.

– Spiesz mi się. – Levi wyduł usta jak rozpuszczony panicz, za którego miała go Laura. Kontakt z nią nawiązała jego matka, ale Draboń po jej śmierci nie chciał z niego re-

zygnować, mimo że oboje za sobą nie przepadali. Może oprócz tej jednej nocy, o której dawno już, naturalnie, zapomnieli. – Mów, czego się dowiedziałas.

– A więc. – Laura odchyliła się na krzesło, wyglądając, jakby się bardzo dobrze bawiła i jednocześnie szła na skazanie. – Ta twoja pannica jest jak jakiś pieprzony duch. I to tak nudny, że przez pierwsze godziny myślałam, że tam umrę i jeszcze robaki zdążą mnie zeżreć. Aż wreszcie się okazało, że po godzinach ta lalunia pracuje dla Krakavców.

Levi zagwizdał. Największy i najpotężniejszy gang w mieście. A więc to oni weszli z nim na wojenną ścieżkę.

– Myślałam, że teraz to się zrobi ciekawiej. Myślisz, że zrobiło się ciekawiej, Levi? – Laura machnęła ręką w powietrzu. – Nie odpowiadaj. Nie, Levi. Moja nadzieja zgasła szybciej niż twój uśmiech po wejściu do Pekła. Próbowалаm ją podsłuchiwać, ale musiała być za daleko. No i głosów było tam za dużo, zagłuszał strasznie. I nikt inny w ich bazie o niej nie mówił. Nikt. Zupełnie nikt. Jakby nie istniała. Gdyby nie to, że ją widziałam, to sama bym tak pomyślała. Nie czaję, jak można być aż tak...

– Niewidzialnym? – podsunął Levi z namysłem.

Kolejnym atutem Laury była jej natura zmysłownicy. Miała tak dobry słuch, że idealnie nadawała się do zbierania i sprzedawania informacji.

– Właśnie. – Młoda kobieta aż się zachłysnęła. – Niewidzialna jak cholera. Ma miły głos, no ale za ładna to ona nie jest. Czego od niej chcesz, Levi, co?

– Zazdrosna? – Mężczyzna przeszył ją spojrzeniem, aż tamta się wzdrygnęła.

– Że o ciebie? – Roześmiała się, odchylając głowę. – Ha! Słyszeliście? – Obróciła się do stolika obok, przy którym siedziało trzech rosyłych mężczyzn. – Ten koleś zapytał właśnie, czy jestem o niego zazdrosna!

Mężczyźni zamrugali i wymienili między sobą spojrzenia. Levi westchnął i pomasaował palcami skronie.

– Dlaczego ja cię wciąż zatrudniam? – wymamrotał.

– Bo twoja matka mnie uwielbiała – wyjaśniła potulnie, po czym wyciągnęła z kieszeni spodni kilka zgiętych kartek i przesunęła je po stole w jego stronę. – Masz. Wszystkie informacje zapisane, tak jak lubisz, ty dziwaku.

Kpiła sobie z niego, ale Levi się tym nie przejmował. Chwytał papier i pobieżnie przejrzał zawarte tam informacje. Laura go irytowała, ale była skrupulatna. Zapamiętywała wszystko, co dobiegało do jej uszu, i to z najdrobniejszymi szczegółami.

Gdy usłyszał chrząknięcie, podniósł wzrok. Od razu dostrzegł wyciągniętą w swoją stronę rękę.

– A teraz płąć.

Levi pokręcił głową, sięgając po sakiewkę.

Draboń usiadł na miękkim obiciu krzesła w Pohlednej Berušce, odkładając na bok laseczkę ze złotą gałką. Luźną marynarkę powiesił przy wejściu na eleganckim wieszaku, więc teraz rozsiadł się wygodnie, poprawiając na sobie dwurzędową kamizelkę. Gdy uniósł głowę, od razu napotkał zaskoczone spojrzenie kobiety, którą po sześciu dniach od ostatniego spotkania wreszcie odwiedził.

Posłał jej psotny uśmiech, a ona zamarła jeszcze bardziej.

Zajął stolik w rogu, częściowo schowany za dużą rośliną w donicy. Oparł się ramieniem o drugie krzesło i leniwym spojrzeniem powiódł po wnętrzu: po jasnych tapetach, ciemnej podłodze i wykładzinach, po żyrandolach i lampach gazowych wystających ze ścian, po licznych klientach, aż wreszcie, z dreszczem ekscytacji, obejrzał sobie dokładnie Zorę Muškatovą.

W świetle dnia jej skóra wydawała się jaśniejsza. Falowane włosy miała upięte i przetrzucone przez jedno ramię, podczas gdy ciemne oczy wciąż wgapiały się w niego z szokiem. W rękach trzymała pustą, srebrną tacę, opierając ją o biodro. Skromna, niebieska sukienka spływała po jej ciele, a częściowo przesłaniał ją biały fartuszek.

Wreszcie podeszła do niego i z brzękiem odłożyła tacę na blat stolika. Zaciśnęła palce na jego krawędziach i nachyliła się w jego stronę, aż do jego nozdrzy dotarł jej delikatny, kuszący, jaśminowy zapach.

– Jak mnie znalazłeś? – wysyczała, choć starała się zrobić to na tyle cicho, by nie przyciągnąć uwagi innych gości.

Z niesłabnącym uśmiechem na ustach wyjął z kieszeni spodni czarną chustkę.

– To chyba twoje.

Wyrwała mu materiał z dłoni, piorunując go wzrokiem.

– Jeśli myślisz, że możesz tu przyjść i mi grozić... – zawiesiła znacząco głos.

– Sądziłem, że przychodząc do kawiarni, mogę się napić kawy – oznajmił spokojnie, ale bladoniebieskie oczy zdradzały jego rozbawienie. – Więc jak? Mogę tu jakąś zamówić?

Zora wyprostowała się, próbując podjąć jakąś rozsądną decyzję.

– Weź też coś dla siebie – nakazał. – Mamy trochę do pogadania.

Jego spojrzenie... Była przekonana, że z jego oczami coś było nie tak. Nikt przecież nie mógłby wywoływać w niej takiego popłochu samym wzrokiem!

– Jakies specjalne życzenia? – wycedziła, gniotąc w rękach swoją ulubioną chustkę.

– Zdam się na ciebie – rzucił wyzywająco.

Levi Draboň siedział w jej kawiarni, jakby to on był jej właścicielem. A przecież kiedyś, za kilkanaście lat najpewniej, to ona miała ją odziedziczyć po rodzicach. Była młodsza z rodzeństwa, jednak Petr zrzekł się praw do Pohlednej Beruški, twierdząc, że zajmowanie się nią będzie *zbyt nudne*. Czy też, jak Zora to tłumaczyła: *zbyt trudne*.

Próbując pozbyć się oszołomienia, odwróciła się i wróciła za ladę. Dana patrzyła na nią z zaciekawieniem, ale Zora pokręciła tylko głową i ignorowała ją przez resztę czasu, mimo że czuła na sobie pytający wzrok. Podgrzała wodę i z kredensu wyjęła dwie filiżanki zdobione motywem kruka. Czekając, aż napój się zaparzy, kątem oka przyglądała się Leviemu Draboňowi. Wyróżniał się ciemniejszą karnacją i był nawet przystojniejszy, niż zapamiętała, z tymi swoimi schludnie ułożonymi włosami, gładką szczęką, szczupłymi ramionami i spojrzeniem... które wywoływało w niej tyle sprzecznych uczuć.

Zawsze roztaczał wokół siebie niemal królewską aurę i nic się w tym względzie nie zmieniło. Kiedy obserwowała go z daleka na balach, śmiał się i flirtował, ale pomimo tego szelmowskiego usposobienia emanowało z niego coś takiego... niepokojącego, mrocznego, a nawet wywołującego ciarki.

Co on teraz zamierzał zrobić? Wezwać strażników miejskich? Szantażować ją? Grozić jej albo jej rodzicom? Z wyrzutem zerknęła na chustkę, teraz leżącą pod ladą, jakby to była jej wina, że Levi ją odszukał. Każdy wonny nawet ze średniozaawansowanymi umiejętnościami tropienia by ją odnalazł dzięki temu skrawkowi materiału.

Ostrożnie ustawiła filiżanki na tacy i z rosnącą obawą podeszła do stolika w rogu. Postawiła przed nim naczynie, drugie umieszczając dokładnie naprzeciwko, i usiadła na krześle, nagle skrępowana. Pod stolikiem wytarła dłonie o fartuch, chcąc pozbyć się z nich nerwowej wilgoci.

Jej przyszłość właśnie wisiała na włosku. Poczowała nieprzyjemny skurcz w brzuchu.

– Odpowiadając na twoje pytanie – zaczął, nie spuszczał z niej oczu. Czy on w ogóle mrugał? – Zatrudniłem wonnego, choć tego pewnie się już domyśliłaś.

Zora coś cicho mruknęła.

– I poszperałem na twój temat – dodał.

Kobieta lekko uniosła brwi, zdradzając objawy umiarkowanego zainteresowania.

– Zora Muškatoва, najmłodsze dziecko Mariana Muškata i Jiřiny Muškatovej, młodsza siostra Petra. Lat dwadzieścia trzy, wszystkie szkoły ukończone, i to z najlepszymi wynikami, a jednak utknęłaś tu, w rodzinnej kawiarni, jako baristka. Ale nie tylko baristka, co? – Uśmiechnął się do niej, puszczając oko, na co Zora spięła się jeszcze bardziej. – Twoje powiązania z gangiem są niemal niemożliwe do wyśledzenia. Jesteś ich członkinią od... czterech lat, tak?

Nie odpowiedziała. Uniosła filiżankę z gracją i upiła łyk napoju, który poparzył jej język. Levi umilkł, sięgając po swoją kawę, ale wciąż ją uważnie obserwował. Zora zignorowała dreszcz na plecach, wahała się i zbierała myśli.

– To teraz moja kolej, czyż nie? – spytała, odstawiając naczynie na spodek. – Levi Draboń, lat dwadzieścia sześć, jedynak – wymruczała i przysięgłaby, że on wstrzymał oddech. – Dziedzic jednej z najbogatszych rodzin w Bydgošcy, od pół roku sierota. Ambroż Draboń zmarł kilkanaście lat temu na rzadką czarcią chorobę. Andrea Draboňova natomiast zginęła w honorowym pojedynku na pistolety. Jesteś kolekcjonerem i handlujesz starożytnymi artefaktami, a w wolnych chwilach chodzisz na bale i uwodzisz niewinne kobiety. Czy coś pominęłam?

– Widzę, że odrobiłaś lekcje – skomentował. Chciała go zezłościć, tymczasem on wydawał się jeszcze bardziej rozbawiony. – Niewinne kobiety, mówisz? – Potarł palcami szczękę. – Nie określiłbym ich tak.

– Do tego wiem, że jesteś wizualnym – wyznała triumfująco.

– Ach tak? I co konkretnie potrafisz? – spytał, kładąc łokieć na stole i opierając głowę na dłoni.

– Dostrzec mnie, to na pewno – rzuciła i wzięła kolejny łyk kawy.

– O, tak. Dostrzegam cię bardzo dokładnie – rzucił dwuznacznie, a Zora zamarła, podobnie jak jej serce. Na jego obliczu pojawił się tak seksowny i psotny uśmiech, że aż zaczęła obawiać się jego dalszych słów. – Widzę twoje włosy, aż prosząc się o to, by wsunąć w nie palce.

Kobieta rozchyliła wargi, co natychmiast przyciągnęło jego uwagę.

– Widzę twoje prowokujące usta – wymruczał i jego spojrzenie przesunęło się jeszcze niżej. – Widzę, jak szybko bije ci serce. Widzę też twój pieprzyk tuż nad lewą piersią.

Co... Zerknęła w dół, ze zgrozą zdając sobie sprawę z tego, że jej suknia była zabudowana niemal pod szyję. Levi albo nie zauważył jej rosnącego niepokoju, albo go zignorował, gdy zerkał coraz niżej.

– Widzę, w jaki sposób twoje biodra zaokrąglają się pod tą...

– Przestań – wychrypiła z szeroko otwartymi oczami.

Wrócił spojrzeniem do jej ciemnych tęczówek.

– W taki właśnie sposób cię dostrzegam – wyjaśnił niezrażony, unosząc filiżankę do ust.

– Więc prześwietlasz wzrokiem. – Jej głos zadrżał, za co skarciła się w myślach. Zebrała się w garść i kontynuowała: – Ściany. Meble.

– Ubrania – dodał figlarnie.

– Przestań – powtórzyła ostrzejszym tonem. – To niegrzeczne i... i... nie rób tego.

Miała ochotę przywalić sobie w twarz. Levi natomiast się zaśmiał, wyglądając na szczerze ubawionego.

– Niegrzeczne? Wiesz, co jest równie niegrzeczne, a może nawet bardziej? – Spojrzał na nią znacząco. – Kradzież.

To zasznurowało jej usta. Przez ten jego... głos... i to, co mówił... zupełnie zapomniała, z jakiego powodu w ogóle tu przyszedł. Momentalnie się zirytowała. W co on grał? Próbował ją uwieść, żeby go zaprowadziła do gangu? I żeby mógł tym samym odzyskać tę głupią figurkę?

– Chcę ją odzyskać – dodał z naciskiem, zadziwiająco poważnie jak na niego.

– Nie mam jej już. – Wzruszyła ramionami, jakby to nie był jej problem.

– To ją zdobądź, co to za problem dla ciebie?

Prychnęła.

– A jeśli nie? Doniesiesz na mnie do straży miejskiej?

– Na ciebie. Na twoich rodziców. – Zmrużył oczy, gdy jego ton przybrał groźniejsze nuty, a na ramionach Zory aż pojawiła się gęsia skórka. – Wiesz sporo na mój temat, więc wiesz także, że mam pewne wpływy w mieście. Ta kawiarnia... może i dobrze prosperuje. I jest lubiana. Ale tak nie musi być zawsze.

Zabrakło jej tchu. Wpatrywała się w niego z ledwie skrywanym lękiem, bo oto znowu postawiono ją pod murem i grożono jej rodzinie. Jej skromnemu dziedzictwu.

Ktoś mnie musiał przekląć, gdy byłam niemowlakiem.

– Zora?

Zamrugła, przenosząc wzrok na rudowłosą Danę, w której irytacja mieszała się z niepokojem.

– Przestań flirtować i wracaj do pracy. Nie daję sobie sama rady.

Kobieta od razu wstała bez słowa i przeszła za ladę. Gdy odważyła się spojrzeć w stronę, gdzie siedział mężczyzna, miejsce Leviego Draboña było puste. Dopiero wtedy Zora wypuściła z ulgą powietrze i przyłożyła dłonie do policzków, rozmyślając nad opcjami, które miała do wyboru.

4

– Co to było? Czy to był Levi Draboň?

Zora nadal nie mogła otrząsnąć się po tym spotkaniu, więc chwilę jej zajęło, zanim odpowiedziała przyjaciółce.

– Tak. – Jej głos był zdławiony. Nie podobało jej się to, ale na razie wciąż targały nią zbyt silne emocje, by mogła nad nimi w pełni zapanować.

– Skąd on się tu wziął? – Z aksamitnego głosu Dany wylewało się niedowierzenie.

Zora przygryzała wargę, przygotowując tacę na następne zamówienie. Ułożyła na niej trzy kawałki szarlotki, po czym odwróciła się do ekspresu i dosypała do pojemnika nową porcję zmielonej kawy. Zerknęła na przyjaciółkę spod rzęs, walcząc z wyrzutami sumienia. Dana nie wiedziała o jej działalności w gangu. Nie chodziło o to, że Zora jej nie ufała, ale raczej o silne poczucie zasad i sprawiedliwości, którymi rudowłosa kierowała się w życiu. Krytykowała każde, nawet najmniejsze odstępstwo od przestrzegania prawa. Pewnie by zrozumiała, gdyby Zora opowiedziała jej całą sytuację, ale im przyjaciółka mniej wiedziała, tym mniej się narażała. Zmysłownica nie chciała, by Krakavce położyły swoje obrzydliwe łapy na pedantycznej Danie.

– Doszło do nieporozumienia – wyjaśniła płaskim głosem, wgapiając się w parę na szkle ekspresu. – Draboň mnie z kimś pomylił.

– Aha.

Zorę zabolalo, że w tym jednym, krótkim dźwięku wybrzmiało całkowite zrozumienie. *No tak*, pomyślała z goryczą podszytą złośliwością. *Taki ktoś jak Levi Draboň nie mógłby przecież zainteresować się taką szarą, cichą dziewczyną jak ja*. Chociaż patrzył na nią tak, jakby...

Kobieta przygryzła wargę. Gdy rozlewała kawę do porcelanowych filiżanek, złapała karafkę tak mocno, że szkło jęknęło pod jej palcami i nieomal pękło. Rozluźniła uścisk, odganiając także te głupie myśli, jakie nachodziły ją wbrew jej woli. Tylko czasami trudno wyrwać się z łątek i określeń, jakie nakładali jej inni.

Poza tym te jego oczy to efekt natury zmysłownika. Musiała o tym pamiętać.

– Muszę... – zaczęła niemrawo, machając dłonią w stronę gotowego zamówienia. – No wiesz... Idę.

Z grymasem na twarzy poszła spełniać swoje obowiązki. Gdy wróciła za ladę, Dany nie było, choć po chwili znowu się spotkały.

– Draboň to palant – rzuciła Dana lekko. – Najgorszego rodzaju. Słyszałam o nim same złe rzeczy, że to arogant, nie zna litości i z nikim się nie liczy, a to wszystko ubrane

w słodki uśmiech. – Pokręciła głową, unosząc leciutko kąciki ust.

Zora uśmiechnęła się półgębkiem, stwierdzając w duchu, że ten opis bardzo do niego pasował. I, o dziwo, jej serce zgubiło nagle jakiś ciężar, wracając do zwykle wybijanego rytmu.

– Też to słyszałam – wymamrotała zmysłownica.

– Tak że nie przejmuj się, cokolwiek ci powiedział. O, właśnie, wiesz może, kiedy wraca Irma? – spytała rudowłosa, wyciągając z kredensu czyste filiżanki. – Wysłałam do niej dzisiaj list, ale może tobie coś powiedziała.

Zora popadła w namysł.

– W liście, który przyszedł przedwczoraj, pisała, że zostanie u ciotki jeszcze przez tydzień.

– Mogłaby już wrócić, bo mam ochotę wyrwać się gdzieś we trójkę.

Zmysłownica zarzuciła Danie ramię na szyję i przyciągnęła ją do siebie, by cieszyć się ciepłem jej dotyku.

– Zawsze możemy wyjść gdzieś we dwie.

– Tylko z tobą? – Twarz rudowłosej zastygła w komicznym grymasie. – Zanudziłabym się na śmierć.

Zmysłownica wbiła łokieć w bok Dany i zaśmiała się cicho, gdy usłyszała jej stłumione stęknienie.

Zora Muškátova siedziała w oknie swojego pokoju, a połowa jej twarzy niknęła w mroku. Ze swojego miejsca miała dobry widok na dachy innych budynków, a w oddali widziała nawet przebłycki Vodnego Młyna – rzeczki, która tworzyła niewielką, naturalną wysepkę w samym środku miasta.

Myślała.

Konfrontacja z Levim wszystko jej skomplikowała.

Nie mogła przestać służyć Krakavcom ani ukraść im Figurki Założycieli. Nie była nawet pewna, czy rzeźba nadal znajdowała się w bazie w Śródmieściu. Tym samym nie mogła także oddać artefaktu Draboňowi. Ale jeśli tego nie zrobi, on odbierze jej kawiarnię, być może sprawi, że wtrącą ją do więzienia i...

Jęknęła, chowając twarz w dłoniach.

A to wszystko było winą jej brata. Gdyby Petr nie wyjechał i nie zaciągnął tego długi... Jeśli ten dureń by teraz wrócił, chybaby go zamordowała za to piekło, które jej zgotował.

Przygryzła wargę, starając się wymyślić jakieś rozwiązanie, jakiś kompromis, jakąś namiastkę czegokolwiek, co pozwoli jej się z tego wykaraskać. Zeskoczyła z parapetu i poszła do biurka. Zapaliła kolejną lampę gazową, po czym opadła na krzesło, wyciągając z szuflady zeszyt. Przekartkowała go, aż znalazła miejsce, w którym ostatnio skończyła pisać. Petr pożyczył od Krakavców osiemset tysięcy koron – po co zaciągnął taki dług, nie wiedziała. Chciał w coś chyba zainwestować, ale nie wyszło. Zora przewróciła oczami. Jakoś jej to nie dziwiło, w końcu jej brat nie ukończył nawet szkoły, bo *został przecież stworzony do wyższych celów*. Yhm. Zora tłumaczyła to na: *jestem zbyt głupi i niczego nie umiem*. A teraz ona musiała go spłacać, nie mówiąc już o horrendalnych odsetkach, które narastały z każdym dniem.

Przedmioty, które kradła dla Krakavców, miały różną wartość. Niektóre potrafiły kosztować kilkadziesiąt tysięcy, inne kilka milionów koron, ale tak naprawdę nie chodziło tu o cenę artefaktów, a o koszt zleceń. W zależności od poziomu trudności płacono jej od kilku do kilkudziesięciu tysięcy za jeden skok. Co z tego, że dziesięć procent z tego zabierała dla siebie, skoro spłacenie długu nawet po czterech latach jawiło jej się jako jakieś nieosiągalne marzenie? Tak nieosiągalne jak przejażdżka na jednorożcu.

Zawahała się. Podobno na kontynencie za morzem – na Svitani – można było spotkać te stworzenia, więc pewnie nie powinna tak łatwo rzucać słowami.

Jej szalony tok myśli przerwało pukanie do drzwi. Zora szybko schowała zeszyt.

– Proszę! – krzyknęła, obracając się w stronę przybysza.

Do pokoju weszła niska, młoda kobieta o krótkich, czarnych jak noc włosach. Zielone oczy błyszczały radością, a ich kolor pasował do sukienki, która spływała po jej wydatnym ciele, eksponując duży biust oraz podkreślając obfite biodra. Spod kołnierza wystawały skrawki czarnych tatuaży, tworzące kontrast z jej jasną skórą.

– Irma! – Zora autentycznie ucieszyła się na jej widok. – Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj. Nie miałaś wrócić dopiero za kilka dni?

– Miałam, ale pokłóciłam się z ciotką, więc postanowiłam skrócić wizytę – rzuciła kobieta, siadając na łóżku swojej przyjaciółki. Oparła się o jasnoniebieskie poduszki i zzuła pantofelki.

– O co wam poszło? Albo czekaj. Pójdę po herbatę, co?

Irma skinęła, więc Zora momentalnie wystrzeliła z pokoju. Zbiegła na pierwsze piętro, do kuchni, w której przygotowała napoje, a na talerzyku ułożyła kilka upieczonych przez ich kucharkę ciasteczek. Muškatovie nie byli może najzamożniejszą i najznakomitszą rodziną w Bydgošcy, ale dzięki zyskom z kawiarni radzili sobie bardzo dobrze.

Kiedy Zora powoli, z tacą w rękach, wracała na górę, jej myśli pomknęły ku Irmie. Poznała ją ponad dwa lata temu w bazie Krakavców. Początkowo myślała, że Irma ją za-

czepia, bo chce się z niej ponaśmiewać, ale szybko wyszło na jaw, że szukała bratniej duszy, która pomogłaby jej przetrwać pierwsze tygodnie w gangu. Zora nie była pewna, dlaczego przyjaciółka wstąpiła do Krakavców, bo nie za często o tym rozmawiały. Wolały skupić się na jaśniejszych stronach życia, a najczęściej spotykały się we trzy, z Daną, a ona przecież pozostawała niczego nieświadoma. Gdyby Zora miała dokładnie opisać, jak to się stało, że we trzy się zaprzyjaźniły, to tylko otworzyłaby usta, z których nie wydobyłby się żaden dźwięk. A potem wzruszyłaby ramionami.

Zora usiadła obok Irmy, porywając z talerzyka jedno ciasteczko, i uważnie słuchała jej relacji o wizycie u ciotki – coś o złośliwych komentarzach i niewdzięczności. Z całych sił starała się nie odpływać myślami i całkiem jej się udawało, choć przyjaciółka i tak spostrzegła, że coś ją gryzło. Gdy herbata została już wypita, a na spodeczku została ostatnia sztuka przekąski, Irma zapytała:

– Co cię trapi?

Zora skrzywiła się nieznacznie.

– To dotyczy Krakavców – uprzedziła.

Czarnowłosa skinęła głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Patrzyła na przyjaciółkę wyczekująco. Zora pomyślała, że w takich dużych oczach – do tego pełnych ciepła – można utonąć.

– Jestem... – szukała odpowiednich słów – ...jestem w impasie. – Przyciągnęła kolana pod brodę, oparła głowę na nogach. Jej głos stał się z tego powodu przytłumiony. – Nie wiem, co mam robić. To okropne, Irma.

– Czy możesz... zdradzić mi więcej szczegółów? – Pytała o to, jak bardzo tajna była sprawa, w którą Zora się wmieszała.

– Ukradłam coś. – Podniosła lekko głowę, przygryzając wargę. Nigdy nie powiedziała Irmie o swojej naturze zmysłownicy. W sumie wiedziała o tym tylko jej rodzina i niektórzy z Krakavców. – Ale ten, od kogo to ukradłam, przyłapał mnie. A potem wyszedł i teraz... grozi mi. Chce dostać tę rzecz z powrotem. – Wyprostowała się i rozłożyła ręce. – Chce, żebym zabrała ją od Krakavców i mu ją oddała. Nie wiem, co ja mam zrobić w tej sytuacji. Mam wrażenie, że stanęłam przed ścianą, której nie mogę ominąć, a za mną już zamknęło się przejście.

Na jej twarz wpłynął grymas, a z ust wydobył się dźwięk łudzaco podobny do udręczonego „ugh”. Irma natomiast zmarszczyła lekko brwi, o których Dana powiedziałaby, że przydałaby im się regulacja. Zapatrzona w przestrzeń, machinalnie sięgnęła po ciasteczko i z rozmysłem ugryzła kęs.

– Mówiłaś już Gustawowi?

Zora prychnęła.

– Oczywiście, że nie.
– Powinnaś to zrobić. Jak najszybciej – poradziła jej żarliwie przyjaciółka.
– Nie wiem, jakoś nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.
– Zora, znasz Krakavców dłużej niż ja. Z dwojga złego lepiej, żeby Gustav dowiedział się teraz, a nie później. I to jeszcze od kogoś innego.

Kobieta z niechęcią przyznała jej rację.

– Ale to nie rozwiązuje mojego problemu – stwierdziła.

– Może Gustav ci jakoś pomoże.

Zmysłownica posłała czarnowłosej niedowierzające spojrzenie.

– Gustav? Miałby komuś pomóc? – Potrząsnęła głową. – Prędzej urośnie mu druga głowa.

Irma westchnęła, powoli zjadając ciastko.

– Może... – Zastukała palcami o własne udo. – Może trzeba znaleźć jakiegoś haka na tego szantażystę. Wycofa się, jeśli będzie miał coś do stracenia.

Zora rozważyła tę myśl.

– To nie będzie łatwe – myślała na głos. – Ale spróbować nie zaszkodzi. – Uśmiechnęła się, a w kącikach jej oczu pojawiły się małe zmarszczki. – Irma, jesteś po prostu... niewiarygodna. Mam nadzieję, że to się uda.

– Ja też.

Uścisnęła przyjaciółkę za ramię i odwzajemniła jej uśmiech.

– Wracając do przyjemniejszych spraw, to kiedy macie z Daną wolny wieczór? Dawno nie byłam w teatrze i z chęcią bym się wybrała na jakieś przedstawienie.

– Przyjdź jutro z rana do Pohlednej Beruški, to się jakoś zgadamy.

Pożegnały się niedługo później, obie w znacznie lepszych nastrojach niż na początku dnia.

Zora wspięła się po schodach, stąpając po co drugim stopniu, i bez pukania weszła do bazy Krakavców, jak zwykle przepelnionej śmiechami i dymem z fajek. Zmarszczyła nos w zaduchu i od razu ruszyła na piętro, ale w gabinecie nikogo nie zastała. Przechodziła więc z pomieszczenia do pomieszczenia w poszukiwaniu Gustava. Kiedy nie mogła go nigdzie wypatrzyć, zatrzymała najbliższą osobę i o niego zapytała.

– Gustav pojechał dzisiaj na walki – wyjaśniła jej szczupła kobieta o rudych włosach upiętych w tak ciasnego koka, że naciągnęła mięśnie twarzy.

Zora krótko westchnęła i weszła do jednego z saloników, by zająć miejsce na jednym z obecnych tu foteli. Przycupnęła gdzieś na uboczu i czekała, lustrując otoczenie. Przy stoliku kilku Krakavców grało w karty, a likier lał się tu nieustannie litrami. Nieco dalej para kobiet była sobą tak zajęta, że nie zwracała na nikogo uwagi. Zora z rumieńcami na policzkach obserwowała dłonie błędzące pod bluzką, aż zmusiła się, by odwrócić wzrok. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegała ją skoczna muzyka, mieszająca się z krzykami i śmiechami.

W przejściu mignęły jej jasne włosy. Zmysłownica już miała rzucić się za nimi w po-goń, kiedy osobnik ten cofnął się i zajrzał do saloniku, a Zora zajęczała. Spotkała nie tego blondyna, co trzeba. Zacisnęła palce na podłokietnikach, wcisnęła się głębiej w opar-cie i modliła się do duchów o łaskę. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, aż odetchnęła na głos.

Ominęła ją konfrontacja z Boazem, za co była bardzo wdzięczna losowi. Krakavce zwykle ją ignorowali lub naśmiewali się z niej po cichu, ale nie Boaz. Boaz zaczepiał Zo-rę i ją prowokował. Robił to z tym większą satysfakcją, bo to on był jej pierwszym nauczycielem w gangu, czymś na kształt mentora uczącego ją podstaw boksu i walki szty-letem.

Przypomniało jej się, jak ostatnio z niej szydził, mówił, że jest popychadłem. Zora przewróciła tylko oczami i zamierzała przejść koło niego. Wówczas blondyn złapał ją za warkocz i pociągnął, a zmysłownica aż zasyczała. Wykręciła się z uścisku i kopnęła go w kolano, co mu się nie spodobało. Zamachnął się, ale był wtedy podpity, więc Zora z łatwością ominęła cios i sama mu przywaliła. Polała się krew, Boaz zatoczył się na ścianę, a zmysłownica uciekła. Obłożyła swoją zaczerwienioną dłoń lodem, a potem do-wiedziała się, że złamała swojemu przeciwnikowi nos. Napawało ją to zarówno zadowo-leniem, jak i przerażeniem. Boaz był wonnym, więc nos stanowił dla niego coś bardzo cennego; mógłby się mścić na kimś, kto mu to odebrał.

W każdym razie od tamtej pory postarała się, by zniknąć mu z oczu.

Siedziała tak, pogrążona w myślach, aż wypatrzył ją Emil i poczęstował kieliszkiem li-kiem. Przyjęła go, obejmując palcami nóżkę naczynia.

– Wyglądasz dziś wyjątkowo pochmurnie – zauważył blondyn, przyciągając w jej stro-nę jeden z obecnych w saloniku foteli.

– Jestem nie w humorze – wymamrotała, wgapiając się w bursztynowy płyn. W ustach miała posmak gruszek.

– To żeś mnie zaskoczyła!

Przewróciła oczami, usłyszawszy ten sarkazm. Zora była pewna, że Emil nauczył się tego od niej. Kiedy się poznali, był tak naiwny, że początkowo ciągle nabierała go swo-

imi ironicznymi komentarzami. Dopiero potem się zreflektował, zaczął podchodzić do niej podejrzliwie, a teraz nawet silił się na własne odzywki w tym tonie. Kobieta spędzała z blondynem sporo czasu. Tak jak Irmy w bazie gangu niemal nie widywała, bo obie działały w zupełnie innych rejonach, tak z Emilem spotykała się ciągle. Młody mężczyzna miał zaszczyt zostać jednym z asystentów Gustava. Lubił liczby i był dobry w zajmowaniu się nimi, co szef Krakavców wykorzystywał.

– Masz dzisiaj wolne? – spytała, sącząc likier.

– Nie. – Wzruszył ramionami, po czym poprawił okulary na nosie, jakby ze wstydem.

– Ale skoro Gustava nie ma...

– To myszy harczą – dokończyła Zora i uniosła kącik ust.

– Nie!

Uniosła brwi.

– Nie? To dlaczego nie zajmujesz się swoimi obowiązkami?

– Ja... – Jego policzki zaczęły się rumienić, co wprawilo zmysłownicę w całkiem dobry nastrój. – A właśnie, że się zajmuję! – Wskazał na nią palcem. – Ty też należysz do moich obowiązków.

Parsknęła śmiechem i nachyliła się w jego stronę.

– Wiesz, to zabrzmiało niemal dwuznacznie.

Emil natychmiast ściągnął brwi.

– Dziwne, że Gustav jeszcze nie urwał ci głowy i nie wyrzucił jej przez okno – zauważył z przekąsem.

Gdy tylko Zorze przypomniał się cel dzisiejszej wizyty, natychmiast spochmurniała.

– Wiesz, że Gustav woli karać swoich podwładnych na nieco inne sposoby – powiedziała od niechcienia.

Rysy twarzy mężczyzny od razu się wygładziły. Sam rzadko bywał łajany przez szefa, ale widział, jak Gustav odnosił się do innych członków gangu. Oraz do Zory. Zdarzyło mu się kilka razy opatrzyć jej rany, a raz musiał ją wynosić z budynku na własnych rękach, bo sama nie miała na to siły. Gdy tylko praca dla Krakavców stawała się dla niego zbyt wygodna, przypominał sobie tamtą chwilę. Lubił Zorę bardziej niż cały ten gang razem wzięty i z chęcią zrezygnowałby z tej roboty, tyle że umowa mu tego zabraniała.

Otworzył usta, ale wyczuwalna zmiana w powietrzu wyparła mu wszystkie myśli z głowy. Od razu wymienił z Zorą porozumiewawcze spojrzenia.

Gustav wrócił z walk. Zmysłownica poderwała się na nogi tak szybko, że Emil zdążył tylko mrugnąć, a jej już nie było. Z niewyraźną miną wpatrywał się w porzucony kieliszek z niedopitym do końca likierem.

Kobieta skierowała się w stronę biura przywódcy gangu. Wolała zagryźć zęby i mieć to spotkanie za sobą.

– Chcę się z nim zobaczyć – powiedziała hardo do mężczyzny, Efrema, który pilnował drzwi.

Zmierzył ją oceniającym wzrokiem i zawahał się, ale ostatecznie zapukał i zniknął w środku. Kiedy wyłonił się po chwili, otworzył dla niej szerzej drzwi, a ona z mieszaną ulgi i strachu weszła do gabinetu szefa Krakavców.

Gustav był wysoki i szeroki w barkach, a jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Musiał być ze dwa razy starszy od Zory. Wciąż jednak olśniewał urodą, która zresztą kiedyś zawróciła jej w głowie. Nie oceniała tego momentu swojego życia za dobrze – dopiero co została wprowadzona w świat gangu, czuła się zagubiona i przestraszona, a on to wykorzystał. Miała ochotę zapaść się pod ziemię, gdy przypominała sobie, jaka się czuła... dostrzeżona. W duchu pokręciła głową. Była głupia. Kiedy Gustav odstawił ją w kąt, przepłakała cały tydzień. Z chęcią wymazałaby te wspomnienia ze swojej pamięci.

– A! Czy to moja ulubiona hmatowa? – zadudnił, patrząc na kobietę spod uniesionych brwi.

Chwycił butelkę likieru, dwa kieliszki i rozlał do nich płyn. Usiadł za masywnym biurkiem i gestem nakazał Zorze zająć miejsce przed nim, na prostym krześle obitym czerwoną tkaniną.

– Z czym do mnie dziś przychodzisz? – dodał z figlarną nutą w głosie, jakby dzielili razem jakiś niebywale zabawny sekret.

Kobieta nie ruszyła kieliszka, który przysunął w jej stronę.

– Levi Draboń odkrył moją tożsamość. I wie, że pracuję dla was – rzuciła prosto z mostu, nie lubiąc bawić się w owijanie w bawełnę.

Gustav przybrał zamyśloną minę, powoli upijając łyk trunku. Masywne ramiona miał rozluźnione, ale w ciemnych oczach zawsze migotał pazerny, groźny błysk.

– Mówisz mi, że cię przyłapał? Jak to możliwe? – Czoło przecięła mu zmarszczka.

Choć jego głos pozostał złudnie spokojny, Zora spięła się i przygotowała na wybuch.

– Okazuje się, że jest wizualnym. Wypatrzył mnie, a potem odszukał. Chociaż mnie zastanawia – z uwagą nachyliła się w stronę szefa – dlaczego tamtego wieczora w ogóle wrócił do rezydencji.

– Jeśli sugerujesz, że cię wystawiliśmy, *má drahá*, powinnaś lepiej to przemyśleć. – Odwzajemnił jej spojrzenie znad kieliszka z likierem. – Chcę odzyskać swoje pieniądze, a ponadto chcę ciebie i twoich umiejętności. Skoro Draboń jest wizualnym, z pewnością cię wypatrzył zawczasu i dlatego wrócił. Albo był to czysty przypadek.

Zora lekko wyduła usta, opadając na oparcie krzesła.

– Przyszedł do mojej kawiarni i mi groził – oznajmiła.

Przełknęła ślinę, przypominając sobie, jak na nią *patrzył*. Jakim tonem się do niej zwracał. Jak z nią flirtował. Ale tego akurat Gustav nie musiał wiedzieć.

– Słuchaj, Zora. Jak mówiłem, jesteś cennym nabytkiem, ale to, że Draboń odkrył twoją tożsamość, to twój problem. I lepiej, żeby twoim problemem pozostał, bo jeśli to się odbije na Krakavcach, nie tylko Levim będziesz musiała się przejmować. Rozumiesz, Zora? – spytał powoli, jakby sądził, że była niespełna rozumu.

Chciał ją zirytować, ale nie dawała po sobie poznać, że to działało. Z udawanym niewzruszeniem słuchała, jak to wielki Gustav nie pomoże jej z konsekwencjami zlecenia, które sam na nią nałożył. Miała ochotę wycić, gdy docierało do niej, że największym prowdyrem tego galimatiasu była piętnastocentymetrowa rzeźba. I jej brat. Nigdy nie zapominała, kto prawdziwie zawinił w tej sytuacji.

– Rozwiąż to. I trzymaj Draboña z dala od gangu.

Milczała. Chciałaby powiedzieć, że się rozczarowała albo zaskoczyła, ale Gustav czasem potrafił być taki przewidywalny.

– Zrozumiałaś?

Z kieszeni kamizelki wyjął składany nóż i niby mimochodem ułożył go na blacie biurka. Jej puls podskoczył.

– Zrozumiałam – wycedziła.

– Dobrze. Wspaniale. – Jego twarz rozświetlił uśmiech, który wywołał wewnętrzny grymas u kobiety. – A skoro już tu jesteś, *má drahá*, mam dla ciebie kolejne zadanie.

Otworzył szufladę biurka i chwilę w niej poszperał, po czym wyjął z niej sporej wielkości teczkę, którą jej podał. Zora przeczesła palcami włosy, starając się ukryć zdenerwowanie, i skupiła się na szczegółach swojej następnej misji.

– Raczej standardowa robota – wyjaśnił, gdy kobieta przeglądała wytyczne. – Złoty Dom Aukcyjny urządza następną licytację, a ja bardzo chciałbym mieć jeden z przedmiotów, które wystawili. To obecnie ich najcenniejszy nabytek: figurka zamorskiego bożka, prawdopodobnie o magicznych cechach. W teczce znajduje się jej domniemany szkic.

– Domniemany? – wymamrotała.

– To zagraniczny zabytek. Niełatwo zdobyć o nim jakiegokolwiek informacje.

Zora mruknęła, zaznajamiając się z resztą dokumentów.

– Mam wejść jawnie? Nie lubię tego.

– Wiem, *má drahá*, ale tak będzie łatwiej. Za to uciekać będziesz po kryjomu.

Dziękuję za tę łaskę, pomyślała zgryźliwie.

– To wszystko z mojej strony – oznajmił Gustav, powoli tracąc nią zainteresowanie. – Emil pomoże ci z resztą.

Zora kiwnęła głową. Zabrała teczkę i bez słowa pożegnania opuściła gabinet.

5

Bydgość została przykryta warstwą gęstej mgły. W wąskich przejściach między kamieniami powiewało zapomniane pranie, a gdzieś w oddali zawodząco ujadał pies. Echem poniosło się rżenie koni oraz niepokojące krakanie. Latarnie, wystrzelające z bruku jak milczący obrońcy miasta, powoli rozpraszały zapadający mrok. Gdy zamaskowana postać z gracją przemykała ulicami, czarne ptaki siedzące na gzymsach z zaciekawieniem przechylały głowę i łypały na nią okiem. Na twarz nieznanego padał cień, a długi płaszcz opadał mu aż do kostek i lekko łopotał na wietrze.

Przenikał przez ściany, jakby te nie istniały, i pozostawał poza czymkolwiek postrzeganiem, jakby sam nie istniał. Istota zrodzona z popiołu, z cienia i z krwi otworzyła oczy, pałając żądzą zemsty i chorobliwą ambicją. Musiała być najlepsza.

Będzie najlepsza z nich wszystkich.

Przeszła przez zabezpieczone łańcuchem żelazne drzwi, znalazła się w magazynie na obrzeżach miasta. Umknęła wartownikom. Nie zostawiła za sobą żadnych śladów.

Prawie żadnych.

Kiedy Medard Pinkav udał się następnego dnia na swoje włości, początkowo jego dusza pełna była spokoju. Porozmawiał ze strażnikami paplającymi o wyjątkowo cichej i harmonijnej nocy. Nikt nie przechodził ulicą. Nawet kruki musiały iść wcześniej spać. Pinkav z zadowoleniem wyjął z kieszeni marynarki pęk brzęczących kluczy i zaczął po kolei otwierać wszystkie zamki. Pałał do ukrytych wewnątrz skarbów nieodwzajemnioną, ale silną miłością. Gromadził je latami i dokładnie wszystkie opisywał w swoich notesach – wygląd, rozmiary, datę i miejsce pochodzenia, poprzednich właścicieli i sposób zdobycia. Porządkował, czyścił, przekładał, układał, sprawdzał. Pinkav dbał o swoją kolekcję lepiej niż o własną rodzinę.

Gdy wreszcie pchnął masywne drzwi, spodziewał się zobaczyć regały uginające się od zdobyczy. Zamiast tego światło padło na dojmująco puste półki. Pinkav zamrugał. Zakręciło mu się w głowie, wyciągnął więc rękę, by przytrzymać się futryny. Nie trafił i upadł zemdłony na ziemię.

Wezwani na miejsce strażnicy miejscy z wydziału do spraw kradzieży i włamań kręcili się po magazynie, szukając poszlak. Jakichkolwiek. Ale jedyne, na co natrafili, to krzywo wyrwana z notesu kartka, na której schludnymi literami ktoś zapisał czarnym tuszem:

W tym mieście jest miejsce tylko dla jednego kolekcjonera.

Nadszedł mój czas.

Dusa

6

Spowity mgłą Złoty Dom Aukcyjny (w skrócie: ZDA) znajdował się w Ciemnej Dzielnicy, położonej po zachodniej stronie miasta. Całą Bydgość otaczały lasy, ale w tym miejscu drzewa wydawały się wyjątkowo gęste. Rosły wokół posiadłości, rzucając na nią cień, a liście mieniły się zielenią i żółcią. Budynek mieścił się na lekkim wzgórzu, więc by się do niego dostać, najpierw należało pokonać schody. Całość otoczona była wysokim murem, strzeżona przez niezliczonych strażników i kilka biesów. Zora powoli pokonywała stopnie, z obrzydzeniem wpatrując się w czarną sierść wielkich bestii, ich długie ogony i zakrzywione rogi. Nieczęsto miała okazję widzieć te stwory, jako że nieczęsto dawały się złapać, a jeszcze rzadziej oswoić i wymusić na nich posłuszeństwo. Zanim weszła do mrocznego domu aukcyjnego, naliczyła trzy biesy; wiedziała jednak, że co najmniej jeden z nich będzie przedmiotem aukcji.

Dzisiaj miała na sobie ciemną suknię z lekkim trenem, jasnym pasem podkreślającym jej talię i spódnicą z białym haftem u dołu. Włosy spięła na czubku głowy, a w rękę trzymała torebkę. Jej wygląd był w całości zasługą Emila – mężczyzna posiadał wiele talentów, nie tylko tych dotyczących liczb. Znał się także na sztuce, modzie i makijażu, a jego umiejętności ułatwiały Zorze życie. Sama nie potrafiłaby uczesać się i pomalować tak dobrze, jak robił to Emil. Teraz z całym powodzeniem mogła udawać zamożną kobietę, która przybyła do Złotego Domu Aukcyjnego, by spełnić swoje ekscentryczne zachcianki.

Po zdjęciu płaszcza podała bilecik mężczyźnie w muszce, który sprawdzał wszystkich ludzi, zanim pozwolił im przejść. Po tym skierowała się do odpowiedniej sali.

Kroczyła korytarzem pełnym obrazów i luster w złotych ramach, a wykładzina tłumiała jej kroki. Z dostojną gracją kiwała głową innym gościom, aż przeszła przez łukowato zwieńczone drzwi i zajęła jedno z eleganckich krzeseł obitych – a jakże – złotą tkaniną. Zora usadowiła się wygodniej i poprawiła materiał sukni wokół nóg, z grymasem na twarzy myśląc o tym, jak bardzo niewygodnie będzie jej uciekać z ciągnącym się za nią trenem.

Sprawdziła godzinę na zegarku, który wyjęła ze swojej torebki. Do rozpoczęcia aukcji zostało dziesięć minut. Westchnęła w duchu. Nienawidziła czekania ani stania na widoku. Wolałaby działać z ukrycia.

Zora starała się nie zdradzać po sobie zdenerwowania, a dla uspokojenia krok po kroku powtarzała w myślach cały plan. Po zakończonej aukcji będzie musiała bezszelestnie i błyskawicznie zakraść się na zaplecze, by zabrać artefakt, za który Gustav nie chciał

uczciwie płacić, i żałowała, że będzie musiała to zrobić w tej przeklętej sukni. Tęskniła za spodniami.

Goście powoli schodzili się do sali i siadali na krzesłach. Kobieta zapatrzyła się na lekki podest na końcu pomieszczenia i postument, na którym pojawią się licytowane przedmioty. Tym, na co wszyscy się dzisiaj rzucają, będzie bies oraz starożytny posążek bóstwa, który przedstawiał zamorskiego boga ognia, światła i dobrodziejstwa domowego. Nieczęsto się zdarzało, by na ich kontynentalny rynek w Šero trafiał taki artefakt, więc każdy chciał go przyciągnąć dla siebie.

Po jej plecach przeszedł dreszcz, gdy niemal wyczuła, że *ktos* na nią patrzył. Przeszukała wzrokiem tłum, aż natrafiła na bladoniebieskie, przeszywające oczy.

Zaparło jej dech w piersi. Levi Draboń wpatrywał się w nią przenikliwie i odwrócił się od niej dopiero wtedy, gdy kobieta na przodzie ogłosiła początek aukcji.

Zora co rusz wracała spojrzeniem do Leviego, ale on wydawał się pochłonięty licytacjami. Na postumencie wystawiano coraz to nowe przedmioty: złotą biżuterię, obraz sprzed wieku, zbroję rycerza chodzącego po świecie kilkaset lat temu. Uczestnicy przebijali ceny, ale nikt się nie przekrzykiwał. Panowała spokojna atmosfera, podsycana monotonnym głosem prowadzącej. Zora kupiła jeden obraz, żeby nie wzbudzić podejrzeń – był to pejzaż pędzla jednej z ulubionych artystek Emila, Ivony Lelkovej. Siedząc jak na szpilkach, obserwowała licytujących i przedmioty, które schodziły szybciej niż świeże bułeczki. Z szeroko otwartymi oczami została świadkiem tego, jak rzeźbę bożka sprzedano mężczyźnie z futrem lisa na szyi za dwa miliony koron. To więcej niż obstawiał Gustav, więc gdy posążek trafi już w jego ręce, będzie uradowany. A to z kolei oznaczało pochwałę dla Zory i odrobinę spokoju ducha.

Gdy aukcja wreszcie dobiegła końca, umysł Zory szybko przeszedł w stan najwyższego skupienia. Jako jedna z pierwszych osób wstała z miejsca. Spytała młodego chłopaka stojącego przy przekąskach, w którą stronę powinna pójść, by trafić do toalety, po czym ruszyła korytarzem, zostawiając za sobą kulturalny gwar. Nie obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy ktoś ją obserwował, nie szukała też więcej Leviego. Mimo że licytował posążek, ostatecznie spasował i nie przebił oferty swojego konkurenta. Musiał być rozczarowany takim przebiegiem licytacji.

Zamiast skręcić w lewo, zniknęła na korytarzu po prawej. Dosłownie zniknęła. Z rosnącym poziomem adrenaliny krążącej w jej ciele zaczęła skradać się w stronę zaplecza, dobrze strzeżonego pomieszczenia, w którym do rana będą przechowywane kosztowności.

Nagle ktoś złapał ją za dłoń i pociągnął w bok. Z krzykiem w gardle uzmysłowiła sobie, że ktoś szarpnął ją od strony ściany, a ona powinna zderzyć się z twardą, nieprzy-

jemną powierzchnią. Zacisnęła powieki, zaskoczona i przestraszona, ale uderzenie nie nadeszło. Uścisk zniknął z jej nadgarstka, więc zaryzykowała i otworzyła oczy. Jej brwi powędrowały wysoko, gdy przed sobą ujrzała zadowolonego z siebie Leviego w dobrze skrojonej luźnej marynarce i spodniach opinających jego umięśnione nogi.

Obejrzała się za siebie, prosto na ścianę.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Nie wierzę... Jesteś kombinowym – wyszeptwała.

Kombinowi byli tak rzadką odmianą zmysłowników, że niektórzy w ogóle nie wierzyli w ich istnienie. Nie można ich przypisać do jednej kategorii, wymykali się podziałom, a ich umiejętności mieszały się ze sobą.

– Ale nie masz niebieskich włosów – dodała z namysłem, przypominając sobie, że kombinowi powinni mieć niebieskie włosy, żeby wszyscy z daleka widzieli, z jakim oryginalnym i potężnym rodzajem zmysłownika mieli do czynienia.

Levi wzruszył ramionami, a oczy mu błyszczały.

– Matka nauczyła mnie maskować ich kolor.

– Czyli to prawda. – Zora wydawała się oszołomiona z tylu powodów. – Jesteś kombinowym. Wizualnym i... hmatowym pewnie.

– Bystra dziewczyna. – Uśmiechnął się psotnie, wyciągając dłoń i zakładając jej pasmo włosów za ucho.

Otrząsnęła się i cofnęła o krok.

– Co ty robisz? I co... Dlaczego mnie tu wciągnąłeś? – wycedziła.

– A, tak. – Zakołysał się na piętach, znowu przyglądając się jej uważnie. Przez jej kręgosłup przeszedł dreszcz, a w ustach jej zaschło. Jeśli on znowu... *Skup się*. – Chciałem się upewnić, że nie dotrzesz do rzeźby przede mną. Już i tak masz ze mną na pieńku, więc lepiej odpuść.

– Że nie dotrę... – Urwała, nagle uśmiechając się półgębkiem. – A więc też chcesz ją ukraść.

– Cóż, życzylibym ci powodzenia, ale lepiej dla ciebie, jeśli ci się nie powiedzie – rzekł, nachylił się w jej stronę i cmoknął ją w usta.

Powietrze ugrzęzło jej w płucach. Kontakt był krótki i przelotny jak muśnięcie skrzydeł motyla. Levi odsunął się od niej, mrugnął i bez zawahania przeszedł przez ścianę. Ona tymczasem potrzebowała trzech sekund, żeby dojść do siebie. Jej skóra zamrowiała, gdy dziewczyna ponownie stała się niewidzialna. Ze zgrozą zdała sobie sprawę z tego, że przeoczyła moment, w którym przestała używać mocy!

Nie traciła więcej czasu i pobiegła. Mimo pośpiechu nie wydawała przy tym żadnego dźwięku. Nauczyła się planu Złotego Domu Aukcyjnego na pamięć, więc dotarcie do

zaplecza nie nastreczyło jej zbyt wielu trudności. Minęła niczego nieświadomego strażnika, bezszelestnie otworzyła drzwi i przez małą szparę wślizgnęła się do środka. A potem rzuciła się w stronę posążka, przy którym już stał Levi.

– Ani się waż – syknęła, odpychając go.

Złapał ją za biodra i odciągnął od rzeźby – brzydkiego, geometrycznego klocka z zarysem rąk, nóg i tułowia oraz dwoma błyszczącymi rubinami w miejscu oczu. Posążek umieszczono na specjalnej poduszeczce i przykryto szklanym kloszem. Zora machinalnie położyła swoje dłonie na rękach Leviego i szykowała się do wbicia mu łokcia w gardło, ale oboje zamarli, gdy usłyszeli warczenie.

Kobieta z szaleńczo bijącym sercem zerknęła w lewo. Natychmiast ogarnęło ją takie przerażenie, że ledwie zdołała oddychać.

– Czy oni zwariowali? – wyszeptał Levi gdzieś za nią, wciąż z dłońmi na jej ciele. – Trzymają biesa w budynku... W pomieszczeniu razem z tymi cennymi przedmiotami?

Oszaleli, Zora się z nim zgadzała. Potwór stojący w kącie był... straszny. Miał czarne, wyjątkowo inteligentne oczy, cztery łapy z pazurami i rogi, które wyglądały, jakby mogły rozplatać ją na pół. Największą panikę wywoływały jego zęby i to, co w nich trzymał.

Żelazny łańcuch, którym przywiązano go do ściany.

Bies jakby usłyszał jej myśl, bo warknął, poruszył szczęką, a wtedy metal pękł. Stwór rozciągnął grzbiet i poruszył głową, po czym znowu na nich spojrzął, tym razem z nową dozą ciekawości. Zorę sparaliżowało tak bardzo, że nie była w stanie się ruszyć. Levi jednak chwycił ją za dłoń i pociągnął, aż oboje przeniknęli przez ścianę. Żeby nie znajdować się na widoku na środku korytarza, mężczyzna wciągnął ich do najbliższego pomieszczenia, które okazało się małym, przytulnym i szczęśliwie pustym salonikiem.

– To się zdziwią, gdy przyjdą po te wszystkie obrazy i rzeźby – wyszeptała, próbując się uspokoić.

Levi parsknął śmiechem.

– Może wtedy się nauczą, że biesy trzyma się w klatkach. – Pokręcił głową, pozbywając się oszołomienia. – Nie rozumiem, jak do tego doszło. Złoty Dom Aukcyjny nie robi przecież tego po raz pierwszy.

– Może zatrudnili kogoś nowego. – Zora wzruszyła ramionami. – Więc żadne z nas nie zdobędzie rzeźby – podjęła po chwili, przyglądając się Leviemu z małym uśmiechem. – Chyba że tam wrócisz.

– Pewnie byś tego chciała, co? – spytał z błyskiem w bladoniebieskich oczach.

Jego spojrzenie powoli prześlizgnęło się po jej ciele. Zamruczał niemal jak zadowolony kot po serii pieszczot i ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

– Masz dzisiaj na sobie bardzo ładną bieliznę – powiedział z uznaniem.

– Powiedziałaś ci, żebyś nie... Nie podglądaj mnie! – Założyła ręce na piersi, gromiąc go spojrzeniem. – I nie całuj mnie więcej.

– Kiedy cię pocałowałem? – zapytał przekornie, lekko przechylając głowę na bok. Ewidentnie się z nią droczył i jeszcze bezwstydnie czerpał z tego satysfakcję.

– Wtedy... – Uniosła dłoń, wskazując w bliżej nieokreślonym kierunku. – Zanim mnie zostawiłeś i pobiegłeś po artefakt.

– To? – Uniósł brwi. – Nie nazwałbym tego pocałunkiem.

– Nieważne. – Zirytowała się. – Nie rób tego więcej. Nie dotykaj mnie. I nawet na mnie nie patrz!

Usta mężczyzny zadrżały, jakby powstrzymywał uśmiech.

– Łał... Jesteś wymagająca, co? Jestem zdziwiony, że nie chcesz tego spisać i kazać mi podpisać własną krewią.

Zora spiorunowała go wzrokiem.

– O co ci właściwie chodzi? – wycodziła. – Czego ty ode mnie chcesz?

Levi spoważniał. Zniknęły zmarszczki przy oczach, a usta zacisnęły się w kreskę. Tylko w oczach pozostał dziwny błysk, który wywołał w niej niepokój.

– Chcę Figurkę Założycieli z powrotem. Przy okazji mam ochotę trochę cię podręczyć, bo myślę, że zasłużyłaś. Wkradłaś się do mojej rezydencji, Zoro Muškatoва, a ja tego nie zapomnę. Nigdy.

Zora przełknęła ślinę. Zadrżała od upartej bezwzględności w jego głosie, ale z całych sił starała się udawać niewzruszony spokój. Wyprostowała się, nakładając na twarz swoją najlepszą obojętną maskę.

– A zatem mamy jasność – stwierdziła chłodno, powoli wycofując się z saloniku.

Levi stał w miejscu, roztaczając wokół siebie dominującą aurę, którą Zora dostrzegła u niego już wcześniej. Zaciskał szczękę, a jego wzrok prześwietlał ją na wylot. Zmysłownica nienawidziła tego, ale jeszcze bardziej nienawidziła sytuacji, w jakiej Levi Draboń ją postawił. Gdyby tylko mogła, najchętniej ukradłaby całą jego kolekcję i patrzyłaby, jak ten drań się wścieka i próbuje ją namierzyć. Tym razem nie poszłoby mu tak łatwo.

– Zora?

Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi, trzymając złość na wodzy.

Levi uśmiechnął się nieszczercze.

– Za tydzień przyjdę do Pohlednej Beruški odzyskać to, co moje. I lepiej dla ciebie, że bym się nie rozczarował.

Wymknęła się ze Złotego Domu Aukcyjnego, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Wejście do biura szefa Krakavców po nieudanej misji było jedną z trudniejszych rzeczy, jakie Zora robiła w życiu. Starła się nie drżeć i obsesyjnie nie myśleć o tych poprzednich razach, gdy przyszła zawiadomić Gustava o zawalonym zadaniu. Nigdy jej nie odpuścił. Nigdy się nie litował. To dlatego teraz tak bardzo się bała i jego, i tego, co miało nadejść.

Zaciskające się na podłokietnikach palce pobieły. Zmysłownica zdawała raport wyprutym z emocji głosem, cały czas utrzymując kontakt wzrokowy z siedzącym za biurkiem mężczyzną. Mówiła o biesie zrywającym się z łańcucha, a o Levim wspomniała tylko mimochodem, żeby nie denerwować szefa bardziej niż to konieczne.

– Wycofałam się więc z domu aukcyjnego i wróciłam do bazy – zakończyła.

Miała wrażenie, że właśnie ukończyła bardzo długi i wyczerpujący wyścig. Jako przegrana.

Gustav siedział spokojnie. Wpatrywał się w Zorę bardzo długo, jakby szukając w jej postawie uśpionej arogancji albo kłamstwa.

– Czyli mówisz mi – wycedził głosem tak nieprzyjemnym, że kobieta mimowolnie się skrzywiła – że nie ukończyłaś zadania, które ci powierzyłem?

Niech wszystkie duchy tego świata mają ją w opiece... Zora nerwowo przełknęła ślinę. Tak bardzo nie chciała wymawiać tego jednego słowa, które zapoczątkuje całą następną serię wydarzeń. Ale jaki miała wybór? Jeśli się sprzeciwi, Krakavce zabiją jej rodziców i odbiorą kawiarnię. Wzięła głęboki oddech.

– Tak.

Gustav bardzo powoli wstał z miejsca. Wyciągnął rękę, a Zora automatycznie się odchyliła, unikając dotyku. Okazało się, że mężczyzna wskazywał tylko na drzwi.

– Zejdź mi z oczu.

Zmysłownica zerwała się na nogi, mając ochotę uciec, schować się w najgłębszej, najczarniejszej dziurze położonej w jak najbardziej odosobnionym miejscu, w którym...

– Zora?

Och nie. Zamarła z dłonią na klamce, a żołądek opadł jej do stóp. Nienawidziła Gustava. W tej chwili naprawdę pałała do niego taką antypatią, że z chęcią by go zamordowała. Ale zanim do tego dojdzie, musiała się odwrócić.

Upadła, gdy uderzył ją w twarz. Z głuchym jękiem przyjęła dwa kopnięcia w brzuch. Mężczyzna prychnął i zaszydził, mówiąc, jakim to Zora okazała się rozczarowaniem. Wstała chwiejnie, przytrzymując się biurka. Otarła krew z ust i pomyślała, że nie było tak źle. Kiedyś, gdy Gustav miał akurat gorszy dzień, została wychłostana. Wciąż nosiła na plecach blade ślady po bacie.

Opuściła gabinet Gustava, oddychając z trudem. Nie sądziła, by złamał jej żebra, ale na pewno zostawił jej siniaki – na brzuchu i pod okiem.

– Zora.

Kątem oka dostrzegła Emila, który patrzył na nią z troską. Nie zaprotestowała, gdy ujął ją za łokieć i sprowadził na niższe piętro. Lawirowali wśród dymu z fajek i przebywających tu Krakavców, aż zatrzymali się w zadziwiająco jasnej kuchni. Nie zważając na kucharkę i jej asystentów, blondyn posadził Zorę na wolnym krześle, a sam wymienił słowo z pracującą tu kobietą. Wkrótce potem trzymał woreczek z lodem, który delikatnie przyłożył do pulsującego miejsca na twarzy zmysłownicy. Z jej ust uciekł syk. Przytrzymała pakunek przy oku, a Emil usiadł obok niej. Widziała, jak w jego oczach zmartwienie mieszało się ze złością. Oboje najchętniej rzuciliby gang w diabli, ale nie mogli sobie na to pozwolić.

Utknęli razem w piekle, a droga na zewnątrz nie była dla nich dostępna.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Wiem. Dziękuję. – Zora przez chwilę zbierała myśli. – Spotkałam Draboña na aukcji.

Emil drgnął.

– Co on tam robił?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– W końcu to kolekcjoner artefaktów, a to była aukcja.

Pozwolili, by brzęk naczyń i zapach przypraw na moment zawładnęły ich zmysłami. Zora zmieniła ułożenie woreczka przy twarzy.

– On mi grozi, Emilu. Chce Figurkę Założycieli z powrotem.

Mężczyzna zamarł, a jego oczy się rozszerzyły.

– Czy ty...

– Nie jestem głupia – zachnęła się. – Nie będę kradła od Krakavców. Od razu będą wiedzieć, że to ja, zwłaszcza że rozmawiałam już z Gustavem na ten temat. Potrzebuję informacji. Najgorszego rodzaju, takich, które dadzą mi przewagę. – Spojrzała na blondyna z uwagą. – Pomożesz mi?

Emil się zawahał. Poprawił ułożenie okularów na nosie, po czym uciekł spojrzeniem w bok.

– To będzie naruszenie protokołu – oznajmił, łapiąc wzrok Zory. – Ale zrobię, co w mojej mocy.

Zmysłownica odetchnęła z ulgą i pokusiła się nawet o mały uśmiech, który blondyn natychmiast odwzajemnił.

7

Gdy Levi wrócił po aukcji do domu, w gabinecie czekała na niego wiadomość. Pospiesznie odprawił Gabriela, który zaproponował mu kąpiel, i zamknął się w swoim biurze. Ściągnął marynarkę z ramion, rzucił ją na oparcie krzesła, po czym zapalił kilka lamp gazowych. Czując pulsowanie w skroniach, usiadł przy biurku i chwycił kopertę w dłoń, obejrzał ją z dwóch stron, ale nie znalazł na niej nazwiska adresata. Nożykiem do listów przeciął papier i wyjął ze środka wiadomość. Wstrzymał oddech, czytając to, co informator miał mu do przekazania. Kilka razy musiał wracać się do początku zdania, bo za szybko przemykał wzrokiem po literach i umykał mu sens całości.

Wreszcie odłożył list na blat i odchylił się do tyłu. Wplątał dłonie we włosy, a oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Żałował, że nie było przy nim Niny, dawnej przyjaciółki, jedynej, jaką miał w całym życiu. W takich chwilach zwracał się do niej z prośbą o rozmowę albo o radę. Czasem ćwiczyli razem szermierkę albo jeździli konno wokół miasta, pozwalając, by wiatr potargał im włosy.

Ale Nina nie chciała go widzieć.

A on zdobył nowy trop w sprawie śledztwa śmierci swojej matki.

Zbłąkany promień księżyca wpadł przez okno prosto na zakopaną w pościelach twarz Leviego. Mężczyzna leżał, mrużąc delikatnie oczy, i spoglądał na pogrążony w ciemnościach sufit.

Westchnął.

Tej nocy sen nie chciał przyjąć go w swe objęcia.

Cały czas rozmyślał o najnowszych wieściach i o rozmowie odbytej z Zorą, analizował każde wypowiedziane słowo. Czy mógł zrobić coś inaczej? Skrzywił się nieznacznie na wspomnienie wyrazu jej twarzy. Potraktował ją za ostro? Przewrócił się na drugi bok, odcinając się od księżycowego światła. Na pewno nie. Zasłużyła sobie na to. Nie musiała się do niego wkładać – wiedział, że o takie zlecenia członkowie gangu najczęściej się bili. Zora na pewno chciała podjąć wyzwanie. Wszyscy Krakavce tacy są – chytry, zuchwali i często głupi, bezmyślnie wykonujący rozkazy Gustava.

Ale teraz przynależność tej kobiety do gangu otwierała przed nim możliwości, które nie dawały mu spać. Możliwości, z których żał było nie skorzystać.

Rankiem Levi ledwie potrafił otworzyć oczy. Przy śniadaniu w swojej wielkiej, zimnej jadalni był tak zaspany, że rozlał herbatę. František z troską wymalowaną na twarzy obserwowował swojego podopiecznego. Nie traktował go jak pracodawcę, a bardziej jak wnuka, którego nie było dane mu mieć.

Staruszek przysiadł się do niego przy prostokątnym stole, elegancki i sztywno wyprostowany.

– Młodzieńcze – zaczął.

– Hmm?

František uśmiechnął się, słysząc mamrotanie i widząc klejące się oczy Leviego. Nawet ciemnobrązowe włosy chłopaka sterczały dziś na wszystkie strony. Lokaj uważnie zapatrzył się na czubek opadającej głowy, a uśmiech zamarł mu na ustach.

– Levi.

Nie zareagował.

– Levi! – Staruszek lekko podniósł głos i szturchnął mężczyznę w ramię.

– No co?

– Kiedy ostatnio farbowałeś włosy?

– Hmm, czy ja wiem?

– Levi, skup się. Masz odrosty.

Zmysłownik natychmiast oprzytomniał albo – żeby oddać sprawiedliwość – przynajmniej się starał. Zamrugał gwałtownie i przetarł dłonią twarz.

– Każ Gabrielowi przygotować farbę – nakazał. – Dobrze, że nie mam na dzisiaj żadnych konkretnych planów. Ale i tak należy to załatwić jak najszybciej.

František wstał.

– Jak mogłeś to przeoczyć? – spytał z lekką naganą w głosie.

Levi jęknął.

– To przez tę kobietę.

Lokaj uniósł siwą brew.

– Kobietę? – powtórzył z przekąsem, oddalając się w stronę wyjścia. – Przy dzisiejszym farbowaniu czeka cię przesłuchanie, młodzieńcze.

Jęk zmysłownika przybrał na sile.

– Nie to miałem na myśli!

Z gardła staruszka uciekł chrapliwy śmiech.

Niezadowolony Levi dokończył śniadanie, a gdy Gabriel zawiadomił go, że skończył przygotowania, mężczyzna wstał od stołu. Skierował się do małej łazienki, z której zwykle korzystała wyłącznie służba. W kącie stał natrysk osłonięty szybą, a nad małym zlewem wisiało okrągłe lustro.

Levi usiadł na krześle, a František ułożył mu na ramionach stary, wypłowiały ręcznik. Lokaj nucił pod nosem jakąś nieznaną mu melodię, a na pomarszczone dłonie wsunął rękawiczki. Zdjął z szafki miseczkę z przygotowaną farbą i pędzelkiem zaczął nakładać miksturę na jedwabiste włosy Leviego. Najwięcej uwagi poświęcał niebieskim odrostom, ale uważnie przeglądał też kosmyki na całej długości w celu wyłapania wszelkich nieprawidłowości.

– To dlatego nie mogłeś spać? Przez kobietę? – spytał po chwili.

Levi westchnął cierpiennie.

– Chodzi o tę złodziejkę. Postawiłem jej pewne ultimatum.

– Ale?

– Nie ma żadnego „ale”. – Do głosu zmysłownika wkradło się zirytowanie. – Postawiłem jej ultimatum. Koniec.

– A jednak nie mogłeś z jej powodu zmrużyć oka.

Levi miał nieodparte wrażenie, że starego Františka ta rozmowa bawiła aż za bardzo.

– Zastanawiam się – wyznał ostrożnie.

– Nad?

– Nad śmiercią mojej matki.

Lokaj zamarł z pędzelkiem uniesionym w powietrzu i złapał spojrzenie Leviego w odbiciu lustrzanym.

– Znowu do tego wracasz? – spytał powoli, nie chcąc rozdrażnić pana tych włosów.

Wkraczał na bardzo niebezpieczne terytorium pod tytułem „matka”, a tu każde słowo mogło uruchomić bombę.

– Nie znowu – warknął. – Nigdy nie porzuciłem tematu.

– Andrea zginęła w honorowym pojedynku – stwierdził František najłagodniej, jak umiał. – Wyzwała jednego z kolekcjonerów, podważyła jego honor. I zginęła. Wiesz o tym tak samo jak ja.

Levi zacisnął dłonie w pięści.

– To dlaczego mi nie powiesz, co to za kolekcjoner?

Lokaj pokręcił głową.

– Bo nie wiem tego. Andrea mi tego nie zdradziła. Chyba nie posądzasz mnie o kłamstwo?

Zmysłownik z uwagą wpatrywał się w swojego służącego, który dokończył nakładanie farby, po czym odstawił miseczkę na bok i zdjął lekko zabrudzone rękawiczki.

– Nie. Nie posądzam – powiedział wreszcie. – Ale nie chce mi się dyskutować o tym samym po raz setny. Nie wiemy, z kim walczyła moja matka. Ja dowiedziałem się o wszystkim po fakcie, a tobie nie powierzyła całej prawdy. Wiesz, że widziałem ciało.

Moją matkę postrzelono w pierś i w głowę. To nie był przypadek, a już na pewno nie honorowy pojedynek. Nie mówiąc już o tym, że moja matka była wizualną. Dobrze wiesz, że nigdy, przenigdy nie pudłowała. Ktoś ją zamordował, Františku. Zamordował z zimną krwią.

– I jaki to ma związek ze złodziejką?

Levi się odwrócił, usiadł okrakiem na krześle i dłonie położył na oparciu.

– Rozpocząłem śledztwo jakiś czas temu – wyznał. – Przesłuchałem naszych stajennych i stangreta, ale matka wzięła tylko konia i o świcie wyruszyła samotnie. Strażnicy miejscy szybko zamknęli sprawę z racji braku dowodów, a jak im powiedziałeś, że to na pewno był honorowy pojedynek, to już w ogóle stracili tym zainteresowanie. – Levi wciąż miał o to żal do lokaja. – Udało mi się jednak zdobyć nabój, który medycy wyciągnęli z ciała mojej matki, a moi informatorzy mieli ustalić, z jakiej pochodzi broni. Wczoraj dostałem od nich wiadomość. – Wziął głęboki oddech. – To Krakavce wyprodukowali ten nabój i broń, z której strzelano. Natomiast moja złodziejka należy do gangu.

– Ach.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie na krześle.

– Ach? Tylko tyle?

František rozłożył ręce.

– Wiem, do czego zmierzasz. Cokolwiek powiem, to i tak nie zmieni twoich planów.

– A więc jesteś przeciwny.

– Oczywiście, że jestem przeciwny, młodzieńcze. Uważam, że marnujesz sobie życie, ścigając ducha. Daj temu spokój. Zaczynj wreszcie żyć. Zaczynj patrzeć w przyszłość.

Levi zerwał się na równe nogi, górując nad elegancką, choć nieco przygarbioną sylwetką staruszka. Ściągnął brwi, a jego śniade policzki nieco straciły kolor.

– Nie mogę tego zrobić, dopóki nie rozliczę się z przeszłością. To, co się zdarzyło, dyższy mi w kark. Nie potrafię tego zignorować.

Wyszedł z łazienki stawiając długie kroki.

– Tylko wróć za dwadzieścia minut albo stracisz wszystkie włosy! – zawołał za nim František.

Nie doczekał się odpowiedzi. Westchnął i zerknął na swoje odbicie w lustrze. Pokręcił głową, a jego siwe włosy lekko się rozwiały. Nie wiedział, jak ma przemówić temu krnąbrnemu głupcowi do rozumu. Levi nie mógł pojąć, że kopanie w przeszłości spowoduje jeszcze więcej bólu i jeszcze więcej pytań. Andrea Draboňova nie była matką, którą powinno się naśladować. Nie okazywała uczuć, a Levi mimo tego zawsze walczył o każdy okrucuch jej miłości. I nawet po jej śmierci nie potrafił przestać.

Pisanie w kajecie powinno przynieść mu ulgę i rozwiązać wątpliwości, ale im dłużej siedział nad kartkami, tym bardziej się wahał. Przez cały ten czas bił się z myślami. Zaszantażował Zorę, bo naprawdę chciał mieć w swojej kolekcji Figurkę Założycieli – nie mówiąc już o tym, że zakupił ją legalnie i wydał na nią małą fortunę. Ale dzięki złodziejce mógł zdobyć dostęp do Krakavców, a nic nie było dla niego ważniejsze niż rozwikłanie zagadki śmierci matki. Jeśli jednak wciągnie w to Zorę, będzie musiał zdradzić jej przynajmniej część faktów, a ona mogłaby to wykorzystać.

Trzymał pióro w powietrzu tak długo, że tłusta plama z atramentu spadła na kajet. Levi przeklął i odłożył narzędzie do kałamarza. W takich chwilach zastanawiał się, skąd u niego to upodobanie do tradycyjnych piór – mógł kupić jeden z tych nowszych wynalazków, na przykład pióro wieczne, i przestać się przejmować kałamarzem.

Może potrzebował się przewietrzyć. Przejażdżka na koniu albo rundka boksu mogłyby mu pomóc oczyścić umysł i wreszcie podjąć jakąś decyzję.

Starał się nie myśleć, że w takich chwilach szedł zwykle poradzić się matki. Albo Niny. Ale Nina, oficjalna asystentka jego matki, odeszła z pracy na długo przed śmiercią swojej chlebodawczyni. Te wspomnienia za bardzo bolały, a brak możliwości rozmowy odbierał mu dech i niechętnie wpychał go w sferę świadomości, a ta krzyczała na niego jasno.

Był samotny.

Dość tego. Wstał od biurka tak gwałtownie, że krzesło przesunęło się po podłodze i nieprzyjemnie zachrobotało. Kazał przygotować sobie konia i przebrał się w strój do jazdy. Nie pożegnał się z nikim, tylko popędził ulicą, aż wzniósł się za nim delikatny tuman kurzu. Przemierzał dzielnice miasta, mijając wozy załadowane rzodkiewkami i kapustą. Musiały to być jedne z ostatnich zbiorów tego roku. Hodowcy i plantatorzy pracowali do ostatniej chwili, zapewniając mieszkańcom warzywa na całą zimę.

Zmysłownik zatrzymał się wreszcie w Kaczkowej Dolinie, w której dumnie wznosił się wysoki budynek z jego ulubionym ringiem. Z gracją zsiadł z konia i otarł pot z czoła. Oddał lejce stajennemu, a wchodząc do środka, miał nadzieję na spotkanie Jonaša. Jakiś czas temu pomógł mu znaleźć tu pracę trenera.

Chociaż raz szczęście się do niego uśmiechnęło.

– Doskonale – rzucił Levi, gdy tylko Jonaš go dostrzegł. – Potrzebny mi mały sparing.

Mężczyzna podszedł do niego i uniósł brwi. Nie miał na sobie koszuli, więc jego ciemnobrązowa, szeroka klatka piersiowa wystawiona była na widok publiczny. Levi szybko pozbył się marynarki, kamizelki, muszki i koszuli. Nie czekając na Jonaša, przeszedł pod linami i znalazł się na wyłożonym cienkimi matami ringu.

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo niecierpliwy – wymamrotał mężczyzna, posłusznie idąc w ślad za Levim. – I podminowany.

Zmysłownik nie chciał rozmawiać, więc od razu zaatakował. Wymienili między sobą ciosy: szczupły Levi z łagodnie zarysowanymi pod skórą mięśniami i postawny Jonaś, który wyglądał, jakby jadał takich jak Draboň na śniadanie. Powszechnie wiadomo jednak, by nie lekceważyć Leviego, bo ten potrafi zaskoczyć.

Kiedy obaj dyszeli ciężko, a pot lał się po ich nagich plecach, postanowili zrobić sobie przerwę. Zeszli z ringu i usiedli pod ścianą. Od razu znalazł się przy nich chłopiec z chłodnym dzbanem pełnym wody, której łapczywie się napili.

– Najpierw sądziłem, że przyszedłeś, bo chcesz informacji o ataku – zaczął Jonaś, gdy adrenalina wytworzona za sprawą walki nieco opadła.

– Ataku? Jakim?

Brwi mężczyzny powędrowały do góry.

– Jeszcze nie słyszałeś? Okradziono Medarda Pinkava.

Levi wzruszył ramionami, a potem je odrobinę rozciągnął. Skrzywił się nieznacznie. Nie trenował od kilku dni, a teraz tak gwałtownie rzucił się do walki... Jutro srogo pożałuje, że nie zrobił porządnej rozgrzewki.

– W tym mieście ciągle dochodzi do kradzieży.

– Tak, ale nie takich. – Jonaś pokręcił głową niemal z podziwem. – W jedną noc obrabowano magazyn Pinkava. Całkowicie. Nie ostał się nawet jeden zapchlony artefakt.

Levi leniwie, jakby od niechcenia, uniósł brew. Gestem zachęcił swojego informatora do dalszych zwierzeń.

– Ta osoba nie włamała się do środka, bo zamki w drzwiach były nienaruszone. Wszystkie okna całe. Żadnych podkopów. Nic. Złodziej wszedł i wyszedł jak duch i nie zostawił żadnych śladów. Poza...

– Poza?

– I to jest ta najbardziej tajemnicza część. Ten ktoś zostawił kartkę. Podpisał się jako *Dusa* i zapowiedział, że zostanie największym kolekcjonerem w mieście.

Levi potarł palcami podbródek, przetwarzając dane.

– To musi być zmysłownik – rzekł.

– To najbardziej prawdopodobnie.

Draboň poczuł, jak oblał go zimny pot.

– Przechodzi przez ściany – wyszeptał.

– Co takiego?

– On przechodzi przez ściany – dodał głośniejszym głosem, a jego serce zabiło mocniej. – Nic innego nie pasuje.

To jeszcze nie musiało nic oznaczać. Niemal nikt nie wiedział o rodzaju mocy posiadanej przez Leviego, a więc nikt mu niczego nie udowodni. Musiał tylko przyjrzeć się sprawie bliżej, żeby wykluczyć jakąś osobistą zemstę czy próbę wrobienia.

Nie chodziło o to, że umiejętności zmysłowników się nie powtarzały. To się zdarzało. Tyle że raczej rzadko.

– Dowiesz się czegoś więcej? Do jakich wniosków doszli strażnicy miejscy? Co dokładnie opowiada Pinkav? – Głos Leviego przybrał władcze tony.

Jonaš kiwnął głową.

– Zawsze jestem do twoich usług.

Zmysłownik skrzywił się na te słowa. Z tym szyderstwem naprawdę nie było jego partnerowi do twarzy.

Pohledna Beruška wypełniona była trzeszczącymi, choć jednocześnie melodyjnymi dźwiękami gramofonu, a promienie słońca odbijały się od ram obrazów na ścianach. Levi przyszedł krótko po otwarciu lokalu i zajął to samo miejsce co wcześniej: stolik dla czterech osób umieszczony w rogu i częściowo schowany za rośliną w doniczce. Dzisiaj miał na sobie ulubioną różową kamizelkę, idealnie pasującą do różowych butów. Zabrał również ze sobą swoją zwyczajową laskę. František zawsze się wzdrygał na połączenie różu ze złotem, mówiąc, że to się wyklucza. Levi tylko wzruszał ramionami, nie mając zamiaru słuchać się kogoś, kto chodził w samych ciemnych barwach, a u krawca nie był chyba od czterdziestego roku życia.

Przy stoliku przystanęła rudowłosa kobieta w dość mocno wydekoltowanej sukni, eksponującej wystające obojczyki. W rękę trzymała pustą tacę, luźno zwisającą wzdłuż jej ciała.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – spytała.

Jej głos wydał się Levieniu dziwny. Nie przez wzgląd na jego głębokie brzmienie, ale z powodu ukrytej w nim pewnej podejrzliwości. Zresztą jej ciemne oczy spoglądały na niego raczej z wrogością. Mężczyzna przyjął to z zaskoczeniem, zastanawiając się, jak mógł narazić się tej kobiecie, skoro nawet jej nie znał.

– Przeszedłem do Zory Muškatovej.

Chyba powiedział coś nie tak, bo rudowłosa zacisnęła usta i teraz piorunowała go wzrokiem otwarcie.

– Z przykrością muszę pana poinformować, że Zora jest nieobecna – wycodziła przez zaciśnięte zęby. Poruszyła szczęką, siląc się na mały, nieszczerzy uśmiech. – Ale ja z chę-

cią przyjmę pana zamówienie.

Levi rozsiadł się wygodniej na krześle i udał, że popadł w zamyślenie.

– Ale Zora jest w domu? – spytał.

Dostrzegł, jak oczy kobiety się rozszerzyły. Pozwolił sobie na psotny uśmiech, bębniąc palcami po blacie stołu. Rudowłosa najwyraźniej nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, więc Levi zerknął na sufit. Jego moce miały jednak ograniczenia, więc nie potrafił przeświecić kilku pięter naraz. W najbliższej okolicy jego małej złodziejki rzeczywiście nie było.

– Powiedz jej, że przyszedł Levi Draboń. – Skłonił przed kelnerką głowę, a przez jego bladoniebieskie oczy przebiegły wesołe ogniki. – Mogę poręczyć, że nie będzie chciała mnie zbyć.

Kobieta nadal nie ruszyła się z miejsca.

– Jak najszybciej – dodał z pewną dozą władczości w głosie.

Rudowłosa wreszcie drgnęła i spojrzała na niego z ogromną niechęcią. Obróciła się, porzucając tacę za ladą, po czym zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Levi obserwował, jak przeszła przez kuchnię, mówiąc coś do kucharza, a potem wspięła się po schodach na tyłach pomieszczenia. Znalazła niską kobietę, która ugniatała ciasto. Złapała ją za ramię, przekazała wiadomość i wróciła na dół, podczas gdy służąca weszła na piętro wyżej. Levi czekał niecierpliwie, czując na plecach dreszcz ekscytacji. Spotkania z Zorą Muškatołą zawsze dostarczały mu rozrywki, więc liczył na to, że i teraz się nie zawiedzie.

Oczy mu rozbłysły, gdy tylko wzrok padł na wysoką, szczupłą sylwetkę z rozpuszczonymi, falowanymi włosami. Stracił odrobinę rezonu, widząc spuchniętą powiekę i rozlewający się po jej twarzy siniec, ale postanowił nabrać wody w usta. W końcu to nie jego sprawa.

Zora bez ceregieli usiadła naprzeciwko niego, ściągając brwi.

– Jeszcze nie odzyskałam Figurki Założycieli – oznajmiła przez zaciśnięte zęby. Postarała się nieco rozluźnić, by nie brzmieć tak ofensywnie. – Z tego, co pamiętam, dałeś mi tydzień, więc mam jeszcze trochę czasu.

Levi nie mógł się powstrzymać. Wszystkie duchy tego świata mogłyby przysiąc, że próbował, ale to było silniejsze od niego. Jej skóra pod skromną sukienką wyglądała na miękką, kuszącą i ponętną. Czuł niemal przymus patrzenia, a wiele by dał, by zmysł wzroku zamienić na zmysł dotyku.

– Znowu to robisz – syknęła, zakładając ręce na klatce piersiowej. – Przestań się wreszcie na mnie gapić, zboczeńcu.

Mężczyzna przeniósł wzrok na jej oczy i parsknął śmiechem.

– Wachlarz obelg, którymi się posługujesz, jest wprost zdumiewający – odparł zaczepnie.

– Po co tu przyszedłeś? – Do jej głosu wkradło się znużenie. – Nie mam czasu na te twoje gierki.

– Nie masz czasu? – powtórzył, z rozmysłem pocierając palcami podbródek. – A czym jesteś taka zajęta?

Zora zmrużyła lekko powieki.

– Planowaniem następnego rabunku twojej posiadłości.

Tym razem szczerze go rozbawiła. Zaśmiał się nieco głośniejszym, niż powinien, a w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

Kobieta westchnęła.

– Skoro przyszedłeś tu tylko po to, by mnie dręczyć, to sądzę, że powinniśmy zakończyć to nieprzyjemne spotkanie – stwierdziła.

– Przyszedłem, bo mam propozycję.

Machnęła dłonią.

– W takim razie zamieniam się w słuch i wprost umieram z ciekawości.

Och, tak. Levi zdecydowanie nie zawiódł się tą wizytą.

Zanim przeszedł do dalszej części rozmowy, odchrząknął i wyprostował się nieznacznie. Uśmiech zniknął z jego twarzy i nawet ton jego głosu spoważniał.

– Jak wiesz, moja matka została postrzelona – zaczął.

– W honorowym pojedynku. – Zora kiwnęła głową.

Czoło Leviego przecięła zmarszczka, a usta lekko się wygięły.

– Nie. Moja matka została zamordowana. – Igrał z losem, ale było to ryzyko wkalkulowane w plan, który przyniesie mu zwycięstwo. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Kobieta zamarła i obejrzała siedzącego przed nią mężczyznę z uwagą, najwyraźniej szukając jakiegoś podstępu.

– Nie mam na to dowodów, ale nie mam wątpliwości co do okoliczności jej śmierci. Ktoś ją zabił, a moje tropy prowadzą do Krakavców – uzupełnił.

Widział, że Zora zeszywniała jeszcze bardziej. Uciekła spojrzeniem, a jej ramiona lekko opadły.

– To jak brzmi ta propozycja? – zapytała beznamiętnie.

Levi wziął głęboki oddech.

– Chcę, żebyś pomogła mi w śledztwie. Chcę, żebyś szpiegowała dla mnie Krakavców.

8

Zora wcale nie chciała nienawidzić świata i wszystkich chodzących po nim ludzi. Ale kiedy świat stawiał ją pod ścianą, było jej naprawdę trudno, by nie paść do wszystkich gorącą nienawiścią.

– Szpiegować – powtórzyła słabo. – Krakavców.

To było o wiele gorsze od zdobycia Figurki Założycieli. Jej dłonie zeszywniały, a z policzków odpłynął cały kolor.

– W zamian za to całkowicie odpuszczę sprawę z Figurką Założycieli. Jeśli przyniesiesz mi jakieś sensowne informacje, zostawię w spokoju ciebie, twoją rodzinę i tę kawiarnię. Wyprę z pamięci moment, w którym mnie okradłaś. – To brzmiało dla niej jak marzenie. – Ale tylko wtedy, jeśli odkryjesz coś przydatnego w związku ze śmiercią mojej matki.

Zora potrząsnęła głową, wzięła się w garść i wreszcie wbiła wzrok w Leviego.

– Oszalałeś – stwierdziła w taki sposób, jakby wygłaszała najoczywistszą prawdę.

– Może. – Wzruszył ramionami. – To moja ostateczna oferta.

– Ostateczna oferta...? – Zmarszczyła brwi. – Czyli...?

– Nie obchodzi mnie już artefakt. Albo zajmiesz się szpiegowaniem, albo trafisz przed sąd. – Uśmiechnął się szeroko, co wzbudziło w niej wściekłość, aż przełknęła ślinę, żeby się opanować. – Wybieraj.

Miała zbyt rozbiegane myśli, by teraz podjąć jakąkolwiek rozsądną decyzję. W jej uszach narastał pisk, a w gardle utworzyła się gula. Nie widziała się z Emilem od czasu wizyty w gabinecie Gustava i pogaduszek w Krakavcovej kuchni. Może już coś dla niej zdobył? Coś? Cokolwiek? Nie pogardziłaby nawet okruchem. Albo okruchem okrucha. Wszystko, byleby nie czuć się tak bezradną i bezużyteczną.

Zaśmiała się cicho, ale nie był to łagodny, przyjemny dla ucha dźwięk. Przypominał raczej skrzek.

– A co to za wybór? – spytała chrapliwie. – Mam wybierać między natychmiastowym cierpieniem a cierpieniem odroczonym w czasie?

Levi miał na tyle przyzwoitości, by na chwilę zdradzić się z poczuciem winy. Choć już za chwilę zacisnął szczękę, a z oczu zniknął jakikolwiek błysk litości.

– Krakavce mają oczy i uszy wszędzie – wyznała. – Są jak dobrze naoliwiona maszyna. Nic im nie umyka. Nigdy nie zapominają. Egzekwują swoje prawa. I nie wybaczą. Nikomu.

– Jesteś hmatową.

Czy on naprawdę próbował dodać jej otuchy? Zaciśnęła dłoń w pięść, wyobrażając sobie, jak spotyka się z jego głupią, przystojną twarzą. Wszystko, byleby zniknął ten pocieszczeniowski ton głosu.

– Na pewno dasz sobie radę i nikt cię nie zauważy – dodał, przesunął palcami po blacie stołu i spojrzał na nią spod rzęs. – Więc? Jaka jest twoja decyzja?

Poczuła zbliżający się ból głowy.

– Przyjmuję twoją ofertę – wycedziła.

Levi klasnął w dłonie. Zora niemal podskoczyła w miejscu.

– Świetnie! Lubię, gdy wszystko idzie po mojej myśli.

Nie wątpię, dupku.

– Ale potrzebuję więcej informacji. – Zgasiła jego entuzjazm. – Muszę wiedzieć wszystko, jeśli mam popchnąć twoje śledztwo do przodu.

Jego wyraźna niechęć do dzielenia się szczegółami przynajmniej odrobinę podniosła ją na duchu i sprawiła jej olbrzymią satysfakcję. Wkrótce poznała wszystkie potrzebne detale, a jej spotkanie z Levim dobiegło końca. Mężczyzna chwycił laskę ze złotą gałką i nawet uklonił jej się na pożegnanie, naśladując dżentelmena.

Zora czuła, jak Dana wypalała w niej dziurę swoim spojrzeniem. Przygryzła wargę. Jak się z tego wytłumaczy? Jęknęła w duchu. Ten przeklęty Levi Draboń skomplikował jej życie na tylu poziomach, jakich sobie nawet nie wyobrażała.

Wstając, złapała pytający wzrok przyjaciółki. Stłumiła westchnienie, przeszła za ladę i przygotowała się na lawinę pytań.

– Mówiłaś wcześniej, że Levi cię z kimś pomylił – powiedziała Dana z rezerwą. – Kłamałaś, czy tak?

Usta Zory ułożyły się w grymas. Musiała powiedzieć prawdę, przynajmniej częściową.

– Nie do końca. Raczej miałam nadzieję. – Przeczesała palcami długie włosy i przełożyła je na drugie ramię, by spływały falą na pierś. – Wpakowałam się w coś, Dana. W coś nieprzyjemnego. Nie mogę zdradzić ci szczegółów.

– Nie możesz, bo...?

– Bo nie chcę cię narażać. – Spojrzała jej prosto w oczy, dostrzegła w nich ślady zranienia. Podupała na duchu. Postawiła krok bliżej Dany i złapała ją za dłoń, ściskając palce. – Powiedz, że to rozumiesz.

Rudowłosa zabrała dłoń.

– Nie wiem, Zora. – Zmarszczyła brwi. – Zawsze tolerowałam to, że masz przede mną tajemnice, ale to... Draboń to niebezpieczny człowiek.

Zora uśmiechnęła się smutno. Gdyby tylko Dana wiedziała...

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę ci powiedzieć nic więcej. – Ramiona jej opadły.

Przyjaciółka westchnęła przeciągle, po czym porwała ją w objęcia.
– No dobrze. Obyś tylko wiedziała, co robisz.
Zora przytuliła się do dziewczyny mocniej.
– Ale dzisiejsze wyjście na potańcówkę jest aktualne, czy tak? – spytała Dana.
– Oczywiście. Przecież będzie tam René. – Chłopak, do którego rudowłosa wzdychała.
– Za nic w świecie bym tego nie przegapiła.
Poczuła, jak ciało Dany zadrżało – nie wiedziała tylko, czy to ze śmiechu, czy z oburzenia.

Dostanie się do piwnic w bazie Krakavców wymagało od Zory dużej wprawy, świecenia oczami i umiejętności perfekcyjnego kłamania. *Tak, dostałam pozwolenie. Mam się tylko rozejrzeć w ramach przygotowania do mojego następnego zadania. Tak, szef wie. Wszystko w porządku.*

Gdy już została sama, prychnęła.

Wszystko było tak dalekie od porządku, jak tylko mogło być.

Krakavce posiadali na własność wiele nieruchomości w mieście, jednak zmysłownica miała dostęp tylko do bazy gangu w Śródmieściu. Gustav rzadko wpuszczał ją do magazynu ukrytego w piwnicy w jednym z domów znajdujących się na Babiej Wsi. To, co teraz robiła, stanowiło naruszenie. Gdyby to dotarło do uszu szefa... na chłóście mogłoby się nie skończyć.

Zora musiała spróbować. Magazyn był zbyt dobrze zabezpieczony, by była w stanie przemknąć obok strażników, przejść przez wszystkie drzwi i kraty. Musiała się ujawnić.

Gdy wchodziła do magazynu, jej oczom umykał drugi koniec pomieszczenia. Z wysokiego sufitu zwisały jasne lampy, których blask odbijał się od ceglasczerwonych ścian. Na środku umieszczono regały, a do wyższych półek można było dostać się jedynie za pomocą drabiny. Stały tu też pudła i kosze – wszystko dobrze posegregowane i oznaczone. Przechadzając się między dobrami zgromadzonymi przez gang, Zora szukała broni.

Potem robi się trudniej.

Jak tylko słyszała czyjeś kroki albo głosy, zwalniała i się chowała. Im mniej osób miało szansę ją dostrzec, tym lepiej. Kiedy namierzyła składowisko pistoletów, przywarła do najbliższego regału i czekała. Zza niego dochodziła czyjaś rozmowa. Zmysłownica nałożyła na siebie zasłonę niewidzialności i dla pewności wołała poczekać.

Wreszcie Krakavce odeszli, więc Zora zajęła ich miejsce. W pudłach ułożono niedawno dostarczoną broń wraz z nabojami – Krakavce mieli własną fabrykę za miastem.

Zdjęła pokrywę, a jej oczom ukazały się niewielkich rozmiarów pistolety z brązowym uchwytem i wąską lufą. Był to projekt broni opracowany przez ludzi Gustava, ale nadal pozostawał w fazie testów. Wciąż ulepszano ten model, ale szef Krakavców wierzył, że zarobi na tym miliony. Pistolet nie wymagał ręcznego przeładowania po każdym strzale, jako że następowało to automatycznie aż do całkowitego opróżnienia magazynka.

Jeśli z tego pistoletu zamordowano matkę Leviego, musiał to zrobić ktoś z Krakavców. Chyba że ktoś okradł gang. Zora westchnęła. Właśnie to miała ustalić.

Zamknęła wieko, odwracając się w stronę gabinetu głównego magazyniera. W tym pomieszczeniu przechowywano wszystkie najważniejsze dokumenty, do których Zora musiała zerknąć. Jak cień przemknęła między regałami i przystanęła przy odpowiednich drzwiach, przystawiając do nich ucho. Z wnętrza odpowiedziała jej martwa cisza. Powoli przekręciła gałkę i z sercem w gardle ostrożnie wślizgnęła się do środka. Zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się po pustym gabinecie. Panował tu półmrok, więc z grymasem na twarzy wyjęła własną świecę. Zapaliła ją, postawiła na biurku i od razu zabrała się za przeszukiwanie szuflad. Obchodziły ją dokumenty co najmniej sprzed pół roku. Wszystkie wcześniejsze spisy, raporty i umowy odkładała dokładnie w to samo miejsce, z którego je zabrała. Czytała, przeglądała i szukała. Spieszyła się, ale mimo tego, że drżały jej nogi, ręce miała pewne.

Ze złością zamknęła ostatnią szufladę biurka, biorąc na celownik wysoką szafę stojącą pod ścianą. Podejrzewała, że znajdowały się w niej zarchiwizowane papiery. Jak tylko dorwała pierwsze teczki, uśmiechnęła się zwycięsko. Trzymała w rękach dokumenty sprzed trzech miesięcy. Teraz wystarczyło tylko...

Zamarła, odwróciwszy głowę w stronę zamkniętych drzwi. Puls jej podskoczył, a kończyny same zareagowały jak wyuczone. Pozostawiła to miejsce w stanie nienaruszonym, zgasiła świecę i schowała ją do kieszeni przy spodniach, nie zważając na gorący воск. Omiotła szybkim spojrzeniem gabinet, stwierdzając, że im wyżej się znajdzie, tym będzie bezpieczniejsza. Zaczepiając się o gałki szafy, wspięła się na samą górę tak zwinnie jak kozica i usadowiła się między ułożonymi tu zakurzonymi pudłami.

Starła się uspokoić oddech, gdy w gabinecie pojawiły się dwie osoby, a wraz z nimi rażące światło. Gdyby nie jej natura zmysłownicy, od razu by ją dostrzeżono. Kobieta z mężczyzną rozmawiali o kolacji, ale Zora nie słuchała ich zbyt dokładnie. Zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę, prosząc duchy o łaskę.

– Czekaj – rzucił głęboki głos. – Coś jest nie tak.

Zmysłownica zerknęła w dół z sercem w gardle i uważniej przyjrzała się przebywającemu tu duetowi. Zlustrowała jasne włosy mężczyzny, kolczyk w uchu i nos, który raz sama miała okazję złamać.

A więc duchy nie miały dziś dla niej żadnej litości.

Zora nie znała wszystkich Krakavców, ale niektórych kojarzyła, a już na pewno tych, którzy parali się zmysłownictwem. Stojący niżej Boaz był wonnym i to takim, który nią gardził.

– Jest tu jakiś zapach, którego nigdy tu nie czułem – mruknął blondyn.

– Jaki? – Smukła kobieta miała na sobie ciemną sukienkę i jasne włosy upięte w kok. Emanowała dziwną jak na Krakavca delikatnością.

– To jest... – Jego nozdrza zafalowały. – Znam ten zapach. Tylko nie mogę... Chwila... – Spojrzał na swoją towarzyszkę ze zdumieniem. – Zora Muškátova tu była.

Niech to, niech to, niech to.

– Kto? – Kobieta najwyraźniej nie wiedziała, o kim mowa.

Zora wzruszyła ramionami. Ona też jej nie znała.

– Najgorszy pacholek Gustava, żalosne ścierwo. Nie jest nawet pełnoprawnym członkiem gangu, jest bardziej jak pies, którego trzymamy na smyczy i bijemy, gdy mamy ochotę.

Zora prawie parsknęła śmiechem. Przez cztery lata nie zaznała od Boaza żadnej przemocy – a przynajmniej nie takiej, której by nie odwzajemniła. Zważając na to, że to on nauczył ją podstaw boksu i walki sztyletem, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że Zora wcale nie była zupełnie bezbronna.

Jej rozbawienie natychmiast uleciało, gdy Boaz potrząsnął głową i uniósł wyżej nos, do którego wciągnął potężny haust powietrza.

– No, no... – Jego usta wygięły się w sardonicznym uśmiechu. – Coś mi się zdaje, że nasza mała, żalosna hmatowa nie zdążyła opuścić pomieszczenia przed naszym przyjściem.

– Co to znaczy?

Znaczyło to, że Zora znalazła się w ogromnych tarapatkach. Bezgłośnie przełknęła ślinę, myśląc gorączkowo. Boaz podszedł do szafy, na której szczycie siedziała, i niuchał powietrze. Zadarł głowę i wbił wzrok prosto w nią, choć nie mógł jej dostrzec. Cofnęła się, wbijając się w ścianę. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz i z niejakim żalem pomyślała sobie o mocach Leviego.

Zaraz. Nie powinna mu zazdrościć. To on wpakował ją w tę sytuację.

– Wiem, że tam jesteś – rzucił blondyn. – Albo sama zejdziesz, albo ściągnę cię siłą.

Zora z niesmakiem się skrzywiła. Upewniwszy się, że wciąż ma przy sobie sztylet, bezdźwięcznie zeszła i przystanąła przy drzwiach. Przestała używać mocy.

Kobieta wciągnęła do płuc powietrze ze świstem, a w ciemnych oczach Boaza zalśniło zwycięstwo.

– Już nie żyjesz – powiedział triumfalnie. – Wiem, że nie wolno ci tu być. Gustav cię za to zabije.

Zora przechyliła głowę.

– Na pewno? Skąd wiesz, że nie działałam na jego zlecenie?

Czasem jej rola szpiega mogła być doskonałą zasłoną.

– No...

– Jeśli chcesz marnować jego czas na pogaduszki o mnie i zdać mu raport o sprawie, którą sam wymyślił, to proszę. – Wzruszyła ramionami. – Droga wolna.

Adrenalina krążyła w jej żyłach, dodając odwagi.

– Jeśli faktycznie jesteś tu na jego zlecenie – wycedził – to dlaczego się przed nami chowałaś?

– Bo... – zmrużyła oczy – ...to miało być tajne.

Jego krzywy palec wskazujący wystrzelił w jej stronę.

– W takim razie zawałaś zadanie.

– Jeśli nic nie powiecie, to nie.

Boaz się zaśmiał.

– A dlaczego miałbym zatrzymać to dla siebie?

– Bo jeśli piśniesz choć słówko, ja powiem o tobie.

Wyraźnie stracił rezon, a zadowolenie zniknęło z jego oczu.

– Co ty tu robisz, Boaz? – Założyła ręce na piersi. – Nie pracujesz przecież w magazynie.

– Ja... – Wymienił spojrzenie z kobietą. Zgrzytnął zębami. – Nie jesteś na bieżąco. Pracuję tutaj tymczasowo.

– Och? Tutaj, w gabinecie głównego magazyniera?

Zora się uśmiechnęła, ledwie utrzymując się na miękkich nogach. Krople potu spływały jej po karku i plecach. Czowała, że zaraz zaczną dzwonić jej zęby. Już dawno nie zdobyła się na tak wielki blef.

Blondyn odwzajemnił uśmiech, co dodało mu drapieżnego uroku.

– Może przejdziemy się do Gustava razem? – zaproponował od niechcienia. – Zobaczymy, które z nas otrzyma karę, a które nagrodę.

Niech to wszystkie duchy... Nawet jeśli Boaz przebywał tutaj nielegalnie, na pewno miał dostęp do magazynu ogółem. Jej w ogóle nie powinno tu być. Gorączkowo starała się wymyślić jakieś rozwiązanie, ale wokół płuc czuła zaciskające się pręty, uniemożliwiające jej oddychanie.

Jeśli Gustav się o tym dowie, uzna to za zdradę. A za zdradę wśród Krakavców obowiązywała tylko jedna kara.

– Zrobimy tak – mruknęła, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. Przesunęła palcami po sztylcie, dodając sobie otuchy. – Znasz moje możliwości. Wykonam dla ciebie jedno zlecenie, a w zamian ty zapomnisz o tej sprawie. I wtedy każdy wyjdzie z tej sytuacji zwycięsko.

Blondyn znowu wymienił spojrzenie ze swoją towarzyszką. Raz i drugi wciągnął powietrze do płuc, potarł też kolczyk w uchu.

– Niech i tak będzie – orzekł wreszcie. – Będę milczeć, jeśli coś dla mnie zrobisz. Później dam ci znać, co to będzie.

– Dobiliśmy targu. – Kiwnęła głową i odwróciła się w stronę drzwi, chcąc jak najszybciej się stąd wydostać.

– Odprowadzę cię do wyjścia. W końcu tak postępują dżentelmeni, prawda?

Zora zmusiła się, by nie wyrwać ramienia z uścisku, w jaki ją pochwyił. Ciągnął ją za sobą między regałami, potem po schodach w górę. Mijali straż i innych Krakavców, aż znaleźli się przy żelaznej bramie posiadłości. Boaz puścił wreszcie Zorę, popchnął ją i splunął jej pod nogi. Ledwo udało jej się złapać równowagę.

– Jesteś bezwartościowym gównem.

– Ciebie też miło było zobaczyć! – zawołała do jego oddalających się pleców.

Poślizgnęła się na wilgotnym bruku, a w oczach stanęły jej łzy. Objęła się ramionami, rozglądając się wokół w nadziei na złapanie dorożki. Miała do przebycia niemal całe miasto. Potrzebowała podwózki.

A także ciepłej herbaty i miłego koca.

Choć przede wszystkim potrzebowała świętego spokoju.

Następnego dnia otrzymała wiadomość od Emila. Pilnie wzywał ją do bazy Krakavców. Kiedy Zora ubierała się w koszulę z bufiastymi rękawami i ciemną spódnicę, zastanawiała się nad powodem tego wezwania. Miał dla niej wieści o Levim? A może chciał ją ostrzec przed żądnym krwi Gustavem, który planował ją zamordować?

To by znaczyło, że jednak nie udało jej się przekonać Boaza.

Z drżącym sercem zeszła do kuchni, w której jej rodzice jedli późne śniadanie. Zora przywitała się z matką, a ojca zignorowała, on zresztą nawet na nią nie spojrział. Zmysłownica porwała z tacy ciepłą bułeczkę, którą posmarowała masłem, wzięła łyk herbaty i już zmierzała ku wyjściu.

– Zora! A ty dokąd? – Usłyszała za sobą głos Jiřiny.

– Mam coś do załatwienia – wymamrotała.

– Masz zmianę w kawiarni po południu – przypomniała jej kobieta.

Zora przewróciła oczami.

– Pamiętam o tym.

Wyslizgnęła się tylnym wyjściem, prowadzącym na mały, wewnętrzny dziedziniec. Porastały go krzewy i kwiaty, którym przydałaby się solidna pielęgnacja, a kawałek dalej stała mała stajnia.

– Zora!

Zatrzymała się i obróciła w kierunku stojącej w progu matki. Kręcone włosy kobiety były schludnie upięte w taki sposób, by z fryzury nie wy dostał się nawet jeden kosmyk.

– Tak? – spytała uprzejmie i spokojnie, choć w jej żyłach płynęła czysta niecierpliwość.

– Dziś przyjeżdża moja siostra. Z Helą. Oczekuję cię na kolacji.

– Zobaczymy – mruknęła.

– Co mówiłaś?

– Powiedziałam, że będę. – Skrzywiła się nieznacznie i bez pożegnania wymknęła się bocznymi drzwiami, tym samym omijając kawiarnię.

Złapała dorożkę i podała stangretowi adres. Układając się na wypłowiałym siedzeniu, z niechęcią rozmyślała o zbliżającym się wieczorze. Niekoniecznie chciała go spędzać w towarzystwie ciotki i kuzynki, za którą nie przepadała. Nie mówiąc już o ojcu. Ale gdyby się z tego wykręciła, matka chybaby jej tego nie wybaczyła. Po wyjeździe Petra stała się jeszcze bardziej... Zora szukała odpowiedniego słowa, ale żadne nie pasowało.

Kochała swoich rodziców, a przynajmniej matkę, chociaż czasem miała wrażenie, że uczucie to wynika raczej z przyzwyczajenia.

Kiedy powóz zatrzymał się przed kamienicą w centrum miasta, momentalnie zapomniała o rodzinie, skupiając się na bardziej nagłym zagrożeniu. Rutynowym nawykiem pokonała schody co drugi stopień, ale wcale jej się nie spieszyło. Ostrożnie wślizgnęła się do zatęchłego mieszkania Krakavców, uważnie rozglądając się wokół. Niektórzy posyłali jej kpiące spojrzenia, ale większość starym zwyczajem raczej ją ignorowała. Zapytała postawnego mężczyznę o Emila i poszła korytarzem według wskazówek. Znalazła go w jego ulubionym saloniku z rzeźbionym kominkiem i kunsztownymi meblami. Poza nimi nie było tu nikogo.

– Cześć.

Słyszając jej głos, od razu odwrócił się w jej stronę.

– Cześć. Siadaj. – Ruchem głowy wskazał na fotel. Sam zajął miejsce na kanapie po drugiej stronie stolika. Noga podrygiwała mu nerwowo, co tylko wprawiło Zorę w stan jeszcze większego zdenerwowania.

– To Gustav, tak? Dowiedział się – stwierdziła wyprutym z emocji głosem, siedząc tak sztywno, jakby połknęła kij.

– Dowiedział się? Mówisz o kradzieży? On... A ty skąd o tym wiesz? Przecież...

Potrząsnął głową, a Zora zamrugła, próbując połapać się w tej rozmowie. Chwycała podłokietniki, zaciskając na nich palce. Emil natomiast ściągnął okulary i skrawkiem koszuli przetarł szkiełka.

– Mówię o magazynie i Boazie. Ty nie? – spytała skonfundowana.

– Mówię o tym, że zniknęły wszystkie starożytne artefakty, które zgromadził Gustav. Oniemiała Zora otworzyła usta.

– Co takiego? – wykrztusiła.

– Wieści jeszcze się nie rozeszły, więc mało kto o tym wie. Na razie. – Blondyn z powrotem założył oprawki, nachylił się do przodu i oparł się łokciami o uda. – Wczoraj w nocy zrabowano wszystko, co do jednego artefaktu, z domu w Babiej Wsi. Ale tylko zabytki. Wszystko inne, broń, alkohol, to pozostało nietknięte. Nie wiadomo, jak to się stało, bo straż niczego nie zauważyła. Dopiero rano, gdy pierwszy z magazynierów przyszedł do pracy, powiadomił o kradzieży. Gustav jest wściekły i żąda głowy złodzieja. Jeśli te artefakty się nie odnajdą, Krakavce będą stratni na kilka milionów koron.

Zora nie potrafiła poruszyć nawet palcem. Cała krew odpłynęła jej z twarzy, a ciało zdrętwiało. Raptem kilka godzin później po jej wtargnięciu... Bała się to roztrząsać.

– Nie ma żadnych śladów. Tylko notatka.

– Jaka notatka? – wydusiła ze zgrozą.

– Strasznie dziwna. Coś o tym, że w tym mieście może być tylko jeden kolekcjoner. I podpisane jako Dusa. Chociaż dziwniejsze jest to, że to druga taka kradzież w ostatnim czasie. Kilkanaście dni temu całą swoją kolekcję stracił Medard Pinkav. Do tej pory jej nie odzyskał ani nie złapał złodzieja. Sposób włamania i rabunku wygląda identycznie jak w naszym przypadku.

– To... dziwne.

Zora częściowo odetchnęła z ulgą. A więc wątpliwe, żeby to miało z nią jakiś związek. Niemniej rzecz i tak wydała jej się podejrzana.

– Emilu? – Jej serce zabiło mocniej, gdy złapała wzrok mężczyzny. Zniżyła głos. – Byłam tam wczoraj.

– Co?

– Boaz mnie nakrył. Na myszkowaniu w gabinecie magazyniera.

Tym razem była kolej Emila na opadnięcie szczęki.

– Nie mówisz chyba poważnie. To znowu przejaw tej twojej ironii? Nabierasz mnie?

– Chciałabym – przyznała z żalem. – To pogmatwane. Draboň to na mnie wymógł, szuka mordercy matki. A ja... – Pokręciła głową. – Udało mi się dogadać z Boazem, powiedział, że mnie nie wyda. Ale teraz... Nie wiem, Emilu. Ja...

Boję się, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

– Dowiem się, na czym stoisz. Dyskretnie.

– Dziękuję – wyszeptała, odwracając wzrok.

– Co do Leviego Draboňa, na razie nie mam żadnych wieści. Ten człowiek dba o swoje sekrety, ale będę kopał dalej. W końcu coś się znajdzie.

Oby tylko wtedy nie było już na to za późno.

9

Stół w jadalni Muškátów został nakryty dla pięciu osób. Zora stanęła w progu, zastanawiając się, kiedy ostatni raz przy nim zasiadała. Obstawiała, że przy poprzedniej wizycie ciotki i kuzynki, czyli kilka miesięcy temu, bo z tego pomieszczenia korzystali tylko przy takich okazjach, zwłaszcza od czasu ucieczki Petra.

Ściany pomalowano na kremowo, a podłogę wyłożono ciemnoczerwonym dywanem. Stół ciągnął się wzdłuż okna i łukowato zwieńczonych drzwi balkonowych, a tuż za chlubnym miejscem przy szczycie stała komoda z lustrem. Na niej ustawiono zegar oraz tacę z alkoholami.

– Przepraszam na-najmocniej!

Zora odsunęła się od drzwi, robiąc miejsce dla służącej, która kończyła ustawianie talerzy i półmisek między kwiatami w niskich wazonach na okrytym obrusem stole. Jadalnia wypełniła się zapachami mięs, sosów i warzyw.

– Możemy zasiadać! – Jiřina wkroczyła do środka, przywołując wszystkich na miejsce.

Zmysłownica usiadła tyłem do okna, a przodem do ściany, na której wisiał duży obraz ukazujący pejzaż Bydgošćy – kamienice ponuro wznoszące się tuż nad Udolą. Koło niej miejsce zajęła kuzynka Hela o okrągłej twarzy, pulchnych policzkach i jasnobrązowych włosach. Jej roziskrzone oczy z głodem rozglądały się po stole. Naprzeciwko Zory znalazły się matka i jej siostra Sabina. Kobiety miały podobną posturę, ale różnił je kolor i struktura włosów, bo ciotka miała jaśniejsze i prostsze kosmyki. Ojciec usiadł przy szczycie stołu. Zmysłownica z namysłem przyjrzała się jego przysadzistej sylwetce, krótkiej brodzie i siwiźnie na skroniach, ale gdy tylko Marian Muškát przyłapał ją na gapieniu się, natychmiast się spięła i odwróciła głowę.

W jej umyśle wciąż echem powtarzały się słowa, które usłyszała od niego w przeszłości. *Dziwaczne dziecko, nieznośna smarkula*. Ojciec wymagał od niej tylko jednej rzeczy: żeby siedziała cicho i mu nie przeszkadzała, aby mógł zapomnieć o jej istnieniu. Nigdy nie zaakceptował jej natury zmysłownicy.

A ona nigdy mu tego nie wybaczyła.

– Helo, podasz mi sałatkę? – Jego głos wyrwał ją z zamyślenia.

Spojrzała na stół, na danie, o które prosił. Kącik jej ust drgnął i uniósł się nieznacznie. Obserwowała, jak kuzynka złapała półmisek i wyciągnęła rękę, niemal upuszczając zawartość na spódnicę Zory. Gdyby jej relacje z ojcem były normalne, to ją poprosiłby o tak prozaiczną rzecz jak podanie sałatki, bo miała do niej bliżej. Ale ich więź daleka była od typowych układów między ojcem a córką.

Zora jednym uchem przysłuchiwała się opowieściom ciotki o ich domu w Toruń, o pracy, o życiu, o wszystkim i o niczym. Jadła spokojnie i nie brała udziału w konwersacji, choć Jiřina co rusz posyłała jej naglące spojrzenia, które zmysłownica tłumaczyła na: *Proszę, zaangażuj się trochę.*

Dlatego wzięła głęboki oddech.

– Helo. – Wszyscy umilkli, gdy się odezwała. Kuzynka zerknęła na nią sceptycznie, a kosmyk jej włosów opadł na wysokie czoło. – Jak ci idzie nauka na studiach?

– Bardzo dobrze, a nawet doskonale – oznajmiła z wyższością, która zawsze wprawiała Zorę w irytację. – Jestem jedną z najlepszych studentek. Piszę w tym roku pracę o algebrze liniowej i profesor mówi, że dostanę za nią nagrodę uniwersytetu.

– Niesamowite. – Zmysłownica cieszyła się, że Hela nie posiadała zdolności wyłapywania ironii z jej wypowiedzi. – Gratulacje.

– Przed moją malutką stoi świetlana przyszłość – dodała Sabina.

– Nie wątpię – mruknęła Zora.

Wzrok Jiřiny stał się ostrzejszy, co tylko ubawiło jej córkę.

– Zawsze podziwiałem ludzi z ambicjami – rzekł Marian, a Zora zeszywniała. Ojciec nie patrzył na nią, nie zwracał się do niej, ale wiedziała, że robił jej przytyk. – Takich, którzy pną się w górę po coś, czego pragną. I nic nie jest w stanie ich zatrzymać.

A kiedy chciałam iść do najlepszej szkoły w Bydgošcy, to robił mi problemy, pomyślała. Postanowiła nie pozostawiać tego bez odpowiedzi.

– W takim razie z Petra musisz być wyjątkowo dumny.

Przy stole zapadła cisza. Słysząc było tylko cichy trzask lampy gazowej i stukot końskich kopyt rozlegający się gdzieś za oknem. Jiřina odchrząknęła, ale to Sabina pierwsza zabrała głos, szczebiocząc o ostatnio zakupionym materiale na suknię. Nie zmieniło to jednak atmosfery przy stole, która do końca posiłku pozostała wypełniona małymi rozładowaniami atmosferycznymi, gotowymi w każdej chwili strzelić piorunem.

Kiedy Zora kładła się do łóżka, nie czuła się z tego powodu źle, wręcz przeciwnie. Zasnęła z małym uśmiechem na ustach, który wygładził rysy jej twarzy.

– Wyglądasz świetnie – oznajmiła Irma, gdy błyszczącymi zielonymi oczami spoglądała na przyjaciółkę.

– Tak myślisz? – Zora z powątpiewaniem jeszcze raz obejrzała samą siebie w lustrze. Granatowa suknia z trenem, w pasie przewiązana białą koronką, spływała po jej ciele.

Dana, siedząca na łóżku w pokoiku na poddaszu, przewróciła oczami.

– Nie słodź jej – rzuciła. – Bo się stanie jeszcze bardziej nie do wytrzymania niż teraz. Zora obróciła się przez ramię i pokazała jej język.

– Dojrzałe – skwitowała sucho rudowłosa.

– Ja się rzadko czuję tak ładnie jak dziś – stwierdziła zmysłownica, siadając koło przyjaciółki, której wyraz twarzy złagodniał. – Ale dziś wszystkie wyglądamy zjawiskowo.

Miała rację. Wystroiły się na wyjście do Teatru Bydgoskiego, w którym odbywała się premiera spektaklu „Teta i Kazi”, opowiadającego o dwóch siostrach mających olbrzymi wpływ na rozwój Bydgošcy w początkach jej istnienia. Bilety na niego rozeszły się szybciej niż ciepłe bułeczki w piekarni za rogiem, ale Irma miała swoje sposoby i zdobyła dla ich trójki wejściówki.

Po pokoju rozeszło się donośnie pukanie i od razu, bez pozwolenia, do środka weszła średniego wzrostu dziewczyna o jasnobrązowych włosach upiętych na karku.

– Heła. – Zora starała się, by do jej głosu nie wkradła się irytacja. – Co za miła niespodzianka.

Za tę ironię otrzymała kuksańca w bok od Dany. Zdusiła sapnięcie, obiecując sobie, że z przyjaciółką policzy się później.

– Właśnie wróciłam z miasta – obwieściła cienkim głosem, zamykając za sobą drzwi i patrząc z zazdrością na lśniące kreacje młodych kobiet. – I dowiedziałam się, że wychodzisz. Mogę iść z wami?

Zora powstrzymała uśmiech i odchrząknęła, zanim przemówiła.

– Niestety, mamy tylko trzy bilety – powiedziała z udawanym smutkiem. – Ale może innym razem?

Heła zadarła głowę i zacisnęła usta.

– Bez łaski – rzuciła i czym prędzej opuściła pokój.

– Aha. Teraz rozumiem, dlaczego za nią nie przepadasz – rzekła Dana po chwilowej ciszy.

Cała trójka wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Czas na nas – odparła Irma, zerkając na wiszący na ścianie zegar, i ruchem dłoni zaczęła wyganiać dziewczęta z pomieszczenia.

Zabrały torebki, a na stopy włożyły czółenka na niskim obcasie i chóralnym głosem pożegnały się z rodziną Zory. Powóz zaprzęgnięty w cztery niecierpliwiące się konie już na nie czekał przed kamienicą. Chichocząc, wgramoliły się do środka, po czym strzelił bat, a karoca ruszyła.

– No, kochane. – Siedząca w środku Irma jedno ramię założyła na Danę, a drugie na Zorę i ścisnęła. – Zaszalejmy dziś.

– Ale rozsądnie – dodała rudowłosa.

– Chcesz szaleć rozsądnie? – spytała zmysłownica z przekąsem.

– Tak.

Powaga i ukryta groźba w jej głosie ucięły wszelkie pokłady ironii, jakie mogły się właśnie wylać z Zory. Mądrze postanowiła nie kontynuować tego tematu, a zamiast tego Irma zaczęła paplać o tym, jak trudno było jej zdobyć bilety. Dana żywo reagowała na rewelacje przyjaciółki, a Zora od czasu do czasu mruczała coś pod nosem.

– Mam wam coś jeszcze do powiedzenia – obwieściła czarnowłosa, a uśmiech zniknął z jej twarzy, co natychmiast zaalarmowało jej towarzyszkę.

– Ktoś umarł? – Zmysłownica uniosła brwi, a rudowłosa syknęła na nią z naganą.

– Na szczęście nie. – Irma lekko się rozpogodziła. – To dobre wieści. Pewnie nie słyszaliście, ale na Uniwersytecie Bydgoskim organizują konferencję naukową, której tematem przewodnim jest ciało. I mimo że chodziło im o ciało w ujęciu biologicznym, to zgłosiłam swój pomysł na referat o związku tatuaży z ciałem. I mnie przyjęli! Pozwolili mi wygłosić mój referat! Oczywiście zapraszam was na odczyt.

Dana pisnęła coś wesoło, a Zora wyściskała przyjaciółkę, mruczając coś o tym, że powinny wypić szampana.

Bydgoski Teatr dumnie wznosił się w Dzielnicy Muzycznej, misternie ukryty w środku parku. Wejście podtrzymywały kolumny, a przystępne foyer opływało czerwienią i złotem. Hol powoli wypełniał się wytwornymi ludźmi ubranymi w płaszcze i futra, a pod nimi kryły się eleganckie kreacje: muszki zawiązane wokół szyi, lniane spodnie opływające nogi i treny sukien ciągnące się po posadzce.

Ciemnoskóra kobieta sprawdziła im bilety i przepuściła je dalej. Dziewczęta wspięły się po kamiennych schodach i weszły do zarezerwowanej łoży. Po raz pierwszy miały obejrzeć przedstawienie z takiej perspektywy – zwykle zajmowały miejsca w dole, wśród zwykłej ciżby. Dziś wyjątkowo kopnął je arystokratyczny zaszczyt.

Na suficie w wielkiej sali namalowano imponujący fresk ukazujący dwie postacie krzyżujące ze sobą miecze. Czerwone obicia siedzeń idealnie komponowały się ze złotymi płaskorzeźbami i żyrandolami. Po chwili zgaszono światła, rozmowy stopniowo uciły, a kurtyna się rozsunała. Aktorzy dostojnym krokiem wkroczyli na scenę i tym samym rozpoczął się spektakl.

Pierwszy akt dobiegał końca, gdy Irma pociągnęła Zorę za rękaw.

– Trochę źle się czuję – wyszeptwała. W bladym świetle jej twarz wydawała się upiornie biała. – Idę do łazienki.

Zmysłownica kiwnęła głową i przekazała informację Danie. Wkrótce potem ogłoszono przerwę, więc ludzie zaczęli wstawać, by rozprostować kości.

– Zora. – Rudowłosa patrzyła gdzieś w lewo. – Levi Draboń gapi się na ciebie.

– Coś takiego. Niebawem – wymamrotała, czując przechodzący przez jej skórę dreszcz.

Uważnie przeskanowała tłum, aż odnalazła jego sylwetkę. Siedział w łoży tuż przy krawędzi i prześwietlał ją wzrokiem w znajomy sposób.

– Co mówiłaś? – Dana zmarszczyła brwi.

– Że co on tutaj robi?

– To bogacz. Tego wieczora zlecieli się tu chyba wszyscy. – Rudowłosa ewidentnie się wzdrygnęła. – On cały czas tu patrzy.

– Najwyraźniej nie został dobrze wychowany.

Zora ostentacyjnie odwróciła od niego głowę, zaciskając palce na materiale sukienki. Westchnęła w duchu. Nie było jej dane przeżyć nawet jednego wieczora bez zmartwień. Chociaż przez kilka godzin chciała zapomnieć o Krakavcach, Levim, artefaktach, kradzieżach i szpiegowaniu. Czy naprawdę prosiła o tak wiele?

Zaczynała podejrzewać, że duchy specjalnie się na nią uwzięły.

– On mnie przyprawia o mdłości – stwierdziła Dana z westchnięciem. – Idę sprawdzić, co się dzieje z Irmą.

Wyszła, a żółty tren jej sukni ciągnął się za nią.

W sali zrobiło się na tyle cicho, że Zora doskonale słyszała rozmowę toczącą się w łoży obok. Wsłuchiwała się w głosy, a jej czoło przecięła zmarszczka. Jeden z głosów już gdzieś słyszała. Może gdy zbliży się do barierki i trochę wyjrzy... Albo...

– Nie pożałujesz tego, gwarantuję ci – przekonywał ten głos, który brzmiał w uszach Zory znajomo.

– Na razie wciąż się waham – zaznaczyła druga osoba.

– Mam dobry plan, a moje badania zmierzają we właściwym kierunku. Gdy tylko podpiszemy umowę, ruszę do przodu, a ty staniesz się współtwórcą największego odkrycia w zakresie zmysłownictwa.

Oczy Zory się rozszerzyły. Coś podejrzewała, ale teraz musiała się upewnić. Cofnęła się w głąb własnej łoży, kryjąc się w cieniu, w który wkrótce sama się przemieniła. Potem odważnie przeszła na przód i bez skrępowania wychyliła się tak, by zerknąć do wnętrza łoży obok. Zobaczyła kobietę w czerwonej sukni, z jasnymi włosami i ciemną skórą. Jej towarzyszem był krępy, łysiejący mężczyzna, który bardziej zdawał się zainteresowany wgapieniem się w dekolt kobiety niż jej słowami.

– Wcześniej nie brałam pod uwagę kombinowych, podobnie jak moi koledzy naukowcy. Doszłam jednak do wniosku, że popełniłam duży błąd. Kombinowi mogą być kluczem do mojej teorii i do wyjaśnienia natury zmysłownictwa. To będzie coś wielkiego. Coś, czego nie da się objąć rozumem. – Zapął w jej głosie i błysk w oczach przyciągał

Zorę jak magnes. Z jakiegoś powodu miała ochotę słuchać tej kobiety i jej pomóc. Gdyby tylko posiadała jakieś większe pieniądze...

– Moi znajomi mówią, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, Edito. Że naukowcy finansowani przez Radę Miasta wystarczą.

– Bzdury – zagrzmiała. – Ich prace od lat nie posunęły się do przodu. Ja przez kilka miesięcy zrobiłam więcej niż oni kiedykolwiek. Zbieram coraz więcej dowodów na poparcie mojej teorii, ale nie mogę ruszyć z dalszymi badaniami, dopóki mi nie pomożesz. Pomyśl, jakie to będzie uczucie, gdy przyczynisz się do tak wielkiego odkrycia. Gdy zapiszesz się na kartach historii, może nawet tak samo jak Libuše i jej mąż Přemysl.

Mężczyzna machnął na nią ręką.

– Miałaś nie wspominać o tych pierdołach podczas przedstawienia. Obiecałaś.

Edita zazgrzytała zębami.

– To nie są pierdoły – wycedziła.

Jej towarzysz westchnął i wstał.

– Wychodzę. Złamałaś obietnicę i zepsułaś mi humor.

Kobieta ruszyła za nim, a Zora nie mogła się powstrzymać i poszła ich śladem. Dywany tłumyły jej kroki, ale po korytarzach przechadzał się cały tłum ludzi, a zmysłownica zapomniała zdjąć z siebie zasłonę niewidzialności i teraz musiała lawirować pomiędzy ciałami. Skupiła się na omijaniu przeszkód, a kiedy dotarła już do głównych schodów, okazało się, że zgubiła Editę i towarzysza. Uderzyła pięścią w balustradę.

– Kradniesz, szpiegujesz, podsłuchujesz. – Zesztywniała na dźwięk aksamitnego i jednocześnie irytującego głosu. – Pełen wachlarz umiejętności.

Ramiona Leviego podkreślał gustowny, ciemny frak, a jasna muszka zdobiła jego szyję. Kamizelka opinała mięśnie klatki piersiowej, podczas gdy spodnie ciasno przylegały do nóg. Ciemne włosy miał jak zwykle poskromione i gładko ułożone.

– Wyglądasz, jakbyś mówił sam do siebie, więc lepiej uważaj, bo jeszcze cię wezmą za wariata – warknęła.

– Widzę, że dziś jesteś jeszcze miłsza niż zazwyczaj.

Odsunęła się, chcąc odejść, ale Levi zagroził jej przejście.

– Kto to był? Ktoś od Krakavców? Mają związek z moją matką? – spytał, wpatrując się w puste miejsce, w którym znajdowały się oczy Zory. Draboń potrząsnął głową. – Masz rację. To wygląda głupio. Chodź. I tylko spróbuj ode mnie uciec, a przysięgam ci, że pożałujesz.

Zora szła więc za nim, potężnie skrzywiona. Korytarze zaczęły pustoszeć, zatem akt drugi albo już się rozpoczął, albo rozpocznie się lada chwila. Przyjaciółki będą się o nią martwić. Musi szybko pozbyć się Leviego i do nich wrócić. Mężczyzna prowadził ją na

tyły teatru, aż wreszcie się zatrzymał i zniknął w małej garderobie, która wyglądała na nieużywaną od dawna. Zora poszła jego śladem, a gdy zostali sami, zmateriałizowała się i założyła ręce na piersi.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekła pierwsza. – Ale nie tutaj. Jestem tu z kimś i lepiej będzie, jeśli szybko wrócę, zanim zaczną mnie szukać.

Levi leniwie prześlizgnął się spojrzeniem po jej ciele, a Zora wbrew sobie zaczęła się rumienić. Dlaczego on to robił za każdym razem, gdy się spotykali?

– Przestań! To nie jest śmieszne, Levi. Nie życzę sobie tego. Będę dla ciebie szpiegowała, jeśli tak chcesz, ale to, co teraz robisz, jest po prostu niesmaczne. Naruszasz moje granice.

– Znam tę sukienkę – wymamrotał, jakby niepomny na jej reprimendę. Nie odrywał od niej oczu. – Nośłaś ją na balu u Šebestich.

– Co... co?

Głowa rodu Šebestich zesła z tego świata dobre kilka miesięcy temu i od tamtego czasu jego rodzina pozostawała w żałobie. Od dawna nie urządzali żadnych balów. Od... Zora przeszukała pamięć. Od roku? A może nawet dłużej. Zmarszczyła brwi. Rok temu rzeczywiście pojawiła się u nich na przyjęciu, chociaż oczywiście nie dlatego, żeby się bawić. Ale skąd...

– Widziałem cię tam – wyznał Levi, usidlając ją swoimi bladoniebieskimi tęczęwkami. Czują się jak w potrzasku. – Prawdę mówiąc, widziałem cię już wcześniej. Kilka razy. Ale dopiero na balu u Šebestich prawdziwie przyciągnęłaś moją uwagę. W tej sukience wyglądasz... obłądnie.

Zorze brakowało tchu. Czy on naprawdę powiedział... Zamrugnęła skonsternowana, a jej oddech przyspieszył. Levi przysunął się do niej tak blisko, że poczuła jego zapach – mieszaninę mydła i drzewa sosnowego.

– Zaintrygowało mnie, że podpierałaś ściany, chociaż mogłaś mieć wszystkich u swoich stóp. A potem zniknęłaś. Jakbyś rozpułyła się w powietrzu.

– Ja...

Zora musiała oczyścić umysł. Gwałtownie odsunęła się od Leviego i wpadła na ścianę. Przesunęła się nieznacznie, nie spuszczać wzroku z zamglonej twarzy mężczyzny. Jej serce zabiło jeszcze szybciej na widok wyrazu jego oczu, ale nie mogła tu zostać. Dłonią wymacała gałkę, przekręciła ją i wybiegła z garderoby. Po drodze nie zatrzymała się ani razu. Dopiero przed wejściem do loży wzięła głęboki oddech i przyłożyła chłodne dłonie do rozpalonych policzków.

Co... co to było? Levi bawił się nią, odkąd spotkali się w jego rezydencji, ale to...

Zadrzała.

Nie mogła teraz tego analizować. Wzięła się w garść i ledwie trzymając się w pionie, wkroczyła do łóży. Dana z Irmą od razu zareagowały na jej przyjście i szeptem domagały się wyjaśnień. Zora była tak zszokowana, że później nawet nie pamiętała, co im powiedziała. Wiedziała tylko tyle, że wyszły w trakcie spektaklu z powodu „dziwnego zachowania Zory”, jak ujęła to rudowłosa, i „złego samopoczucia Irmy”. Ich szalona noc skończyła się gwałtownie i przedwcześnie.

Cała kamienica spała, gdy Zora napełniała wannę wodą i olejkami. Obawiała się, że wszystkich obudzi, ale nikt nie przyszedł ani nie wrzeszczał. Wykąpała się, a potem wciągnęła na siebie ciemnozielone wełniane spodnie i pasującą do nich koszulkę. Posprzątała po sobie w łazience, po czym po cichu wspięła się na poddasze. W pokoju odstawiła lampę na biurko, odgarnęła wilgotne włosy na plecy i rozejrzała się za zapalnikami.

– Nie skończyliśmy rozmawiać.

Zora podskoczyła w miejscu i cofnęła się, wpadając na szafę. Niech to wszyscy duchowi i niematerialni... Błyskawicznie namierzyła siedzącego na jej łóżku Leviego Drabonę, który uśmiechnął się szeroko i wyciągnął przed siebie swoje długie nogi. Wciąż miał na sobie kamizelkę, spodnie i frak z teatru, choć jego włosy były nieznacznie potargane.

– Jak tu wszedłeś? – spytała drżącym głosem, za co z całego serca siebie znienawidziła.

– No, wiesz... Umiem przechodzić przez ściany.

Teraz znienawidziła siebie jeszcze bardziej. Zrzuciła winę na szok. I na swojego brata. Gdyby nie Petr... i tak dalej.

– Mogłeś przyjść rano do kawiarni – zauważyła cierpko. – Po co ten pośpiech?

Zakołysał stopami na boki, co wydało jej się irytująco urocze.

– Sprawa mojej matki jest sprawą pilną. Jeśli masz jakieś informacje, muszę wiedzieć. A mówiłaś, że musisz ze mną porozmawiać.

– Tak, ale nie o informacjach.

Levi się spał.

– To o czym w takim razie?

– O tym, że zostałam przyłapaną i że nie mam pojęcia, na czym stoję wśród Krakawców. Nie mogę dla ciebie szpiegować, a przynajmniej nie tak jak dotychczas.

– Jeśli boisz się kar, to chyba powinnaś o tym pomyśleć, zanim wstąpiłaś do gangu.

Zora spiorunowała go wzrokiem.

– A tego siniaka – Levi popukał się palcem we własną kość jarzmową – to zarobiłaś jeszcze przed naszą umową.

Umową, jasne. Zora tłumaczyła to na: przed szantażem, którym nagiąłem cię do własnej woli, nie zważając na twoje uczucia.

Poza tym początkowo nie wiedziała nawet, o czym Levi mówił. Już zdążyła zapomnieć, że Gustav ją uderzył, zresztą ciemnofioletowych śladów pod jej okiem pozostało już niewiele, a nawet tę resztkę zwykle przykrywał makijaż.

– Tak właściwie to oberwałam przez ciebie. – Wzruszyła ramionami, posyłając mu krzywy uśmiech. – Za niewykonanie zadania w Złotym Domu Aukcyjnym.

– Jak mówiłem – rzekł niezrażony – wiedziałas, na co się piszesz, gdy przystępowałaś do Krakavców.

Levi Draboń doprowadzał ją do szału. Ten ignorancki, bezmyślny, nieznośny, krnąbrny, zuchwały, arogancki...

– Nie jestem w nastroju na pogawędkę – wycedziła, zakładając ramiona na piersi. – Przyjdź jutro do kawiarni. O dziesiątej. Może być?

– Nie. – Opadł lekko do tyłu, opierając się na przedramionach, i znowu zakołysał stopami. Wokół siebie roztaczał irytującą pewnością siebie, sprawiając wrażenie, jakby zawłaszczwał przestrzeń, w której aktualnie się znajdował. – Co to była za kobieta w teatrze? I ten mężczyzna? Co odkryłaś?

Dlaczego on się tego uczeplił?

Zora wydała z siebie dźwięk w stylu „ugh” i machnęła dłonią.

– Oni w ogóle nie mają związku z tobą – wyjaśniła z lekką nutą politowania w głosie. – Jesteś tak zapatrzony w siebie, że pewnie nie mieści ci się to w głowie.

– A więc kto to? – drążył, spoglądając na nią uważnie.

Pokręciła głową, przestępując z nogi na nogę.

– To nie jest istotne – stwierdziła. – Istotne jest to, że zostałam przyłapana podczas szpiegowania. Ale teraz będzie jeszcze trudniej, bo Gustav jest... – Szukała odpowiednich słów, ale ich nie znalazła. – Krakavce zostali okradzeni. Słyszałeś o Medardzie Pinkavie?

– O tym tajemniczym kolekcjonerze? Dusa? – Levi od razu usiadł, prostując plecy. – Oczywiście. Zniknęła cała kolekcja Pinkava.

– Właśnie. Przedwczoraj to samo spotkało magazyn Krakavców. Po kradzieży została tylko...

– Notatka – dokończył Levi dziwnie stłumionym głosem.

– Tak.

– To się zrobiło niebezpieczne – powiedział, jakby do siebie.

– Jako kolekcjoner pewnie się martwisz. – Zora uśmiechnęła się półgębkiem. – I pewnie sam rozumiesz, że teraz sytuacja się... skomplikowała. Nie wiem jeszcze, co Gustav... – Urwała. – W każdym razie mam pewien pomysł, który może ci się spodobać. – Zagryzła wargi. Jej się to wcale nie podobało, ale musiała chronić to, co kochała. A potem ziewnęła głośno, w ostatniej chwili zasłaniając usta ręką. Gdy tylko się wyprostowała, złapała kpiące spojrzenie Leviego. – Jak widzisz, jestem zmęczona. Możemy przełożyć to na jutro? Twoja matka od tego drugi raz nie umrze, a jeśli Dusa zaplanował, że cię okradnie tej nocy, to i tak już mu nie przeszkodzisz.

Levi wstał, a Zora mimowolnie postawiła krok w tył. Mężczyzna uniósł brwi i uśmiechnął się lekko. Obrócił się, a gdy już jedną nogę przełożył przez ścianę, nagle znieruchomiał i rzucił jej ostatnie spojrzenie przez ramię.

– Ładna piżama.

Zora stała, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął. Zaraz potem spuściła lekko głowę, jęcząc w duchu. Nie żeby jej zielona piżama była jakaś szpetna, ale zdecydowanie nie nadawała się do oglądania przez kogokolwiek. Mechaty materiał przetaił się w kilku miejscach, a z boku koszulki wystawała długa nitka.

Zmysłownica wzruszyła ramionami, zgasiła lampkę, po czym odgarnęła kołdrę i żwawo pod nią wskoczyła. Musiała pozbierać wszystkie siły przed jutrzejszym spotkaniem z Levim. A tylko duchy wiedziały, że potrzebowała nadludzkich zasobów mocy.

Ubrana w szarą spódnicę i białą koszulę obszytą koronką wokół dekoltu zeszła do kawiarni, walcząc z zaciskającym się żołądkiem. Denerwowała się, ale pocieszało ją przynajmniej to, że Dana miała popołudniową zmianę i nie będzie musiała oglądać Leviego Draboña. Podczas gdy Zora chyba została na niego skazana. Oby nie dożywotnio.

Do jej serca wkradło się zwątpienie. Bo to szaleństwo się kiedyś skończy?

Westchnęła.

Nieosiągalne marzenia.

– Czy ja coś pomyliłem? Masz teraz zmianę? – zagadnął ją Vit, najmłodszy z kelnerów o marzycielskim spojrzeniu i jasnych kędziorkach na głowie.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Ja tu... Czekam na kogoś. Jestem umówiona. Tak. – I paplała od rzeczy. To z nerwów. Nie podobało jej się to.

Zupełnie jak na zawołanie przez próg Pohlednej Beruški przeszedł właśnie szczupły mężczyzna o niepokojącej aurze. Oczy Vita rozszerzyły się na jego widok, a z jego ust uciekło pełne zachwyty westchnienie. Levi oparł swoją laseczkę o ścianę, zsunął z ra-

mion marynarkę i powiesił ją na wieszaku. Wziąwszy z powrotem do ręki swoją własność, skierował się w głąb pomieszczenia i złapał spojrzenie Zory. Posłał jej psotny uśmiech i lekko machnął głową, milcząco nakazując jej iść za nim.

Zora zazgrzytała zębami. Draboń robił się zbyt apodyktyczny. To, że miał na nią haka i jej groził, wcale nie oznaczało...

Mogła się oszukiwać do woli, ale nie zmieni tym rzeczywistości, dlatego pożegnała się z oniemiałym Vitem i ruszyła w stronę ulubionego stolika Leviego.

– Napiłbym się kawy – oznajmił, ledwie Zora usadowiła swój tyłek na krześle.

Zmrużyła oczy i zacisnęła szczękę, ale nawet nie pisnęła. Wróciła się do lady, za którą wciąż stał rozmarzony Vit.

– Dwie kawy – odparła. – Zrobisz nam?

Chłopak się otrząsnął i skinął głową. Zanim Zora odeszła, nachylił się przez ladę i złapał ją za ramię.

– To twój chłopak? Jest boski.

Zmysłownica wykrzywiła wargi w grymasie. Przynajmniej ktoś nie sądził, że była za brzydka dla takiego bóstwa, za jakie uchodził Draboń.

– Wręcz przeciwnie, Vit. Wręcz przeciwnie.

Zostawiła go, zanim jakoś to skomentował, po czym zajęła miejsce przy stoliku naprzeciwko człowieka, przez którego ostatnimi czasy nie mogła spokojnie spać. Odważnie zmierzyła go spojrzeniem, próbując naśladować sposób, w jaki on zwykle prześwieślał ją wzrokiem. Zaczęła od góry, przez szyję i podskakujące jabłko Adama, potem przez ciemnozieloną kamizelkę i jasną koszulę, która podkreślała mięśnie jego ramion, aż do pasa i skrawka zielonych spodni, chowających się pod stołem.

– Przestań – rzucił z tak wyraźnym sarkazmem, że aż dziw brał Zorę, że się nim nie udławił. – Nie rób tego. To niesmaczne. Przekraczasz moje granice.

Zmrużyła powieki.

– Proszę bardzo, śmieję się, skoro to ci poprawia samopoczucie.

– Gdyby ci zależało na moim samopoczuciu, to przysłabys tu nago. – Mrugnął do niej.

– Co takiego? – Nie wiedziała, czy otwiera usta z szoku, czy ze złości.

– Słyszałaś wyraźnie. A teraz przejdźmy do rzeczy. – Psotny błysk zniknął z jego oczu, a kąciki ust przestały drżeć. – Co to za pomysł, o którym mówiłaś wczoraj?

Vit wybrał ten akurat moment, by nadejść z tacą i zdjąć z niej dwie porcelanowe filiżanki z wymalowanymi na nich krukami.

– Czy mogę coś jeszcze dla was zrobić? – spytał, nie odrywając wzroku od Leviego, który dostrzegł to i przybrał wyraz twarzy jeszcze bardziej kamienny niż wcześniej.

– Nie – odezwała się Zora. – W razie czego cię zawołamy.

Chłopak skinął głową i odszedł, choć w połowie drogi obejrzał się przez ramię, patrząc na Draboña zalotnie. Levi to zignorował, a Zorę kusiło, by wykorzystać tę okazję do kpin, ale nie mogła tego zrobić biednemu Vitowi. Zamiast tego chwyciła filiżankę i natychmiast cofnęła dłoń, sycząc. Mężczyzna drwiąco uniósł brew na ten widok.

– Wracając do tematu... – Postanowiła szybko przez to przebrnąć, coś jak połknięcie niedobrego syropu. Lepiej zrobić to od razu, a potem zagryźć czymś słodkim. – Chcesz szpiegować Krakavców, w porządku. Oczywiście uważam to za bezmyślne, ale jak wolisz. Wpadłam na to, że możemy zrobić to razem.

– Razem? – Levi spytał zduszonym głosem, jakby powstrzymywał wybuch śmiechu.

– Tak. Razem. – Głos Zory ociekał niechęcią. – Nikt nas nie przyłapie, jeśli będziemy razem. Ja użyję ci niewidzialności, a ty... – Machnęła dłonią w jego kierunku.

– A ja użyję ci umiejętności przechodzenia przez ściany?

– Właśnie.

– Miałaś rację. – Nachylił się w jej stronę z szatańskim uśmieszkiem majaczącym na ustach. – Ten pomysł przypadł mi do gustu.

Zmysłownica przewróciła oczami.

– Ale musimy chwilę zaczekać – zaznaczyła. – Kilka dni. Aż sytuacja w gangu się choć trochę uspokoi. Teraz po magazynie kręci się stanowczo za dużo ludzi, a Gustav wzmocnił obronę i patrole. Za bardzo byśmy ryzykowali. – Urwała na moment. – Ja za bardzo bym ryzykowała.

Chociaż tak właściwie to wszystko jedno. Samo szpiegowanie Krakavców jest równoznaczne z zakładaniem sobie pętli na szyję, myślała z goryczą.

– W porządku. Zgadzam się. – Levi ewidentnie się rozluźnił. Chwycił w dłoń filiżankę i opadł lekko do tyłu, upijając łyk.

– Masz jakiegoś konkretnego podejrzanego w sprawie zabójstwa twojej matki?

10

Levi zamarł, ale chwilę potem z udawaną nonszalancją pociągnął następny łyk kawy.

– Czemu pytasz? – spytał od niechcienia.

Zora wzruszyła ramionami.

– Z ciekawości.

– Miałem podejrzanego, ale skreśliłem go z listy.

– Kogo?

Zmysłownik odstawił filiżankę na spodek i omiół sylwetkę kobiety uważnym spojrzeniem.

– Po co ci to wiedzieć? – Jego głos pełen był podejrzliwości.

Żałował, że nie posiadał umiejętności zmysłowniczych swojej matki. Andrea potrafiła nie tylko ustrzelić muchę z odległości dwustu metrów, ale też za pomocą dotyku rozpoznawała kłamstwo. Ta zdolność bardzo jej się przydawała w różnych okolicznościach, na przykład takich jak ta.

– Mówiłam już. Z ciekawości. Nie zbieram informacji dla Krakavców, jeśli o to ci chodzi. Oni nie wiedzą o twojej matce, a jeśli nawet by wiedzieli, to wątpię, że by ich to obchodziło.

– Chyba że to ktoś z was ją zabił – zauważył chłodno.

Zora aż się skrzywiła.

– Więc podejrzewasz jakiegoś Krakavca?

Milczenie między nimi się przedłużało, więc z płuc kobiety uciekło potężne westchnienie.

– Słuchaj, Levi. – Spojrzała na niego z ukosa, gdy zamruczał coś niewyraźnie. – Wciągnąłeś mnie w to bagno, więc chciałabym przynajmniej poznać całą sprawę. Wiem, że jest tego więcej, niż zdradziłeś mi do tej pory.

Ręce mężczyzny zamknęły się wokół porcelany, która delikatnie ogrzała jego chłodne dłonie.

– Niech będzie – wycedził. Poruszył szczęką, próbując się odprężyć. – Moja matka o świcie wyruszyła na jakiś „honorowy pojedynek” z rzekomym kolekcjonerem, którego wyzwalała, bo niby uraził jej honor. Tyle że skończyła z postrzelonym sercem i głową, a po tym kolekcjonerze wszelki ślad zaginął. Nie możesz mnie winić, że od razu odrzuciłem pomysł z honorowym pojedyńkiem.

Zora niechętnie kiwnęła głową, upijając łyk swojej kawy.

– Straż miejska zajęła się sprawą, ale mój lokaj zeznał, że sama Andrea mu zdradziła, że wybiera się na honorowy pojedynek, więc strażnicy odpuścili. Ja natomiast postanowiłem kontynuować śledztwo.

– Czekaj. – Uniosła dłoń, przerywając mu. – Twój lokaj tak powiedział? Może jest w to wplątany.

– František? – Levi uniosł brwi i parsknął śmiechem, gdy przed oczami stanęła mu sylwetka ponad siedemdziesięcioletniego mężczyzny. – Jak na swój wiek jest dość zważy, ale to nie on. Wiem, że jest lojalny.

Jednak zmysłownica nie wydawała się przekonana, co nawet ubawiło Leviego.

– A jakiś inny służący? Ten drugi, którego masz?

Mężczyzna już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale szybko je zamknął i posłał swojej towarzyszce znaczące spojrzenie.

Machnęła ręką, nie wydając się zakłopotana.

– Przecież musiałam się przygotować, zanim wkradłam się na teren twojej posiadłości – wyznała z małym, irytującym uśmiechem.

Levi potrząsnął głową z silnym postanowieniem, by nie drążyć tematu.

– Możesz mi wierzyć, że znam moją służbę. To nie oni.

– Więc kogo podejrzewałeś?

Mężczyzna najpierw wypił odrobinę kawy, zanim na nowo podjął wątek.

– Po tym, jak przepytalem wszystkich w posiadłości i ich wykluczyłem, zacząłem grzebać w dokumentach matki, ale niczego nie znalazłem. To były papiery dotyczące rezydencji i artefaktów, same suche fakty. Spisałem listę potencjalnych wrogów, ale tak naprawdę wrogiem kolekcjonera jest drugi kolekcjoner, więc moja lista chyba nie miałaby końca. – Levi westchnął. – Musiałem pokopać trochę głębiej. To wtedy dowiedziałem się, z jakiej broni strzelano.

– Ale kogo podejrzewałeś?

Bawił go jej zirytowany ton.

– Kilka miesięcy przed swoją śmiercią moja matka zwolniła asystentkę, Ninę Wilčekovą. Przedtem przez kilka lat Nina nam towarzyszyła, była moją przyjaciółką, ale coś się zepsuło między nią a moją matką. – Mężczyzna popadł w zadumę, a jego oczy zaszyły mgłą. – Moja matka nie rozmawiała o tym ze mną, a Nina całkowicie się od nas odcięła. Również ode mnie. – Do jego głosu wkradły się okrucy żalu. – Mimo że próbowałem utrzymać z nią kontakt, ona nie chciała. A kiedy moja matka zginęła...

– Nina stała się twoją podejrzaną – dokończyła Zora. – I co?

I przysporzyło to Leviemu nowego bólu. Przez kilka dobrych lat Nina była jedyną bliską mu osobą, może oprócz Františka... i matki, chociaż Andrea nigdy nie dopuszczała

syna zbyt blisko siebie. Ich więź bardziej przypominała relacje między chłodną mistrzynią a pilnym uczniem.

– Kazałem ją śledzić. Mieszka teraz w Kaczkowej Dolinie i pracuje w tawernie. Obserwowałem ją przez miesiąc. Jest czysta. Kilkoro ludzi potwierdziło, że w noc śmierci mojej matki pracowała do rana.

– A dowiedziałeś się, dlaczego twoja matka ją zwolniła?

– Nie.

– To może być istotne. I może przekupiła tamtych ludzi, żeby ją kryli.

Levi uniósł brwi z rozbawieniem.

– Podejrzliwa jesteś.

– Mam instynkt samozachowawczy. Nie przetrwałabym wśród Krakavców tyle czasu bez niego.

Mężczyzna z rozmysłem dopił swoją kawę do końca.

– Prześwietliłem Ninę dokładnie. To nie ona.

– Więc twój jedyny trop to Krakavce.

– W rzeczy samej.

– Hmm. – Zora skryła twarz za filiżanką ze stygnącym napojem. – A co zamierzasz w sprawie Dusy? – indagowała dalej.

– Cóż... chcę go złapać. – Mężczyzna rozsiadł się wygodniej na krześle, obserwując szok malujący się na obliczu jego rozmówczynie.

– Odważnie. – Zora powoli skinęła. – A jak zamierzasz to zrobić?

– Teraz to już zbierasz informacje dla Krakavców – odparł z wyrzutem.

Wzruszyła ramionami.

– Może dzięki temu pożyję trochę dłużej.

– Dusa prawdopodobnie przechodzi przez ściany. – Poczekał, aż ta informacja do niej dotrze. Nie zawiódł się, zmysłownica od razu się lekko cofnęła, nabierając podejrzliwości. – Ale nie znam nikogo oprócz mnie, kto posiada taką umiejętność, więc jak na razie jest to dla mnie ślepy trop. Dostrzegłem za to coś innego. Pewną prawidłowość.

Urwał, wypatrując jej reakcji.

– Jaką? – dopytała z rezerwą.

Uśmiechnął się leciutko, tylko jednym kącikiem ust.

– Dusa poluje na kolekcje mające w swoich zbiorach część Wielkiej Piątki. To jedyne powiązanie między Pinkavem a Krakavcami.

– To sensowne. W końcu Dusa chce być największym kolekcjonerem Bydgošcy, więc powinien zacząć od Wielkiej Piątki. Krakavce mieli Figurkę Założycieli, a Pinkav... – Zora przeczesywała pamięć gorączkowo. – Topór Libuše?

– Tak.

– Kto ma pozostałą trójkę?

– Miejsce pobytu Srebrnej Zausznicy jest niejasne. Chyba że ty coś o tym wiesz?

Kobieta wzruszyła ramionami. Levi jeszcze przez chwilę świdrował ją wzrokiem, aż odpuścił.

– Lunula Tety jest w posiadaniu Ingrid Ducháčovej, a Kabłączki Kazi ma Radomir Vondřec.

– Więc to będą następne cele Dusy!

– Może tak, może nie – rzekł tajemniczo. – Zamierzam się podłożyć. Zdobędę któryś z artefaktów z Wielkiej Piątki i spokojnie poczekam na Dusę we własnym domu.

Czoło Zory przecięła zmarszczka.

– Tak po prostu? Jeśli coś pójdzie nie tak, możesz wszystko stracić.

– Ktoś go musi powstrzymać.

Zmysłownica łypała na niego okiem ze skwaszoną miną, aż chyba wreszcie uznała, że Levi jest dużym chłopcem i może samodzielnie ponosić konsekwencje własnych działań.

– Twoja decyzja – skwitowała.

– Moja. A nawiasem mówiąc, który artefakt z Wielkiej Piątki jest twoim ulubionym?

Rysy twarzy Zory złagodniały, a z jej gardła uciekło parsknięcie. Levi wpatrywał się w nią tak uważnie, że dostrzegał nawet najmniejszą zmianę w jej mimice i postawie. Początkowo chciał mieć tę rozmowę szybko za sobą, ale gdy tak siedział w Pohlednej Beruście w towarzystwie intrygującej kobiety, nagle już mu się nigdzie nie spieszyło. Pragnął przedłużyć tę wizytę najbardziej, jak się dało. Jego serce podskoczyło, gdy uświadomił sobie, że Zora także nie kwapiła się do odejścia.

– Niech się zastanowię... – Wydeła lekko usta i założyła za ucho kosmyk ciemnych włosów. – Na pewno nie Figurka Założycieli.

– Czemu nie? – spytał trochę urażony. – Jest najładniejsza z nich wszystkich. No i przedstawia Libuše z Přemyslem.

– Oczywiście lubię opowieści o Libuše. Która mała dziewczynka nie lubi historii o wojowniczej księżniczce, która po śmierci swojego ojca wstąpiła na tron i stworzyła Bydgość?

– Czyli co, to Přemysl ci przeszkadza? – Levi sam był zaskoczony, że zaczął się droczyć.

– Nie to, że mi przeszkadza, ale mam wrażenie, że doczepił się do tej opowieści na siłę. No miał akurat sprawne wojsko, i to jedyne, co zrobił. Gdyby nie to, nigdy w życiu nie

zostałby mężem Libuše. I nie lubię, że jego też określa się mianem Założyciela. On tylko...

– Miał wojsko. Rozumiem. Ale bez niego Libuše nie pokonałaby władcy Toruńa. Jakkolwiek sprawna była w walce, małżeństwo z Přemysłem było bardzo dobrym posunięciem taktycznym. Gdyby nie Přemysł, Bydgość zostałaaby zrównana z ziemią, zanim w ogóle ukończono by jego budowę. A po pokonaniu wroga rządził przecież miastem wraz z Libuše. Podobno był zresztą lepszym zarządcą od niej.

– Ta informacja nie ma historycznego potwierdzenia – zaoponowała ostro. – Władca Krok, jej ojciec, pisał o niej jako o najmądrzejszej i najbieglejszej w walce ze wszystkich swoich córek.

– W porządku, niech ci będzie. Ale skoro nie Figurka Założycieli, to który artefakt wolisz?

– Topór Libuše.

– Coś tak przeczuwałem – mruknął Levi, uśmiechając się psotnie. – Dlaczego? Bo to nim zabijała swoich wrogów podczas wielkiej bitwy o Bydgość?

– Tak, i z powodu ostrza. Jest inkrustowane srebrem i układa się we wzór kruka. To dopiero jest ładne, nie to co Figurka Założycieli.

– A co powiesz o zausznicy, lunuli i kabłączkach?

– Biżuteria jak biżuteria. – Zora wzruszyła ramionami. – Jest ładna. Ale z trzech sióstr zawsze najbardziej lubiłam Libuše, więc...

– Srebrna Zausznica też należała do Libuše.

– Jakoś broń bardziej do mnie przemawia niż błyskotki. – Zmysłownica odchrząknęła i odwróciła wzrok, a jej policzki lekko się zaczerwieniły, co Levi oglądał z zachwytem. – Czy twoim ulubionym artefaktem jest Figurka Założycieli?

– Wyobraź sobie, że tak – potwierdził z kwaśną miną. – Ale zostałem jej bestialsko pozbawiony.

– Ja... – Miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, by zarumienić się jeszcze bardziej.

– Chyba ustaliliśmy już wszystko – rzuciła pośpiesznie i wstała gwałtownie, przytrzymując krzesło za sobą, by się nie przewróciło. – Spotkamy się za kilka dni, żeby... wiesz co.

Levi zerknął na nią spod rzęs, po raz ostatni lustrując jej sylwetkę swoim przeszywającym wzrokiem.

– A więc do zobaczenia – wymruczał.

Zora zeszytniała odrobinę i niezręcznie skinęła mu głową, po czym niemal pobiegła do kawiarnianej kuchni. Mężczyzna patrzył za nią, jak błyskawicznie wspięła się po

schodach, aż zupełnie zniknęła mu z oczu. Z głębi jego gardła wyrwał się niski chichot, a w okolicy klatki piersiowej rozlało się tajemnicze ciepło.

Jeśli istniało coś, czego Levi nie cierpiał bardziej od Pekła w południe, było to Pekło późną wieczorową porą. Tęsknił za czasami, gdy do tej spelunki chodziła Nina, wyręczając go w zadaniu. Czasem wybierali się tutaj obydwój, a szelmowska natura dawnej przyjaciółki zawsze umiała mu pobyt.

Wszystkie stoliki zajmowało całe zbiorowisko najróżniejszych osobowości: od bezrękich i bezzębnych złodziei po elegancką elitę miasta, spragnioną prymitywnej rozrywki. Levi z tłumionym odruchem obrzydzenia lawirował między nimi, aż spostrzegł Laurę z kuflem piwa w ręce. Usiadł naprzeciwko niej, starając się zajmować jak najmniej miejsca. Blondynka jak zwykle się z niego śmiała. Czasem zmysłownik miał wrażenie, że specjalnie wybierała Pekło na miejsce ich spotkań, żeby popatrzeć na jego irytację i dyskomfort.

– No, no, no, dzisiaj jesteś mniej skrzywiony niż zazwyczaj – zarechotała.

– Bo dzisiaj wyglądasz jakoś wyjątkowo ładnie. – Obrażanie jej sprawiało mu ogromną satysfakcję w tych warunkach, zwłaszcza że Laura wcale nie była mu dłużna.

Zaśmiała się głośniej, uderzając otwartą dłonią w klejący się stół.

– Czasem myślę, że wolę robić interesy z tobą niż z Andream – wyznała, ocierając łzy z policzków. Levi stwierdził, że musiała być już co najmniej wstawiona. Nie podobało mu się to, potrzebował jej trzeźwego umysłu. – Andrea to była wyniosła paniusia. Ani razu nie słyszałam, żeby się śmiała.

– Nie życzę sobie, byś mówiła o mojej matce – wycodził mężczyzna, wydymając usta.
– Przejdź do rzeczy.

Laura odcharknęła i splunęła na brudną podłogę.

Niech wszystkie duchy mają go w swojej opiece...

– Zgodnie z twoim życzeniem, dziwaku. – Upiła łyk piwa, pozwalając, by cienka strużka spłynęła jej po podbródku. Wytarła ją wierzchem dłoni. – Miałam ucho na tę twoją pannicę.

– I?

– I wreszcie poczyniłam postępy. – Z kieszeni wiszącego na oparciu płaszczka wyjęła kopertę, ściskając ją w dłoni. – Spiknęłam się z jednym Krakavcem, ci to dopiero są oblechami. Spędziłam z nim jeden pieprzony wieczór i pozwoliłam się obmacać. Oczekuję za to podwójnej stawki, Levi.

Zmysłownik przewrócił oczami, ale kiwnął głową. Przelotnie zerknął na trzymane przez Laurę kartki, ale jej palce zasłaniały zawartość i nie potrafił jej przeświecić.

– Musiałam się naprawdę wysilić, żeby coś z niego wydusić – kontynuowała. – Na początku nawet nie mógł się skapnąć, o kim mówię. Tak niewidzialna jest ta twoja pannica, no mówię, pieprzony duch. Ale szybko wyszło szydło z worka, dlaczego jest aż taka niedostrzegalna. Otóż. Ta twoja dziewucha nie jest wcale Krakavcem.

Levi zamarł, taksując Laurę uważnym spojrzeniem.

– Co masz na myśli?

– To, że jest raczej ich pachółkiem. Taką szmatą, którą można wycierać podłogę. To nie moje słowa, jakby co, tylko tego palanta od Krakavców, ale spodobały mi się, więc se je zapamiętałam.

Zmysłownik lekko zmarszczył brwi, przechylając głowę na bok.

– Nadal nie do końca rozumiem...

– To prosta historia, nawet ty załapiesz. Mała ma brata. Brat narobił długów i zwiaaał. – Machnęła ręką. – W zastaw postawił siostrę, bo ona jest, tego, zmysłownicą. No i Krakavce się nią wysługują, a ona w ten sposób spłaca dług. Podobno zawsze dostaje robotę, której nikt inny nie chce. Przekichane, co?

Levi zamrugał, walcząc z falą spływającego na niego szoku. Poczul, jak zakiełkowała gdzieś w środku jego klatki piersiowej i zalała dalsze części jego ciała, aż dotarła nawet do koniuszków palców, które go zamrowiły.

Dlaczego mu nie powiedziała?

Nigdy by nie...

Urwał własną myśl.

No dobrze, może nadal wymagałby od niej współpracy, ale na wszystkie duchy tego świata, nie byłby aż takim gburem. Potraktowałby ją...

Ośłupienie szybko zaczęło mijać, zastępowane nową falą. Bardziej gryzącą i duszącą. Złością.

– Szczegóły masz tu, wypisane tak samo starannie jak zawsze, dziwaku. – Laura stuknęła w kopertę paznokciem, po czym podała mu ją. – Chcę za to podwójną stawkę. Pamiętaj.

Schował papier do kieszeni marynarki, jednocześnie wyjmując z niej sakiewkę, z której wyliczył odpowiednią liczbę monet. A potem wreszcie opuścił Pekło, zgrzytając zębami. Zaplanował sobie, że przy okazji następnego spotkania udusi Zorę Muškatołą za zrobienie z niego półgłówka.

– A jeśli Ducháčova nie zechce sprzedać ci Lunuli Tety?

Levi uniósł głowę znad papierów i wbił wzrok w stojącego nad nim Františka. Liczył właśnie pieniądze, które udało mu się pozyskać ze sprzedaży kilku swoich cennych artefaktów, i układał propozycję transakcji dla Ingrid. To musiało się udać. Ducháčovej zależało tylko na pieniądzach, więc lukratywna oferta powinna ją przekonać. Z kolei Radomir Vondřec to zapalony historyk amator, więc najbardziej liczyła się dla niego spuścizna historyczna. Żadna kwota mogłaby go nie zachęcić do sprzedaży. Z dwojga złego zdecydowanie więcej szans miał z Ingrid.

– Zechce. – Zmysłownik ze wzgardą machnął ręką, w której dzierżył pióro.

Tym razem rozłożył się z dokumentami na wielkim stole w jadalni, a nie przy swoim biurku w prywatnym gabinecie. Jego plan zwabienia Dusy nabierał rumieńców, choć nie napawało go to ani szczególną dumą, ani satysfakcją. Pozbył się kilku cennych egzemplarzy ze swojej kolekcji, co raczej go przygnębiało.

– Ale co, jeśli nie? – naciskał lokaj, oplatając palcami twarde oparcie krzesła.

– Nie wierzysz we mnie?

– Wierzę, że Lunula Tety jest cenna dla Ducháčovej.

– Zaproponuję jej wysoką cenę. Ingrid z niej nie zrezygnuje, nawet dla Wielkiej Piątki.

Jeszcze tego samego wieczora dobił targu, choć srogo przepłacił. Wracając do domu ze starannie zapakowanym naszyjnikiem z zawieszką, był tak zły, że na wszystkich warczał. Miał ochotę się na kimś wyżyć, ale nie mógł udać się na trening boksu czy szermierki. Jeszcze nie. Najpierw musiał dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Kiedy wpadł przez wielkie wrota prosto na dywany swojego eleganckiego korytarza, František niemal od razu znalazł się przy jego boku, pomagając mu ściągnąć marynarkę.

– Nie udało się? – spytał, błędnie interpretując nachmurzoną minę swojego pana.

– Przeciwnie – wycedził Levi, po czym uniósł w górę zawiniątko. – Ale nadszarpnąłem swoje fundusze.

Lokaj rozsądnie nie udzielił żadnego komentarza.

Kilka chwil później zmysłownik pstryknął włącznik na ścianie, światło padło na skromną kolekcję upchniętą w pokoiku na piętrze. Każda znajdująca się tu rzecz miała swoje określone miejsce i historię. Nawet stojące pod ścianami drewniane regały były zabytkami, własnoręcznie wykonanymi przez pradziada Leviego.

Mężczyzna usiadł na wąskim krześle obitym kwiecistym materiałem i ostrożnie odpakował Lunulę Tety. Łańcuszek, na którym wisiała, składał się z drobnych, żelaznych kółek, zdecydowanie późniejszych niż wisiołek, który stanowił tu prawdziwą wartość. Levi uniósł wyżej pięciocentymetrowy przedmiot w kształcie półksiężyca i dokładnie go

obejrzał. Lunula nosiła na sobie niewielkie ślady rdzy, ale wygrawerowany na niej kruk nadal był bardzo dobrze widoczny.

Levi zamknął w dłoni artefakt i umieścił go na honorowym miejscu na czerwonej poduszczyce w jednym ze swoich regałów.

Po tym od razu zabrał się za zastawianie pułapki.

Przeszedł przez pomieszczenie i uklęknął przy półkach blisko okien. Sięgnął ręką w głąb nich, aż jego dłoń przeniknęła przez drewno. Prześwietlając materiał oczami, wyraźnie widział zawartość tajnej skrytki, w której trzymał magiczne artefakty. Nie posiadał ich wiele, bo na Šero, ich kontynencie, występowały rzadko, a zamorska magia nie zawsze stanowiła przejrzystą kartę, z której każdy mógł korzystać.

Zacisnął dłoń na niewielkim, sześciennym przedmiocie, który przyciągnął do siebie. Usiadł na podłodze, krzyżując nogi, i obrócił w palcach artefakt. Przypominał kostkę imitującą drewno, choć materiał, z którego go wykonano, na pewno nim nie był. Prawdę mówiąc, Levi nie do końca wiedział, jakiego surowca użyto przy jego produkcji. Tworzywo pokryte było malunkami jasnych kwiatów, a farba mimo lat nie odchodziła od swego rdzenia.

Jego matka zdobyła tę kostkę przed wielu laty. Nazywała ją Dozorcą i swego czasu używała jej, by przypilnować niesfornego Leviego. Kiedyś tego nienawidził, teraz wspominał to raczej z nikłym uśmiechem na ustach.

Wyjął z kieszeni spodni nieduży sztylet i naciął sobie opuszek lewego palca wskazującego, cicho sycząc. Krople ciemnoczerwonej krwi rozmazał na rażącej bieli kwiatów, które najpierw rozzarzyły się na czerwono, a potem spiły jego krew jak szalone, pozostawiając po sobie znikome kłęby dymu. Wtedy z jednej ze ścianek wysunęła się listewka, na której zalśniły rubinowe oczy. Mrugnęły do Leviego i przeskanowały pomieszczenie, w którym się znajdowały, a po chwili znieruchomiały. Zmysłownik wstał i położył kostkę na jednej z półek, a zraniony palec wytarł o wygrzebaną z drugiej kieszeni chustkę. Zgasił światło i opuścił pokój.

Dozorca czuwał. Był na tyle wrażliwy, że wykryje najlżejszy ruch, o czym Levi od razu zostanie powiadomiony. Połączył się z tą kostką własną krwią.

Czasem zamorska magia, ta pochodząca ze Svitani, go przerażała. Była dzika i nieprzewidywalna, choć największy niepokój wywoływał w nim fakt, że można ją zamknąć w prostych przedmiotach. Ich kontynent, Šero, nie dysponował takimi mocami. Kiedyś, jeszcze zanim powstały miasta, istniało coś, co nosiło miano pradawnej magii, ale osadnicy zepchnęli ją do lasów i wytępilli do zera, po czym jej miejsce zajęło zmysłownictwo. A o zmysłownictwie można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że cechowała je dzikość czy nieprzewidywalność.

11

Po co właściwie Zora potrafiła stawać się niewidzialna, skoro nie mogła korzystać z tej zdolności wtedy, gdy była jej najbardziej potrzebna...

Zbierając się do gabinetu Gustava, robiła wszystko, by opóźnić ten moment. Udawała, że musi iść do łazienki, a potem do kuchni. Na koniec zaglądała do saloników, pozorując poszukiwania Emila. Kiedy go zobaczyła, siedzącego w jednym z foteli obitych ciemnoniebieską tkaniną, widok ten wyprowadził ją z równowagi, bo z jakiegoś powodu wcale nie spodziewała się z nim zetknąć. Choć jeszcze bardziej w konsternację wprowadziło ją jego towarzystwo.

Zora rzadko spotykała Irmę w bazie Krakavców, ale dzisiaj najwyraźniej nastał ten dzień. Zakradła się do niej i nachyliła nad jej ciałem, zasłaniając ręką oczy.

– Zgadnij kto – wychrypiała tuż nad jej głową.

Irma wyrwała się ze śmiechem, odwróciła się i stając na palcach, cmoknęła przyjaciółkę w policzek.

– Co tu robisz? – spytała Zora.

– Gustav mnie wezwał – wyjaśniła.

Zmysłownica popadła w zadumę.

– Więc może wzywa rutynowo swoich podwładnych – myślała na głos, nie potrafiąc powstrzymać nadziei w głosie. – Ja też właśnie do niego idę.

– Powodzenia – życzyła jej Irma z troską promieniującą z oczu.

– Jak wyjdiesz, Zoro, to znajdź mnie – rzucił Emil, marszcząc lekko nos. – Musimy pogadać.

Kiwnęła głową i odwróciła się z cierpienniczą miną, kiedy przypomniało jej się, że nawet nie zapytała o stan zdrowia przyjaciółki! Co prawda wymieniały wiadomości, ale to nie było to samo, co bezpośrednia rozmowa.

– A jak się czujesz? – Wbiła wzrok w Irmę, której pucołowata twarz rozświetliła się i lekko zaczerwieniła.

– Lepiej, dziękuję. Jak ci pisałam, musiałam zjeść coś nieswieżego, ale już jest dobrze.

Zora ponownie skinęła. Wówczas wzięła się w garść i ruszyła prosto do gabinetu szefa. Zaanonsował ją strażnik przy drzwiach, a próg przekroczyła z sercem w gardle. Gustav mruknął coś na przywitanie, ręką wskazując krzesło przed biurkiem. Mężczyzna miał dziś na sobie koszulę rozpiętą pod szyją, co w połączeniu z kilkuniedniowym zarostem sprawiało, że w gardle Zory nagle brakowało śliny.

Nienawidziła siebie za to, że Gustav nadal potrafił doprowadzić ją do tego stanu, mimo że nawet się nie starał.

– Jak wiesz, w magazynie mamy burdel, a ja nadal zajmuję się sprzątaniami – zaczął spokojnie. – Przez to nie mam czasu, żeby zajmować się czym innym.

Zora wytarła spocone dłonie o spodnie, drżąc w oczekiwaniu na dalsze słowa szefa.

– Zresztą, handel i przemysł artefaktami ostatnio przystopował przez wzgląd na tę dziwną sytuację z kradzieżami. To mnie niepokoi. – Mięśnie jego twarzy się napięły. – Zajmiesz się tym. Musisz namierzyć i ściągnąć tego, kimkolwiek jest, kto psuje szyki Krakavcom.

Zmysłownica rozchyliła usta.

– Mam... Chcesz... Jestem złodziejką – przypomniała mu. – Nie detektywką.

– Przebranzowisz się. – Gustav uśmiechnął się podle. – Bo tego właśnie od ciebie wymagam.

– Jak... – Urwała. Nie miała w dłoni żadnych kart dających jej przewagę. Nie mogła oponować, nie mogła się targować. Musiała robić to, co jej każą.

Poczuła w żołądku bardzo nieprzyjemny ciężar.

– To wszystko. – I już ją odprawił. Wbrew sobie zatęskniła za „ulubioną hmatową”.

– Chwileczkę.

Naraziła się na ostre spojrzenie.

– Skoro mam się tym zająć, rozumiem, że dostanę dostęp do innych baz gangu? Do informacji?

– Tak, tak. Emil się tym zajmie. Nie zawracaj mi już głowy – warknął. – I wynoś się.

Wstała i wyszła tak szybko, że była niemal pewna, że się za nią kurzyło.

Kiedy schodziła ze schodów, z naprzeciwka nadszedł Boaz. Zora spięła się, uważnie lustrując wzrokiem jego rozwichrzone, jasne włosy i dobrze skrojoną marynarkę. Mężczyzna uśmiechnął się do niej w sposób sugerujący, że łączyły ich sekrety. Nie podobało jej się to. Mijając ją, szturchnął ją ramieniem i wcisnął jej coś w dłoń. Nie raczył na nią nawet spojrzeć i zaraz zupełnie zniknął jej z oczu. Zora stanęła na dole i rozwinęła kartkę, którą jej dał. W słabym świetle literki zlewały się ze sobą.

Podejrzewam, że mój chłopak mnie zdradza. Sprawdź to, znajdź mi dowód, a zapomnę o twoim postępkach.

Pod spodem podał nazwisko i adres. Zmysłownica westchnęła i włożyła wiadomość za dekolt bluzki.

Kiedy dotarła do saloniku, nie zastała już Irmy, ale blondyn siedział w tym samym miejscu. Zora zajęła miejsce obok niego i spojrzała w niebieskie oczy mężczyzny.

– Pewnie już wiesz, ale Boaz milczy jak grób – rzucił Emil bez ceregieli, choć ściszył głos. – Nie pisnął nawet słówka, nikomu. Twoja pozycja wśród Krakavców pozostaje niezmienną.

– No nie wiem – sprzeciwiła się słabo, czując ciężar kartki tuż przy skórze. – Teraz mam się zająć Dusą.

– A, tak. Gustav już mi przekazał wszystkie dane. Mamy sporo do omówienia.

– Ale najpierw... – Zora przygryzła wargę.

– Jeśli chodzi o Draboña. – Emil chyba czytał jej w myślach, chociaż na jego twarzy odbiło się poczucie winy. Poprawił okulary na nosie, zanim przemówił. – Wciąż nie mam niczego. Przepraszam. Sporo się teraz dzieje u Krakavców i...

Zmysłownica machnęła ręką, odchylając głowę. Przymknęła powieki, czując zbliżający się ból głowy.

– Nie przejmuj się – rzuciła lekko.

Przez chwilę wkradły się między nich dźwięki dobiegające z bazy: głośnie rozmowy, chichoty i odległy brzęk metalu.

– Czy... – Emil przełknął ślinę i podrapał się po zmierzwionych, jasnych włosach. – Możemy przejść do omówienia szczegółów twojego najnowszego zadania?

Z gardła Zory uciekło westchnienie.

– Zaczynaj.

Kiedy Zora wyszła z bazy Krakavców, nastało już dojrzałe popołudnie. Ostre promienie słoneczne przebijały się przez ciężkie deszczowe chmury i oświetlały lśniące dachy oraz siedzące na nich kruki. W Śródmieściu panował natomiast zwyczajowy gwar. Po brukowanych uliczkach przejeżdżały powozy lub pojedynczy jeźdźcy, a po chodnikach w tę i w tę spieszyli się piesi z koszykami lub teczkami w dłoni.

Gdy Zora doszła do punktu dorożek upchniętego na niewielkim placu między kamieniczkami, z rozdrażnieniem zdała sobie sprawę, że nikogo na nim nie było. Poszła więc dalej, zmierzając ku Centralnemu Placowi. Przy jego krawędzi na podwyższeniu stał wielki pomnik konny przedstawiający króla, o którym mieszkańcy mieli specjalne powiedzenie: „Zastał Bydgość drewnianą, a zostawił murowaną”, z racji tego, że za jego panowania przebudowano, ulepszono i powiększono całe miasto. Zmysłownica przecięła tętniący życiem rynek po przekątnej, omijając kupców, handlarzy i uciekające komuś stado gęsi. Po drugiej stronie placu wznosiła się smukła świątynia, do której okoliczni wierni przychodzili oddawać cześć duchom.

Jak tak dalej pójdzie, to do domu w Dzielnicy Młyńskiej Zora dotrze piechotą. Popadła w zadumę, patrząc w górę, ponad dachami budynków, na walczące o każdy wolny skrawek nieba słońce. Nie zapowiadało się na deszcz, więc mogła pozwolić sobie na ten przydługi spacer.

Przeszła po moście wzniesionym nad Udolą, tym samym wkraczając na Wyspę Młyńską, która kiedyś stanowiła główny punkt mielenia zbóż, dostarczanych z sąsiadującej Dzielnicy Rolniczej. Obecnie młyny nadal pracowały, ale sporą część wyspy przeznaczono na park, w którym spragniona rekreacji dawna arystokracja mogła spędzać swój cenny czas.

Im dalej od Centralnego Placu znajdowała się Zora, tym mniejsze napotykała na swojej drodze tłumy. Gdy zeszła z uroczego mostku przerzuconego przez Vodny Młyn, dzięki rzeczkę porośniętą bujną roślinnością, znalazła się między dobrze jej znanymi kamienicami z szarych cegieł. Płaskorzeźby nad oknami, półkolumny z kapitelami w kształcie kruka, a niekiedy zamiast nich dokładnie wyrzeźbieni atlanci zwykle sprawiali upiorne wrażenie, zwłaszcza zasnuci mgłą. Dziś jednak wydawali się Zorze piękni.

Nie spoglądając pod nogi, tylko oglądając elementy architektoniczne mijanych budowli, Zora popełniła poważny błąd. Nie upewniła się, czy okolica była dostatecznie bezpieczna. To dlatego nie dostrzegła w ciemnym zaułku czyhającej na nią postaci ani nie zdołała wymknąć się ramionom, które wystrzeliły w jej stronę.

Zora poczuła jedynie pęd powietrza na skórze oraz twardy kamień pod plecami, które zapiekły ją, gdy z impetem uderzyła o ścianę. Syknęła i nie zastanawiała się nad następnym ruchem. Zdołała oswobodzić jedną rękę, która szybko dobyte przytroczono do pasa sztyletu. Lśniące ostrze błyskawicznie znalazło się na szyi nieco wyższego od niej napastnika.

Jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała w szybkich oddechach, a w żyłach płynęła czysta adrenalina. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że wdycha dobrze znajomy jej zapach drzewa sosnowego, a prześwietlające ją oczy miały zadziwiająco jasną, niebieską barwę.

– Czyś ty postradał zmysły? – syknęła do stojącego przed nią Leviego.

Jednym ramieniem nadal przyciskał ją do ściany, a czubki ich butów się stykały.

– Należało ci się – odpowiedział jej podobnym tonem.

– Za co? – spytała autentycznie zaintrygowana, czując, jak jej serce powoli się uspokajało. Mimo tego dłoń nawet jej nie zadrżała, a gdyby Draboń zbliżył się w jej kierunku jeszcze odrobinę, utoczyłaby mu kilka kropel krwi.

– Za twoją nieszczerą względem mnie.

Zora parsknęła śmiechem.

– Przestań się wygłupiać i się cofnij – nakazała mu ostro.

– Najpierw zabierz sztylet.

– Ty pierwszy.

Levi posłał jej pełne wyższości spojrzenie, które jasno sugerowało, że on nie ustąpi pierwszy. Świetnie. Zmysłownica nie miała planów na resztę dnia, więc mogła tu tak stać do północy.

– Śledziłeś mnie? – Uważnie przestudiowała jego twarz, ale dostrzegała na niej tylko ślady złości i zimnej determinacji.

– Szedłem właśnie do Pohlednej Beruški, gdy dostrzegłem cię idącą ulicą – oznajmił.

Od jego bliskości zaczęło jej się robić gorąco, a jej dopiero co uspokożone serce zadygotało z zupełnie innych powodów niż ostatnim razem.

– I co? Postanowiłeś się na mnie zacząć jak pospolity zbir? Wciągnąć mnie do ciemnej alejki?

– Zrobiłaś ze mnie głupca.

– Na wszystkie duchy tego świata! – wykrzyknęła odrobinę za głośno, a jej ramię opa-
dło. Nie patrząc w dół, schowała sztylet bezpiecznie do pokrowca.

Mimo tego Levi się nie cofnął, wręcz przeciwnie. Zora miała wrażenie, że znalazł się jeszcze bliżej niej, bo nagle zabrakło jej powietrza w płucach.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie? – wycedził, starannie wypowiadając każdą głoskę. Przechylił lekko głowę na bok i potrząsnął ją lekko za ramiona. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie pracujesz dla Krakavców dobrowolnie?

A więc o to mu chodziło. Zora posłała mu pełne politowania spojrzenie, przetykając ślinę. Jej cienka koszula nie stanowiła żadnej ochrony przed jego zaciskającymi się na niej palcami.

– Bo to nie jest twoja sprawa.

– Ale pozwoliłaś, żebym... – Zacisnął szczękę, choć Zora i tak dokończyła w swoich myślach: *...głupio myślał, że jesteś Krakavcem i z tego powodu źle cię traktował?*

– Poza tym, czy odkrycie moich powiązań z Krakavcami nie miało być czasem „niemal niemożliwe”? – zapytała z przekąsem.

Levi docisnął ją mocniej do ściany. To nie bolało, ale nie było też przyjemne.

Kłamczucha.

– Niemal niemożliwe, czyli nie całkowicie niemożliwe – wyjaśnił z błyskiem dumy i irytacji w oku.

Nie cofnął się, nadal świdrując ją wzrokiem. Zora nie mogła już tego znieść, potrzebowała odetchnąć powietrzem nieprzesyconym zapachem drzewa sosnowego czy jego

mydła.

– Czy jeśli cię przeproszę, to mnie puścisz? – wykrztusiła.

Mysłał nad jej propozycją, ale najwyraźniej nie potrafił się zdecydować. Wtedy Zora wpadła na szatański pomysł, który w tamtym momencie wydał jej się tak mściwy i podły jak jeszcze żaden w jej życiu. Pochyliła się, pokonawszy zaskakująco mały dystans, i cmoknęła Leviego Draboña prosto w usta. Jego uścisk automatycznie zelżał na tyle, że wygramoliła się z jego ramion i stanęła obok mężczyzny w wąskiej, zatęchłej uliczce, po której spływała nieczysta woda i śmieci.

Zachowała między nimi stosowny dystans, siłą woli powstrzymując się, by nie przesunąć palcami po swoich mrowiących wargach. Gdy złapała wzrok Leviego, zaschło jej w gardle, a w płucach ugrzęzło całe powietrze. Jego oczy krzyczały do niej, że on ją widzi. Dostrzega. Dla niego na pewno nie była niezauważalna.

To ją przerażało, dlatego obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kawiarni. Nie musiała długo czekać na to, by przyłączył się do jej boku.

– Dlaczego mnie pocałowałaś? – spytał z psotnym uśmieszkiem.

– Nie nazwałabym tego pocałunkiem. – Nie powinna odczuwać aż takiej satysfakcji, powtarzając jego słowa, ale tak, zadowolenie wręcz się z niej sączyło.

– *Touché* – mruknął z tajemniczym błyskiem w oku.

Przebyli niemal całą drogę do Pohlednej Beruški, zanim Levi znowu się odezwał.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami, wpatrując się w lekko kołyszący się szyld na żelaznym łańcuchu z nazwą lokalu i prostym, ale ładnym rysunkiem biedronki.

– Nie sądziłam, że to cokolwiek zmieni – powiedziała mu tę prostą prawdę.

– Jak... – Mężczyzna urwał raptownie. – Opowiesz mi, jak do tego doszło?

– Co takiego? – wyrwało się Zorze z oburzeniem.

Dotarli przed drzwi kawiarni i przystanęli. Teraz słyszeli delikatne skrzypienie, które powodował huśtający się szyld.

– Chciałbym wiedzieć – wyznał Levi nietypowym dla niego miękkim tonem.

Kobieta nie potrafiła odnaleźć właściwych słów, więc zniknęła w Pohlednej Berušce, ale Levi deptał jej po piętach. Zamierzał ją przesłuchać. Ta sprawa go zbyt intrygowała, by miał ją tak po prostu odpuścić.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, Levi – mruknęła Zora, gdy znaleźli się w ustronnym kącie, w którym ich głosy nie roznosiły się po kawiarni. Stali naprzeciwko siebie, pewnie bliżej, niż wymagała od nich przyzwoitość związana z eleganckim lokalem, w którym przebywali. – Nie jesteśmy nawet znajomymi. Odkąd tylko się spotkaliśmy, ciągle mi grozisz. Nie będę zwierzała ci się z mojego życia.

– Ale możemy się chyba nazywać partnerami? W końcu zamierzamy razem wkraść się do Krakavców.

– Robię to, bo mi grozisz. – Posłała mu znaczące spojrzenie, które zresztą skopiowała od niego. – Nie jesteśmy partnerami.

Levi otworzył usta, zamierzając rzucić jakąś ripostą, ale nagle przez jego ciało prze-mknęła fala bólu i zatrzymała się tuż za skronią. Pulsowała nieprzyjemnie, posyłając w głąb czaszki palące ostrzeżenie.

Jego oczy się rozszerzyły.

– Dusa... – wyszeptał.

Rzucił Zorze ostatnie spojrzenie i wybiegł z kawiarni, modląc się do duchów, by zdążył na miejsce, zanim będzie za późno. Zanim zostanie z niczym.

12

Ledwie za Levim zamknęły się drzwi, Zora niemal bez zastanowienia ruszyła jego śladem. W końcu Gustav kazał jej zająć się Dusą. Nie miała wyboru. Musiała iść za Drabonem.

A przynajmniej tak sobie to tłumaczyła.

– Zora! – Nawet zaskoczony głos Dany jej nie zatrzymał.

– Później! – odkrzyknęła, po czym już jej nie było w Pohlednej Berušce.

Najpierw zmartwiła się, że go zgubiła. Stała na chodniku, rozglądając się to w prawo, to w lewo. Musnęła spojrzeniem przetarte koszule pracowników fabryki i krawędzie spódnic przechodzących obok kobiet. Nigdzie nie dostrzegła szczupłej sylwetki odzianej w ciemnoszarą marynarkę. Aż wreszcie wyłonił się w plamie światła w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Zatrzymał przejeżdżającego jeźdźca, brutalnie zrzucił go z siodła i ukradł mu konia. Szczeka Zory mocno opadła.

Teraz musiała działać bardzo, bardzo szybko.

Pobiegła na wewnętrzny dziedziniec za kawiarnią, gdzie stała zadbanej stajnia z tylko dwoma końmi, bo jej rodzina więcej nie potrzebowała. Stajenny zerwał się z drzemki na jej widok, otrzepując włosy i ubranie z siana.

– Dalej! – wrzasnęła na niego. – Rusz się!

Razem z chłopcem przygotowała konia do jazdy, zdając sobie sprawę, że chyba nigdy wcześniej nie zrobiła tego w tak błyskawicznym tempie. Nie oglądając się za siebie ani nie dziękując sapiącemu stajennemu, pomknęła naprzód. Przeklinała w duchu swoje opóźnienie, ale jeśli dobrze rozumiała sytuację, to nie musiała śledzić Leviego. Doskonale wiedziała, dokąd się udał.

Gdy dotarła do ponurej rezydencji, zapadł zmierzch, a znad wody uniosła się mgła, spowijając na swojej drodze wszystko, na co natrafiła. Temperatura spadła, a rosnąca wilgotność skręcała jej krótsze włoski w małe loczki. Zeskoczyła z konia, wbiegając na zwirową ścieżkę, prowadzącą prosto do olbrzymich drzwi. Ledwie się przy nich znalazła, gdy stanęły otworem, a zza nich wy dostał się Levi, z którym niemal się zderzyła.

– Dusa! – krzyknął, mijając ją. – Ucieka mi!

Popędził przez swój własny trawnik, goniąc postać chowającą się za osłoną z mgły. Dusa wspiał się na ogrodzenie i pognął dalej, a Levi deptał mu po piętach. Zora poczuła w żyłach uderzenie adrenaliny i także postanowiła wziąć udział w pościgu. Nie zważając na strażników posiadłości, którzy wyglądali, jakby chcieli ją złapać, umknęła im, podejmując inną trasę niż Levi i Dusa.

Dziękowała duchom za to, że zdecydowała się dziś na założenie spodni.

Biegła chodnikiem w miarowym tempie, a jej serce biło odrobinę szybciej niż zazwyczaj, choć w wyuczonym, spokojnym rytmie. W oddali po prawej majaczyły jej dwie szybko poruszające się sylwetki, które po chwili także znalazły się na ulicy. Dusa zmierział w stronę przeciwną do Udoli, a więc gnał w kierunku lasu na obrzeżach miasta. I był diabelnie szybki, z tego, co widziała Zora poprzez mgłę i spływający po jej twarzy pot.

Po okolicy roznosiły się uderzenia ich stóp o śliski bruk, ale wkrótce dźwięk stłumił wilgotny piasek. Domy zaczęły maleć i rzednąć, niektóre wyglądały na opuszczone lub podniszczone. Z ust Zory wydostawały się kłęby pary, a pomimo szaleńczego biegu na jej ramionach pod cienką koszulą pojawiła się gęsia skórka. W oddali widziała już niknącą w ciemności gęstą ścianę drzew, między którymi zniknął właśnie Dusa, a Levi poszedł w jego ślady. Zora nawet się nie zawahała. Przeskoczyła nad powalonym pniem, a mrok lasu natychmiast ją połknął.

Paliło ją w gardle, a nogi powoli dawały znać, że mają dość, jednak Zora nie biegła tak po raz pierwszy w życiu. Co prawda zwykle to ona uciekała, a nie goniła, ale ogólnie rzecz biorąc, na jedno wychodziło.

Między drzewami mgła była mniejsza, za to szarość nocy bardziej gęsta. Gałęzie zaczepiały jej włosy, ubrania i kryjącą się pod nią skórę, ale póki majaczyła jej w oddali sylwetka Leviego, Zora nie mogła zwolnić. Wiatr wkradł się pod kołnierz koszuli, ostudząc nieco pot zbierający się na karku, a od odległego krakania włoski na rękach stanęły jej dęba.

Las otaczający Bydgość nie należał do miejsc, do których chodziło się na miłe spacerunki lub przyjemne pikniki. To tutaj mieszkały wszystkie stworzenia, które dawno temu z miasta wygonili osadnicy. To był ich teren. I bardzo nie lubiano tu obcych. Przed oczami Zory stanął wizerunek biesa ze Złotego Domu Aukcyjnego z czarną sierścią i rogami ostrymi jak brzytwa. Szybko odgoniła ten obraz, nie chcąc straszyć samej siebie bardziej niż to konieczne.

Mrugnęła kilkukrotnie, gdy sylwetka Leviego, zamiast się oddalać, zaczęła się przybliżać. Ostrożnie zwolniła, sapiąc okrutnie, aż znalazła się tak blisko niego, że dokładnie widziała jego unoszące się ramiona, a nawet słyszała krótkie wdechy, jakie brał. Odwrócił się do niej ze stygnącym potem na czole. Zora niemądrze spostrzegła, że ciemne włosy sterczały na wszystkie strony, co nadawało mu wygląd zawadiackiego pirata.

– Zgubiłem go – warknął, a jego głos rozniósł się po przyprowadzającym o ciarki lesie. – Zupełnie jakby rozpląnął się w powietrzu. – Pokręcił głową, próbując uspokoić oddech. – Widziałem go, a zaraz potem... nie.

Zora skinęła i oparła się czołem o chropowatą korę najbliższego drzewa.

– Odpoczniemy chwilę i wracamy? – wydyszała.

– Tak. – Kącik ust Leviego lekko się uniół w dobrze jej już znanym psotnym uśmiechu. Jego plecy wsparły się o stojącą obok sosnę. – Co ty tu właściwie robisz?

– Pomagam – wyjaśniła, próbując brać głębokie wdechy i długie wydechy. Przetykała ślinę, by choć odrobinę zwilżyć suche gardło.

– Dlaczego?

– Bo Gustav kazał mi się zająć Dusą. – Zora była bardzo zadowolona z faktu, że nie skłamała.

Krakanie gdzieś nad ich głowami sprawiło, że Zora się wzdrygnęła. Levi też nie wyglądał na tak pewnego siebie jak zazwyczaj. Machnął głową w kierunku, z którego przyszli. Chyba. Zmysłownica zmarszczyła lekko brwi, próbując zdusić w sobie panikę. Te wszystkie krzewy i drzewa wyglądały tak samo, co sprawiało, że łatwo byłoby tu zgubić drogę.

– Idziemy? – spytał.

– Tak.

Ruszyli ramię w ramię. Ich buty deptały po igłach i mchu, a lekko przyspieszone oddechy mieszały z rześkim zapachem poszycia i żywicy.

– Jak on wyglądał? – szepnęła Zora, bojąc się, że każdy głośniejszy dźwięk sprowadzi na nich nieszczęście. Jej serce zadrzało, podobne jak nogi, wycieńczone po szaleńczym biegu. – Dusa?

– Nie widziałem. – Levi zmarszczył czoło. – Był oczywiście zamaskowany, ale nawet po prześwietleniu nie potrafiłem ustalić rysów jego twarzy czy koloru włosów. Wiem tylko tyle, że jest niski. Na pewno niższy ode mnie i od ciebie.

Wkroczyli na wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę i schylając się, by ominąć nisko wiszące gałęzie, sunęli naprzód.

– To nadal daje nam zbyt szeroką grupę podejrzanych – skwitowała.

– Nie rozumiem tego, wiesz – ciągnął zmysłownik, popadając w zadumę. – Nie rozumiem, dlaczego go nie widziałem. Kiedy tylko skupiałem na nim wzrok i prześwietlałem ubranie, widziałem jedynie zamazany obraz. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. To wszystko jest strasznie dziwne, Zora. Dusa nie jest jakimś zwykłym, pierwszym lepszym kolekcjonerem, który cierpi na chorobliwą ambicję. Było w nim coś tak... nieuchwytnego i osobliwego.

Kobieta odgarnęła ręką następną gałąź.

– Co się tam właściwie stało? – spytała.

– Jak tylko przybyłem...

Levi urwał, po czym oboje nagle znieruchomieli, a ich głowy jak w jednym rytmie obróciły się na prawo. Zora instynktownie przysunęła się bliżej mężczyzny, chłonąc bijące od niego ciepło.

– Ty też to czujesz? – wykrztusiła, mając na myśli drzenie ziemi, jakby...

Dotkliwie zimno przepłynęło przez jej ciało, wbijając się lodowymi soplami w jej skórę.

– Biegnij – wyszeptał zastygły Levi.

– Co? – Czy ona dobrze usłyszała?

– Biegnij!

Drabon złapał ją za dłoń i pociągnął w przeciwną stronę do tej, z której nadciągało... Zora chyba nie chciała wiedzieć co.

Chociaż lepsza wiedza niż ignorancja. To pozwoli jej być sprytniejszą w razie jakiegoś nagłego wypadku.

– Co to?! – przekrzyczała pęd powietrza, zmuszając płuca do ponownego wysiłku.

Oboje biegli wolniej niż poprzednio, zbyt zmęczeni, by dać z siebie wszystko.

– Borowi.

Mimo protestu mięśni przyspieszyła.

Ich dłonie się rozłączyły, gdy zaczęli nabierać tempa, ale za sobą nadal czuli zbliżające się niebezpieczeństwo, które niesło się skrzekliwym echem między koronami drzew. Levi odbił nieco na lewo, wpadając na Zorę, która niemal się przewróciła. Mężczyzna przytrzymał ją ramieniem i zaraz na nowo podjęli bieg. Zaczęła wyprzedzać swojego towarzysza, ale zaraz zwolniła, zrównując z nim krok. Machnął na nią ręką, nakazując jej gnać dalej.

– I tak nie zdążymy – powiedziała. A może tylko pomyślała? Nie była pewna.

I ku swojemu utrapieniu miała także rację.

Pierwszy borowy wyłonił się z lewej strony. Sunął olbrzymimi krokami, a jego porośle korą nogi łamały z trzaskiem nawet te większe gałęzie. Ręce też pokrywała mu kora, spomiędzy której gdzieniegdzie wyrastały małe, zielone listki. Na głowie dumnie nosił okazałe poroże, a jasne oczy wyzierające zza obrośniętej mchem twarzy łypały prosto na nich. Wyglądał, jakby zamierzał się na nich zamachnąć, ale inny borowy skoczył na niego od tyłu, więc oboje z dzikim wrzaskiem przetoczyli się po runie leśnym.

Między mieszkańcami miasta krążyło takie powiedzenie dotyczące tych stworzeń: „borowi nie znoszą siebie nawzajem, ale ludzi nie znoszą jeszcze bardziej”. Zora wiedziała, że to bardzo terytorialne istoty, non stop prowadzące spory o ziemię. Nigdy wcześniej nie miała okazji, by obejrzeć to widowisko na własne oczy.

Dużo by dała, by komuś innemu odstąpić bilety, które los nieoczekiwanie wcisnął jej w dłoń.

Zacząli zwalniać, gdy coraz więcej borowych wynurzało się z lasu za nimi. Serce Zory biło tak szybko, jakby chciało wyrwać się spomiędzy żeber i uciec gdzieś daleko.

– Włączaj niewidzialność i uciekaj – warknął Levi tuż nad jej uchem.

Jej szyję owiał jego ciepły oddech, od którego dostała gęsiej skórki.

– A co z tobą? – spytała chrapliwie.

Niektórzy borowi tarzali się po ziemi, rycząc głośno. Drapali po twarzy przeciwników i ich gryźli, aż powietrze stało się gęste od zapachu żywicy. Inni biegli dalej, przeskakując nad walczącymi albo po prostu ich depcząc.

Coś wpadło na nią od tyłu tak mocno, że wyrznęła o ziemię dłońmi i kolanami, które natychmiast zapiekły ją żywym ogniem. Szybko przekręciła się na plecy, widząc nad sobą wielką stopę, przed którą chyba tylko cudem zdążyła uciec, turlając się na bok.

– Ludzie! – Powietrze przeszył pisk. – Tu są ludzie!

Borowi jak na ustalony sygnał znieruchomieli i zaczęli węszyć w powietrzu. Zora zerwała się na nogi, szukając wzrokiem Leviego, ale ten gdzieś zniknął. Oblało ją duszące, nieprzyjemne uczucie, a na płucach ktoś założył jej ciasną obręcz. Zostawił ją?

Kobieta cofnęła się w stronę, z której przybyli, nadal gorączkowo sondując okolicę. Może było za ciemno, by go dostrzec. A może Levi leżał gdzieś nieprzytomny? Albo po prostu uciekł. Cenne sekundy ulatywały jej przez palce, a Zora czuła każdą z nich jak skapujące z palca krople krwi. Z nieszczęśliwą miną wreszcie podjęła decyzję i z ulgą wtopiła się w cień, z lubością stając się częścią nocy. A potem się obróciła i zostawiła za sobą borowych, którzy szybko powrócili do gonitwy, walki i wrzasków.

Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy nie czuła już drżenia ziemi, a wrażenie niebezpieczeństwa minęło. Ze ściskającym gardłem osunęła się w dół po szorstkiej korze drzewa i podciągnęła pod brodę kolana. Nadal sączyła się z nich krew, choć powoli zaczynała krzepnąć. Miała nadzieję, że w ranę nie wda się żadne zakażenie, bo spotkałby ją smutny koniec.

Zresztą, zanim wykończą ją powikłania, mogły ją dopaść inne stworzenia lasu. Albo chłód, który spadł na nią jak ostry bicz, sprawiając, że szczykała zębami. Owinęła się ciałniej cienką koszulą, nie zważając na piekący ból w startej skórze dłoni.

Jak miała teraz wrócić do domu? Nie wiedziała, gdzie się znajdowała ani w którą stronę powinna się udać. Wiedziała, że niektórzy potrafili w środku lasu ustalić kierunki świata, ale Zora nigdy nie przeszła takiego szkolenia u Krakavców, sądząc, że jej się nie przyda. Działała przecież w mieście, nie w środku dziczy.

Odchyliła głowę, łagodnie uderzając nią w pień na tyle, żeby coś poczuć, ale nie na tyle, by zrobić sobie krzywdę. Musiała coś wymyślić. Byłoby jej łatwiej, gdyby udało jej się

schwytać choć jedną rozsądną myśl, tymczasem wszystkie wymykały jej się jak sprytna mysz uciekająca przed kotem.

Gdy tuż obok niej rozległo się krakanie, ciałem Zory wstrząsnął potężny dreszcz. Zmrużyła powieki, próbując dojrzeć coś w szarości nocy, aż jej oczy natrafiły na dużego kruka siedzącego na powalonym pniu jakieś dwa metry od niej. Zmysłownica wstrzymała oddech, wgapiając się w przechylony łeb zwierzęcia i jego połyskujące oko. Ptak znowu wydał ten swój dźwięk i rozłożył skrzydła, które musiały rozciągać się na ponad metr długości.

Czego od niej chciał?

Zacisnęła szczękę, próbując powstrzymać jej dzwonienie, a chwilę potem zapomniała o tym, że było jej zimno. Właściwie zapomniała o wszystkim, bo jej uwagę całkowicie pochłonęło to, że spokojnie spoczywający przed nią kruk zaczął się palić.

Początkowo myślała, że z zimna i ze strachu doznała halucynacji. Ogień najpierw strzelił iskrą pod dziobem, aż sekundę później pióra zajęły się płomieniem, wkrótce całkowicie obejmując ciało zwierzęcia. Spod gorącego, trzaskającego blasku nadal spoglądały na nią czarne oczy.

Wieczór pełen niespodzianek, pomyślała z zadziwiającym w tej całej sytuacji stoicyzmem, gdy tylko domyśliła się, że ujawnił się przed nią raróg.

Pokręciła lekko głową, nie mogąc odwrócić wzroku od ognia.

Raróg.

Stworzenie tak rzadkie, jak żadne inne zamieszkujące te lasy. Mieszkańcy Bydgošcy mieli takie powiedzenie: „Jeśli zobaczysz raroga, w najbliższym czasie spotka cię coś dobrego. Ale jeśli złapiesz raroga, będziesz miał dożywotnie szczęście”. Dlatego ludzie namiętnie polowali na te ptaki w głupiej nadziei na zapewnienie sobie życia pełnego pomysłności. Jako dziecko naturalnie sama marzyła o tym samym. Przesiadywała przy oknie w swoim pokoju na poddaszu i uważnie obserwowwała każdego kruka, ale nigdy jej się nie poszczęściło.

Aż do teraz.

Ptak zatrzepotał skrzydłami, wznosząc się nad ziemię. Zawisł nad nią, a z palących się piór posypały się iskry, które Zora szybko zdusiła ręką, aby ubranie nie zajęło się ogniem. Płomienie się zmniejszyły, aż z trzaskiem zupełnie zniknęły. Latający nad nią kruk wpatrywał się w nią, jakby naprawdę czegoś od niej chciał.

Odleciał kawałek dalej, wylądował na krzewie i obrócił się do niej. Czekał.

Zora westchnęła. Co jej szkodziło? W końcu był to raróg. Jeśli on nie przyniesie jej szczęścia, to już nic jej nie pomoże.

Wstała chwiejnie i ruszyła za nim poprzez mrok, listowie i wychodzące z podłoża zdradzieckie korzenie. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że przestała drzeć, zapewne za sprawą wygrzewania się w ogniu raroga.

Nie miała pojęcia, dokąd kruk ją prowadził. Szybował nisko, umiejętnie omijając większe skupiska gałęzi, i ciągle się upewniał, że podążała za nim. Próbowała nie wzbu-
dzać w sobie nadziei wizją, że zaraz wyjdzie z tego lasu, ale nie udawało jej się to. Całe jej jestestwo składało się obecnie z nadziei. Wydychała ją, płynęła w jej żyłach zamiast krwi.

To chyba dlatego tak bardzo się rozczarowała, gdy ptak przysiadł na nisko wiszącej ga-
łęzi i dziobnął ją w ramię, gdy przystanąła obok. Syknęła, odskakując od niego.

– Co ty... – zaczęła, zamierzając go skarcić i być może obrzucić jakimś brzydkim epi-
tetem, ale do jej uszu dobiegł perlisty śmiech.

Do wszystkich duchów tego świata, co znowu?! Może powinna zacząć odhaczać spo-
tkane tej nocy magiczne stworzenia, bo wyglądało na to, że zbierze ich niezłą kolekcję.

Nie ruszyła się z miejsca, aż kruk znowu drasnął ją dziobem, jakby ją ponaglał. Z nie-
chęcią poszła w stronę dźwięku. Jej stopy coraz bardziej zapadały się w ziemi, co ozna-
czało, że gleba stała się miękka. Oczy Zory się rozszerzyły, a serce zabiło jej mocniej.
Przełykając ślinę, wyszła zza ściany krzaków, a jej oczom ukazała się skąpana w świetle
księżycy polanka. Na jej środku majaczyły liczne gwiazdy, falując i się marszcząc.

Zora patrzyła na staw, który zasilany był spokojnym strumieniem, sunącym poprzez
leśne gęstwiny. Granica między niebem a ziemią zlewała jej się; kobieta nie była wcale
pewna, czy czasem nie patrzy na jakiś magiczny zbiornik. Przy jego brzegu przebywały
dwie ciemne sylwetki, wydające z siebie stłumione dźwięki. Zora powoli skradała się
w ich kierunku, obawiając się tego, co zobaczy.

Najpierw dostrzegła rusalkę. W księżycowym świetle trudno było zauważyć szczegóły
jej wyglądu, ale wiedziała, że te wodne stworzenia przybierały niewielkie rozmiary, ich
skóra mieniła się zielenią, a włosy przypominały łodygi, w których rosły kolorowe kwia-
ty. Mieszkały wszędzie tam, gdzie występowała woda, i na ogół nie pokazywały się lu-
dziom, zbyt nieśmiałe, by stawić im czoła. Nie znaczyło to, że nie były groźne. Być może
nawet groźniejsze niż biesy czy borowi. Rusalki sprawiały wrażenie kogoś delikatnego
i niepozornego, ale zdarzało się, że wciągały nieuważnych głupców pod wodę dla zaba-
wy. Słyszała też o tym, że potrafiły hipnotyzować, usidlać spojrzeniem i przybrać postać
tego, czego się najbardziej pragnęło.

Zora szła, a szum w jej uszach narastał. Nie widziała twarzy towarzysza rusalki, ale in-
stynktownie przeczuwała, kim był. Kiedy wodnica przesunęła drobnymi rączkami po
ramionach swojej ofiary, zmysłownica zaczęła biec. Nie zdążyła jednak na czas – otu-

maniony Levi wylądował pod powierzchnią wody, trzymany w morderczym uścisku pięknej rusałki. Zora nie zastanawiała się nawet dwa razy nad tym, co zamierzała zrobić. A pewnie powinna. Sama przecież chwilę wcześniej przypomniała sobie, że rusałki potrafiły manipulować ludźmi.

Mokre ubranie natychmiast przylgnęło do skóry i spowolniło ruchy dziewczyny. Zora weszła głębiej, bojąc się, że zaraz straci z oczu sylwetkę mężczyzny. Wzięła głęboki oddech i zanurkowała. Było zbyt ciemno, by mogła cokolwiek dostrzec, ale wyciągnęła przed siebie dłoń i płynęła, szukając po omacku. Nareszcie jej palce musnęły jakąś tkaninę, a dłoń zacisnęła się na nadgarstku. W tej samej chwili Zora poczuła na szyi chude palce, więc zamachnęła się, trafiając rusałkę w głowę. Przynajmniej miała taką nadzieję. Na ślepo odnalazła drugą dłoń Leviego i z całych sił pociągnęła go w górę. Jeszcze trochę. Jeszcze kawałek. Jej płuca wręcz krzyczały o tlen, więc gdy się wynurzyła, łapczywie go łykała. Chwycała mężczyznę pod pachami i pomogła mu się unieść. Levi od razu zakaszła, wypluwając z ust wodę.

Dotarli na brzeg, ale Zora nie pozwoliła im na odpoczynek. Wyczołgali się na wilgotną trawę i od razu chwiejnie wstali. Zmysłownica trzymała ślaniającego się na nogach Leviego, zaciskając zęby. Stęknęła, gdy pokonywali kolejne metry polanki, aż znaleźli się za znajomymi krzakami. Zora spojrzała w górę, w miejsce, w którym wcześniej siedział róg, ale teraz gałąź pozostawała pusta. Nie spoglądając pod nogi, potknęła się o korzeń i runęła razem z Levim, który zwałił się na nią całym ciężarem. Jęknęła, gramoląc się spod niego, i opadła tuż obok. Leżała na plecach ze wzrokiem wbitym w łagodnie poruszające się korony drzew. Oddychała niespokojnie, a przez jej mięśnie przechodziły palące skurcze.

Dokuczało jej zimno i lepiący się do ciała mokry materiał. Znowu szczękała zębami, a w butach jej chlupotało. Pod plecami wyczuła szyszkę, która wbijała jej się w kręgosłup.

Miała serdecznie dość tej nocy i tego lasu.

13

Wrażenia napływały do niego stopniowo. Najpierw poczuł zdrętwiałe stopy, później klejące się ubranie. Zdał sobie sprawę, że szczęka zębami, a do czoła lepią mu się włosy. Usta miał zeszywniałe, a palce zlodowaciałe.

Potem wspomnienia napłynęły do niego lawiną. Borowi, ucieczka, Zora, walka, bieg. Nie pamiętał tylko, kiedy przestał uciekać. Gdzieś między drzewami zobaczył kosmyk włosów Zory i poszedł za nią. Doprowadziła go do stawu, niewoląc go swoimi ciemnymi oczami. Nie spodziewał się, że go złapie i wciągnie pod wodę.

Drżącą ręką przetarł twarz, pozbywając się z niej ostatnich kropeł. Dał się otumanić rusałce. Jak nowicjusz. Amator. Andrea złoilałaby mu za to skórę.

Obok niego ktoś zakasłał i wtedy Levi przypomniał sobie o obecności Zory. Zerknął w bok na jej rozciągnięte w ciemności, dygoczące ciało. Czy ona... wskoczyła za nim do stawu? Z jakiegoś powodu fakt, że wyszarpnęła go z rąk rusałki, napawał go zdumieniem. Czy to nie ona tego samego popołudnia mówiła, że nie są ani przyjaciółmi, ani nawet partnerami?

Jego zdrętwiałe usta jakby samoistnie rozciągnęły się w uśmiechu.

- Sza-szalona noc, co? – wykrztusił, dzwoniąc zębami.
- Mu-musimy w-wstać – wydukała. – B-bo tu zamarzniemy. Albo c-coś nas zje.
- Jesz-szcze chwilę. – Przymknął powieki, starając się zebrać siły na powrót do domu.
- T-teraz.

Zora usiadła z jękiem, poprawiając na sobie mokrą koszulę. Materiał przestał ociekać wodą, teraz tylko wyziębiał jej organizm. Kobieta zwróciła się w stronę Leviego, którego sine wargi widziała nawet poprzez ciemność. Złapała go za lodowatą dłoń i potrząsnęła nią.

- No d-d-dalej – zachęciła go.

Pomogła mu podnieść się z ziemi, a potem, podpierając się o pień drzewa, oboje po dziwacznej serii wyginania tułowia stanęli na nogach. Levi nie był pewien, czy to on właściwie pomógł Zorze, czy ona jemu. A kiedy chwiejnie ruszyli naprzód, podtrzymywali się nawzajem. Mężczyzna zarzucił swoje ociężałe ramię na szyję kobiety, a ona objęła go w pasie i w taki sposób jakoś przemierzali kolejne części lasu. Gdy jedno z nich potykało się o korzeń, drugie natychmiast pomagało mu odzyskać równowagę. Żadne z nich nie wiedziało też, czy zmierzali w dobrą stronę. W tamtej chwili nawet ich to nie obchodziło. Skupiali się na stawianiu kroków i trzymaniu się w pionie, poświęcając temu całą swoją energię.

Być może duchy nad nimi czuwały, bo w którymś momencie drzewa lekko się przerzedziły, a mrok zelżał. W oddali Levi dostrzegł pierwsze światła domostw. Zęby nadal mu szczękały, a w dłoniach i stopach stracił czucie. Jego umysł był zamglony, a niektóre myśli zupełnie absurdalne. Tylko dotyk Zory na boku przypominał mu, że musiał wytrwać. Że już niedaleko. Że dadzą sobie radę.

– Już prawie – wymamrotał, zaciskając uścisk i przyciągając ją bliżej siebie.

Zmysłownica mruknęła coś niezrozumiałego.

Opanowujące go poczucie ulgi przy wyjściu z lasu było obezwładniające. Od razu dostał zastrzyku nowej energii, więc następne ulice pokonał na rezerwie, ale z nadzwyczajną werwą. Wreszcie pchnął żelazną bramę do swojej posiadłości i ledwie pokonał kilka kroków, a znaleźli się przy nim jego strażnicy. Gdy tylko się zorientowali, że mają do czynienia ze swoim pracodawcą, podtrzymali jego oraz Zorę i pomogli im przedostać się do domu.

W holu paliły się wszystkie lampy, a z salonu wyszedł Gabriel, jak tylko usłyszał przybyłych.

– Panie! – wykrzyknął ze zgrozą, zarzucając mu ramię na szyję.

Zaprowadził go do bawialni z miękkimi dywanami, jasnymi tapetami i ciężkimi kotarami przy oknach. Posadził go na kanapie i natychmiast zaczął szukać koców. Levi obejrzał się na wejście, ze zgrozą zdając sobie sprawę, że zgubił gdzieś Zorę.

– Znajdź Z-zorę – wyjąkał w stronę krzątającego się Gabriela, a gdy służący nie zareagował, Draboń ponowił rozkaz.

– Ależ, panie...

– Znajdź ją – nakazał ostrzej i głośniej. – I zrób wszystko, co konieczne, by poprawić jej stan.

Mężczyzna zgodnie z życzeniem opuścił pokój, ale wrócił do niego już po chwili z naręczem czystych, suchych ubrań, które złożył w skostniałych dłoniach swego pana. Następnie nachylił się nad kominkiem, zamierzając w nim rozpalić.

– Zora?

– František się nią zajął.

Levi kiwnął głową, a mięśnie jego ramion od razu się rozluźniły. Wstał, powoli pozbywając się klejących do ciała ubrań, wytarł się ręcznikiem i włożył na siebie koszulę oraz spodnie. Gdy tylko umościł się na kanapie, opatulony w koce, do salonu wszedł kucharz z parującą filiżanką herbaty. Levi już czuł, jak jego skóra zaczynała się rozgrzewać, ale oczy mu się kleiły, a umysł wołał o chwilę odpoczynku. Nie chciał jednak iść spać. Jeszcze nie teraz. Musiał pomówić z Zorą, a potem położyć się we własnej sypialni i...

Gabriel w ostatniej chwili zdołał zabrać z ręki swego pana naczynie, bo to już wysuwało się z jego zwiotczonych palców.

Pomarszczony, siwiejący mężczyzna siedział przy jej łóżku, obserwując, jak do policzków Zory na nowo napływa kolor.

– Wyglądasz lepiej – skwitował.

Kobieta kiwnęła głową, zbyt zmęczona, by się odezwać. By protestować. By się w ogóle ruszyć. Kiedy ten starzec, František, jak podejrzewała, zabrał ją na piętro i ulokował w małym, ale przytulnym pokoiku, nie miała sił, by zrobić... cokolwiek. Źle się czuła z tym, że korzystała z hojności Leviego. Zresztą, może Levi wcale jej tu nie chciał?

Cóż, w takim razie pozbędzie się jej rano. Zora ciaśniej otuliła się kołdrą, ciesząc się uczuciem ciepła, które płynęło od kominka i pochodziło z herbaty – rozgrzewało ją ono od środka.

– Jesteś tą złodziejką, prawda?

Skamieniała, patrząc na mężczyznę z paniką. Jego oblicze się wygładziło, a oczy pojaśniały.

– Nie, nie – dodał z otuchą. – Nie martw się. Jestem tylko ciekaw, ale na pewno jesteś zmęczona. Zostawię cię, żebyś odpoczęła. Ale chciałbym pomówić z tobą rano, na osobności. Czy to ci odpowiada?

Myśli Zory były zbyt mętne, by mogła myśleć racjonalnie. Skinęła głową.

– Nie martw się Levim. W razie czego czymś go zajmę.

Kobieta uśmiechnęła się słabo, śledząc wzrokiem staruszkę, który z jękiem stanął na nogach, zgasił światła w pokoju i wyszedł. Wpatrywała się w zamknięte drzwi, a jej ciałem wstrząsały ostatnie dreszcze. Na sen nie czekała zbyt długo. Przyszedł po nią moment później.

Levi oparł kostkę prawej nogi o kolano pod długim stołem w jadalni. W dłoni trzymał bułeczkę, którą z namysłem smarował masłem. Wykąpał się, pofarbował włosy i ubrał się w swoją ulubioną różową kamizelkę. Ze śniadaniem chciał poczekać na Zorę, ale ona wciąż spała, a Levi nie miał sumienia, by ją budzić. Nie po tym, co wczoraj zaszło.

A zaszło wiele.

Wziął kęs przygotowanej kanapki, jeszcze raz odtwarzając w pamięci wydarzenia z poprzedniego dnia. Chciałby usiąść w spokoju w swoim gabinecie i spisać wszystkie

niespokojne myśli, ale na razie nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał mu wystarczać przegląd w głowie.

W lesie zobaczył Zorę. To go najbardziej... Nie mógł w to uwierzyć. Wiedział, że rusalki mogły zesłać na swoją ofiarę wizję tego, czego się najbardziej pragnęło, ale... Levi potrząsnął głową.

Przecież on nawet nie lubił tej kobiety. Fascynowała go, owszem. I podobało mu się jej drażnienie. A rozmowy z nią zawsze wywoływały szybsze bicie serca. A jej zapach...

Przeklął w myślach. On rzeczywiście jej pragnął.

Zupełnie, jakby ją przywołał, bo obiekt jego westchnień stanął w drzwiach pomieszczenia. Rozejrzała się po wnętrzu, a Levi zastanawiał się, co widziała. Długi, prostokątny stół, u którego szczytu siedział? Duże okna za nim, wychodzące na okazały ogród? A może kryształowe, wiszące żyrandole?

– Siadaj. – Przerwał ciszę, skinąwszy głową w stronę miejsca po swojej prawej.

Zora przeszła przez całą długość pomieszczenia, a Levi nie spuszczał z niej oczu. Fale włosów sływały jej na plecy. Miała na sobie trochę za duże ubrania: spodnie, podtrzymane w pasie paskiem, jasną koszulę, która wisiała na jej ramionach, i ciemnozieloną kamizelkę, w której ze zdumieniem rozpoznał swoją własność.

Puls mu przyspieszył.

Ona przyodziła się w jego garderobę.

– Pozwoliłam sobie pożyczyć coś z twojej szafy – wymamrotała, przysuwając się wraz z krzesłem do stołu. – To znaczy twój lokaj mi to przyniósł. Ja nie byłam w twoich pokojach. Chociaż wiem, gdzie one są. – Jej źrenice się rozszerzyły, a Levi aż odłożył napoczętą kanapkę na talerz, by móc obserwować ją z rozbawieniem. – Dlatego, że studiowałam plany. To... Nieważne, zapomnij o tym. – Odchrząknęła. – Chciałam tylko powiedzieć, że dziękuję. Za gościnę. Tak. Dziękuję.

Zasnurowała usta, zaciskając je w wąską kreskę. Levi mógłby oglądać ją tak godzinami, ale postanowił powściągnąć swą zawadiacką naturę i gestem nakazał jej, by poczęstowała się przysmakami ze stołu.

– To ja dziękuję – rzekł po kilku kęsach śniadania. – Uratowałaś mi wczoraj życie.

Kiwnęła głową.

– Następnym razem radzę unikać terenów rozlewisk położonych w lasach czy na łąkach – rzuciła z lekką dozą ironii w głosie.

– Postaram się zapamiętać – stwierdził z uniesioną brwią.

Zora przeżuła jajko, zanim ponownie się odezwała.

– Więc... co się właściwie wczoraj stało? Jeszcze przed pościgiem. Co się stało z Dusą?

– Zdążyłem w ostatniej chwili. – Levi upił łyk gorącej herbaty, wracając wspomnieniami do tego momentu. – Będę musiał jeszcze przesłedzić to, jak mu się w ogóle udało tu wkraść. – Jego głos przybrał tony irytacji. – To już drugi raz, gdy ktoś z taką łatwością wykiwał moją ochronę.

Zora otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła i udała wielce zaabsorbowaną bułeczką na swoim talerzu.

Levi uśmiechnął się półgębkiem.

– Gdyby nie to, że zastawiłem pułapkę, o kradzieży dowiedziałbym się po fakcie – kontynuował.

– Co to była za pułapka?

– Później ci pokażę. W każdym razie, gdy wpadłem tu do domu jak burza i pogałem na piętro, zastałem naszego tajemniczego kolekcjonera nad pudłami i workami niemal w całości wypełnionymi moją kolekcją. Gdybym pojawił się parę minut później, zastałbym tylko puste półki.

– Niebawale... – mruknęła.

– Niebawale to mało powiedziane. Kiedy Dusa mnie spostrzegł, postanowił ratować siebie. Porzucił łup i wyskoczył przez okno. – Levi z rozmysłem napił się herbaty. – Miałem silne déjà vu.

– To przez to okno. – Zora uśmiechnęła się krzywo. – To ono prowokuje do tego, by przez nie wyskoczyć.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Uwierzę ci na słowo, bo mnie jakoś nigdy nie kusilo. – Mrugnął do niej. – Cóż, resztę tej historii już znasz. Zbiegłem na dół, zderzyłem się z tobą w drzwiach i tak dalej.

– A... – Zawahała się. – W lesie. Straciłam cię z oczu podczas walki borowych... Co... Gdzie się podziałeś?

Levi się skrzywił.

– Borowy mnie porwał – oznajmił, czując odległe echo chropowatego dotyku na skórze, wspomnienie upadku. – Złapał mnie, jakbym ważył tyle, co piórko. Rzucił do drugiego borowego, ale tamten mnie nie złapał. – Parsknął. – Potem wykorzystałem zamieszanie i uciekłem. A co z tobą? Jak mnie znalazłaś? – Przyjrzał jej się uważnie, przechylając lekko głowę na bok.

– Właśnie... – Zora odchrząknęła. Zdjęła serwetkę ze stołu, wciągając ją pod stół, i odważnie spojrzała mu w oczy. – Kiedy nie mogłam cię namierzyć, uciekłam. Potem... potem nie miałam siły. – Zgarbiła się. – Usiadłam gdzieś pod drzewem i... Myślałam, że już po mnie. Ale wtedy pojawił się raróg.

Szczęką Leviego opadła.

– Czy ty powiedziałaś: raróg?
– Ale nie to w nim było najdziwniejsze. Ten raróg zmusił mnie do wstania i do podążania za nim. To kruk mnie do ciebie przyprowadził, Levi.
Mężczyzna trawił jej słowa, pocierając palcami gładki podbródek.
– Ta noc była najdziwniejszą nocą w moim życiu – skwitował ze zdumieniem.
Zora mu przytaknęła.
– Moją też. – Westchnęła.
W przyjemnej ciszy dokończyli posiłek i dopili herbatę. Gdy przyszedł Gabriel, by zabrać ze stołu brudne naczynia, Levi wziął Zorę pod ramię, rozkoszując się promieniującym od niej ciepłem.
– Chodź – rzucił. – Miałem ci pokazać pułapkę.
Postarał się, by wypowiedzieć te słowa umyślnie zmysłowo. Gdy zerknął na kobietę spod rzęs, dostrzegł rumieńce na jej policzkach. Podobało mu się to.
Wspięli się po schodach i skręcili w lewo. Wykładzina tłumiła odgłos ich stóp. Po wejściu do małego, eleganckiego magazynu ich oczom ukazał się bałagan: artefakty walające się po podłodze i wypadające z pudeł oraz worków.
– Nie zdążyłem tu jeszcze posprzątać – wyjaśnił z lekkim zażenowaniem.
Wśród sterty zabytków z łatwością odnalazł kostkę z białymi kwiatami i wyciągnął ją w stronę Zory.
– Poznaj Dozorcę. – Jego usta się uniosły, w kącikach oczu zagościły zmarszczki.
– Dozorcę? – powtórzyła, biorąc do ręki sześcian. Oglądała go z każdej strony. – Co to takiego?
– Gdy się go nakarmi, staje się wyczulony na wszelki ruch w pokoju. A gdy tylko jakiś wyczuje, przesyła do swojego właściciela informację o tym.
Energicznie pokiwała głową, a w jej ciemnych oczach błyszczała ciekawość. Po przeglądzie oddała mu magiczny artefakt, który który Levi odłożył na jedną z chwilowo pustych półek. Potem zamknął w dłoni inny przedmiot i chowając go za plecami, stanął przed Zorą.
– Mam coś dla ciebie.
– Dla mnie? – Odsunęła się odrobinę, a na jej twarzy malowało się zdziwienie.
– Tak. – Wyszczrzył się, wyjmując rękę. Z palca zwisał mu żelazny łańcuszek, który kończył się... Zora zmrużyła powieki. Lunulą.
– Czy to...
– Tak. Lunula Tety.
Ostrożnie położyła ją na rozpostartej dłoni, nachylając się nad nią, by podziwiać wyrytego w metalu kruka. Przesunęła kciukiem po niewielkiej plamie rdzy, po czym obej-

rzała półksiężycowy wisiołek z drugiej strony.

– Zaraz. – Zamarła, pozwalając, by lunula znowu zwisała swobodnie z jego palca. – Jak to: masz coś dla mnie? Bo chyba nie miałeś na myśli...

– Owszem, tak.

Zmierzyła go krytycznym wzrokiem.

– Zwariowałeś.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to miało to miejsce tak dawno, że już o tym nie pamiętam.

Kącik ust Zory zadrżał, jakby powstrzymywała uśmiech. Leviemu udzieliła się ta pogodna, psotna atmosfera. Wyprostował się i obszedł Zorę, stając tuż za nią.

– Dokładnie to przemyślałem – oznajmił, uwalniając zapięcie w łańcuszku.

Zerknął na jej bujne włosy, zanim chwycił je i przerzucił przez jedno ramię, przelotnie zaciągając się ich zapachem. Przymknął powieki, wyczuwając nutę mydła i jaśminu.

Otoczył jej kuszące ciało ramionami, lokując lunulę w wycięciu koszuli, tuż nad jej piersiami. Z tego miejsca miał na nie dobry widok i żadne duchy tego świata nie mogłyby go powstrzymać od patrzenia.

Z satysfakcją uzmysłowił sobie, że jej oddech przyspieszył.

– Dusa pożąda Wielkiej Piątki – wyszeptał tuż koło jej ucha, umieszczając naszyjnik pod jej miękkimi włosami. Z rozmysłem muskał gładką skórę opuszkami palców, wyczuwając pod nimi ciarki. – Nie możemy pozwolić, by je zdobył. A gdzie Lunula Tety będzie bezpieczniejsza, jak nie na szyi hmatowej, która może ukryć ją na widoku?

Zapiął zatrzask, z niejakim żalem po raz ostatni gładząc Zorę po karku. Potem ułożył włosy w taki sposób, w jaki je zastał, i okrążył jej sylwetkę, zaglądając prosto w oczy. Coś zacisnęło mu się w piersi i nagle zapragnął posunąć się o krok dalej. Przyciągnąć ją do siebie. Dotknąć jej dłużej. Wsunąć dłonie pod materiał koszuli i sunąć palcami wyżej...

Kobieta odchrząknęła, cofnęła się o krok i odwróciła od niego głowę. Lunula na jej dekolcie zniknęła pod jego wzrokiem. Gdyby nie wiedział, nigdy by nie zgadł, że Zora nosiła jakąkolwiek błyskotkę na szyi.

– Pamiętasz... – Jej zachrypnięty głos wywoływał w nim popłoch. – Pamiętasz, jak mówiłam, że Gustav chce, żebym namierzyła i złapała Dusę?

– Coś tam pamiętam. – W duchu westchnął z żalem, że moment minął, a Zora odsunęła się od niego.

– A ty... nadal zamierzasz go gonić?

– Tak.

– A więc...

– Tak.

Zora zaryzykowała spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Co tak? Nawet nie wiesz, co chciałam powiedzieć. – Prychnęła.

– Będziemy współpracować – powiedział po prostu.

Skrzywiła się.

– W porządku. Dokładnie o to chciałam zapytać.

– Do moich olśniewających zdolności kombinowego i oszałamiającej aparycji możesz dołączyć też trafną intuicję.

– Skromność też powinnam dołączyć do listy?

– Skromność jest dla osób, które nie znają swojej wartości – skwitował, kierując się w stronę drzwi.

Zora podążyła za nim jak cień.

– Nie sądzę, żeby skromne osoby się z tobą zgodziły.

– Pewnie nie, ale może będą zbyt skromne, by wyrazić swoje zdanie.

Zora wbrew sobie parsknęła śmiechem.

– Żebyś się nie zdziwił. Ja się z tobą nie zgadzam.

Odwrócił lekko głowę, nie przerywając wędrówki w dół po schodach. Jego dłoń zaciśnięła się na poręczy.

– Ty? Skromna?

Uniosła wyżej podbródek w geście buntu.

– Tak.

Levi zatrzymał się na środku schodów, odwracając się do kobiety przodem.

– Zoro Muškatoва, nie ma w tobie niczego skromnego – powiedział z powagą. – To komplement. Ja nie uważam skromności za cnotę, wręcz przeciwnie.

Nie czekał na jej odpowiedź, tylko zostawił ją z trzepoczącymi rzęsami i sam zszedł na dół.

– Chodź. Odprowadzę cię do domu – rzucił, tym samym wyrywając zmysłownicę z marazmu.

Potrząsnęła głową i ruszyła do przodu.

Po raz pierwszy w życiu nie oglądała się za siebie.

14

Zora jeszcze raz zerknęła na pogniecioną kartkę, po czym schowała ją za dekolt koszuli i uważnie przyjrzała się kamienicy. Budynek dumnie wznosił się w Zachodniej Dzielnicy, nie miał żadnych zdobień architektonicznych, tylko z niektórych okien zwisały kolorowe donice. Bez kwiatów, bo pora roku na nie nie pozwalała.

Zmysłownica szpiegowała partnera Boaza. Był to wysoki mężczyzna z burzą ciemnych, kręconych włosów. Rano wyszedł do pracy i cały dzień spędził w swoim zakładzie, naprawiając buty. Rozmawiał z klientami, czasem się śmiał i raz po raz robił sobie przerwy na zapalenie fajki. Po południu nabył kilka warzyw na okolicznym rynku, wrócił do domu i przygotował obiad, który zjadł razem z Boazem.

Kiedy jej ofiary nie było w domu, Zora użyła swoich umiejętności hmatowej oraz wytrycha i wkradła się do środka. Szukała śladów, czegokolwiek, co by jej podpowiadało, że ten stateczny mężczyzna, którego podglądała, może zdradzać swojego chłopaka. Znalazła tylko brudne naczynia, nieułożone ubrania i pomiętą pościel, w której, jak dobrze wiedziała, ostatnio tarzał się Boaz, a nie tajemny kochanek.

Zora przychodziła pod kamienicę lub pod pracownię szewską, kiedy tylko mogła, ale mimo usilnych chęci nie dostrzegła niczego niepokojącego. Nie rozumiała, dlaczego Boaz sądził, że jego partner dopuścił się zdrady, skoro zupełnie nic na to nie wskazywało.

I to – wbrew zdrowemu rozsądkowi – napawało ją lękiem.

– Co wiemy? – zapytał Levi, nachylając się nad kajetem. Gotowe pióro wisiało w powietrzu, rwąc się do zapisywania słów. – Szybko. Zróbmy burzę mózgów.

Niedługo po wydarzeniach w lesie usiedli przy ich ulubionym stoliku w Pohlednej Berušce, częściowo zasłonięci rośliną. Na blacie obok zeszytu i kałamarza stały dwie parujące filiżanki oraz dwa kawałki szarlotki. Zora podejrzewała, że spędzą w tym miejscu trochę czasu. Nie przeszkadzało jej to.

Zerknęła na Leviego spod rzęs, na pełny skupienia wyraz twarzy i napięte mięśnie pod koszulą.

– Jest niski. Dziwny. Nazwałś go chyba „osobliwym”? – podsunęła, wracając myślami do Dusy.

– Tak. I nieuchwytnym. – Jego ręka poruszyła się, kreśląc znaki.

Zorę fascynowało to ze wszech miar. Czy on wszystko tak zapisywał? Ileż ona by dała, by dorwać choć jeden taki notes i przejrzeć jego zapiski...

– Kradnie od kolekcjonerów, którzy mają coś z Wielkiej Piątki – wyliczała dalej. – Chce być „wielki” czy jakoś tak, cokolwiek to znaczy. Zastanawiające jest to, gdzie on te wszystkie artefakty przechowuje. Nakradł już ich całkiem sporo.

– Tak! Doskonały pomysł! – Levi zapisał coś z jeszcze większym zapałem.

– Co? Co tam notujesz?

– Żeby zlecić moim informatorom rozeznanie w tym temacie. Może ktoś coś słyszał. Jakbyśmy namierzyli ten magazyn...

Uniósł głowę, wymieniając z Zorą porozumiewawcze spojrzenie.

– Złapałibyśmy drania na jego własnym podwórku – dokończyła, a Levi przytaknął.

– Co jeszcze? – Na nowo nachylił się nad kajetem.

– Przechodzi przez ściany. Sam tak mówiłeś.

Mężczyzna się zawahał.

– Nie jestem już tego taki pewien.

– Nie? Czemu? – Zora upiła łyk przyjemnie ciepłej kawy.

Wyczuła na sobie wzrok Vita, więc mimowolnie odwróciła się w stronę lady. Chłopak opierał się łokciami o blat i wpatrywał w Leviego z rozmarzeniem. Kobieta pokręciła głową, przelotnie ciesząc się z tego, że to nie Dana miała swoją zmianę. Nie rozmawiała z nią od czasu szaleńczego wybiegania z kawiarni i wołała widmo tej konwersacji na razie odsunąć od siebie jak najdalej. Pies

– Gdyby tak było, przebiegałby przez płoty podczas ucieczki. A on nad nimi przeska-kiwał. Po co miałby to robić, jeśli nie musiał?

– Skoro tak... W takim razie to wszystko jeszcze bardziej nie ma sensu.

Levi się stropił.

– Wiem.

– Ale... – Urwała, budując napięcie.

Jej towarzysz wykorzystał tę chwilę na wzięcie kęsa ciasta, po czym drugą ręką nakazał Zorze kontynuowanie. Przewróciła oczami. Jak zwykle musiał się rządzić, nawet bez użycia słów.

– Mam pewien pomysł. Ale może ci się nie spodobać.

Ściągnął brwi.

– Mów dalej.

Mów dalej, przedrzeźniała go w myślach. A co ja jestem, twoja służąca?

– Wymagałoby to użycia twoich pieniędzy.

Jego czoło przecięła zmarszczka.

– Jak dużych pieniędzy? Nadszarpnąłem trochę własnych funduszy przy okazji zakupu Lunuli Tety.

Jej palce automatycznie zacisnęły się na niewidzialnym wisiorku, a wspomnienie tego, jak Levi go zakładał, sprawiło, że się zaczerwieniła. Odkaslnęła.

– Cóż... Jak mówiłam, nie spodoba ci się to.

Levi westchnął, machając ręką.

– Dalej. Nie trzymaj mnie w niepewności.

– Pamiętasz tamtą kobietę w czerwonej sukni z Teatru Bydgoskiego?

Dzielnica Naukowa był najmniejszą dzielnicą w Bydgošcy, a Zora podchodziła do niej z ogromną nostalgią. Spędziła w niej kilka dobrych lat, gdy uczęszczała tu do szkół. Zanim wszystko się zepsuło.

Zerknęła w bok, na pogrążonego w rozmyślaniach Leviego. Siedział przy oknie karety, wyglądając na zewnątrz. Jego twarz zastygła w skupieniu, a intensywne myśli przybierały niemal namacalne kształty. Zora westchnęła w duchu, a wtedy do jej umysłu wtargnęła sylwetka starszego służącego, Františka.

Ależ ona odbyła z nim dziwną rozmowę.

Tamtego dnia obudziła się w nie swoim łóżku, przy którym wkrótce stanął František z naręczem ubrań przewieszonych przez chude przedramię. Pomógł jej wstać i przygotował jej kąpiel, a gdy była już odświeżona, posadził ją na krześle i sam usiadł naprzeciwko niej.

– Jakie są twoje zamiary względem mojego młodzieńca? – zapytał, wprawiając Zorę w niemałe zdumienie.

Prawie jej się wyrwało: względem *kogo*? Ale w porę zasznurowała usta, gorączkowo zastanawiając się nad odpowiedzią. Kim właściwie był ten mężczyzna dla Leviego? Na pewno kimś więcej niż zwykłym lokajem.

– Ja... – A więc to była ta elokwentna riposta, nad którą tak długo myślała. Skarciła się w duchu. – Żadne. Obawiam się, że nie zrozumiałam pytania.

František wygładził na sobie nieskazitelnie białą koszulę i posłał Zorze surowe spojrzenie.

– Levi jest tobą zainteresowany. Dlatego pytam, jakie są twoje zamiary względem niego.

– Levi... – Zabrakło jej tchu. – Levi nie jest mną zainteresowany.

Lokaj uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Dziecko... – poklepał ją po kolanie – ...znam go. Levi się tobą interesuje.
– W takim razie bardzo dziwnie to okazuje – mruknęła sceptycznie.
– Śmierć matki nieco podłamała go na duchu. Ale ty... ty wywołujesz w nim reakcje, jakich dawno już u niego nie widziałem. Myślę, że masz na niego dobry wpływ.

Prychnęła.

– Ja? Ja jestem złodziejką, sam pan to powiedział. A Levi i ja... jesteśmy... czymś w rodzaju przymusowych partnerów. Nasza znajomość zaczęła się od kradzieży i gróźb, do wszystkich duchów.

– Ty też go lubisz. – Na pomarszczone oblicze starca wpłynęła satysfakcja.

– Słucham? – pisnęła i zaraz potem odkaslnęła, próbując zamaskować tamten pisk. – Wcale go nie lubię.

Mężczyzna znowu poklepał ją po kolanie, a po chwili wstał.

– Dziękuję ci za tę rozmowę. Dużo mi rozjaśniła. – Skłonił się przed nią lekko i skierował się ku drzwiom.

Zora milczała w oszołomieniu.

– Levi czeka na ciebie w jadalni – dodał, stojąc już w progu. – Gdy tylko będziesz gotowa, możesz do niego dołączyć.

I wyszedł.

Z zamyślenia wyrwał ją powóz, który gwałtownie stanął. Szybko wróciła myślami do wnętrza karety i do zmysłownika, który przebywał tuż koło niej.

– Dojechaliśmy – powiadomił ją.

Zeskoczyła ze stopni powozu, wdychając znajomy zapach Dzielnicy Naukowej. Dla postronnej osoby pewnie nie różnił się niczym od reszty miasta. Dochodził tu nikły odór rzeki, mieszący się z wonią końskiej sierści, śmieci i świeżego prania. Jednak dla Zory powietrze pachniało tu możliwościami, marzeniami i świetlistymi dniami. Takimi, podczas których myślała jeszcze, że może coś osiągnąć. Być kimś ważnym i zauważalnym. A nie tylko zwykłą złodziejką pracującą dla największego gangu miasta.

– Co teraz? – zapytał Levi, wkładając dłonie do kieszeni swoich spodni.

Kobieta rozejrzała się po okolicy z wahaniem. W tej części miasta można spotkać stare kamienice oraz nowe, niemal lśniące budowle wznoszące się na kilka pięter i ciągnące się w poziomie kilkadziesiąt metrów. Naukowcy potrzebowali laboratoriów, a te przybierały różne rozmiary i kształty, niektóre były zadaszone kopułami, inne całkowicie szklane.

– Teraz szukamy – powiedziała wreszcie.

– Szukamy?

Żeby nie narażać się na ostre spojrzenie Leviego, Zora ruszyła przodem, mijając się z przechodniami.

– Proszę, powiedz mi, że bardzo dobrze wiesz, co robisz. – Usłyszała za sobą na pół surowy, na pół błagalny głos.

– Bardzo dobrze wiem, co robię – skłamała, a raczej powiedziała połowiczną prawdę. Wiedziała, od czego powinni zacząć, a to już było coś.

Poprowadziła ich do przeszklonych drzwi, które rozstały się przed nimi za sprawą odzwierne ubranego w marynarkę i z muchą zawiązaną pod szyją. Znaleźli się w okrągłym holu zadaszonym szklaną kopułą, przez którą do środka wpadały promienie słoneczne, jeśli akurat chciało im się przebić przez szare, kłębiące się chmury. Pod stopami mieli miękką wykładzinę, a przed sobą długą, schludną ladę.

– Dzień dobry, Bydgoskie Centrum Naukowe wita – przywitała ich kobieta o miłym uśmiechu. – W czym mogę służyć?

– Nazywam się Zora Muškatoва i szukam Emila Czernego. Z Działu Analiz i Zarządzania – rzuciła Zora, czując za sobą dominującą obecność Leviego, który wyjątkowo trzymał język za zębami.

– Chwileczkę.

Kobieta przeszła parę metrów i zatrzymała się przy krępym, zawzięcie coś piszącym mężczyźnie. Nachyliła się nad nim, szepnęła coś do niego, po czym dzentelmen wstał i zwrócił się w kierunku marmurowych schodów, a recepcjonistka do nich wróciła. Obdarzyła ich promiennym uśmiechem, który rozświetlił całą jej twarz.

– To może chwilę zająć – wyjaśniła. – Może zechcą państwo usiąść? – Małą dłonią wskazała im kilka pustych kanap stojących nieopodal.

Zora kiwnęła głową i z westchnieniem opadła na miękkie, ciemne obicie. Levi poszedł w jej ślady, rozglądając się po wnętrzu z uwagą.

– Co tu robimy? Nie mieliśmy szukać jakiejś kobiety?

– W Dzielnicy Naukowej pracuje kilkuset naukowców. Nie znajdziemy jej ot tak – wytłumaczyła znudzonym głosem. – Potrzebujemy przewodnika.

– A ten Emil Czerny? Kto to?

– To... – Zabrakło jej słów. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, kim był dla niej Emil. Przyjacielem? Sojusznikiem? Pokręciła głową. – Ktoś, kto się nas tu nie spodziewa.

– Ale pomoże nam? – spytał Levi sceptycznie. I z zazdrością? Nie. Na pewno coś jej się przesłyszało.

– Tak. – To jedno Zora wiedziała na pewno. Pozwoliła sobie nawet na mały uśmiech. – Pomoże nam.

Po kilku minutach ten sam mężczyzna, którego wcześniej wysłała gdzieś recepcjonistka, przyszedł po nich i zaprowadził ich do Emila. Krążyli po nieskazitelnie czystych i pachnących korytarzach Centrum Naukowego, aż zatrzymali się przed prostymi, drewnianymi drzwiami. Zora wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Gabinet znajdował się na trzecim piętrze, więc z okien rozciągał się widok na płynącą w oddali Vesłę. Jasne ściany kontrastowały z ciemnym biurkiem i szafą stojącą pod ścianą. Emil wstał na ich widok, a jego jasnoniebieskie oczy rozszerzyły się do granic możliwości. Zora nigdy wcześniej nie odwiedzała go w miejscu jego legalnej pracy, a Emil nigdy nie bywał w Pohlednej Berušce. To była ich niepisana zasada, którą zmysłownica właśnie złamała.

– Zora. – Przywitał ją niemrawo, a jego spojrzenie pomknęło ku mężczyźnie, który dyszał jej w kark.

Levi wystąpił przed nią i wyciągnął rękę ponad biurkiem. Emil ją chwycił.

– Levi Draboň – przedstawił się.

Blondyn ewidentnie pobladł.

– Emil Czerny.

Zora patrzyła, jak ściskają sobie ręce. Chwila się przedłużała. Levi zmierzył wzrokiem dobrze zbudowaną sylwetkę Emila i wreszcie cofnął się o krok. Kobieta miała ochotę przewrócić oczami, ale ograniczyła się do klapnięcia na krześle. Mężczyźni poszli w jej ślady.

– Co... co cię do mnie sprowadza? – Emil zmarszczył lekko brwi, poprawiając na nosie okulary.

– To poniekąd sprawa Krakavcův, więc z góry przepraszam, że obarczam cię tym tutaj w biały dzień, a nie w zadusznej bazie gangu – zaczęła.

– Krakavcův?! – Levi podniósł głos.

Zora dała mu kuksańca w bok.

– Zachowuj się – syknęła. Zerknęła na Emila, który przyglądał im się z uroczą dezorientacją malującą się na twarzy. – To ma związek z kolekcjonerem.

Blondyn kiwnął głową.

– Potrzebujesz dostępu do źródeł Centrum Naukowego? – odgadł.

– Tak. Szukamy pewnej kobiety, ale niewiele o niej wiem. – Zawahała się. – Ma na imię Edita. Lubi ubierać się na czerwono. Bada zmysłownictwo. I szuka kogoś, kto sfinansowałby jej badania.

– O dziwo, dobrze wiem, o kim mówisz – rzekł zdumiony Emil. – Edita Denrova była tutaj nawet dzisiaj. Właściwie to często przychodzi do centrum, bo jak wiecie, szuka sponsora. Zawzięta kobieta, nie poddaje się. Ale co ją łączy z kolekcjonerem?

– To – odezwał się Levi, zanim Zora zdążyła – już nie twoja sprawa.

Zora uśmiechnęła się złośliwie.

– Wierzę, że pomoże nam ustalić, kim jest kolekcjoner – oznajmiła.

Zmysłownik z opadniętą szczęką posłał jej oburzone spojrzenie. Wzruszyła ramionami. *Emila znam dłużej niż ciebie*, przekazała mu wzrokiem. *Zdrajczyni*, krzyczał do niej.

Emil skinął głową, otwierając szufladę biurka.

– Dasz... Dacie mi minutę? Sprawdzę tylko, gdzie dokładnie prowadzi swoje badania, i zapiszę wam adres.

Zora przytaknęła, a już po chwili opuściła gabinet blondyna ze świstkiem papieru w dłoni. Na zakończenie pożegnała Emila całusem w policzek, czym zdziwiła ich oboje. Nigdy nie pozwalali sobie na taką zażyłość, a gdyby Zora miała wyjaśnić, dlaczego to zrobiła... wolałaby połknąć litr brudnej Udoli.

Jak tylko znowu znaleźli się na ulicy, Levi złapał ją za ramię i odwrócił w swoim kierunku.

– Kim jest Emil Czerny? – Patrzył na nią chmurnie.

Wyrwała się z jego uścisku tak gwałtownie, że prawie wpadła na przechodzącego obok mężczyznę.

– Pracujemy razem dla Krakavców – wyjaśniła krótko.

– Czy ty... i on...

Zora posłała mu tajemniczy uśmiezek.

– Chciałbyś wiedzieć, co?

Podobało jej się rozjuszenie Leviego Draboña. Zaczynała rozumieć, dlaczego on tak bardzo lubił drażnić ją.

On najwyraźniej akceptował taką więź tylko w jedną stronę, bo znowu zagroził jej drogę.

– Nie denerwuj mnie – warknął.

Uniosła kartkę przed jego oczami, niemal wciskając mu ją w twarz.

– Mamy zadanie. Przestań tracić czas na głupoty.

Levi ostatecznie poszedł za nią, choć wyczuwała jego niezadowolenie. Piorunował tył jej głowy tym swoim przeszywającym wzrokiem, ale proszę bardzo. Niech się wścieka. I tak nie miał prawa do odpowiedzi, której tak bezczelnie żądał.

Zora musiała się skupić. Wzięła głęboki, uspokajający oddech i jeszcze raz przeczytała adres zapisany bardzo ładnymi, czytelnymi literami. Pracownia Edity nie znajdowała się daleko. Powinni tam dotrzeć w mgnieniu oka.

Dwupiętrowy budynek wyrastał z ziemi, otoczony przez krzaki i niskie drzewa. Mieścił się raczej na obrzeżach dzielnicy niż w jej ścisłym centrum, dlatego przechodniów

i wozów było tu mniej. Zora energicznie zapukała do drzwi i chwilę potem z wnętrza usłyszała jakiś rumor. W progu stanęła smukła kobieta z kosmykami jasnych włosów umykającymi z upięcia. Wyprostowała się, wygładzając na sobie jasną koszulę, którą miała wpuszczoną w czerwone spodnie.

Ręka zmysłownicy wystrzeliła do przodu.

– Nazywam się Zora Muškatoва i przychodzę do pani z pewnym interesem.

Zaciekawiona Edita potrząsnęła jej dłonią i także się przedstawiła. Przesunęła się, wpuszczając swoich gości do środka. W małym korytarzyku zostawili płaszcze, po czym przeszli po sali zajmującej niemal cały parter, pełnej stołów, szafek i kartek. Leżały na blatach, ale także na podłodze i nawet... na lampie? Zora uniosła brew na ten widok, a Edita, dostrzegłszy to, zachichotała nerwowo.

– Przepraszam za bałagan. – Wsunęła za uszy luźne pasma włosów i zaczęła zbierać arkusze papierów, ale robiła to zbyt dynamicznie i niektóre z notatek wypadały jej z rąk. – Nie spodziewałam się dzisiaj nikogo. – Wówczas znieruchomiała i wbiła wzrok w Leviego. – Pan mi się nie przedstawił – wytknęła mu.

– Widzisz, nie tylko ja dostrzegam u ciebie brak kultury – mruknęła cicho Zora.

Zmysłownik w odpowiedzi wbił jej łokieć w żebra, gdy ją mijał. Stęknęła, mrużąc groźnie oczy.

– Proszę mi wybaczyć ten nietakt – powiedział zmysłowym głosem, ujmując palce Edity szarmanckim gestem. Uniósł je do ust i ucałował. – Nazywam się Levi Draboň.

Zora poruszyła się niespokojnie, czując się nagle bardzo dziwnie.

Naukowczyni się zarumieniła i znowu wygładziła na sobie koszulę.

– Miło mi pana poznać – rzekła głębiej niż poprzednio.

Teraz Zora się zjeżyła. Podeszła do nich, stając u boku Leviego z założonymi na piersi ramionami.

– Jak mówiłam, mamy dla pani propozycję. Mój towarzysz jest skłonny finansować pani badania. I nie ma zamiaru szczenić na to pieniędzy.

Poczuła na profilu swojej twarzy jego ostre spojrzenie. Nie przejęła się tym.

– Co też... – Edita złapała się za serce. – Taka rozmowa wymaga herbaty. I spokojnego miejsca, w którym można spocząć.

Zaprowadziła ich do małego stolika z kanapą i dwoma fotelami, z których szybko ściągnęła luźne kartki. Gdy tylko zaparzyła napoje, przyniosła je na tacy i usiadła przy swoich gościach.

– Teraz proszę mówić – oznajmiła łagodnie.

Zora zapatrzyła się na jej ciemną, nieskazitelną skórę bez żadnych zmarszczek. Wysookie kości policzkowe i pełne usta sprawiły, że była bardzo ładna. I to pomimo garbatego

nosa. Ile mogła mieć lat? Musiała być po trzydziestce.

Levi omawiał z nią propozycję. Zora nadal nie odwracała od kobiety wzroku, czując się zahipnotyzowana. Edita mówiła teraz o kwestiach, które zmysłownica mimochodem już słyszała. Naukowczynie gestykulowała i wręcz ociekała ekscytacją. Gdy przemawiała przez nią pasja, stawała się jeszcze piękniejsza. Trudno było tego nie zaobserwować.

Zora wyrwała się z apatii, gdy przez twarz Edity przemknęło wahanie.

– Mam więc zająć się tym... Dusą? – spytała niepewnie.

– Tak. To dla nas ważne. Zora mówiła, że będzie pani skłonna rozważyć tę ofertę.

Edita przelotnie zerknęła na dziewczynę, pewnie zastanawiając się, kiedy spotkały się wcześniej. Gdy do jej głowy nie wpadła żadna odpowiedź, rozłożyła ręce.

– Panie Draboń, badam zmysłownictwo. Nie szpieguję ani nie rozwiązuję zagadek.

– Cóż... – Levi opadł na oparcie kanapy w tej swojej irytująco pewnej sobie pozie – ...nauka jest w pewnym sensie rozwiązywaniem zagadek.

Kobieta skryła twarz za filiżanką, najwyraźniej popadając w zadumę.

– Zgoda. Ale nie mogę wam obiecać, że odkryję, któż to taki. Na pewno spróbuję, ale za rezultat nie odpowiadam. Poczytam, popatrzę, pokopię. Na pewno wysnuję jakąś teorię, ale jak mówiłam...

– Nie jest pani pewna rezultatu. Zrozumieliśmy – dokończył za nią Levi z kokieterijnym uśmiechem.

Edita go odwzajemniła. Zora zazgrzytała zębami.

Sporządzili umowę i ją podpisali, a na samym końcu Draboń przekazał naukowczynie wszystkie informacje i domysły na temat Dusy.

– To rzeczywiście wygląda podejrzanie. – Uniosła przed nos własne notatki, przypatrując im się z namysłem. – Być może to nawet nie jest zmysłownik.

– Jeśli nie zmysłownik, to kto? – spytała Zora, a po jej kręgosłupie prześlizgnął się lodowaty dreszcz.

– Pradawna magia.

Edita musiała wyczuć na sobie ich badawcze spojrzenia, bo zerknęła na nich zza kartki.

– Nie jest tak nieobecna, jak się wszystkim wydaje – dodała. – Nie raz i nie dwa spotkałam się z nią podczas moich badań. Być może kiedyś przyjrzę się temu bliżej. Ale na razie moją specjalnością jest zmysłownictwo. Jeśli ten wasz kolekcjoner ma w sobie nutę zmysłowniczą, odkryję to. Ale nie sądzę, żeby miał.

– Na jakiej podstawie pani tak twierdzi? – Levi wyglądał na pochłoniętego ciekawością.

Zora miała ochotę nim potrząsnąć, a Edita zaśmiała się dźwięcznie.

– Na razie na żadnej. – Popukała się w skroń. – Ale mam intuicję badawczą. A ta mówi mi, by zwrócić się w kierunku pradawnej magii.

Wypili herbatę do końca, umówili się, że gdy tylko kobieta coś odkryje, prześle im wiadomość, po czym opuścili jej dom. Włączyli się chodnikiem w milczeniu, zmierzając ku miejscu, w którym zostawili powóz Leviego.

– Wspaniała kobieta – rzucił mężczyzna lekko. – Charyzmatyczna, pewna siebie. Z pasją.

Zora wcale nie chciała, by jego słowa wbiły się w jej serce jak sztylety. Ale równie dobrze mógłby użyć prawdziwego ostrza. Może mniej by bolało.

Cicha, niewidzialna Zora nie mogła konkurować z kimś takim jak Edita Denrova. Zresztą wcale tego nie chciała. Podziwiała tę kobietę. Czasem tylko pragnęła... być bardziej. Bardziej przebojową. Bardziej pewną siebie. Gdyby nie liny przeszłości, bezustannie ciągnące ją w tył i powściągające każdy jej śmielszy pomysł, być może udałoby się jej uwolnić z kajdan.

– Tak – potwierdziła ze ściśniętym gardłem. – Ze świecą takiej szukać.

Oblicze Leviego pozostawało nieprzeniknione, a Zora przestała próbować zinterpretować każde drgnięcie mięśni i każdą jego myśl.

15

Istota, która nie zważała na granice między światami; istota, która złamała wszystkie reguły dla swojej własnej chciwości; istota, która nie respektowała świętej ziemi i zrodzonych na niej duchów.

Ta istota siedziała na dachu, otulona przez przyjazny mrok, przez życzliwe jej cienie, przez przychylne kruki, które łąsiły się do jej uda. Ta istota obserwowała mieszkańców miasta, a jej włosami targał wiatr. Wiatr, który także wydawał się być po jej stronie. Istota, która naginała odwieczne prawa natury wedle własnej woli i wykorzystywała magię do swoich celów.

Istota, której nie dało się schwytać, zobaczyć ani uwięzić.

Ta istota pragnęła krwi, pragnęła chaosu, pragnęła zapełnić czymś pustkę w miejscu, w którym miała kiedyś serce. Nie pamiętała o tych, których kochała, o tych, o których się troszczyła, o tych, z którymi się śmiała. Nie pamiętała niczego. Czuła w sobie tylko dojmujący smutek i zew, który ją wołał, przyciągał, sprawiał, że powstała i oddychała.

Przed oczami miała tylko jeden cel.

Być najlepszą.

Ta istota wiedziała, że nikt jej nie przeszkodzi. Wiatr, cienie, noc, dzień, słońce, księżyc, ludzie. Nic. Była od nich sprytniejsza, była potężniejsza, posiadała wiedzę, o jakiej oni mogli tylko pomarzyć.

Istota ciemności, która należała do światła, istota ciszy, która pławiła się we wrzaskach, istota bez ciała, która istniała tylko w ciele. Stała na straży siebie i swoich niewidzialnych pobratymców, którzy umarli, odeszli i nigdy nie wrócą, nigdy już ich nie zobaczy. Była zagubiona, a jej serce się roztrzaskało, umysł pękał w szwach od natłoku myśli, które nie należały do niej.

Dusa nie spodziewał się takiego zamętu.

Ale teraz było już za późno na to, by się wycofać, zgnić w kącie i zanurzyć we własnej duszy.

16

Gdy Zora schodziła do kawiarni na swoją zmianę, na jej twarzy malowała się mina bardziej cierpiętnicza niż zazwyczaj. Ubrana w fioletową spódnicę i kremową, koronkową bluzkę z długimi rękawami zakończonymi falbanami wyglądała jak winowajczyni idąca na skazanie.

A to wszystko dlatego, że za ladą miała spotkać Danę Kaliskową, własną przyjaciółkę, z którą nadal nie odbyła wyjaśniającej rozmowy.

– No, no, no. – Rudowłosa uniosła idealnie wyskubane brwi na widok Zory. Prezentowała się jak zwykle nieskazitelnie w czarnej sukience z jasnym paskiem, podkreślającym jej chudą talię. – Kogo to moje oczy widzą? Zorę „Czarną Owcę” Mułkatową?

– Czarną owcę? – spytała zmysłownica z rozbawieniem, sprawdzając stan naczyń w kredensie. Robiła wszystko, by być w ruchu i nie musieć patrzeć przyjaciółce w oczy.

– A i owszem. Ktoś, kto jest źle widziany w danym otoczeniu.

– Jeden raz postanowiłam cię unikać i od razu zostałam czarną owcą? – Zora uniosła brew, choć otwarta szafka uniemożliwiła Danie dostrzeżenie tego gestu.

– To z pewnością nie byłby pierwszy raz. – Kobieta prychnęła.

Gdy Zora odważyła się na nią spojrzeć, rudowłosa właśnie brała do rąk tacę.

– Czekał tu – ogłosiła, mrużąc oczy. – Zaniosę zamówienie i pogadamy.

Do kawiarni akurat zleciało się kilkoro nowych gości, więc najpierw musiały ich obsłużyć. Dopiero potem znalazły spokojniejszy moment, by odbyć tę konwersację.

– Powiedziałaś mi, że wpadłaś w jakieś tarapaty związane z Drabońem. W porządku. – Wąskie usta Dany zacisnęły się i zbieleły. – Ale gdy was ostatni raz widziałam, nie wyglądaliście jak wrogie sobie osoby. Oboje wyglądaliście raczej...

– Nie kończ tego – przerwała jej Zora, ze złością zdając sobie sprawę, że krew napłynęła jej do policzków. – Nie kończ.

– O co tu chodzi, Zor? – Dana zamknęła jej dłoń w swojej. – Martwię się o ciebie. – Jej zwykle zasadnicza i stanowcza twarz rzeczywiście złagodniała, a z oczu biła troska.

– To... – Zmysłownica jęknęła. – Powiedzmy, że teraz z Levim jesteśmy partnerami.

– Partnerami... – Dana zacmokała. – Wyglądaliście na zdecydowanie sobie bliższych niż partnerzy.

– Miałaś nie kończyć – wycedziła z wyrzutem. Chciała wyrwać dłoń, ale rudowłosa mocno ją przytrzymała.

– Chcę od ciebie usłyszeć, że nic ci nie będzie. Że wszystko jest w porządku – zakomenderowała.

Zora ze zgrozą uświadomiła sobie, że do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugła, chcąc się ich pozbyć. *Od czterech lat nic nie jest w porządku*, pomyślała z goryczą.

Na wszystkie duchy tego świata, może powinna po prostu powiedzieć prawdę. Ale dlaczego na samą myśl o tym coś dławiło ją w gardle, a plecy oblewał zimny pot?

– Wszystko jest w porządku – powiedziała na głos, ale nie brzmiała przekonująco, bo Dana zmarszczyła brwi i porwała przyjaciółkę w objęcia.

– Nie znoszę tego, że nie zdradzasz mi szczegółów – oznajmiła z wyrzutem. – Nie wiem, dlaczego mi nie ufasz. Ale nie znamy się od dziś, Zor. A ja się nigdzie nie wybieram. Zawsze możesz na mnie liczyć. Będziesz o tym pamiętać?

– Dziękuję. – Zanurzyła nos w jej bujnych włosach. – Dana? Wiem, że ostatnio tego nie okazuję, ale pamiętaj, że ty też możesz na mnie liczyć. Zawsze.

– Oczywiście, że mogę. Co byłaby z ciebie za przyjaciółka, gdybym nie mogła przyjść do ciebie o drugiej w nocy, by ponarzekać na René?

Gdy z gardła Zory uciekł chichot, obręcz zaciskająca się na jej płucach pękła. Może jej życie wcale nie było aż takie beznadziejne. Miała przecież przyjaciół, którzy ją kochali, a ona kochała ich.

Powóz z Zorą, Daną i Irmą sunął po nierównym bruku. Zmierzał w stronę Dzielnicy Naukowej i znajdującego się tam Uniwersytetu Bydgoskiego.

Czarnowłosa trzymała blisko klatki piersiowej teczkę, w której miała przygotowane swoje notatki, a czubki jej palców zdrętwiały. Dopadło ją zdenerwowanie, co nie uszło uwadze zmysłownicy. Szturchnęła przyjaciółkę łokciem w bok.

– Będzie dobrze – zapewniła.

– Wiem o tym, ale i tak się stresuję – rzuciła zeszywniałymi wargami.

– Po tym, jak odniesiesz sukces, a na pewno odniesiesz, będziesz chciała rozpocząć naukę na uniwersytecie? – spytała Zora, chcąc zająć myśli Irmy czymś przyjemniejszym.

– Raczej nie. – Zaśmiała się lekko, choć był to dźwięk podszyty nerwowością. – Chciałabym otworzyć swoje własne studio tatuażu.

– Naprawdę? – Dana uniosła swoje idealnie wypielęgnowane brwi. – Nie mówiłaś o tym nigdy.

– Bo doszłam do tego dopiero niedawno – przyznała. – Kocham tatuaże. Chcę się nimi zająć na poważnie.

Zmysłownica zerknęła w dół, na czarny tusz wystający zza kołnierza jej jasnej koszuli. Popadła w zamyślenie.

– Ja bym chciała prowadzić kawiarnię – oznajmiła, nie patrząc na swoje przyjaciółki. – Być bogatą. I samodzielną.

Wolną, niezależną, podejmującą własne decyzje, bez długu brata i Krakavców dyszących mi w kark.

– Naprawdę? – powtórzyła rudowłosa, tym razem z większym zdumieniem. – Czy to dziwne, że ja nie wiem, czego bym chciała od życia? Wiem tylko tyle, że nie chcę być kelnerką przez całe życie, ale nie mam żadnego innego pomysłu.

Zora wyrwała się z zamyślenia i zogniskowała wzrok na Danie. Irma ją jednak wyprzedziła.

– Na pewno coś jeszcze wymyślisz. Masz dużo czasu.

Zmysłownica pomyślała, że czas jest niemiarodajną jednostką. Nigdy nie wiadomo, komu ile go zostało. Kurczowe trzymanie się nadziei, że „mamy dużo czasu”, to oszukiwanie samych siebie, chociaż bez tej perspektywy można oszaleć i skupić się na nieuchronności śmierci, zamiast na życiu, a tego nikomu nie życzyła.

Karoca zatrzymała się, a Zora zamrugała, dochodząc do wniosku, że była dziś w bardziej melancholijnym nastroju niż zazwyczaj. Może to z powodu tej mżawki, na którą właśnie wyszła, rozkładając nad głową parasol. Drobnе krople rozbijały się o materiał, omijając jej nogi okryte spódnicą i płaszcz nałożony na ramiona. Tylko trzewiki wpadały w małe kałuże utworzone między kostkami brukowymi.

Uniwersytet Bydgoski był gmachem wielkim i okazałym, stojącym w samym sercu Dzielnicy Naukowej. Składał się z kilku pięter, labiryntu korytarzy i przestronnych auli wykładowych. W okrągłym holu wywieszono baner z napisem: „TRZECIA DOROCZNA KONFERENCJA NAUKOWA”. Pod spodem dodano: „TEMAT PRZEWODNI – CIAŁO”.

– Zobacz tylko ten sufit. – Dana złapała Zorę za rękaw i pociągnęła go z entuzjazmem.

Zmysłownica uniosła głowę i dostrzegła duży fresk przedstawiający grupkę uczonych, kobiet i mężczyzn, z książkami i piórami w dłoniach. Kolory trochę wyblakły, ale nawet mimo tego malowidło robiło duże wrażenie.

– Chodźcie. – Irma skinęła na nie palcem.

Ruszyły za nią, mijając innych uczestników i gości, wdających się ze sobą w pogawędki. Zora z przykrością uzmysłowiła sobie, że to byłaby ona, gdyby nie przeklęty Petr i jego dług. To ona mogłaby tu stać i szczerzyć się od ucha do ucha na myśl o zaprezentowaniu swoich wyników badań.

Zamiast tego nauczyła się, jak kraść, jak szpiegować, jak zabijać. Zanurzyła się w przestępczym świecie tak bardzo, że niemożliwym jej się wydawało całkowite wydostanie się z niego.

– Dobrze. – Irma stanęła przed nim, zachwycająca w ciemnożółtej spódnicy i bluzce z falbanami. Specjalnie odpięła guzik pod szyją, by upewnić się, że jej tatuaże będą widoczne. – Teraz muszę iść się zameldować, więc już się nie zobaczymy. Wyczekujcie mojego wystąpienia. – Posłała im promienny uśmiech, odwróciła się na pięcie i różnym krokiem wmieszała się w tłum zmierzający do odpowiedniej auli.

Dana złapała Zorę pod ramię.

– Chodźmy zająć miejsca.

I tylko niespokojne przeczucie kazało odwrócić się zmysłownicy. Nie wiedziała, czego szukała, ale gdy już znalazła, wszystkie włoski na jej ciele stanęły na baczność.

W oddali, między tkaninami i złożonymi parasolkami, dostrzegła Boaza świdrującego ją wzrokiem. Zaraz potem zniknął jej z oczu, ale jej ciało weszło w stan jeszcze większej gotowości. Nie chciała się łudzić, że to zbieg okoliczności.

Coś musiało się stać.

Usiadły w środku rzędu, a spoglądając w dół, widziały misternie ułożone fryzury innych słuchaczy oraz scenę, po której kręciło się kilkoro ludzi. Zora nie mogła się skupić, jej umysł cały czas krążył wokół sylwetki jasnowłosego mężczyzny z kolczykiem w uchu. Ledwie zauważyła, że rozpoczęła się konferencja. Prowadzący w kremowej marynarce witał wszystkich, a jego głos roznosił się po sali dzięki dobrej akustyce.

Zmysłownica ponownie się obróciła. Jej wzrok od razu spoczął na Boazie, który opierał się o futrynę w wejściu do auli. Kiwnął na nią głową. Zora nerwowo przełknęła ślinę, po czym nachyliła się nad Daną, wdychając jej różany zapach.

– Zaraz wrócę – wyszeptwała najciszej, jak umiała.

– Co takiego? – Kobieta, której rude włosy układały się dzisiaj w kok na czubku głowy, złapała ją za przedramię. – Gdzie idziesz?

Zora przygryzła wargę.

– Nie idź – syknęła Dana. – Przyszłaś tu, konferencja trwa. To będzie niegrzeczne, jeśli teraz wyjdiesz.

Zmysłownica zdusiła westchnienie.

– Muszę – powiadomiła z żalem i nie czekając na odpowiedź, zaczęła się przeciskać między nogami innych słuchaczy. Czowała na sobie pełen dezaprobaty wzrok przyjaciółki, a w jej żołądku osiadł ciężar pełen żalu i goryczy.

Boaz ruszył przodem, zatrzymując się tuż przy schodach. Zora stanęła naprzeciwko niego i zaplotła na piersi ramiona.

– Co tutaj robisz? – warknęła, przyglądając się jego ciemnym oczom i ogolonej szczęce. To dlatego dostrzegła, jak mężczyzna zacisnął zęby.

– Mój znajomy ma dzisiaj wygłosić referat – oznajmił. – Nie sądziłem, że cię tu dzisiaj spotkam, ale dobrze się stało. Spotkajmy się nad rzeką po konferencji.

– Nad Vesłą?

Boaz przytaknął.

– To kilkanaście minut drogi stąd.

– Umówmy się na jakiś inny termin – zaproponowała, bo wyjątkowo nie miała dzisiaj ochoty na żadne pogaduszki z Krakavcami.

– Nie. Oboje tu jesteśmy, więc skorzystajmy z okazji. Będę na ciebie czekał i dobrze ci radzę, przyjdź.

Nie dał jej szansy na odpowiedź, wyminął ją i wszedł do auli. Zora patrzyła za nim z nieszczęśliwą miną. Kiedy z powrotem usiadła na swoim miejscu, pocieszyła się myślą, że przynajmniej wzięła ze sobą sztylet.

Wysłuchiwała wystąpienia tylko jednym uchem. Nie potrafiła się skoncentrować nawet na Irmie i jej słowach, skądinąd pełnych pasji i zapału. A na zakończenie musiała po raz kolejny zawieść swoje przyjaciółki, informując je, że do nich nie dołączy. Wcześniej umówiły się, że będą świętować, wypiją trochę wina i zjedzą jakieś dobre ciasto.

– Przyjdę później – zapewniła je, widząc zmarszczone brwi. – Muszę tylko coś załatwić.

– Załatwić. Jasne. – Dana przewróciła oczami i wzięła Irmę pod ramię.

Razem opuściły budynek Uniwersytetu Bydgoskiego, zostawiając za sobą sparaliżowaną Zorę z gulą w gardle.

Świetnie. Doskonale. Nie ma to jak życie wypełnione rozczarowaniami.

Wzięła głęboki wdech, ciaśniej opatulila się płaszczem i wymknęła się prosto w półmrok wczesnego wieczora. Z jej ust wydostawały się kłęby pary, a pod odzieniem pojawiła się gęsia skórka. Mgła zawisła nisko, a okoliczne latarnie ledwo radziły sobie z oświetleniem ulic.

Im dalej odchodziła od uniwersytetu, tym mniej ludzi spotykała, aż wkrótce Zora została zupełnie sama. Walczyła z przejmującym zimnem i strachem zalegającym tuż pod powierzchnią skóry, czającym się, by złapać ją za gardło i unieruchomić. Dla dodania sobie otuchy trzymała dłoń na sztylcie ukrytym przy udzie.

Rzeka cicho szemrała, płynąc jednostajnym, choć nie za szybkim nurtem. Wzdłuż niej utworzono zwirową ścieżkę, która prowadziła do Dzielnicy Literackiej. Położona między kamienicami a roślinnością porastającą brzeg była idealnym miejscem na spokojne spacerowanie.

Kiedy Zora ją przemierzała, jej duch znajdował się daleko od stanu odprężenia.

Boaz stał bokiem do niej. Oddychał głęboko, a na jego włosy padało migotliwe światło z pobliskiej latarni.

– A więc jestem – ogłosiła zmysłownica z niechęcią.

– Kazałem ci sprawdzić mojego chłopaka. – Zerknął na nią z umiarkowanym zainteresowaniem. – Co znalazłaś?

– Szpiegowałam go przez kilka dni – zaczęła ostrożnie, pilnując, by między nią a mężczyzną panował odpowiedni dystans. – On cię nie zdradza.

– Jesteś pewna? – Jego głos brzmiał dziwnie.

Nie, tak sobie żartuję.

– Tak, jestem.

– A jednak dostaje listy, których nie chce mi pokazać. Nie zawsze ma czas, żeby się ze mną spotkać – rzucił z ostrą nutą.

Zora lekko pokręciła głową.

– Ostatnio dostaje dużo korespondencji od swojego wuja, pisali o pożyczkach, pieniądzach i spadku.

– Powiedz mi – Boaz postąpił jeden krok w jej stronę – dlaczego ci nie wierzę?

Zmysłownica oniemiała.

– Co takiego? A po co miałabym kłamać?

– Żeby się mnie pozbyć.

– To nie ma sensu. Gdybym zdobyła dowód na zdradę, to też bym się ciebie pozbyła.

Boaz zacisnął szczękę.

– Musisz dalej go szpiegować – stwierdził.

– I co? Mam go szpiegować tak długo, aż znajdę dowód zdrady, której nie ma? Zaczynam brzmieć tak, jakbyś chciał, żeby on nie pozostał ci wierny.

– Nie masz o niczym pojęcia.

– I nawet nie chcę mieć. Mówię ci, że on cię nie zdradza. A jeśli mi nie wierzysz, to może zdobędziesz się na odwagę i porozmawiasz z własnym chłopakiem, co? Czy to cię przerasta?

Pewnie powinna była mówić mniej kpiącym tonem. Nie unosić drwiąco brwi. Nie przybierać wyzywającej pozy.

Powinna była.

– Nie będę przyjmował rad od takiego ścierwa jak ty. – Splunął jej pod nogi. – Nasz układ jest nieważny. Miłego życia w piekle, Zoro Muškatova, bo właśnie tam wyśle cię Gustav, gdy mu powiem o twoim wybryku.

Odwrócił się, a zmysłownica pozwoliła sobie na panikę dokładnie przez jedno uderzenie serca, zanim ruszyła do przodu, zagradzając mu drogę.

– Nie – powiedziała.

Boaz ją odepchnął i wyminął bez słowa. Złapała go za ramię i pociągnęła, a on pewnie odruchowo się zamachnął. W ostatniej chwili odskoczyła z toru lotu jego pięści, czując na policzku powiew wiatru.

– Nie zmienisz mojego zdania – warknął.

Zora z wahaniem podkasła spódnicę i wyjęła spod niej nóż, który zalśnił w słabym świetle. Boaz się zaśmiał.

– Chcesz o to walczyć? – Uniósł brwi. – Zapominasz, że byłem twoim nauczycielem i wiem, jak nikłe było twoje szkolenie, zwłaszcza w porównaniu do mojego doświadczenia.

– Co to za różnica, czy zginę z twojej ręki, czy z ręki Gustava? – wycedziła.

– Jak sobie życzysz.

Ruszył na nią, odpychając jej dłoń ze sztyletem. Zora zanurkowała pod jego ramieniem i cięła płasko, ale Boaz zdążył się odsunąć. Jej oddech zaczął przyspieszać, a zimno szybko zostało wyparte przez ogień adrenaliny.

Musiała go pokonać. Jeśli nie zdobędzie nad nim przewagi, szef Krakavców ją zabije. Właśnie tak karano za zdradę.

Pchana rozpalającą się w niej furią zamarkowała pchnięcie i wystawiła się na cios. Pięść zderzyła się z jej policzkiem z taką siłą, że niemal straciła równowagę. Na języku poczuła metaliczny smak krwi i tylko jej ręka się nie zawahała. Wystrzeliła do przodu, a ostrze zagłębiło się w miękkim ciele.

Boaz sapnął i spojrzał na nią z zaskoczeniem. Zora z pełną premedytacją wytrzymała jego wzrok i cofnęła dłoń, a jej przeciwnik jęknął, przyciskając ręce do rany.

– Arogancja zawsze prowadzi na manowce – wyszeptła i wypłuła zbierającą się w jej ustach krew. Otarła wierzchem dłoni wargi i zbliżyła się do Boaza o krok. On cofnął się odruchowo, co zmysłownica zarejestrowała z satysfakcją. – Przekonaj mnie teraz...

Mężczyzna ściągnął brwi i zaszarżował na nią. Zora przeklęła w myślach, żałując, że własne słowa nie przestrzegły jej samej. Może wtedy zachowałaby minimalną ostrożność. Tymczasem poślizgnęła się na żwirze i upadła, ciągnąc za sobą ciało swojego przeciwnika. Sztylet wypadł pomiędzy jej palców i zniknął gdzieś w trawie albo wleciał do rzeki.

Boaz wzniósł nad nią zaciśniętą pięść. Zora uniosła lekko dłoń i wepchnęła ją prosto w ranę, którą sama zadała. Napastnik stracił rezon i zawył z bólu, a zmysłownica wykorzystała jego nieuwagę i huknęła go czołem w twarz. Zacisnęła powieki jak najmocniej

umiała, słysząc chrupnięcie kości, pewnie nosowej, a potem zepchnęła z siebie cielsko Boaza. Mężczyzna z jękiem stoczył się z niej i chwiejnie wstał. Zora poszła w jego ślady, drżąc na całym ciele. Napotkała spojrzenie pełne szału, który popchnął Krakavca do działania. Chciał znowu zaatakować, ale powietrze było wilgotne, podłoże śliskie, a blondyn przecież oberwał. Jego stopa się poślizgnęła, ramiona machnęły raz i drugi, ale nie pomogło mu to w utrzymaniu równowagi.

Wstrząśnięta Zora przyglądała się, jak Boaz wpadł z pluskiem prosto w ciemną toń rzeki.

Na wszystkie duchy...

Zamrugła, chcąc wypatrzeć jego ciało, ale mgła przybierała na sile, a mrok gęstniał.
– Boaz? – rzuciła w przestrzeń słabym głosem.

Nie doszła jej żadna odpowiedź. Zmysłownica potarła swoje ramiona, a zgroza całej sytuacji powoli na nią opadała jak pierwsze krople deszczu zderzające się z ziemią. Przycisnęła dygoczącą dłoń do czoła, myśli miała rozbiegane.

Nagle poczuła się jak idiotka, stercząc nad brzegiem Vesli i wgapiając się w ciemność. Rozejrzała się, chcąc się upewnić, czy ktoś ich widział, ale tym razem mgła okazała się jej sprzymierzeńcem. Odwróciła się od rzeki i znalazła najbliższy punkt dorożek. Jeden z powozów zabrał ją do domu. Przy swoim biurku napisała wiadomość do przyjaciółek i chłopcu stajennemu poleciła ją zanieść do mieszkania Dany. Z chłodni wyjęła lód i z sykiem przyłożyła go do opuchniętego policzka. Wykąpała się, zmyła z siebie brud i pot, a jej rozszerzone oczy patrzyły przed siebie, nie dostrzegając niczego konkretnego.

Plan włamania się do magazynu Krakavców ułożył im się właściwie sam. Połączenie mocy Zory i Leviego dawało im niemal nieograniczone możliwości. Mieli wrażenie, że razem mogliby zrobić, co tylko zechcą, i wydostać się ze wszystkich kłopotów, w które by wpadli. Szkoda tylko, że niektóre problemy powodował Draboń i Zora musiała je rozwiązywać samodzielnie.

Z samego rana udała się na rynek, żeby kupić nowy sztylet. Zakryła makijażem sinia-ka na twarzy i cały czas oczekiwała wieści o Boazie. Jeśli przeżył, to ona już nie żyła. Ale jeśli się utopił...

– Musisz się odpowiednio przygotować – oznajmiła Zora, modląc się do duchów o to, by się nie zaczerwieniła.

Dotychczas odsuwała od siebie perspektywę tego tematu, nie mówiąc już o wdrożeniu go w życie, ale kiedyś trzeba było go przedyskutować. Teraz przyjmowała go nawet jako

miłe odciągnięcie uwagi od wczorajszej potyczki i jej niepewnej sytuacji.

– To znaczy? – Siedzący naprzeciwko niej Levi zmierzył ją uważnym spojrzeniem, od którego Zora zwyczajowo poczuła dreszcze.

Łagodny gwar Pohlednej Beruški oplatał ich jak bluszcz owijający się wokół ogrodzenia.

– To znaczy, że moja niewidzialność działa poprzez dotyk – wyjaśniła. – Ubierz się w jedną warstwę ubrań. I nie możesz mieć butów.

Drgnął.

– Słucham? Bez butów?

Jego oburzenie całkiem ją rozbawiło.

– Chyba że chcesz, żebym stawała ci na stopach – uzupełniła.

Spiorunował ją wzrokiem.

– W takim razie... – wycedził, choć jego głos ociekał aksamitem. Cóż za połączenie słodkiego z gorzkim. – W takim razie wytłumacz mi, co dokładnie mam na sobie mieć.

No i proszę. Gorąco buchnęło jej w twarz. Uderzenie patelnią mniej by ją oszołomiło niż to. Ale dobrze. Tych dwoje mogło zagrać w tę grę. Dlatego Zora uśmiechnęła się lekko i posłała mu kokieterijne spojrzenie.

– Koszulę. Bez kamizelki. Bez muszki. Spodnie. Bez butów, bez skarpet. Marynarka też raczej odpada.

– Po co się fatygować? – Levi rozłożył ręce, a w jego oczach zalśnił psotny błysk. – Może od razu przyjdę nago.

Kusiło ją, by powiedzieć „tak”, tylko z ciekawości związanej z jego reakcją. Ale znając jego, podjąłby to wyzwanie, a ona nie wytrzymałaby, gdyby musiała współpracować z nim... bez ubrań. Przełknęła ślinę.

– Wystarczy koszula i spodnie.

– A co z bielizną, hmatowa mistrzyni? – Zabrzmiało to wyjątkowo kąśliwie, zważając na fakt, że on sam był hmatowym.

Musiała wyrzucić z głowy perspektywę nagiego Leviego, bo ją rozpraszał. Odetchnęła.

– Im mniej ubrań, tym lepiej – stwierdziła wymijająco.

Zmysłownik powoli rozciągnął wargi w oszłamiającym uśmiechu.

– Przyznaj się. – Jego głos przybrał niższe tony. – Zaplanowałam to, by mieć mnie półnagiego obok siebie.

Złość chwyciła ją za gardło i na moment odebrała jej mowę. Pozwoliła, by fala irytacji wylała się z niej za pomocą zjadliwych słów.

– Przypominam, że wcale by mnie tu nie było, gdyby nie twoje groźby – warknęła. – O niczym tak nie marzę jak o tym, by mieć to wreszcie za sobą.

Levi spojrzał na nią tak, jakby nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

A potem nadszedł zmrok i chwila, podczas której mieli wprowadzić ich plan w życie. Wszystko stało się realniejsze.

Babia Wieś to dzielnica składająca się głównie z wolnostojących budynków. Niektóre przypominały podmiejskie rezydencje arystokracji, a inne wiejskie posiadłości rolników. Baza Krakavców stojąca w sercu tego wszystkiego nie wyróżniała się niczym szczególnym. Otoczona kamiennym murem i strzeżona przez co najmniej tuzin wartowników wydawała się raczej zwyczajną budowlą miasta.

Zora patrzyła na nią z oddali. Para ulatywała z jej ust, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Zadreptała w miejscu, rozglądając się za Levim. Ten szubrawiec się spóźniał. Nie nosiła ze sobą zegarka kieszonkowego, więc nie mogła sprawdzić godziny, ale była pewna, że minęło już dobre piętnaście minut od wyznaczonej pory spotkania.

– Przeklęty drań – mruknęła.

– Tak o mnie mówisz, gdy myślisz, że nie słyszę?

Zmysłownica podskoczyła w miejscu i się odwróciła. Z cienia wyłoniła się dominująca, rozweselona sylwetka Lewego.

– Nazywam cię gorzej – rzuciła mu wyzwanie.

Mężczyzna jednak go nie przyjął, tylko wbił skupione spojrzenie w budynek.

– Zaczynamy? Cholernie mi zimno.

I bardzo mu tak dobrze, pomyślała z pewną dozą złośliwości.

Bez pytania przysunęła się do niego, a gorąco jego ciała obiecywało zwodnicze bezpieczeństwo. Przez całą noc i cały dzień zastanawiała się nad tym, jak miała to zrobić. Jak powinna go złapać, by było im najwygodniej. Logika tego działania ją przerastała. Jak na złość przypomniało jej się, że Levi nie założył na siebie bielizny, i jakoś tak zrobiło jej się słabiej.

Weź się w garść, wymierzyła sobie mentalny policzek.

Ostrożnie objęła go ramieniem, z rozmysłem kładąc swoją dłoń na jego boku. Jej żołądek się zacisnął, a oddech ugrzązł w gardle. Już raz się tak obejmowali, ale wtedy oboje ledwo kontaktowali ze światem zewnętrznym. Teraz byli w pełni sił umysłowych. To znaczy przynajmniej w założeniu. Bo Zora czuła się tak, jakby jej mózg poszybował do alternatywnej rzeczywistości.

Upewniła się, że dotyka dłońmi zarówno jego koszuli, jak i spodni. A potem jej puls oszalał, bo lekko uniosła materiał bluzki, by wsunąć pod nią palec, i położyła go na gorącej skórze. Nawet pod tak lekkim dotykiem wyczuła, jak jego mięśnie się napięły.

– Już? – wycedził Levi. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jego oddech przyspieszył.

Ośloniła ich niewidzialność. Skóra przyjemnie zamrowiła.

– Już.

Przystąpili do działania. Przeszli przez mur i przecięli trawnik. Z łatwością wdarli się do środka bazy, mijając strażników. Nie zatrzymały ich żadne kraty ani zamki. Przemknęli przez wielki, podziemny magazyn i przystanęli dopiero w gabinecie głównego magazyniera. W środku panowały egipskie ciemności i oprócz kurzu nie było tu nikogo innego. Zora z mieszaniną ulgi i rozczarowania odsunęła się od Leviego. Wyjęła z kieszeni swoich spodni świecę oraz zapalki, a chwilę później po pokoju rozlało się nikle światło. Na nic lepszego nie mogli sobie pozwolić ze względów bezpieczeństwa.

Kobieta kciukiem wskazała wielką szafę pod ścianą.

– Jeśli są tu jakieś przydatne dokumenty, to na pewno znajdziemy je tutaj – stwierdziła.

Mężczyzna kiwnął głową i wysunął pierwszą szufladę. Zora zabrała się za przeszukiwanie teczek z drugiej strony. Ktokolwiek zajmował się archiwizacją papierów, wykonał doskonałą robotę. Zmysłownica szybko znalazła dokumenty sprzed pół roku, na razie nie informując o tym Leviego. Przeglądała je cierpliwie, przebiegając wzrokiem tekst. Niemal w ogóle nie czuła drżenia nóg czy potu spływającego po plecach. Nie bała się przyłapania. Nie z Levim u boku. Dlatego ręce miała pewne, a umysł zadziwiająco skupiony. Metodycznie przekładała papiery, aż natrafiła na wzmiankę o pistoletach Gustava.

Wydano jeden egzemplarz... Wstrzymała oddech. Zerknęła na datę raz jeszcze.

Nie mogła mu tego pokazać.

Powoli uniosła głowę, a jej serce przyspieszyło. Draboń ze zmarszczonymi brwiami nadal przeszukiwał teczki, choć jego ruchy były zdecydowanie bardziej pospieszne niż jej. Wtem jego wzrok wbił się prosto w nią.

– Coś znalazłaś? – spytał.

Przełknęła ślinę.

– Nie.

Nie wyglądał, jakby go przekonała.

– Pokaż.

Zora cofnęła się o krok, ale nagle oboje zamarli.

W drzwiach zagrzechotał klucz.

Znowu...?, przemknęło zmysłownicy przez myśl z niedowierzaniem.

Rzuciła się na świeczkę, krzywiąc się, gdy воск poparzył jej dłonie. Błyskawicznie skoczyła na Leviego, który złapał ją w pasie, i niezdarnie wsunęła mu dłoń pod koszulę. Mężczyzna popchnął ją do tyłu, aż poczuła to niespotykane wrażenie przechodzenia

przez ścianę. Chciała się rozejrzeć, ale straciła równowagę i przewróciła się, ciągnąc za sobą Leviego. Oboje stęknęli, a upadek wycisnął im powietrze z płuc. W tym zawirowaniu upuściła gdzieś teczkę i miała nadzieję, że przepadła na dobre. Levi nie powinien...

Myśl uciekła jej z głowy, gdy dostrzegła spojrzenie wiszącego nad nią mężczyzny. Czowała jego ciężar i upajający zapach. Uświadomiła sobie, że nadal trzymała dłoń na jego klatce piersiowej, więc teraz przesunęła ją po twardej skórze, delektując się napinaniem mięśni. Ręka Leviego łagodnym ruchem wyładowała na jej policzku, a kciuk prześlizgnął się po jej podbródku i potarł dolną wargę. Świat Zory skurczył się do tej jednej chwili i do tego jednego odczucia.

Na pewno zaraz któreś z nich zrobiłoby coś głupiego, gdyby ich bańki nie przerwałyby podniesione głosy. Kobieta zamrugała, uświadamiając sobie, że leżeli w poprzek korytarza. Mogli być niewidzialni, ale nie niematerialni. Ktoś z łatwością mógł na nich nastąpić, a wtedy... Zora wołała nie myśleć, co stałoby się wtedy.

– Wstawaj – szepnęła. Z żalem położyła swoją dłoń na jego i odciągnęła od swojej twarzy.

Levi potrząsnął głową i zsunął się z niej. Zmysłownica szybko sprawdziła, czy świeca, sztylet i wytrych były na swoim miejscu, a w tym czasie Levi odnalazł teczkę i podniósł ją z podłogi. Przez krótką chwilę Zora wpatrywała się w nią, knując niejasne plany o wyrwaniu jej i podarciu.

Poczucie winy chwilowo zostało wyparte przez strach.

– Musimy iść – rzuciła cicho.

Z wahaniem zbliżyła się do zmysłownika, obejmując go w pasie ramieniem. Stłumiła westchnienie, gdy jej skóra zetknęła się z jego.

Znaleźli w miarę bezpieczną kryjówkę w schowku na miotły, wiadra i szmaty. Zora znowu zapaliła świecę i postawiła ją na podłodze. Obserwowała mężczyznę z teczką w ręku, a w jej brzuchu zacisnął się węzeł. Stłumiła chęć sięgnięcia po dokumenty. Wiedziała, że takim zachowaniem pograżałaby się jeszcze bardziej.

Z magazynu wydano jedną sztukę broni dokładnie w wieczór przed pojedynkiem Andrei Draboňovej. Przekazano ją w ręce Zory Muškatovej na specjalnie zezwolenie Gustava. Dalsze losy pistoletu były nieznane. Ktoś dodał nawet późniejszą karteczkę z napisem: „Broni nigdy nie zwrócono. Uznana za zaginioną”.

Zora pamiętała tamten dzień, ale aż do tej pory nie powiązała faktów.

Usiadła pod ścianą, przyciągając kolana pod brodę. Ułożyła policzek na swoich nogach, nie mogąc odwrócić wzroku od Leviego, który już trzeci raz czytał dokumenty. Wreszcie powoli uniósł głowę, a na jego twarzy malował się szok zmieszany z podejrliwością.

– Co to ma być? – spytał zachrypniętym głosem.

Zora wolałaby nie przeprowadzać tej rozmowy w schowku w bazie Krakavców, ale wątpiła, by Levi dał się teraz namówić na opuszczenie budynku.

– Czasem jestem wysyłana w teren w roli posłańca – wydusiła skrzekliwie. Odchrząknęła, a jej głos przybrał błagalne nuty. – Kilka razy rzeczywiście transportowałam broń. Ale nie miałam pojęcia, że...

– Nie miałaś pojęcia, że zabiją nią moją matkę? – warknął. – Czy to ty ją zabiłaś? Pobladła.

– Nie! Ta broń jest w fazie testów. Nie wiedziałam... – Urwała. Co niby miała powiedzieć? Nie wiedziała, że pistoletem można kogoś zabić? Nie zastanawiała się nad tym. A to spora różnica. – Po co miałabym zabijać twoją matkę? – Głos jej się łamał.

– Ty po nic. – Levi zabrzmiał tak ostro, że Zora się wzdrygnęła. – Ale Gustav mógł mieć w tym jakiś interes, a ty przecież wykonujesz jego polecenia.

– Ja nie... Nie zabiłam jej.

– Byłbym zdziwiony, gdybyś się przyznała.

Zmysłownica się skrzywiła.

– Po co Gustav miałby to robić? Po co miałby zlecać komuś morderstwo...

– Nie wiem – warknął. – Nie wiem, ale się dowiem. Wstawaj.

Zgasił świeczkę, pogrążając ich w ciemności.

– Co? – wyszeptwała.

Złapał ją za ramię i podciągnął. Kobieta przygryzła wargę, by nie pisnąć.

– Idziemy.

Nawet nie poczekał, aż staną się niewidzialni, tylko ruszył naprzód. Zmysłownica musiała działać szybko, by jej moc okryła ich oboje.

– Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią twojej matki. Nie jestem morderczynią – powiedziała, nadając swojemu głosowi tyle stanowczości, ile była w stanie.

Zamykała powieki, ilekroć pokonywali jakąś ścianę, aż wreszcie zamiast stęchłego powietrza bazy Krakavców mogła wdychać zapach dymu pomieszany z wilgocią.

– Na razie dowody przemawiają przeciwko tobie. Poza tym z jakiegoś powodu próbowałaś przede mną ukryć tę teczkę... Wtedy, jeszcze w gabinecie magazyniera.

Gdzieś w środku jej ciała narastał przyływ uczuć, które wkrótce złapały ją za gardło. Gorzki smak goryczy mieszał się z pulsującą w żyłach irytacją.

– Może tak – warknęła, wciskając palce mocniej w jego ciało. – Może nie. Nawet jeśli miałam z tym coś wspólnego, byłam tylko posłańcem. Niczemu nie jestem winna.

Levi zacisnął szczękę. Bez słowa wepchnął ją do dorożki, którą zaparkował kilka ulic od bazy Krakavców, po czym wsiadł za nią i kazał stangretowi ruszać. Spojrzał Zorze

prosto w oczy, gdy powiedział:

– Na Śródmieście. Muszę złożyć wizytę komuś w tamtejszej bazie Krakavców.

Mężczyzna siedzący na koźle skorygował kurs, a powóz pomknął wśród mgieł i mroku miasta.

17

– Wejdiesz tam i dowiesz się, gdzie jest Gustav.

– Nie.

Levi wyglądał, jakby tylko granica cieńsza od papieru dzieliła go od rzucenia się na nią.

– To nie była prośba. – Starannie cedził każde słowo.

– Krakavce już wystarczająco mną pomiatają – odcięła się ostro Zora. – Tobie na to nie pozwolę. Nie jesteś moim panem.

– To zrób to w imię naszej przyjaźni.

Doceniła to, że postarał się brzmieć znacznie łagodniej. Doceniła z rozmysłem, a potem nie wahała się ani sekundy i zaatakowała.

– W imię czego? – zaszydziła, udając, że ogląda paznokcie. Swoją drogą, przydałaby im się pielęgnacja.

– Nie przeginaj. – Szczęka Leviego znowu się napięła.

– Nie mam w tym żadnego interesu. Właściwie widzę same szkody – wyznała od niechcienia.

– Albo pójdziesz tam i załatwimy to po cichu, albo sam się tym zajmę. I na pewno nie omieszkam powiedzieć, że mi pomagałaś.

Zora spięła się, piorunując mężczyznę wzrokiem. W półmroku karocy ledwie go widziała, ale miała wrażenie, że mimo tego wyczuwała w nim każdą zmianę. Ze złością dotknęła klamki powozu, ale zanim wstała, musiała mieć ostatnie słowo.

– Zawsze musi być tak, jak ty chcesz, prawda? Zaczynam podejrzewać, że jesteś cholernym maniakiem kontroli.

Wymknęła się na zewnątrz, nie czekając na odpowiedź. Tupiąc głośniej niż zazwyczaj, wspięła się po schodach i wparowała do mieszkania pełnego dymu fajkowego. Ignorując obawy o Boaza, zaczęła pierwszą napotkaną osobę, wyższego od niej mięśniaka z tatuażami na łysej głowie, i pociągnęła go za ramię.

– Czy Gustav jest u siebie? – warknęła.

W jej ciele buzowała wściekłość, która dodawała jej odwagi. Zwykle nie pozwoliłaby sobie na taką bezczelność. Załatwiłaby to po cichu, a najlepiej za pośrednictwem Emila. Ale dzisiaj miała wszystkiego dość.

Mężczyzna był zbyt zdziwiony, by zareagować inaczej niż potwierdzeniem jej słów. Zora podziękowała uprzejmie i zbiegła po schodach, nie oglądając się za siebie. Gdy znowu siedziała naprzeciwko Leviego, powiedziała mu, że tak, Gustav jest u siebie.

Draboń zatarł ręce, a na jego twarz padł ponury cień.

– Świetnie.

Tym razem weszła do bazy Krakavców dużo ostrożniej. Z uczeponym u jej boku Levim ta operacja wydała jej się trudniejsza. Musiała starannie omijać członków gangu, a w półmroku mieszkania nie widziała za dobrze.

– Załatwisz to sam – powiadomiła Leviego, gdy zbliżali się do gabinetu szefa. – Ja pozostanę w cieniu. Niewidzialna.

– Wszystko jedno.

Jego oschły ton jeszcze bardziej ją zirytował.

Nawet jeśli rzeczywiście miała coś wspólnego z morderstwem Andrei Drabońovej, nie powinien jej tak traktować. Zwłaszcza że szła mu na rękę i doprowadziła go tam, gdzie chciał.

Gustav początkowo nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. Siedział przy biurku, pochylając się nad papierami, oświetlony kilkoma lampami gazowymi, i popalał fajkę. Na blacie oprócz dokumentów stała szklanka z likierem oraz niedojedzone ciastko. Zamarł dopiero wtedy, gdy Levi przekręcił klucz w zamku. Powoli uniósł głowę, a wówczas Zora odsunęła się bezszelestnie, wciskając się w kąt.

Mężczyzna uśmiechnął się przebiegle, odkładając fajkę na popielniczkę. Rozsiadł się wygodniej na krześle, sprawiając wrażenie całkowitego panowania nad sytuacją.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał głębokim głosem, pocierając kciukiem biurko, jakby sprawdzał jego czystość.

Levi zacisnął dłonie w pięści i postawił krok w kierunku barczystego mężczyzny.

– Chcę wiedzieć, co łączyło cię z Andreą Drabońową – wycedził.

Gustav się ochryple zaśmiał.

– Byłem ciekaw, czy jej synuś kiedyś się domyśli, kto stoi za jej śmiercią – wyznał z zadowoleniem. Powoli wstał z miejsca, położył dłonie na blacie i nachylił się nad nim. – Nie za często cię wspominała, a nawet gdy już to robiła, raczej nie w superlatywach. Ale miałem wrażenie, że trochę cię nie docenia. Cóż, dobrze wiedzieć, że jeszcze raz, ten ostatni raz, z nią wygrałem.

Zora widziała pulsującą żyłę na szyi Leviego. Zachował jednak nadzwyczajny spokój. Sztywno wyprostowany, pozbawiony swojej zwykłej elegancji, bez butów – a mimo tego i tak jakoś udało mu się roztoczyć wokół siebie dominującą aurę zaprawioną mrokiem. W pewnym sensie obserwowanie starcia tych dwóch osobowości było niezwykle absorbujące.

– Mieliśmy romans – dodał lekko Gustav.

Levi zamarł, podobnie jak Zora.

– Co takiego? – wyrwało się zmysłownikowi.

– Och, nie wiedziałaś? – Szef Krakavców uśmiechnął się chytrze, patrząc jak jastrząb. – Andrea ci nie powiedziała? Co z niej za wyrodna matka!

Levi milczał, ewidentnie próbując utrzymać w ryzach swój gniew.

– To był bardzo przydatny układ, połączony z przyjemnością – uzupełnił, rozkoszując się chaosem, jaki wywoływał. – Krakavcom nigdy nie wiodło się tak dobrze, jak w czasach rozejmu z twoją matką.

– To dlaczego ją zamordowałeś? – Zora usłyszała w głosie Leviego nutę rozgoryczenia. Gustav wzruszył ramionami.

– Bo chciała zerwać nasz układ. Nie mogłem do tego dopuścić.

Draboń postawił następny krok w stronę swojego przeciwnika, ale on uniósł palec wskazujący i nim pogroził jak małemu dziecku.

Zora popadła w zamyślenie. Przez jakiś nieokreślony czas Gustav współpracował z Andrea, ale potem ona zechciała się wycofać. Szef nie mógł się na to zgodzić, więc pewnie zaproponował honorowy pojedynek, który miałby raz na zawsze rozstrzygnąć sprawy między nimi. Zapędził kobietę w pułapkę, oszukał ją i zamordował.

Zmysłownica zmarszczyła brwi. Andrea na pewno się tego spodziewała. Dlaczego dała się podejść? Coś tu nie pasowało.

– Nie radzę – rzucił Gustav z uśmiechem pełnym współczucia. – Każdy atak na moją osobę potraktuję jako wywołanie wojny. Bez swojej matki jesteś nikim, Levi Draboń. Nie wchodź mi w drogę, a ja zostawię cię w spokoju. To moje zadośćuczynienie za śmierć twojej matki. – Zarechotał. – A mówią, że nie mam w sobie nawet grama litości.

Rzeczywiście. Litościwy prawie tak bardzo jak przyjazne duchy.

– Czy Zora Muškatoва brała w tym udział?

Oczy zmysłownicy się rozszerzyły. Wstrzymała oddech, wgapiając się jak w wykuty w marmurze profil Leviego. Oczekiwała na odpowiedź Gustava, który sprawiał wrażenie zachwyconego. Zawartość jej żołądka podeszła do gardła, a serce zadudniło w piersi.

– Zora zawsze bierze udział we wszystkich planowanych przeze mnie przedsięwzięciach – rzucił lekko. Wyglądał, jakby karmił się zaistniałym fermentem. – To nie było wyjątkiem. Od początku wiedziała, co zamierzam. Od momentu, gdy zleciłem jej dostarczenie mi broni.

Zamrugła, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Co za parszywy, nędzny... Wszystko utrudnił.

Levi przez pełną napięcia chwilę lustrował Gustava wzrokiem, aż odrobinę się zgarbił i zaczął się wycofywać. Zora chciała podbiec do niego i powiedzieć mu, że Gustav skła-

mał, ale bała się wyjść z cienia. Bała się poruszyć nawet palcem. I bała się, że Levi jej nie uwierzy. Przecież wydał na nią wyrok jeszcze w powozie.

Co z tego, że osobiście nie pociągnęła za spust? Równie dobrze mogła.

Obserwowała, jak przeszedł przez ścianę w pogniecionej koszuli i bez butów, a ona została w miejscu. Jej pierś zafalowała, a w gardle stanęła gula. Czy ten piasek pod powiekami to niewyłane łzy?

I co ona miała teraz zrobić?

– *Má drahá.*

Powoli, jak w zwolnionym tempie, Zora oderwała oczy od miejsca, w którym zniknął Levi, i przeniosła je na sylwetkę barczystego mężczyzny. Po jego obliczu błąkał się uśmiezek, a spojrzenie miał zwrócone w kąt, w którym się skuliła.

– Wiem, że tam jesteś – dodał zwodniczo łagodnie.

Zora wiedziała, że nie może dać się nabrać na jego dobroć. Za nią zawsze stało okrucieństwo, tym boleśniejsze, im bardziej wcześniej uwierzy się w jego życzliwość.

Przełknęła ślinę. Spojrzała na swoje trzęsące się dłonie i wytarła je o materiał spodni, po czym zacisnęła je w małe piąstki. Wzięła głęboki oddech, stanęła pewniej na nogach i zrzuciła z siebie niewidzialność. Starła się udawać odważną, ale przez jej umysł przemknęło wspomnienie tego, jak kiedyś Gustav szarpnął ją za włosy, przywiązał do słupa i rozdarł koszulę na plecach, uniósł bat i uderzył o jej delikatną skórę. Plecy ją zapiekły na samą myśl.

Nie. Nie wpędzi się w karuzelę paniki. Może to przetrwać.

– Groził mi – powiedziała ofensywnie. – Groził mi, a ja przeanalizowałam ryzyko i doszłam do wniosku...

– Ciii... Cichutko, *má drahá.*

Struchlała, gdy mężczyzna obszedł biurko i stanął tuż przed nią. Wyciągnął dłoń, a Zora instynktownie się uchyliła. Gustav pokręcił głowę z politowaniem i delikatnie chwycił ją za podbródek. Ten dotyk przypominał jej o innych czasach, gdy jej dusza przepelniona jeszcze była dziecięcą naiwnością i wiarą. O czasach, kiedy wylegiwała się z Gustavem w łóżku. Wtedy oburzyłyby się, gdyby ktoś jej powiedział, że ten mężczyzna kiedyś podniesie na nią rękę.

– Nigdy się nie zmienisz, prawda, *má drahá?* – wyszeptał, głaszcząc ją po policzku kciukiem. – Zawsze będziesz łatwowierna, słaba i żalosna.

Nieprawda, nieprawda, nie wierz w jego słowa, wcale taka nie jesteś. Już nie.

– Widzę w twoich oczach, że dałaś się wykorzystać. Znowu. – Przez twarz mężczyzny przemknęło współczucie, któremu Zora nie dała wiary. – Straciłaś głowę dla syna Andrei. Nie zaprzeczaj. Jak mogłaś nie dostrzec, że on cię wykorzystuje? – Jego palce zaci-

snęły się mocniej na jej skórze, a kobieta aż bała się oddychać. – Jak mogłaś dać się omamić jego czułym słówkom i uroczemu uśmiechowi? – Oczy zaszyły mu mgłą, a głos przybrał ostre nuty. – Jak mogłaś go tu przyprowadzić?

Podniósł rękę tak szybko, że Zora nie miała szansy, by się uchylić. Spoliczkował ją w tym samym miejscu, które wczoraj obił Boaz. Zmysłownica straciła równowagę i upadła. Przygotowała się na kopnięcie, zaciskając powieki. Prawie nie czuła pulsowania na policzku; była odrętwiała i marzyła o tym, by znaleźć się w innym miejscu. W takim, w którym mogłaby być szczęśliwa.

– Notorycznie mnie rozczarowujesz. A było już tak dobrze... tak dobrze...

Usłyszała, że jego kroki się oddalają. Gustav odsunął krzesło i usiadł za biurkiem. Przed oczami Zory pojawiły się mroczki, dlatego odetchnęła, ale nie ruszyła się przy tym z miejsca. Leżała wyciągnięta na brudnej podłodze w gabinecie Gustava z tępym bólem tętniącym na policzku i czekała na to, aż szef pozwoli jej odejść. Nie ośmieliła się podnieść wcześniej.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – syknął. – Wynoś się stąd.

Z opuszczoną głową odkluczyła drzwi i przemknęła przez nie, stapiając się z cieniem. Z mieszkania wyszła niezauważona przez nikogo. Stała przed kamienicą, otulona przez mrok i mgłę. Z nieba sączył się deszcz, a duże krople odbijały się od jej włosów i studziły nieco pulsowanie na twarzy. Ruszyła do domu.

Szybko jednak zamarła w pół kroku, dostrzegłszy w alejce dalej powóz Leviego. Co on... Właściwie to jej to nie obchodziło. Odwróciła od niego głowę i zacisnęła zęby, zamierzając przejść koło niego i zapomnieć o tej nocy, ale gdy znalazła się tuż koło drzwi-czek, zmieniła zdanie. Szarpnęła za nie i wskoczyła do środka.

– Co do... – Usłyszała sapnięcie stangreta.

Zlustrowała wzrokiem pustą przestrzeń i cicho warknęła pod nosem. Zaraz potem poczuła, jak ktoś szarpnął ją za rękę i wywłócił z karocy. Gdy podstarzały mężczyzna ją rozpoznał, zabrał dłonie z jej ramion, a zmarszczka na jego czole się wygładziła.

– Wybacz, panienko – wymamrotał, zdejmując kapelusz i mnąc go w dłoniach. – W tej mgle niczego nie widać.

Kiwnęła głową. Nawet latarnie uliczne nie zapewniały za dużo światła, a stangret pełnił tylko swoje obowiązki.

– Gdzie Levi? – spytała.

Dopóki stać ją było na brawurę, wolała załatwić porachunki z Drabońem od razu. Poza tym w jej żyłach krążyło mnóstwo gniewu i niespożytkowanej energii. Musiała dać im ujście.

– On... zabrał buty i płaszcz i poszedł. Bez słowa. W tamtą stronę. – Mężczyzna uniósł palec wskazujący w kierunku przeciwnym do bazy Krakavców.

Zora podziękowała mu i podążyła za jego wskazówkami. Nie wiedziała, czy na ulicy spotka gdzieś Leviego, ale same poszukiwania mogły jej trochę pomóc. Gdy dotarła do skrzyżowania ulic, zawył wiatr, a deszcz przybrał na sile. Światła latarni nie potrafiły przebić gęstej mgły, a krakanie kruków na dachach niknących w ciemności kamienic przyprawiały o dreszcze. W taką pogodę i o tej porze na chodnikach można spotkać tylko duchy.

Zastanawiała się, w którą stronę powinna skręcić. Wytężyła wzrok, wahając się. Wtedy z lewej strony w plamie światła mignął jej jakiś cień. Jej serce zaczęło przyspieszać, a nogi przyrosły do chodnika. Kiedy upewniła się, że we mgle naprawdę ktoś się poruszał, stwierdziła, że musi się upewnić. Ruszyła w stronę nieznanego i już po chwili dostrzegła znajomy zarys sylwetki. Spojrzenie Leviego spoczęło na niej w tej samej chwili. Przystanął i zamarł, ale Zora się nie zatrzymała. Wpadła na niego, z całej siły popychając go na ścianę budowli i przyciskając go do niej.

Wyglądał fatalnie. Krople deszczu skapywały mu z włosów. Z ułożonej fryzury nie ostał się nawet jeden kosmyk. Był bledszy niż zwykle, a z jego oczu bił dojmujący smutek.

– Zostawiłeś mnie samą w gabinecie Gustava. – Nawet Zorę zaskoczyło to, ile bólu sączyło się z jej głosu. Ile wyrzutów. Ile utrapienia. – Zostawiłeś mnie tam.

– Masz do mnie pretensje? – syknął, kładąc swoje zimne dłonie na jej ramionach i odpychając ją. – Uczestniczyłaś w śmierci mojej matki! Być może nawet sama ją zabiłaś.

– To kłamstwo! Gustav cię okłamał!

– Czyżby? Jedyne, co o tobie wiem, to tyle, że jesteś parszywą złodziejką! I jesteś uwikłana w sprawy cholernych Krakavców!

– Nie z własnej woli! – Toczące się po twarzy Zory krople wpadały jej do oczu i ust, a kosmyki włosów przyklejały się do karku.

Levi pokręcił głową i zacisnął usta, w których czaiła się zawziętość.

– Jesteś złodziejką, oszustką i krętaczką. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Po co bym teraz z tobą rozmawiała, jeśli to, co mówisz, byłoby prawdą?

– Bo się mną bawisz! Cały czas wiedziałaś, kto stoi za śmiercią mojej matki, i cię to bawiło!

– Nie miałam pojęcia o twojej matce! Jeśli już ktoś tu się kimś bawił, to ty mną! – Zmysłownica nie wiedziała już, czy woda na jej twarzy była deszczem, czy łzami. I cieszyła się, że nie potrafi rozpoznać różnicy. – Od początku byłeś na wyższej pozycji i ni-

gdy nie przejmowałaś się tym, co czuję! Więc jak śmiesz zarzucać mi teraz, że ja bawiłam się tobą?!

– Moja matka...

– Twoja matka nie była ideałem! Otrząśnij się wreszcie! Cały czas żyjesz przeszłością i jesteś zaślepiiony. Nie obchodzi cię nic poza swoją cholerną matką i kolekcją, jaką udało jej się zbierać. Ty naprawdę jesteś obłąkany.

Zaczęła drżeć, a ta rozmowa wyparła z niej wszystkie emocje. Nie miała już na to siły. Levi odwrócił od niej wzrok, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Wyglądał obco i nie miał w sobie nic z psotnego, stanowczego kolekcjonera, jakim był na co dzień.

– Nie masz prawa mówić mi takich rzeczy – wycedził, z rozmysłem wypowiadając każde słowo. Spojrzał na nią ostro. – Ja przynajmniej stawiam czoła moim problemom. A ty potrafisz tylko uciekać i kłamać. Posługujesz się ironią i szyderstwem, ale ja widzę, że za tą maską chowa się drżąca dziewczyna, która boi się sprostać wyzwaniom, jakie rzuca jej życie. Jestem obłąkany? – Zbliżył się do niej. – Świetnie. Niech i tak będzie. Wolę być obłąkany niż potulny i skromny.

Z tymi słowami minął ją, a mgła mieszająca się z deszczem go pochłonęła. Zora przycisnęła dłonie do brzucha, chcąc się jakoś uspokoić. Dojść ze sobą do ładu. Wydawało jej się, że ocknęła się po całych godzinach, dopiero gdy cichy głos w jej głowie podpowiedział jej, że nie może stać tak na deszczu aż do rana. Powinna się ruszyć.

Drogi do domu nie zapamiętała.

18

Dusza Zory roztrzaskała się na kawałki, a mimo to świat wymagał jej skupionej obecności. Matka męczyła ją pytaniami o nowe zasłony do salonu, a zmiana w kawiarni nie chciała sama się przepracować. Kobieta reagowała na wszystko z nieco większym odrętwieniem niż zazwyczaj, a kiedy przyszła wiadomość o zaginięciu Boaza, przed jej oczami pojawiły się mroczki.

Zamordowała go.

Zamordowała go z zimną krwią.

Skoro nie odnalazł się do tej pory, musiał zginąć. Nie widziała innej możliwości.

To nie był pierwszy raz, gdy pozbawiła kogoś życia, ale każda z tych śmierci zawsze pozostawiała na niej ryse. Poczucie winy wrosło w nią jak dodatkowy narząd i często bez jej świadomości zatruwało jej życie. Nie mogła mieć o to pretensji. Należało jej się.

Jedynie, co jej przynosiło pociechę, to wybaczenie przyjaciółek. Dana zaproponowała zorganizowanie wieczorku karcianego, żeby przypieczętować ich nowo odrodzoną relację.

Kiedy w progu jej pokoju na poddaszu stanęły dwie roześmiane osoby, Zora poczuła się jakoś lepiej. Ożywiła się odrobinę, wykazując zainteresowanie grą. Po przygotowaniu stolika, napojów i przekąsek dziewczęta usiadły na podłodze i zaczęły grać, spoglądając na siebie spod zmrużonych powiek. Irma nawet wysunęła koniuszek języka w wyrazie czystej koncentracji.

Gra w kierki bywała nieprzewidywalna i lepiej sprawdzała się z czterema graczami, ale trudno wymagać, by jedna z nich się sklonowała, wobec czego rozgrywały partię we trójkę. Zdarzało się, że wybierały inne gry, ale to do kierek najczęściej wracały, jako że zasady przybyły stosunkowo niedawno do Šero prosto ze Svitani. Ta egzotyka je ekscytowała bardziej niż długa tradycja gier pochodzących z ich rodzimego czy sąsiedniego miasta.

Po pierwszym rozdaniu Dana zapisała podliczone punkty, po czym zaczęły następną rundę. Spoglądały na siebie z nieufnością, próbując ustalić, która z nich dysponowała kartą z największą liczbą punktów. Celem gry było zdobycie jak najmniejszego wyniku, tak więc nieszczęsnej damy pik, najwyższej punktowanej, wszyscy chcieli się pozbyć.

Zora ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że naprawdę dobrze się bawiła. Z jej serca opadł ciężar, a spojrzenie złagodniało. Przyjaciółki potrafiły podnieść ją na duchu nawet wtedy, gdy nie wiedziały, czym dokładnie się przejmują. Cieszyła się, że duchy ich ze sobą zetknęły i pozwoliły tej więzi się rozwinąć.

Po partii, którą bezapelacyjnie wygrała Dana, rudowłosa wymknęła się do łazienki. Wówczas Irma odłożyła na bok karty i spojrzała Zorze prosto w oczy.

– Co się stało z twoim szantażystą? Czy... rozwiązałaś tę sprawę?

Zmysłownica powstrzymała się przed pełnym rozgoryczenia prychnięciem.

– I tak, i nie. – Wydęła lekko usta. – Sprawy się skomplikowały.

– Och.

Irma się zawahała, nie wiedząc, czy powinna dalej pytać. W końcu pośrednio chodziło o sprawy Krakavców, a to był temat zakazany.

– Nie znalazłam na niego haka – podjęła Zora po chwilowej przerwie, wpatrując się w drzwi i nasłuchując nadejścia Dany. – To... w pewnym sensie okazało się niepotrzebne. On zmienił warunki naszej umowy, a teraz chyba wszystko skończone. Nie sądzę, by się ze mną więcej kontaktował.

– To chyba dobra wiadomość? – spytała Irma niepewnie, skonfundowana nieszczęśliwym głosem przyjaciółki. Widocznie się strapiła, a dłonie mimowolnie odszukały talie kart, by ją przetasować.

– Tak. Przecież tego chciałam. Mieć święty spokój.

Tyle że chciała spokoju od Krakavców, a nie od Leviego. Kiedy ona zdążyła zapalać do niego sympatią? Denerwowało ją to.

Jak mógł jej nie uwierzyć? Po tym, jak uratowała go przed rusalką, sądziła, że coś się między nimi zmieniło. Przechadzka po lesie, gdy oboje byli ledwo żywi, powinna przecież wpływać jakoś na ludzi. Ścieśniać ich więzy. Ale on przy pierwszej próbie wyrzucił ją ze swojego życia jak nikomu niepotrzebne śmieci. Może Gustav miał rację. Może Levi od początku tylko udawał i ją wykorzystywał.

– A co to za smutne miny? – rzuciła Dana, zajmując swoje miejsce przy stole. – Nawiedził was nieszczęśliwy duch, kiedy mnie nie było, że takie jesteście jakies niemrawe?

Rudowłosa uśmiechnęła się figlarnie, ale Zora była wyjątkowo nie w humorze i nie podjęła tematu, a Irma nadal przypatrywała się przyjaciółce z troską.

– Grajmy dalej – powiedziała tylko.

W następnej partii Zorze szło zdecydowanie lepiej. A gdy na końcu rundy Dana zliczyła punkty, okazało się, że zmysłownica znalazła się na prowadzeniu. W efekcie jej oczy rozbłysły, a kąciki ust lekko uniosły.

– Aha! – Oparła się łokciami o stół i lekko nachyliła. – Nieszczęśliwy duch, mówiłaś? Chyba duch dobrej passy.

Dziewczyny nie roześmiały się jednak, tak jak oczekiwała, tylko wgapiły się w jej dekolt, aż Zora poczuła się nieswojo.

– Co ty masz na szyi? – spytała Dana z ciekawością.

Zmysłownica szybko zerknęła w dół, mając ochotę przywalić sobie w twarz. Gdy pochyliła się do przodu, łańcuszek zsunął się z jej karku na włosy, a lunula odkleiła się od skóry i zwisała swobodnie w powietrzu. Zamknęła na niej dłoń w nerwowym geście.

– To jest... taka... błyskotka – wymamrotała nieporadnie.

– Mogę zobaczyć? – Zielone oczy Irmy pojaśniały. Bardzo lubiła biżuterię. Zarówno taką, która zostawała na jej ciele na zawsze, jak tatuaże, które wiły się wokół jej ramion, jak i taką, którą mogła zdjąć w każdej chwili.

Zora pobladła.

– To jest... To mój amulet. Wolałabym go nie ściągać.

– Amulet? – Brwi Dany wystrzeliły w górę. – Jaki? Przed czym chroni? I od kiedy wierzysz w takie rzeczy?

Przeklinała to, że te dwie aż tak dobrze ją znały i potrafiły wyczuć nawet najlżejsze odstępstwo od normy.

– Amulet chroniący przed niepotrzebnym zamartwianiem się – improwizowała, starając się mówić z pewnością siebie.

Mina Dany stawała się podejrzliwa.

– Przecież jak go ściągniesz na chwilę, tylko po to, by nam pokazać, to...

– Nie.

Irma wymieniła z rudowłosą spojrzenia, które nie spodobały się Zorze, dlatego jeszcze mocniej ścisnęła w garści lunulę. Gdyby któraś z nich rozpoznała w tym wisiorku Lunulę Tety, w życiu by nie wyjaśniła, jak znalazła się w jej posiadaniu. Zanim więc doszło do jakiegoś przyjacielskiego ataku, zmysłownica zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju, krzycząc:

– Idę do łazienki!

Zamknęła się w niej i podeszła do zlewu. Posłała sobie karcące spojrzenie za pośrednictwem tafli lustra i pokręciła głową. Przemyślała twarz wodą w nadziei, że wymyśli jakieś rozwiązanie, ale orzeźwienie nie przyniosło jej żadnego genialnego pomysłu. Poprawiła makijaż, żeby się upewnić, że sine ślady na policzku pozostaną słabo widoczne. Przygryzła wargę, przeczesując palcami ciemne fale. Wreszcie westchnęła i wróciła do pokoju. Zajęła swoje miejsce, ostrożnie spoglądając na przyjaciółki.

– Nie patrz tak na nas – mruknęła Dana.

– Nie napadniemy na ciebie – dodała Irma z błyskiem rozbawienia w oku.

– Twój wisiorek, twoja sprawa – dokończyła rudowłosa, tasując karty.

– Ale jeśli zmienisz zdanie – wzrok czarownośce ześlizgnął się na dekolt Zory – to pamiętaj, że ja z chęcią obejrzę tę błyskotkę.

I ku zadowoleniu zmysłownicy więcej nie wracały do tego tematu.

– I jak ci idzie z nękającym nas kolekcjonerem?

Zora wytarła spocone dłonie o spodnie, siedząc przed biurkiem Gustava jak na szpilkach. Obawiała się, że ktoś połączy zaginięcie Boaza właśnie z nią.

– Nadal nad tym pracuję – oznajmiła wyprutym z emocji głosem. – Nie ustaliłam jeszcze niczego konkretnego.

Co jej przypomniało, że musi odwiedzić Editę Denrovą. Ta kobieta powinna być jej tajną bronią, nie Leviego. Nigdy nie pozwoli, żeby ten drań korzystał z jej pomysłów.

– Ta sprawa coraz bardziej zachodzi mi za skórę. Kolejni kolekcjonerzy zostają pozabawieni swoich łupów, a złodziej nadal jest na wolności i się z nami wszystkimi bawi. – Gustav pokręcił głowę, odpaliwszy fajkę. – Gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że to ty za tym stoisz. – Wypuścił w jej stronę kłęb dymu, a Zora zeszywniała, nie odważając się zakaszleć. – To wygląda jak twoja robota. – Gustav odchylił się nieco na krześle i położył długie, muskularne nogi na biurku. – Złodziej wchodzi niezauważony, zabiera artefakty i znika, zanim ktoś go zdąży dostrzec. Zupełnie jakby rozpływał się w powietrzu... albo był niewidzialny.

– Ja podejrzewam raczej, że ta osoba przechodzi przez ściany – stwierdziła oschle.

Z gardła Gustava uciekł ochryply śmiech.

– Levi Draboń? Poważnie? Myślisz, że to on?

Zmarszczyła brwi, a mężczyzna instynktownie wyczuł, o czym myślała.

– Oczywiście, że wiem, jaką ten mały fiut posiada moc. Moja umowa z Andreą przydawała się na wielu poziomach. – Ułożył usta tak, by wydostający się przez nie dym był idealnie okrągły. – Więc? Podejrzewasz Drabońa? Może źle cię oceniłem, *má drahá*, może to ty próbowałaś omotać jego?

– Jeśli to istotnie, Levi Draboń musiałby być w tym naprawdę dobry – skwitowała, pozwalając sobie na mały uśmieszek. – Ale on nie jest aż tak dobry. Nie. – Pokręciła głową. – To nie on.

– Cóż. Badaj tę sprawę dalej. Możesz wejść tam, gdzie reszta z nas nie może, więc liczę na ciebie. – Nie podobały jej się te słowa. Gustav nakładał na nią bardzo dużą presję. – Ale w międzyczasie mam dla ciebie inne zadanie. Jest bal u Lobkoviców w następną sobotę.

Zora wydeła usta.

– Już u nich kiedyś byłam.

– Tak, ale nabyli od rodu Slavata z Toruńa naszyjnik z diamentem oraz pasujące do tego kolczyki. To nie są zabytki, ale to cacko jest cholernie drogie. Chcę je mieć.

Kobieta tylko kiwnęła głową. Gustav wypuścił spomiędzy warg kolejne kłęby dymu i machnął ręką.

– Emil ma resztę potrzebnych informacji.

Dzięki duchom. Zora wolałaby wypić litr brudnej rzeki niż dalej przebywać z szefem w tym gabinecie. Dlatego czym prędzej wyszła z zamiarem znalezienia blondyna.

Emil zakręcił palcem, milcząco nakazując Zorze obrót wokół własnej osi. Kobieta westchnęła cierpiętniczo, ale wykonała polecenie i zawirowała, a ciemnożółta suknia razem z nią. Materiał ciągnął się gładko po jej ciele, zwężając się odrobinę w pasie, by potem lekko rozszerzyć się ku dołowi i przekształcić w krótki tren. Przy odważnym dekolcie ułożono falbany, a spódnicę wyszyto wzorem misternych liści. Blondyn zlustrował ją uważnym spojrzeniem i poprawił upięcie jej włosów oraz żółtą opaskę z motywem liścia, którą wplótł między kosmyki.

– Wyglądasz jak Pani Jesień – skomentował z uznaniem. – Jakbyś dopiero co skończyła zbierać liście i zostało ci trochę czasu, by wpaść na bal.

Zora wstrzymała oddech, wgapiając się w zachwycone, zarumienione oblicze Emila. Jego słowa wywarły na niej duże wrażenie, zwłaszcza że na zewnątrz jesień powoli ustępowała pola zimie, więc ta uwaga wydawała się wyjątkowo trafna.

I piękna.

– To jedna z miłszych rzeczy, jakie ktoś kiedykolwiek mi powiedział – wykrztusiła. – Dziękuję.

Emil posłał jej skromny uśmiech i schylił przed nią głowę.

– Jesteś gotowa. – Wyciągnął dłoń w jej stronę. – Powóz czeka.

Ujęła jego palce i dała się odprowadzić.

– I tak wolałabym nosić spodnie – dodała, stając przy otwartych drzwiczkach odsłaniających miękkie wnętrze karocy.

– W spodniach też wyglądasz dobrze.

Czyżby to był wieczór pochlebstw wobec Zory? Nie przeszkadzało jej to. Jej próżna strona spijała wszystkie komplementy, jakie mogła dostać.

– Powodzenia! – krzyknął Emil, gdy stangret popędził konie.

Zora uśmiechnęła się lekko, ale spoważniała, kiedy powóz podskoczył na pierwszym wyboju. Postarała się wyciszyć; musiała skupić się na zadaniu. Gdyby jej się nie powiodło... Wzdrygnęła się.

Nazywała się Zora Muškátova. Bez dwóch zdań najlepsza hmatowa w tym mieście. Dotychczas przyłapała ją tylko jedna osoba i zmysłownica zrobiłaby wszystko, by taki stan rzeczy utrzymać.

Rezydencja Lobkoviców znajdowała się w Dzielnicy Bogaczy, zajmując zaszczytne miejsce dwie ulice od lasu i balansując na granicy z Ciemną Dzielnicą. Gdy pantofelki Zory spotkały się ze żwirem przed posiadłością, dostrzegła, że kolumny i wieżyczki budynku niknęły nie tyle w ciemności, co we mgle. Mleczna zasłona napływała i gęstniała stopniowo, prawdziwa królowa Bydgošcy kontrolująca to, czego mieszkańcy mogą i nie mogą zobaczyć.

Kobieta chwyciła i uniosła lekko spódnice. Wspięła się na ganek, a odzwierny ukłonił się przed nią i otworzył jej drzwi. Odebrano od niej płaszcz, po czym zaprowadzono ją ciemnym korytarzem do dużej, jasnej sali balowej tętniącej rozmowami, dźwiękiem skrzypiec i likierem. Zora porwała jeden kieliszek alkoholu z tacy przechodzącej kelnerki i wypiła go duszkiem dla kurażu. Odstawiła szkło i wmieszała się w tłum, nie pozwalając, by ją za bardzo pochłonął. Trzymała się obrzeży, nie środka, i lustrowała otoczenie, oceniając niebezpieczeństwo.

Odetchnęła z ulgą.

To będzie dziecinnie proste.

Błysk czerwieni przykuł jej uwagę. Wyciągnęła szyję ponad sylwetkami szykownych uczestników balu, aż goście nieco się rozstąpili, a przed jej oczami stanęła piekielnie pociągająca Edita Denrova w kuszącej czerwonej sukni, która stawała się jej znakiem rozpoznawczym.

Zora przygryzła wargę, uświadamiając sobie, że w ciągu minionego tygodnia nie znalazła nawet chwili, by odwiedzić naukowczynię. To był błąd. Powinna była przesunąć tę sprawę na szczyt listy priorytetów.

Tłum rozsunał się jeszcze bardziej i Zora dostrzegła towarzysza Edity. Zamarła, a z jej rozchylonych ust uciekło sapnięcie.

Uśmiechnięty i rozluźniony Levi Draboň nachylał się nad kobietą, szepcząc jej coś do ucha. Zora z jakiegoś powodu w ogóle nie przewidziała, że mogłaby go tu spotkać. Tak usilnie starała się o nim nie myśleć, że nie zauważyła oczywistego. Cofnęła się pod ścianę, w miejsce koło zasłon, które skrywał półcień. Zerknęła tęsknie w stronę wyjścia i korytarzy, które mogłyby ją osłonić. Nie mogła się jednak powstrzymać i jeszcze raz spojrzała na Leviego. Przełknęła ślinę. Jego ciemne włosy jak zwykle prezentowały się nienagannie, podobnie jak czarny frak i modna, dwurzędowa kamizelka, pasująca kolorem do spodni. Zaraz... Światła nieco odbijały się od ścian i kieliszków dzierzonych

przez gości, więc Zora mogła mieć nieco zniekształcony obraz, ale... czy Draboń był dziś ubrany na żółto?

Zbladła.

Czy to jakiś żart? Czy Levi zawarł jakąś umowę z Gustavem? Czy...

Nie. Nie. Wpadała w panikę. To tylko przypadek. Ale lepiej będzie schodzić Drabońowi z drogi, a to oznaczało natychmiastowe wymknięcie się z sali.

To akurat potrafiła zrobić dobrze.

Nigdy nie powinna była pozwolić Emilowi na wybór tak rzucającej się w oczy sukni. Była tu po to, by kraść, do wszystkich duchów tego świata. Ale blondyn miał takie przekonujące argumenty... Jak ten, że nikt nie będzie podejrzewał o złodziejstwo takiej damy jak ona, „odzianej w suknię z samego słońca”. Kiedy Zora szła korytarzem i uśmiechała się do mijanych gości, stwierdziła, że Emil był dziś w dziwnie poetyckim nastroju. Pani Jesień, suknia ze słońca. Musiał czytać jakieś wiersze, zanim się z nią spotkał. Albo oglądać obrazy. Nie widziała innego wyjaśnienia dla jego zachowania.

Kiedy skręciła za róg, znalazła się sama, więc nie zwlekała. Jej moc owinęła ją jak kokon, a w efekcie z całego ciała uciekło napięcie. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się spięła – aż do tej chwili, kiedy mogła uciec i się ukryć.

Potrafisz tylko uciekać.

Potrząsnęła głową, próbując pozbyć się wspomnienia, mimo że słowa raniły gorzej niż ciosy Gustava. Zora pamiętała je wszystkie. Wszystkie słowa. Kiedy miała siedem lat, ojciec powiedział, że „nie pisał się, by być ojcem *tego czegoś*”. Nie wiedział, że stała tuż obok i słuchała każdej głoski opuszczającej jego wykrzywione usta. Potem krzyczał na matkę, żeby znalazła „to dziwaczne dziecko”. Gdy mama w końcu ją namierzyła, porwała ją w ramiona, gładząc po głowie. Mówiła wtedy łagodnie: „Tata jest zbyt zajęty, żeby się z tobą bawić. Postaraj się nie wchodzić mu pod nogi”. Więc Zora nie wchodziła.

Kiedy ukończyła jedenaście lat, chciała pójść do najlepszej szkoły w mieście. Zrobiła potężną awanturę, bo rodzice nie chcieli się zgodzić. Ojciec nazwał ją „nieznośną smarkulą, która jest kiepska nawet w byciu niewidoczną”. Matka wtedy nawrzeszczała na niego, wyzywając go od nieczułych drani. „To nie jej wina, że się taka urodziła!”. „Świetnie, niech idzie do tej szkoły, ale pod jednym warunkiem. Ma być cicho. Żadnych innych próśb. Żadnych wybryków. Dopilnuj tego, Jiřina”. Potem był jeszcze Petr, który czasem wytykał ją palcami i nazywał „nieistotną”. „Nie mogłaś dostać lepszej mocy. Niewidzialność dla niewidzialnej dziewczyny”. Poszła wtedy z płaczem do matki i poskarżyła się na brata. Podejrzewała, że był zazdrosny, ale słowa i tak zabolowały. „Tak to już jest, kochanie. Nie wszyscy mogą błyszczeć”. Ale Zora chciała błyszczeć. Chciała coś osiągnąć, chciała wyjść z cienia.

Dziwaczna, nieistotna, niezauważalna, żalosna, naiwna. *Potulna*.

Kolekcjonowała słowa. Nie dlatego, by się nad sobą użalać. Zbierała je i dbała o to, by nie pokryły się kurzem, by pewnego dnia złapać je wszystkie i wyrzucić przez okno.

Pewnego dnia.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiała jeszcze wypełniać rozkazy. Dlatego stanęła przed drzwiami prowadzącymi do pokoju, o którym opowiadał jej Emil, i otworzyła je wytrychem wyjętym z fryzury. Świeżo kupione diamenty znalazła w szafie Lobkovicovej, położone na ciemnoczerwonej poduszeczce. Uniosła naszyjnik i kolczyki, mrużąc powieki. Skinęła głową i zamknęła zdobycz w pięści, w drugiej trzymając wytrych.

Zadanie wykonane. Teraz musiała się tylko wymknąć.

Starannie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła wzdłuż korytarza, gdy wtem jeden z cieni oderwał się od ściany i stanął jej na drodze. Zamarła, szeroko otwierając oczy. Poczowała pot nad górną wargą i ten spływający jej po karku.

Zaraz.

Chwileczkę.

Przecież nadal była niewidzialna.

A to znaczyło...

Postać postąpiła krok do przodu, wchodząc w płamę światła.

Zora Muškatoва po raz kolejny została przyłapaną przez Leviego Draboña.

19

Levi złapał ją za przedramiona i popchnął w tył. Oddech ugrzązł jej w gardle, a gdy tylko poczuła zawirowanie w płucach i nacisk na skórę, domyśliła się, że przeszli przez ścianę. Spróbowała się wyrwać, ale mężczyzna trzymał ją mocno. Przystanęli, a on uniósł jej dłoń, w której trzymała klejnoty. Całkowicie widoczne. Kiedy przestała używać mocy?

– Teraz stałaś się pospolitym złodziejaszkiem? – spytał niskim głosem i potrząsnął jej ręką. – To nawet nie jest artefakt.

Wreszcie ją puścił, więc cofnęła się o krok i spiorunowała go wzrokiem.

– Co Gustav każe, potulna Zora wykonuje – zironizowała.

Levi zmrużył lekko oczy.

– Jesteś niemożliwa – wycedził.

– Potulna, skromna, tchórzliwa i do tego jeszcze niemożliwa? Nauczyłeś się słownika na pamięć?

– Odłóż te diamenty na miejsce. Lobkovicova zaraz po nie przyjdzie, bo ogłosiła wszystkim, że ją w nich zobaczą.

– To lepiej stąd uciekaj, co? A nie. – Uniosła brwi. – Przecież to moja specjalność.

– Zora.

– Zostaw mnie w spokoju, Levi. Przecież zabiłam ci matkę, nie pamiętasz?

Być może przesadziła, bo Draboň aż się wzdrygnął, a jego bladoniebieskie oczy zasnuł mrok.

– Czyli przyznajesz się do współudziału?

– Do wszystkich duchów, Levi – zajęczała. – To nie ma sensu. Myślałam, że już ze sobą skończyliśmy. Co ty tu robisz?

Wyrwał jej wytrych z dłoni, choć nie bez drobnego siłowania się. Ruszył tyłem, nie spuszczać z niej zirytowanego wzroku.

– Daję ci nauczkę.

Przeszedł przez ścianę, nawet się nie obracając. Zostawił ją samą. Znowu.

Bez wytrycha.

Oblał ją zimny pot.

– To nie jest śmieszne, Levi – powiedziała do pustego pokoju.

Ale on nie wracał. Dlaczego miałyby? Przecież nie byli nawet partnerami. Zmysłownica spróbowała przełknąć ślinę, ale gardło wyschło jej na wiór. Podbiegła do drzwi i szarp-

nęła za klamkę, choć dobrze pamiętała, jak zamknęła je za sobą. Nie otworzą się, nie bez klucza. Albo wytrycha.

Szybko odwróciła się na pięcie, rozgorączkowanym wzrokiem lustrując ciemną sypialnię. Zatrzymała się na oknie, a w jej walącym sercu zakiełkowała drobna nadzieja. Odsunęła zasłony i zerknęła w dół, jęcząc bezgłośnie. Trzy piętra, a ona miała na sobie ciężką, nieporęczną suknię, a nie cienkie spodnie i koszulę. Gdyby spróbowała zejść... Nie potrafiła tak. Spadłaby. Ale może mogłaby przejść po listwie do następnego pomieszczenia... Otworzyła okno, starając się dostrzec coś w ciemności. Czy na ścianie znajdowało się jakieś przydatne zdobienie architektoniczne? Widziała niżej jakąś półeczkę, coś w stylu uskoku. Niezbyt szeroka, ale gdyby przełożyła nogi przez parapet i odpowiednio wymierzyła, mogło jej się udać. Zawahała się, a zimny wiatr wdarł się do pokoju i pod jej ubranie.

A jeśli zdejmie suknię?

Przeklęła. Przecież nie może jej tu zostawić. Ktoś na pewno by ją rozpoznał przez ten cholerny kolor i haft.

A gdyby w jednej ręce trzymała obfity materiał, a w drugiej diamenty?

Jęknęła, opierając głowę o ościeżnicę. Jakąkolwiek podejmie decyzję, każda byłaby samobójstwem. Lepiej spaść teraz i umrzeć czy poczekać, dać się złapać i umrzeć z rąk Gustava?

Zora uwielbiała takie dylematy.

Uderzyła czołem o drewno, nagle czując taki przyływ gniewu, że straciła dech. Jeśli jakimś cudem to przeżyje, dorwie Leviego Draboña i go uszkodzi. Boleśnie.

Uwagę Zory odwrócił zgrzyt klucza w zamku. Zmysłownica w ostatniej chwili wymyśliła inny plan. Potykając się o stołek, odłożyła diamenty na miejsce, zamknęła szafkę i cofnęła się do kąta. Nawet nie sekundę później pomieszczenie rozświetliły lampy gazowe, a Lobkovicova, ubrana w długą, fioletową suknię, znalazła się tam, gdzie przed momentem stała Zora. Z niemal nabożną czcią uchyliła drzwiczki i ostrożnie złapała w dłoń biżuterię. Błysk światła odbił się od diamentów i opadł na wysokie kości policzkowe kobiety. Wtem zeszywniała i mocniej ścisnęła klejnoty między palcami. Ku zdziwieniu zmysłownicy odłożyła je na miejsce, obróciła się na pięcie i założyła dłonie na ramionach, eksponując mocno wycięty dekolt sukni.

Lobkovicova przeszła do okna, a Zora obserwowała ją z niepokojem. Co też ta kobieta wyczyniała? Zerknęła przez szkło, po czym wróciła tą samą drogą, przyglądając się przewróconemu stołkowi. Zora nie zdążyła go ustawić na miejsce, ale nie sądziła, by to miało jakieś znaczenie, choć teraz zaczynała podejrzewać, że się pomyliła.

Bardzo się pomyliła.

– Wciąż tu jesteś – odezwała się Lobkovicova ze zdumieniem, lustrując wzrokiem swoją sypialnię. – Czuję cię.

Krew odpłynęła z twarzy Zory. Nie dopisało jej dzisiaj szczęście. Do wszystkich duchów tego świata, dlaczego Emil jej nie powiedział, że Lobkovicova to hmatowa?

– Ujawnij się dobrowolnie, a wydam cię strażnikom miejskim po cichu. Jeśli nie, zrobię raban.

Zmysłownica przymknęła powieki, godząc się z przegraną. Wyszła ze swojego kąta, zrzucając maskę niewidzialności. Lobkovicova sapnęła na jej widok, pewnie nie spodziewając się tak elegancko ubranej kobiety.

– Jesteś gościnią na balu? – Pokręciła głową. – Nieważne. Jak już się pewnie domyśliłaś, wiem, co tu robiłaś. Czytam przedmioty dotykiem.

Cóż za zbieg okoliczności.

Czy to Gustav ją wystawił? A może ją sprawdzał?

Nie, to niemożliwe. Nie mógł się przecież spodziewać, że Zora zabierze diamenty, a potem odłoży je na miejsce.

– Idź przede mną. – Machnęła dłonią w stronę drzwi. Zmrużyła powieki. – I dobrze ci radzę, niczego nie próbuj.

Dlaczego nie? Zora już kalkulowała swoje szanse. Ta przeklęta suknia ograniczała jej ruchy, ale może mogłaby znokautować Lobkovicovą i uciec. Bez diamentów, ale przynajmniej byłaby wolna.

– No – syknęła kobieta. – Ruszaj.

Wtedy w progu stanął Levi, dzikim wzrokiem oglądając zastaną scenę. Zawiesił oko na Zorze, a z jego policzków odpłynął kolor. Kobieta starała się trzymać swój podbródek wysoko, a wyraz twarzy pozostawić beznamiętny.

Czy Levi Draboń naprawdę aż tak jej nienawidził, że dosłownie rzucił ją na pożarcie wilkom? Czy teraz przyszedł napawać się sytuacją? Nie da mu tej satysfakcji. Zachowa całkowity spokój.

– O, jak dobrze, że pan jest – zwróciła się do niego Lobkovicova. – Ta kobieta – wskazała na Zorę kciukiem – próbowała mnie okraść. Czy mógłby pan pomóc mi odprowadzić ją na dół, do mojej ochrony? Trzeba zawiadomić straż miejską o próbie przestępstwa.

– Jak pani sobie życzy – wychrypiął, podchodząc do swojej byłej... towarzyszki.

Złapał ją za łokieć tak delikatnie, że Zora musiała powstrzymać parsknięcie. Pociągnął ją w stronę wyjścia, a Lobkovicova deptała im po piętach.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że w moim domu niemal doszło do przestępstwa – paplała kobieta za nimi. – Ostatnio w tym mieście nie jest bezpiecznie.

Tu nigdy nie było bezpiecznie, przemknęło Zorze przez myśl. Chciała wyrwać się spod nacisku ciepłych palców, ale wiedziała, że opór byłby daremny. Tej bitwy nie wygra.

– Kim pani jest? Jak się pani udało zdobyć zaproszenie? Będę musiała zlecić dokładniejsze filtrowanie listy gości. To niedopuszczalne, że doszło do takiej anarchii.

– Gotowa? – Usłyszała nad sobą ochryply szept.

A może się przesłyszała? Bo szeptać mógł tylko Levi, a on przecież był jej wrogiem. Konkurentem. Zdrajcą.

– Pomyśleć, co by się stało, gdybym nie przyszła na czas! Mój mąż byłby zdruzgotany. Podarował mi te diamenty w ramach prezentu na...

– Uciekaj. – Zora skupiła się na tym jednym, cichym komentarzu, zastanawiając się, co się za nim kryło.

Dowiedziała się dwie sekundy później.

Levi syknął, puszczając ją i krzycząc:

– Moja stopa!

Zmysłownica roześmiałaby się z tego pełnego patosu i cierpienia wrzasku, gdyby nie to, że nie marnowała czasu i wystrzeliła przed siebie. Serce znowu zabiło jej żywiej. Co to oznaczało? Dlaczego jej pomógł? Nagle napadły go wyrzuty sumienia?

Pokręciła głową, a gdy skręciła za róg, stopiła się z cieniami i jak jeden z nich bezpiecznie wyslizgnęła się z rezydencji. Za sobą słyszała jazgot Lobkovicovej i wykrzykiwane przez nią polecenia. Koło niej w przeciwnym kierunku biegli strażnicy, a Zora uśmiechała się do nich półgębkiem i zgrabnie ich omijała. Udało jej się nawet po cichu odebrać płaszcz i po chwili zostawiła za sobą cały ten rozgardiasz.

Jej ciało powoli się uspokajało, a zadowolenie zmalało. Przemierzając ulice, przetarła dłonią twarz. Stopniowo docierały do niej konsekwencje tego wieczoru.

Levi ją zdradził, została przyłapana, Levi jej pomógł, nie wypełniła zadania.

Znowu zawiodła Gustava. Ostatnio zdarzało się to zbyt często. Wizja stawienia czoła szefowi przyprawiała ją o gęsią skórkę i chęć ucieczki. Może mogłaby pójść w ślady Petra i zostawić to wszystko za sobą, wreszcie żyć spokojnie i bez strachu.

Zacisnęła dłoń w pięść. Nie. Będzie lepsza od brata. Da sobie z tym radę.

A przynajmniej taką miała nadzieję.

Wieczór dobiegł końca, a Levi mógł wreszcie opuścić rezydencję Lobkoviców. Pani domu przetrzymała go, każąc złożyć zeznania, więc Draboń nie mógł się z tego wykręcić.

Zamiast tańczyć z Editą i pić likier, zajmował się niedoszlą kradzieżą Zory Muškatovej. Tej przeklętej kobiety, która spędzała mu sen z powiek.

Jakże on pragnął na dobre zamknąć za nią drzwi przeszłości i się nią nie przejmować. Ale nie potrafił. Jak tylko ją dzisiaj zobaczył, momentalnie wypełniła wszystkie jego myśli i bez jego zgody zaczęła zapuszczać korzenie. Nie mógł o niej zapomnieć, zwłaszcza wtedy, gdy miała na sobie taką suknię. Żółty kolor kontrastował z jej ciemnymi włosami i z gburowatą osobowością. Ktokolwiek wybrał dla niej ten strój, był geniuszem. Sprawiał, że Zora wyglądała jak słońce. Przyciągnęła wszystkie spojrzenia w okolicy i sprawiała, że zapierało dech w piersi. Z nim właśnie tak było.

A co, jeśli rzeczywiście nie miała nic wspólnego ze śmiercią matki?

Odgonił tę myśl. W gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Zora była problemem i lepiej trzymać się od niej z daleka.

– Gabriel. – Levi z ulgą podał służącemu płaszcz we własnym przedsiionku. – Przygotuj kąpiel. To był męczący wieczór.

– Tak, panie.

Na czas czekania wspiął się po schodach i wślizgnął do gabinetu. Zapalił lampę, z szuflady wyjął kajet i pozwolił, by myśli wyciekły z jego umysłu poprzez pióro. W urywanych zdaniach podsumował cały bal i własne uczucia związane z zobaczeniem Zory.

Był na nią taki wściekły, ale nigdy nie chciał, żeby została złapana. Zamierzał ją nastraszyć, a potem zabrać, zanim Lobkovicova przyszłaby po klejnoty. Jednak na korytarzu zagadnął go jeden z gości i Levi musiał niemal siłą się go pozbyć. Gdy stanął w progu sypialni, było już za późno – Zora stała naprzeciwko pani domu.

Jęknął, odchylając się do tyłu na krześle. To wszystko stało się zbyt skomplikowane. Zora, tajemnica śmierci matki, Dusa. Pocieszało go to, że Edita wysnuła teorię co do kolekcjonera, choć jednocześnie miał wyrzuty sumienia, bo nie zamierzał powiedzieć o tym Zorze, mimo że pójście do naukowczyni było przecież jej pomysłem. Ale to on płacił, więc to on powinien mieć dostęp do informacji, nie Zora.

Edita uważała, że Dusa mógł sprzymierzyć się z duchami.

Brzmiało to niewiarygodnie, ale w starych księgach kobieta znalazła wzmianki o tym, że kiedyś – gdy pradawną magię można było jeszcze spotkać na ulicach Bydgošcy – praktykowano rytuał połączenia ciała z obcym duchem. Ponoć dawało to nietykalność, choć Edita jeszcze nie rozgryzła, co dokładnie mogło to oznaczać.

Jeśli Dusa rzeczywiście wszedł w jakieś układy z duchami, był bardziej szalony, niż Levi początkowo przypuszczał. Nad duchami nie ma żadnej kontroli. To byty święte i nieziemskie. Istniały, zanim ludzie zyskali ciała, i będą istnieć już po tym, gdy ludzkość zniknie z kontynentu.

– Panie.

Levi wyrwał się z zamyślenia i zerknął na Gabriela pochyłającego przed nim głowę. Ręce miał założone za plecami, a ubiór nienaganny.

– Kąpiel gotowa – oświadczył.

– Dziękuję – rzekł z roztargnieniem. – Nie będę cię już potrzebował. Możesz udać się na spoczynek.

– W takim razie życzę miłej nocy, panie.

Levi bardzo chciał, żeby była miła, ale wiedział, że taka nie będzie. Jak tylko pozwalał sobie na zamknięcie oczu i próbę odpoczynku, przed powiekami pojawiał mu się zamazany obraz Zory. Stała w deszczu i próbowała go przekonać, że jest niewinna. *Zostawiłeś mnie. Zostawiłeś mnie samą.*

Budził się z sercem w gardle, z potem na czole i pragnieniem, by już nigdy więcej jej nie zostawiać. I nie pomagało przekonywanie samego siebie, że na to zasłużyła. Że prawdopodobnie brała udział w mordowaniu jego matki.

Zostawiłeś mnie tam.

Czasem słowa innych ludzi wypalają się w duszy i zostają w niej do końca życia.

– Pokaż.

– To nic takiego – wycedziła Zora, a jej czoło zrosił pot.

– Pokaż mi albo cię zmuszę.

– Nie zmusisz, bo nie masz w sobie nawet grama agresji, Emil.

– Ty we mnie wywołujesz reakcje, o które nigdy bym siebie nie podejrzewał, więc jedną z nich może być agresja.

Zora przystanąła i zerknęła spod rzęs na blondyna.

– Miałem na myśli sarkazm – dodał szybko, pocierając kark umięśnionym ramieniem, a jego policzki przybrały różowy kolor.

– Jasne. – Pomimo bólu uśmiechnęła się lekko.

Emil dostrzegł, ile wysiłku ją to kosztowało.

– Dziewczyno, niemal zginasz się wpół. Pokaż mi, co on ci zrobił – nakazał łagodnie, a dłonie go świerzbiły, wrywając się, by ją objąć i pomóc jej iść. Wiedział, że by sobie tego nie życzyła, dlatego zachowywał odpowiedni dystans.

– Dobra. Jak chcesz. Ale nie tutaj.

Blondyn kiwnął głową i zaprowadził ją przez korytarze pełne Krakavców do kuchni. Tam zajęli zwyczajowe miejsce w kącie, ignorowani przez kucharkę i jej pomocników,

zupełnie jakby stali się regularnym wyposażeniem pomieszczenia. Emil delikatnie złapał koniec koszuli Zory i zajrzał w jej wykrzywioną twarz. Gdy kiwnęła głową, uniósł materiał i automatycznie wciągnął powietrze do płuc.

– Czy... – Nawet nie wiedział, o co powinien zapytać. Oczywiście, że ją bolało. Cały brzuch miała w siniakach. Podejrzewał, że plecy także. – Możesz mieć złamane żebra.

– Nie sędzę – wydukała.

– Wygląda to koszmarnie, Zoro. Jeśli Gustav połamał ci kości, zimny okład niewiele tu pomoże.

Ale i tak go przygotował i przyłożył do ciemnoczerwonych plam; niektóre wpadały w fiolet. Zora na przemian wdychała i jęczała, gdy schładzał jej stłuczoną skórę.

– To moja wina – wyznał zduszonym głosem.

– Co takiego? To ja zawałam zadanie.

– Gdybym był uważniejszy, dowiedziałbym się, że Lobkovicova to hmatowa.

– Nawet gdybym wiedziała, mogłoby mi to wcale nie pomóc.

– Na pewno by pomogło. Wtedy nigdy w życiu nie odłożyłabyś diamentów na miejsce. – Nieważne, Emil. To nie ma znaczenia – wyznała znudzonym tonem. – I nie chcę o tym więcej rozmawiać. Wystarczy, że Gustav wydusił ze mnie całą relację.

– W porządku. Ale powinienem zabrać cię do uzdrowiska, żeby obejrzał cię medyk.

– Nic mi nie jest.

Emil znieruchomiał i cofnął rękę z zimnym okładem. Odszukał brązowe spojrzenie Zory i upewnił się, że się na nim skupiła.

– Kłamiesz – powiedział powoli. – Jesteś cała posiniaczona.

– Lepsze to niż chłosta.

Blondyn westchnął i zmienił okład na nowy.

– Myślisz, że kiedyś się uwolnimy? – spytał z roztargnieniem, metodycznie przesuwając zimną szmatką po jej brzuchu. – Ty od długu, ja od umowy?

Ich sytuacje były podobne, a jednak takie inne. Zora spłacała dług brata, Emil naprawiał to, co wyczyniła jego siostra. Jej chłopak należał do Krakavców i wciągnął ją do gangu, a ona, zachwycona bójkami i kradzieżami, podpisała umowę na trzydzieści lat służby. W razie jej złamania miała zapłacić milion koron. Pewnie nigdy nie przypuszczała, że zaledwie po roku zostanie dźgnięta nożem, a Krakavce przyjdą do jej brata, by wyegzekwować swoje prawa. Postawili mu ultimatum: albo dotrzyma umowy, jaką zawarła jego siostra, albo zabiorą cały jego rodzinny dobytek w ramach pokrętnie rozumianego zadośćuczynienia.

– Myślę, że Gustav znalazłby sposób, żeby zaprząć nasze dusze do pracy nawet po naszej śmierci.

– To nie jest śmieszne.

Zora westchnęła, czego od razu pożałowała, bo ją zabolalo.

– Nie. Nie jest.

Pół godziny później siedziała na stole w uzdrowisku medyka o nazwisku Hanuš. Jego gabinet znajdował się na obrzeżach Śródmieścia i lśnił czystością. Mężczyzna o włosach czerwonych jak zachodzące słońce przyjął ich poza kolejką, gdy tylko ujrzął Emila.

Dowiedziała się, że złamano jej dwa żebra, ale medyk stwierdził, że nie były to poważne urazy. Dokładnie jej też wyjaśnił, jak powinna postępować ze swoją raną. Przede wszystkim nakazano jej nieprzemęczanie się i odpoczynek. Na ból dostała odpowiednie zioła, a na siniaki i stłuczenia miała przykładać zimne, wilgotne kompresy.

W ciągu następnego tygodnia faszerowała się środkami leczniczymi i nie wystawiała głowy poza Pohledną Beruškę. Z wiadomości od Emila dowiedziała się, że Gustav łaskawie zlecił komuś innemu zajmowanie się Dusą, a Zorę postanowił zostawić w spokoju. Na razie. Pobił ją i rzucił odpowiednimi groźbami, więc teraz mógł dać jej trochę przestrzeni.

Starła się zaledwie tym nie przejmować, a częste odwiedziny Dany i Irmy jej to ułatwiały. Łatwo było się zatracić w chwili, gdy grały w karty albo po prostu piły kawę i oddawały się pogawędce. Raz czy dwa wybrały się również na spacer. Śmiejąc się razem z przyjaciółkami, Zora bez problemu mogłaby zapomnieć, że na szyi nadal nosiła Lunulę Tety, nad jej głową wisiał dług brata, a Levi Draboň się do niej nie odzywał.

Dusa posuwał się coraz dalej, a kolekcjonerów do obrabowania zostawało mu coraz mniej. Gdy zmysłownicę napadały takie myśli, mimowolnie łapała za niewidzialny wiśiorek, zastanawiając się, czy Dusa przyjdzie i po nią. Gustav mógł ją odsunąć od zadania, a Levi odwrócić się do niej plecami, ale Zora czuła, że to jeszcze nie koniec, że będzie jej jeszcze dane, by zmierzyć się z tajemniczym kolekcjonerem. Oczekiwała tego dnia na poły z niecierpliwością, na poły ze strachem.

20

Siedziba Edyty Denrovej wyglądała dokładnie tak, jak Zora ją zapamiętała: zabałaganiona i wypełniona luźno leżącymi kartkami. Naukownicy znowu starała się je zbierać na bieżąco, ale dokumenty wypadały jej z rąk, tym samym tworząc jeszcze większy rozgardiasz. Wreszcie westchnęła, pomasowała palcami skronie i zaprowadziła Zorę do kącika ze stolikiem, kanapą i fotelami.

– Zastanawiałam się, dlaczego ostatnio pani nie widziałam – powiedziała Edyta, gdy przyniosła już herbatę i ciasteczka. – Ale nie chciałam być wścibska, więc nie pytałam Leviego.

Zorze nie umknęło, że zwracała się do Draboña na „ty”.

– Cóż... pokłóciliśmy się – wyjaśniła.

– Och. – Edyta znieruchomiała z ręką wyciągniętą po ciastko.

– Pomysł znalezienia pani wyszedł jednak ode mnie, więc pomyślałam sobie, że może byłaby pani skłonna podzielić się ze mną swoją teorią co do kolekcjonera.

– Cóż... – Naukownicy złapała słodycz i obróciła ją w palcach. – To Levi mnie finansuje...

– Proszę.

Edyta westchnęła.

– Skąd pani o mnie wiedziała? – Przechyliła głowę na bok, a jasne włosy opadły na czoło. Dzisiaj miała na sobie czerwoną koszulę i ciemną spódnicę. – Spotkałyśmy się wcześniej?

– W pewnym sensie. – Zora się zawahała. – Podśluchałam pani rozmowę.

– Och. – Dźwięk pełen był czystego zdumienia.

– Więc czego się pani dowiedziała? – zapytała, próbując sprowadzić konwersację na dawne tory.

– Chwileczkę. – Edyta wstała, a spódnica zafalowała wokół jej nóg.

Przeszła przez długie pomieszczenie, zatrzymując się przy większych skupiskach kartek na blatach stołów, aż wykrzyknęła pełne satysfakcji „Aha!” i wróciła na kanapę z notatkami i książkami w dłoni.

– Przeanalizowałam wiele możliwości. – Założyła za ucho kosmyk włosów. – Hmatowy, kombinowy. Czy kombinowy może mieć dwie różne umiejętności, które powiązać można z jednym zmysłem? To moje najnowsze pytanie badawcze, niestety nie wiem tego. Kombinowi są jeszcze bardziej tajemniczy niż zwykli zmysłowicy.

Zora uśmiechnęła się z przekąsem. Ciekawe, czy Levi zamierzał zdradzić tej kobiecie swoją tajemnicę.

– Na szczęście z pomocą pieniędzy Leviego być może uda mi się odpowiedzieć na to pytanie. Szukam obecnie osób, które byłyby skłonne poddać się badaniu, ale zmysłow- nicy to takie skryte istoty, wie pani... Skuszenie ich i nakłonienie do badań to istna mordega. – Machnęła dłonią. – Ale my przecież nie o tym. Tak więc nasz kolekcjoner może być kimś takim, ale ja uważam inaczej. Wspominałam już, że śmierdzi mi to pra- dawną magią. Niech pani spojrzy.

Edita podsunęła jej pod nos dużą, starą książkę oprawioną w skórę i z pożółkłymi kartkami.

– Jestem Zora – wymamrotała.

Jej rozmówczyni kiwnęła głową.

– Edita. A teraz spójrz. Widzisz? – Wskazała palcem na wersy tekstu z czerwonym ini- cjałem, wpisane w ozdobną ramkę. – To tekst pieśni sprzed kilku stuleci. To znaczy tak sądzą historycy. Że to pieśń. Przeanalizowałam to dokładnie, bo zastanowiła mnie te- matyka tej pieśni, a mianowicie: duchy. I potem poszperałam jeszcze bardziej. – Zabrała wolumin, by pokazać jej następny, pachnący tuszem drukarskim i starością. – To zbiór starych wierzeń. Według nich podobno kiedyś ludzie mogli wywołać ducha. Fascynują- ce, nieprawdaż?

Fascynujący był pełen pasji głos tej kobiety. Zora mogłaby go słuchać godzinami.

– Dlatego wysnułam teorię, że nasz kolekcjoner odprawił rytuał przywołania takiego ducha. – Zawahała się. – Połączenia. Nie rozumiem jednak jeszcze, jak można czegoś takiego dokonać i jakie to dokładnie daje możliwości, oprócz niejasnego „bycia niety- kalnym”. Wszystkie te teksty są napisane w starych dialektach, więc jeszcze rozważam różne warianty. – Podniosła wyżej jedną z kartek, zabazgraną niechlujnym charakterem pisma. – Nietykalny, nienaruszalny, więc niewidzialny? A może nietykalny, osłonięty ja- kąś ochronną barierą? Trudno stwierdzić. A czy wy poczyniliście jakieś postępy w od- kryciu tożsamości tej osoby?

Zora westchnęła i od razu poczuła kłujące rwanie w klatce piersiowej. Brała zioła przeciwbólowe, ale te tylko łagodziły cierpienie, a nie całkowicie je uśmierzały. A żebra zrastały się żałośnie powoli – nie to co siniaki, te zaczęły już zniknąć.

– Nie. – Zmysłownica nie wiedziała, czy Levi natrafił na jakiś trop, ale śledztwo Kraka- wców utknęło w martwym punkcie. Musieliby się pewnie sprzymierzyć z innym, jeszcze nieobrobionym kolekcjonerem, ale na to się nie zanosilo.

– Szkoda. Jeszcze ciastko?

Zora nie mogła sobie tego odmówić, zwłaszcza że było naprawdę smaczne, a kawałki czekolady rozpląwały się w ustach.

– Czyli to na razie wszystko, co masz? – Chciała się upewnić.

– Tak. Możesz przejrzeć wszystkie moje zapiski, jeśli chcesz, ale sędzę, że dobrze to podsumowałam.

Zmysłownica opieszale zerknęła na rozmazany i chaotyczny tusz.

– Nie. To mi wystarczy.

Edita zaśmiała się perliście, czym wprowadziła Zorę w lekką konsternację.

– Rozumiem. Sama z chęcią bym tego nie czytała, ale cóż. Moje notatki są mi potrzebne, choć przyznam, że czasem więcej czasu zajmuje mi rozczytanie własnego pisma niż wyciąganie wniosków.

Zora wbrew sobie wyszczerzyła zęby w uśmiechu, dopiła herbatę i pożegnała się z naukowczynią. W progu poprosiła ją o przesłanie wiadomości do Pohlednej Beruški w razie postępu prac.

Przechytryłem cię. Zaskoczony?

Dusa

Raczej wściekły. Pełen furii. Z gniewem tętniącym tuż pod skórą. Z szalem ukrytym w oczach. I strachem ściskającym gardło.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. – Levi usłyszał za sobą głos Františka.

– Niewystarczająco – wycedził, uderzając laską o podłogę w swoim pustym magazynie.

Dla ścisłości: prawie pustym magazynie. Jako że Dusa na środku pomieszczenia zostawił Dozorcę z przyczepioną do jednej ze ścianek wiadomością.

– Nie rozumiem, Františku. – Z jego głosu wylewała się frustracja.

Obejrzał Dozorcę ze wszystkich stron. Gdy przybył, nadal był aktywny, więc jakim cudem Dusa zdołał go ominąć?

– Ten kolekcjoner jest inny niż wszystko, z czym miałeś do czynienia – zauważył lokaj łagodnym, choć schrypniętym głosem. – Pokonuje wszystkich w mieście...

– To ja miałem go przechytryć. – Do Leviego nie docierały żadne rozsądne wyjaśnienia. – Miałem Dozorcę. To jest artefakt nieprzechytryzalny.

Starszy mężczyzna kaszlnął, a Levi miał niejasne wrażenie, że tym sposobem próbował zamaskować śmiech, choć lepiej dla niego, by rzeczywiście było to przeziębienie. Bo w tej sytuacji nie było niczego zabawnego.

– Jak on się tu dostał?

Zmysłownik z zaciśniętą szczęką podszedł do okna i odsunął zasłony. Zerknął na rozległy ogród skąpany w księżycowym świetle. Dostrzegł jedynie złudny spokój oraz patrolujących strażników.

Bezużyteczni głupcy, warknął na nich w myślach.

Zmienił zamki, ulepszył zmianę wart, zostawił Dozorcę... Co jeszcze mógł zrobić, by temu zapobiec?

– Nie da się złapać kogoś, kogo nikt nie widział, Levi.

Levi zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Da się. Jestem najlepszy w dostrzeganiu tego, co niewidzialne, więc dlaczego nie miałbym tego złapać?

Chociaż teoretycznie rzecz biorąc, Zory nigdy nie schwytał. Zawsze mu się jakoś wymykała, w ten czy inny sposób. Levi zazgrzytał zębami, wyrzucając tę kobietę z głowy. Nie chciał o niej myśleć ani teraz, ani nigdy.

– Jakie procedury? – František mądrze nie pociągnął tematu.

– Na dzisiaj żadne – oznajmił, czym na pewno zaskoczył swojego lokaja, ale nie odwrócił się, by zobaczyć jego minę. – Mam dość tego wszystkiego. – Przyłożył dłoń do szyby, a obraz ogrodu zniknął mu sprzed oczu. Zamiast tego zobaczył niewyraźne odbicie samego siebie z poczochronymi włosami od przeczesywania ich palcami, z podkrążonymi oczami i zaciśniętymi ustami. – Matka powierzyła mi tylko jedno zadanie. Tylko jedno. A ja nawet tego nie umiałem wykonać dobrze.

– Levi, twoja matka czasami wykazywała obłąkańcze odruchy – zareagował od razu ostrzej, niż zamierzał. Musiał wziąć głęboki oddech, by dalszą wypowiedź kontynuować spokojniejszym tonem. – Stawiała tę kolekcję wyżej niż twoje życie. Niż życie twojego ojca. Nie bierz z niej przykładu.

– Nie mów tak o niej – warknął, zabierając dłoń i odwracając się w stronę swojego lokaja. – Moja matka była wspaniałą kobietą.

– Być może za młodu. Ale potem ogarnęła ją obsesja.

– Wcale nie. Była zawzięta, owszem. Skupiona na celu. Ale znała granice.

– Oszukujesz samego siebie. Kiedy wreszcie przestaniesz ją idealizować?

Twoja matka nie była ideałem, odbiło mu się echem w umyśle. Cały się spiął, a żyłami popłynęła mu nowa fala gniewu.

– Levi, twoja matka wolała wybrać się na aukcję, niż zostać przy łóżku umierającego męża, chociaż medycy powiedzieli, że po jej powrocie może zastać go nieżywego – ciągnął staruszek. – Byłem tam. Ty czuwałaś przy ojcu. To, czego nie wiesz, to sposób,

w jaki zareagowała twoja matka. Wzruszyła ramionami, potem kazała przygotować swoją najlepszą suknię i powóz. Pamiętasz chyba, co było dalej?

Krew odpłynęła mu z twarzy. Pamiętał, oczywiście. Ojciec umarł na czarcią chorobę. Nie była zaraźliwa, ale w większości przypadków kończyła się śmiercią. Ambrożowi Drabońowi pogorszyło się z minuty na minutę, a tamtej nocy nie miał już nawet siły, by mówić. Levi trzymał go za dłoń i czekał na matkę, ale ta pojawiła się dopiero nad ramię, gdy ojciec już nie żył. Powiedziała mu, że nie wiedziała, w jak ciężkim stanie był Ambroż. To był jeden z nielicznych razów, gdy go przytuliła i pocałowała w czoło. Levi nie mógł się gniewać za jej nieobecność w takich okolicznościach.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? – spytał, przeszywając mężczyznę podejrzliwym wzrokiem. – Minęło niemal piętnaście lat.

– Bo nie chciałem mówić źle o Andrei – wytłumaczył, odwzajemniając spojrzenie. – Ale to, co robisz, zaczyna przypominać szaleństwo. Andrea nie była ani dobrą matką, ani dobrym człowiekiem. Rozumiem, że ją kochałeś. Ale do wszystkich duchów, nie stawiaj jej na piedestale. To nie jest wzór godny naśladowania.

Levi stracił dech, a przed oczami pojawiły się mroczki.

– Zostaw mnie samego – wychrypiął.

František bił się z myślami, ale ostatecznie postanowił spełnić polecenie swojego pracodawcy. Skłonił przed nim głowę, co było do niego niepodobne, i zamknął za sobą drzwi.

Leviemu zapiszczało w uszach, a kiedy zbliżał się w stronę ściany, widział podwójnie. Zatoczył się, objijając o pusty regał, i osunął na podłogę, a laska z brzękiem upadła koło niego. Wyciągnął przed siebie nogi, podczas gdy głowę odchylił do tyłu. Nie wiedział, co powinien o tym wszystkim sądzić – jego myśli przypominały czysty chaos i nie miał sił, by wstać i spróbować je ujarzmić poprzez pióro.

Przez całe życie traktował matkę jak bohaterkę. Czy to możliwe, że był tak zaślepiiony, że nie widział żadnych jej wad? Zawsze chciał postępować tak jak ona. Podziwiał ją. Szanował. Nie mógł znieść myśli, że to wszystko było kłamstwem i oszustwem. To by go zabiło.

Zamrugnął, ale nie zdołał powstrzymać łez. Potoczyły się po jego policzkach, dając upust intensywnym, kłębiącym się w nim emocjom.

Zanim Zora weszła do gabinetu Gustava, dowiedziała się o kradzieży kolekcji Leviego. Wywołało to w niej sprzeczne emocje, począwszy od przygnębienia, a skończywszy na

złości. Nawet jej nie powiadomił. Oczywiście nie musiał, ale przecież wciąż miała przy sobie Lunulę Tety. Dlaczego się o nią nie upominał?

Miała ją nosić na szyi do końca życia? Ta wizja jej się nie podobała. Wisiorek był niewygodny, a bezustanne czynienie go niewidzialnym odbierało jej energię.

– Moja ulubiona hmatowa!

Zora wzdrygnęła się, słysząc to podszyte ironią określenie. Od jakiegoś czasu zdecydowanie nie zajmowała tego stanowiska i była od tego bardzo daleka, a ból przy głębszych wdechach jej o tym niezmiennie przypominał. Gustava jednak bawiło jej zmieszanie, więc nie zamierzał rezygnować z rozrywki.

– Wzywałeś mnie – rzuciła oschle, siadając na krześle.

Trzymała się prosto i sztywno, przygotowana do ucieczki w każdej sekundzie.

– Mam dla ciebie zadanie. Jako że ostatnio nie sprawdzasz się na misjach jawnych – oznajmił zjadliwie z szyderczym uśmieszkiem – tę wykonasz pod osłoną nocy.

Zora odetchnęła w duchu. Stare, dobre wkradanie się do budynku. To jej szło zdecydowanie lepiej.

– Co to za misja? – dopytała, patrząc, jak Gustav odpalił fajkę i wydmuchał pierwszą falę dymu.

– Rada Miasta przenosi swoje artefakty – odpowiedział. – W strachu przed kolekcjonerem. Za kilka dni gdzieś je schowają, więc teraz jest ostatnia okazja, by je ukraść.

– Przecież na pewno wzmogą ochronę.

Gustav machnął ręką dzierzającą fajkę.

– Czy to dla ciebie problem?

Zora spojrzała na mężczyznę jak na idiotę, ale nie odezwała się nawet słowem.

Ależ skąd. Problem? Przy włamaniu do pilnie strzeżonego budynku? Gdzie tutaj miałby być problem?

– Co konkretnie mam zabrać?

Rada Miasta nie miała licznej kolekcji. Zbierali przedmioty bezpośrednio związane z miastem i gmachem, w którym rezydowali.

– Książkę. Pierwszy Kodeks Bydgoski. Znalazłem na nią kupca, więc nie zawieź mnie. – Gustav przeszył ją swoim ciemnym wzrokiem. – Mówię poważnie, Zora. Zawal jeszcze jedno zadanie, a konsekwencje porażki nie odbiją się tylko na tobie. – Wyjął z szuflady teczkę i przesunął ją w jej kierunku. – Pytania? – rzucił, gdy kobieta przeglądała zawartość, niemal przyzwyczajona do gróźb.

– Nawet jeśli, zadam je Emilowi – mruknęła, oglądając ryciny starej książki.

– Słusznie. Możesz odejść.

Gustav miał dzisiaj dobry dzień, a uprzejmość aż się z niego wylewała. Zora przezornie postanowiła nie wchodzić mu pod nogi dłużej niż to konieczne i wyszła z gabinetu, szukając Emila.

Siedziba Rady Miasta znajdowała się dwie ulice na zachód od Centralnego Placu. Był to mały pałacyk wybudowany w środku miasta przed paroma wiekami, a przed nastaniem rządów Rady mieszkała tam rodzina królewska. Zmiana ustroju miasta nastąpiła łagodnie. Jedna z królowych, Marie Zvláštní, nie miała dzieci i nie chcąc, by poddani po jej śmierci walczyli o władzę, utworzyła radę, którą ustanowiła swoim następcą.

Obecnie Rada Miasta składa się z pięciu członków, których co pięć lat wybierają mieszkańcy Bydgošcy. Aby w ogóle kandydować do rady, trzeba mieć przynajmniej jedną udowodnioną zasługę względem miasta, wysokie wykształcenie oraz pieniądze. Jeśli ktoś nie spełniał któregoś z tych trzech wymogów, nie mógł brać udziału w wyborach.

Zora stała w cieniu naprzeciwko pałacyku i przyglądała mu się uważnie.

Lekka mgła napływająca znad Udoli spowijała jego geometryczną konstrukcję, a na dachach, tuż obok rzeźb bydgoskich królowych i królów, przesiadywały kruki. W niektórych oknach jeszcze paliło się światło, ale większość spowijał mrok. Przed budowlą rozciągał się niewielki plac ze starannie zadbanymi drzewami i trawnikiem oraz ścieżką wypełnioną żwirem. Jasną fasadę budynku zdobiły półkolumny oraz kwiatowe i krukowe reliefy.

Wszędzie przechadzali się strażnicy. Wzrost adrenaliny w żyłach Zory podpowiedział jej, że przekradnięcie się obok nich to wyzwanie, którego chętnie się podejmie.

Przemykała od cienia do cienia i nikt nie miał prawa jej zauważyć. Zamaskowała swój zapach, żeby wonni jej nie wyczuli, stąpała tak bezgłośnie, że słuchowi nie mieli szans, by ją usłyszeć, a niewidzialność zapewniała jej ochronę przed wizualnymi. Ciemne włosy zebrała w warkocz, a jej twarz osłaniała pamiętna czarna chusta. Zbawienne spodnie ułatwiały jej ruchy i tylko wytrych wbijający się w udo nieco jej przeszkadzał.

Obeszła budynek, znajdując na tyłach mały, otoczony kamienicami dziedziniec, z którego korzystała służba. Sforsowanie zamka zajęło jej dużo czasu, ale ruchy miała pewne, a palce zręczne, więc wreszcie uchyliła lekko drzwi i prześlizgnęła się przez szparę. Zamrugła, by przyzwyczać oczy do mrocznego wnętrza kuchni, i zamarła, by uszy przywykły do ostrej ciszy. Trzymając się ścian, wyszła ze skrzydła dla służących, bezszelestnie przedostając się do holu głównego z wysokim sufitem i złożonymi zdobieniami

ścian. Musiała unikać patroli strażników, ale czyniła to z łatwością, wyczuwając ich nadejście szybciej niż oni jej.

Wspięła się po zwężających się schodach z balustradą, którą zachwycił się Emil, gdy planowali razem kradzież. Jej ręka sunęła po gładkiej poręczy, a na twarzy pod chustą błąkał się uśmiech. Kroki tłumiły dywany, a cienie z radością przyjmowały ją jak swoją.

Wcześniej artefakty wystawiono na widok publiczny w gablotach w głównym holu, ale z racji przeniesienia schowano jej już do kartonów leżących w sali, która kiedyś była salą tronową, a dziś stanowiła pusty relikwiarz przeszłości o przeznaczeniu czysto artystycznym i historycznym. Stał tu samotny tron obity ciemnoczerwoną tkaniną, a przez wielkie, łukowato zwieńczone okna przesączały się promienie księżyca. Zora wiedziała, że sufit zdobiony był freskiem przedstawiającym Libuše z toporem w ręce stojącą na ciałach swoich wrogów, ale teraz było za ciemno, by dojrzeć szczegóły malowidła.

Zmysłownica przyczaiła się w mroku, patrząc na dwóch strażników, którzy stali przy kilku kartonach. Opierali się o ścianę tuż obok bocznych drzwi i gawędzili ze sobą cichymi głosami. Ich bliska obecność koło przedmiotu, który miała ukraść, utrudniała jej zadanie. Przedyskutowała możliwość wystąpienia takiej sytuacji z Emilem, więc dobrze знаła swoje opcje. Mogła spróbować zabrać księgę tuż przed ich nosem. Mogła ich znokautować. Albo mogła pokonać ich bez użycia przemocy. Pierwszy z wariantów był zbyt ryzykowny, przy drugim mogło zabraknąć jej siły, więc został jej trzeci.

Przylegając do ścian i posuwając się naprzód w miarowym tempie, uniosła lekko koszulę i z wewnętrznej kieszeni wyjęła mały, ciasno zawiązany materiałowy woreczek. Jego zawartość została przygotowana przez sprzymierzoną z Krakavcami zielarkę, która znała się na substancjach usypiających.

Zmysłownica zwinnie poluźniła uchwyt i nie spuszczała oka z celów.

To dlatego nie spostrzegła, że w sali tronowej pojawił się nowy gracz.

Gdy Zora zbliżała się do strażników, przed ścianą koło tronu zmaterializowała się zakapturzona postać. Początkowo nikt jej nie zauważył, ale plotkujący ochroniarze wreszcie go wypatrzyli, a ich mięśnie zeszywniały. W dłoniach błyskawicznie pojawiły się pistolety, a z gardła jednego z nich wydobyło się głośne:

– Stój! Ani kroku dalej!

Zora zamarła, przenosząc swoją uwagę na przybysza, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Zmarszczyła brwi, a dezorientowani strażnicy lekko opuścili broń. Wtem tuż za nimi prosto z powietrza wyłonił się osobnik w kapturze, który ogłuszył najpierw jednego mężczyznę, a potem drugiego, i obaj osunęli się na podłogę z hukiem. Nieznajomy więcej nie zawracał sobie nimi głowy i odwrócił się w kierunku kartonów.

Zmysłownica się zawahała, a jej serce przyspieszyło. Możliwych scenariuszy spotkania i pokonania Dusy nie przećwiczyła z Emilem, więc będzie musiała improwizować. Mocniej przycisnęła się do ściany i powoli szła w kierunku tajemniczego kolekcjonera.

21

Zora bezszelestnie podrzuciła woreczek, niecierpliwiąc się. Na szyi szaleńczo skakał jej puls, a koniuszki palców mrowiły, gotowe do akcji. Nie wiedziała, z czym dokładnie miała do czynienia ani czy jej działania przyniosą jakiś skutek. Ale jeśli wróci do Gustava bez Pierwszego Kodeksu Bydgoskiego, równie dobrze mogłaby zrzucić się z dachu.

Musiała tylko stanąć tak, by cisnąć zawartością woreczka w twarz Dusy. To może być skomplikowane ze względu na przekłety kaptur zasłaniający całą jego głowę.

Obeszła jego osobę, z irytacją stwierdzając, że jeśli teraz rzuci, nie trafi. Zacisnęła zęby, gdy podjęła decyzję. Spróbowała rozluźnić ramiona, ale czuła w mięśniach taką sztywność, że przychodziło jej to z trudem. Wzięła wdech i całą sobą skoczyła na nachylającego się nad kartonami Dusę. Zderzenie sprawiło, że zadzwoniły jej zęby, ale jej dłoń nie zwlekała. Uniosła ją i rozsypała proszek nad...

Nad podłogą.

Ciało pod nią po prostu wyparowało, a ona niemal grzmotnęła twarzą w usypiającą mieszankę, którą sama uwolniła.

Ze stęknieniem poderwała się na równe nogi, obracając się wokół własnej osi, ale w bladym świetle księżyca widziała jedynie kurz i porzucone pudła. Cały czas rozglądała się wokół, bojąc się ataku. Nie mogła się skupić, myśli ulatywały jej z głowy, a wzrok miała rozbiegany.

Stały tu cztery kartony. Spięta i uważna nachyliła się nad pierwszym, ale szybko zorientowała się, że nie było w nim poszukiwanej przez nią księgi. Miała zamiar zabrać się do przejrzenia zawartości drugiego pudła, ale kątem oka dostrzegła ruch. Odwróciła się w dobrej chwili, by ominąć rękę, która wystrzeliła w kierunku jej szyi. Zora odskoczyła i zmierzyła wzrokiem Dusę.

Ten ruch nie wyglądał tak, jakby kolekcjoner zamierzał ją dusić. Bardziej jak...

W górę jej kręgosłupa wspiął się potężny, lodowaty dreszcz.

Bardziej, jakby chciał coś z jej szyi zerwać.

Zora musiała pilnować oddechów, bo była bliska zaprzestania dostarczania płucom tlenu. Trzęsącą się dłonią wyjęła sztylet i powoli obróciła go w dłoni, aż od lśniącego ostrza odbił się zbłąkany promień księżyca.

Kto ukrywał się pod kapturem?

To nie mógł być Levi Draboń. A może? Musiałby wspiąć się na wyżyny oszustwa, podstawiając tamtej nocy nieautentycznego kolekcjonera, a teraz fałszując kradzież swojej kolekcji. Zora stwierdziła, że to wątpliwe, ale nie niemożliwe.

Kto jeszcze? Boaz? Tamtego wieczora zachowywał się podejrzanie w biurze magazyniera. Co jeśli sfingował własne zaginięcie i chciał, by wszyscy myśleli, że umarł? To dałoby mu dużą swobodę działania jako tajemniczy kolekcjoner. A może nawet współpracował z Gustavem. Szef Krakavców byłby zdolny do takiego przekreślenia.

Tyle że... tylko trzy osoby wiedziały o tym, że nosiła coś na szyi.

Dusa stał nieruchomo, a jego ciemna sylwetka zdawała się falować na obrzeżach. W miejscu twarzy tkwił sam mrok i Zora ze zgrozą zdała sobie sprawę, że może to właśnie była jego twarz: czysta, pulsująca ciemność, niemająca żadnego stałego kształtu.

Wtedy jednak postać uniosła dłonie i zamaszystym ruchem zrzuciła z głowy kaptur, a jej postura automatycznie zmalowała i rozszerzyła się na boki. Zmysłownica zdała sobie sprawę, że mrok zniknął, przekształcając się w znane rysy.

Zakłuło ją w sercu, a w gardle stanęła gęła.

– Jak mogłaś? – wychrypiła sparaliżowana Zora. – Po co to wszystko?

Usta Army ułożyły się w szyderczy uśmiech, jakiego zmysłownica nigdy u niej nie widziała. Poczuli się jak we śnie, jak w innej rzeczywistości, jak w krainie duchów, gdzie wszystko znajdowało się do góry nogami.

Irma Hajnova. Troskliwa dziewczyna z zielonymi oczami, z których biła sama dobroć. Piła z nią kawę, gawędziła, śmiała się, tańczyła... Czy to możliwe? Czy to jakaś... pomyłka? Z drugiej strony, obie znały się ledwie od dwóch lat, a Zora niewiele wiedziała o jej przeszłości. Mimo wszystko... to nie mieściło się jej w głowie.

– Dla władzy. Potęgi. Siły. – Irma wzruszyła ramionami.

Co ze studium tatuażu? Czy to wszystko były sztuczki?

Zora z trudem przełknęła ślinę.

– Czym ty jesteś?

Czarnowłosa zaśmiała się szorstko.

– Jeszcze się nie domyśliłaś? – Potrząsnęła głową. – Nieistotne. Istotne natomiast jest to, że to nie musi się tak skończyć. Oddaj Lunulę Tety i odejdz, Zoro. Zostaw mnie w spokoju, a w zamian ja zostawię w spokoju ciebie. Nie musisz brać w tym udziału.

– Za późno, Irmo – wycedziła, przybierając nieco bardziej stabilną pozycję. – Wzięłam w tym udział w momencie, w którym wyprowadziłaś mnie do lasu na pewną śmierć...

– Nie tak znowu pewną, skoro nadal żyjesz...

– I kiedy Gustav kazał mi zająć się tą sprawą. Powstrzymaniem ciebie.

– Ach, Gustav. A ty jak zwykle bezmyślnie wykonujesz jego polecenia.

Zora się wzdrygnęła. Zjadliwie wypowiedziane słowa schwyły ją za serce i nieprzyjemnie ścisnęły.

– Czy Gustav wie?

– Czy Gustav wie? – Irma parsknęła. – Gustav? Ten idiota? Oczywiście, że nie wie. Był tylko moją marionetką. Jak wy wszyscy. Byłaś z Daną idealnym alibi. Wymówką. Nikt by nie zrobił tego lepiej, choć musisz wiedzieć, że nawet lubiłam spędzać z wami czas. Bywacie takie... niewinne. To było całkiem odświeżające uczucie.

Do jej członków wdarło się dziwne odrętwienie. Jak to możliwe, że się nie zorientowała? Nawet przez sekundę nie podejrzewała Irmy o żadne nieczne czyny. Oszukał ją słodki uśmiech, błysk dobroci w oczach i zwykła, codzienna uprzejmość, jaką czarnowłosa okazywała.

– Pracowałam kiedyś w teatrze – wytłumaczyła, jakby czytała jej w myślach. A może zresztą tak było, w końcu Zora nie wiedziała niczego pewnego o umiejętnościach Irmy.
– Dawno temu. To ułatwiło mi granie tylu ról na raz. Sprawną organizatorkę dla Gustava, miłą przyjaciółkę dla was.

– I to wszystko dla zdobycia jakichś głupich artefaktów?

Irma wyprostowała się i zlustrowała Zorę zimnym wzrokiem.

– Chcę być najlepsza i największa. Ktoś mi kiedyś powiedział, że bycie najlepszą nie jest mi dane. Przysięgłam, że poświęcę życie, aby udowodnić jej, że nie miała racji.

Jej zaprawione mrokiem słowa wywołały dreszcz wzdłuż kręgosłupa zmysłownicy. Zora gorączkowo analizowała sytuację. Wiedziała, że atak nie okaże jej się opłacalny. Ale co miała innego zrobić?

Postawiła krok w stronę dawnej przyjaciółki.

– Zastanów się, Zoro. – W głosie Irmy pobrzmiwało ostrzeżenie.

– Nad czym? – rzuciła swobodnie.

– Nie pomoże ci nawet ta twoja niewidzialność, więc przestań się łudzić. Nie możesz mnie złapać ani nie możesz mnie pokonać. Jesteś na straconej pozycji.

– Od kiedy wiesz, że jestem zmysłownicą? – Zora ruszyła łukiem w stronę Irmy, nie dbając o obracając sztylet w dłoni.

– Podejrzewałam to już wcześniej, ale zyskałam pewność, kiedy zobaczyłam u ciebie na szyi Lunulę Tety. Wiedziałaś, że zmysłownictwo wywodzi się z pradawnej magii?

Zora zamarła, a Irma uniosła brew.

– Chyba nie – zakpiła.

– Skąd o tym wiesz? – Na nowo podjęła wędrówkę, zataczając koło wokół sylwetki Dusy.

– Od mojego przyjaciela. – Parsknęła i westchnęła jednocześnie. – Był tam, kiedy zmysłownictwo się narodziło.

– Czyli to prawda. Przywołałaś ducha.

– Przywołałam? Ja nim jestem, Zora. Stałam się zmorą.

Zmysłownica smakowała w myślach nowe słowo, skubiąc i dźgając. Brzmiało ładnie, ale nadal nie wiedziała, z czym się wiązało.

Nagle Irma wyprostowała się jak struna i spoliczkowała samą siebie. Zora przystanęła i zamrugła, walcząc z falą konsternacji.

– Zamknij się – syknęła czarnowłosa i uderzyła się w drugi policzek. – Zamknij się, parszywy gnoju.

W ciągu sekundy zniknęła, pozostawiając po sobie wirujący kurz. Szczeka Zory opadła, przez moment się zawahała, ale szybko wyszła z szoku. Nie mogła przecież tracić czasu. Podbiegła do kartonów i pośpiesznie je przeszukała. Odłożyła sztylet na podłogę, by obie ręce zaangażować do szperania wśród figurek i ksiąg. W trzecim pudle wreszcie znalazła upragniony wolumin. Uniosła go wyżej, patrząc na skórzaną okładkę, i przerzuciła kilka kartek, by upewnić się, że kodeksowi niczego nie brakowało. Był stary, pomarszczony i śmierdział, a farba z ilustracji wyblakła, ale oprócz tego zdawał się w doskonałym stanie.

Zora schyliła się po sztylet, ale w tym momencie ktoś na nią wpadł od boku i przewrócił na ziemię. Księga z hukiem opadła na podłogę, ślizgając się kilka metrów dalej w stronę wyjścia.

Irma z ustami wykrzywiającymi się we wściekłym grymasie usiadła na niej okrakiem i zacisnęła swoje duże dłonie na jej szyi, tuż nad łańcuszkiem.

– Chciałaś, to masz – sapała. – Chciałaś, to masz. Ja chciałam być miła. Chciałam dać ci odejść. – Zwiększyła nacisk, a Zora zaczynała wpadać w panikę. – Ale ty jak zawsze musisz zrobić wszystko źle. – Nagle potrząsnęła głową, a jej palce rozluźniły się na tyle, żeby zmysłownica mogła zaczerpnąć tchu. – Zamknij się i mi nie przeszkadzaj! Wiem, co robię!

– Klótnia z przyjacielem? – wychrypiała Zora, dyskretnie zerkając w bok. Wyciągnęła rękę, ale jej opuszki minęły rękojęść sztyletu o centymetry.

– Jestem zmorą i najpotężniejszą kolekcjonerką świata, więc to ja tu rządzę. – Wybuchnęła krótkim śmiechem. – On czasami do mnie mówi. Trafił mi się wyjątkowo gadatliwy i krnąbrny duch. Nie chce zamilknąć. To nie tak miało być, Zora. Księgi mówiły co innego.

Jej zielone oczy zasnuła mgła, a źrenice to się zwiększały, to zmniejszały. Zora nie chciała jej współczuć. Nie w chwili, gdy ta nadal obłapiała jej szyję, ale te dwa lata przyjaźni zrobiły swoje.

Jej serce przeszył spazm gorzycy.

– Był układ. Wieki temu. Porozumienie między istotami z lasu a mieszkańcami miasta. Mieli żyć w spokoju i w zgodzie – szeptała gorączkowo Irma, jakby chciała przeka-

zać Zorze sekrety tak szybko, jak się dało, jakby w kark dyszało jej zagrożenie, które mogłoby jej to uniemożliwić. – Pięć istot oddało kawałek siebie ludziom, by ci wyszli z tego zadowoleni. Borowy, rusalka, zmij, południca i bies. Nie chcieli tego robić, ale sytuacja ich zmusiła. Początkowo wszystko działało jak w zegarku, aż...

Zora wykorzystała jej zamroczenie, czy cokolwiek ją napadło, i zepchnęła Irmę z siebie. Przeturlała się w prawo, chwytając sztylet, i błyskawicznie stanęła na nogach. Czarnowłosa znowu na nią zaszarżowała, ale Zora uskoczyła i pobiegła w stronę porzuconej książki. Jeśli będzie szybsza...

Nie była. Uderzenie z boku rzuciło ją na ścianę, a Irma zamachnęła się, uderzając ją pięścią w twarz. Zmysłownica zablokowała następny cios, wywinęła się spod ściany i zamachnęła się sztyletem z jej lewej strony. Czarnowłosa w porę zdołała się odwrócić w jej stronę i nagą dłonią chwyciła ostrze, blokując cięcie swoją siłą. Serce Zory podeszło do gardła, gdy oczami wyobraźni widziała już, jak sztylet przebija kruche ścięgna i kości ręki, ale tak się nie stało. Palce Irmy z rozmysłem zacisnęły się na klindze, jeden po drugim, a jej ponure, mroczne oczy wbiły się w zmysłownicę. Zazgrzytała zębami tak mocno, że aż poleciały iskry, po czym brutalnie wyrwała broń z ręki Zory. Powoli, jakby nigdzie jej się nie spieszyło, przekręciła sztylet, łapiąc go za rękojęść.

– Koniec z tym – zarzęziła Irma, brzmiać, jakby potyczka ją zmęczyła, choć oddech miała miarowy. – Koniec z tobą.

Zamachnęła się, ale Zora zdołała ominąć ostrze. Irma spróbowała ją ugodzić ponownie, jednak zmysłownica zwinnie i z gracją unikała każdego ciosu, aż czarnowłosa warknęła. Pobiegła w jej stronę, a Zora wykonała półobrót, pozwalając, by pędzące ciało przemknęło tuż obok. Ból w okolicy czaszki wybuchł niespodziewanie. Mimowolnie poleciała w bok, a upadek na twardą podłogę sprawił, że chwilowo straciła dech. Irma pociągnęła ją za warkocz i teraz znowu siedziała na jej wierzgających nogach – już nic nie mogło jej powstrzymać. Ani szamocząca się Zora, ani szepczący, natrętny głos w jej głowie. Uniosła sztylet, który zabłyszczał w świetle, i jednym płynnym ruchem zagłębiła go w brzuchu Zory.

Wyjęła go i dźgnęła miękkie ciało jeszcze raz.

W uszach zmysłownicy narastał pisk, a jej oddech stał się płytszy.

Drżąca dłoń pomknęła ku ranie, a jej skóra od razu nasiąknęła ciepłą krwią. Coś szarpnęło nią w okolicy szyi. Uzmysłowiła sobie, że straciła Lunulę Tety, ale nie miała już sił, by ją odzyskać. Znad wpeł przymkniętych powiek widziała, jak zadowolona Irma ruszyła w stronę pudeł z artefaktami.

Zora użyła wszystkich dostępnych jej sił i okryła się niewidzialnością, a potem, przyciskając rękę do brzucha, usiadła. Zęby zaczęły jej szczekać, a jej ciałem wstrząsnął

dreszcz, ale to jej nie powstrzymało. Chwiejnie stanęła na nogach i nie zwracając uwagi na to, czy Irma ją spostrzegła, zabrała leżącą nieopodal księgę, spowijając ją swoją mocą. Zatoczyła się na ścianę z woluminem pod pachą i uparcie parła do przodu. Cienie otaczały ją jak troskliwi opiekunowie, otulając ją swymi ciepłymi ramionami. Nie sądziła, że uda jej się opuścić salę tronową, ale opierając się o ścianę i podpierając na meblach, dotarła do schodów prowadzących do holu głównego. Wzrok jej się zamazał, a idący na dole patrol podwajał się w jej oczach. Zaciśnęła zęby, a ręka owinęła się wokół poręczy.

Po prostu musiała iść i się nie zatrzymywać. Wtedy dojdzie gdzieś, gdzie jej pomogą i będzie uratowana. Będzie uratowana, jak tylko zejdzie jeszcze jeden stopień niżej. I jeszcze jeden. Będzie uratowana, jak tylko przejdzie łącznikiem między częścią reprezentacyjną a częścią dla służby. Będzie uratowana, jeśli przejdzie przez kuchnię. Będzie uratowana, jeśli...

Potknęła się na dziedzińcu i myślała, że to koniec. Księga wypadła jej z rąk, a ona sama zamknęła oczy, ale nie poczuła upadku. Uchyliła powieki, gdy zdała sobie sprawę, że dygoczące nogi wciąż unosiły jej ciężar. Podniosła wolumin i poszła dalej.

Wiatr wicherzył jej włosy i wdzierał się pod ubranie, wychładzając skórę. Targały nią dreszcze i nie umiała już powstrzymać szczykania zębami. Chwiejnie przedostała się z jednej plamy cienia na drugą. Jedną ręką w stalowym uścisku trzymała księgę, a drugą próbowała tamować krew na brzuchu, ale nie dawało to satysfakcjonujących efektów. Każdy oddech bolał i wbrew sobie Zora zaczęła sapać.

Znalazła się naprzeciwko pałacyku, opierając się ramieniem o ścianę. Tylko na chwilę. Odpochnie, zbierze trochę sił i ruszy dalej, tam, gdzie jej pomogą. Gdzie ją uratują.

Nie mogła dopuścić do siebie myśli, że nikt na nią nie czekał, bo stopy przyrosłyby jej do bruku.

Ruszyła na południe, ale ulicę dalej nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ugięły się pod nią, a Zora nie miała sił, by walczyć. Wsparła się o wilgotną ścianę pobliskiego budynku i osunęła się po niej. Jej ciałem szarpały dreszcze oraz fale zimna i bólu, choć pomału przestawała czuć cokolwiek. Tak. Błoga nicość zbliżała się do niej coraz szybciej i Zora zamierzała powitać ją z otwartymi ramionami. Zakręciło się jej w głowie, a nacisk palców na ranę się zmniejszał.

Wzdrygnęła się, gdy krakanie rozległo się zbyt blisko jej ucha. Z trudem rozchyliła powieki i spojrzała w bok. Czarny kruk wbijał w nią wzrok, przechylając główkę. Dźgnął ją dziobem, ale nie na tyle mocno, by zabolało. A może zabolało? Zorze było wszystko jedno.

Wtedy w czarnych oczach ptaka dostrzegła jakiś znajomy błysk. Czy to majaki umierającego? Wyciągnęła w stronę zwierzęcia ciemną od krwi dłoń i przez dzwoniące zęby wyszeptała:

– Levi.

Gaz w lampce powoli wypalał się do końca, ale Levi nie zamierzał przerywać pracy. Pochylał się nad kajetem w słabym świetle i spisywał w nim swoje spostrzeżenia i plany. Postanowił podejść do swojego życia na chłodno i z otwartym umysłem, a jedynym sposobem na osiągnięcie tego było wynotowanie wszystkiego na kartkach.

Nie zamierzał ani wykluczać, ani potwierdzać teorii głoszącej, jakoby jego matka miałyby być bezdusznym potworem, któremu chorobliwie zależało na starożytnych artefaktach.

Wypunktował najważniejsze wspomnienia ze swojego życia z udziałem Andrei.

1. *Obcinała mnie na tyso aż do szóstego roku życia, żeby ludzie nie dowiedzieli się o mojej naturze kombinowego – TROSKA.*
2. *Gdy skończyłem sześć lat, na całe lato wysłała mnie do naszej posiadłości nad morzem, by tam włosy urosły mi na tyle, by zacząć je farbować – TROSKA.*
3. *W tamto lato nie odwiedziła mnie ani razu, w przeciwieństwie do ojca, który bywał tam często – ?*
4. *Posłała mnie do szkoły z internatem – żeby nie musieć mnie widzieć? najlepszej w Šero – TROSKA.*
5. *Nigdy nie pytała o to, jak mi idzie – Czemu nie? Ojciec pytał.*
6. *Zabierała mnie na aukcje, wysyłała na treningi boksu i szermierki, przykładała specjalną wagę do mojej wiedzy historycznej – TROSKA (ale o co?).*
7. *Była ze mnie dumna i z tego, jakim stałem się kolekcjonerem, mogła na mnie polegać.*

Levi zagryzł wargi, a pióro zawisło nad ostatnim punktem. Czy aby na pewno była z niego dumna? Nigdy mu tego nie powiedziała. Właściwie rzadko mówiła mu coś miłego. Zawsze go strofowała i pouczała. Ale przecież robiła to po to, by stał się lepszym człowiekiem, lepszym kolekcjonerem, by był w stanie kontynuować jej dziedzictwo.

Jęknął i zwiesił głowę. Sam już nie wiedział, co powinien myśleć. Matka rzeczywiście należała do chłodnych, mało emocjonalnych osób. Ale czy to od razu oznaczało, że była

potworem?

Drgnął, gdy do jego uszu dobiegło natarczywe stukanie w szybę.

Starannie odłożył pióro do kałamarza i zerknął na okno. Kiedy tylko spostrzegł dużego kruka dobijającego się do jego gabinetu, gwałtownie wstał i wpuścił go do środka. Ptak wleciał do pomieszczenia i wbił się pazurami w oparcie krzesła, szeroko rozkładając skrzydła. Tym sposobem zdawał się jeszcze większy i dominował nad wszystkimi meblami.

– Co jest, Roh? – spytał Levi z lekkim uśmiechem, głaszcząc zwierzę po łebku.

Kruk przysunął się w jego stronę i zamknął oczy. Po chwili odsunął się i głośno zakrakał. Zmysłownik przyjrzał mu się z uwagą, aż zatrzymał spojrzenie na jego obsydianowym oku. Czuł, że go przyciąga i wciąga, czarna otchłań złożona z mroku i ciemności. Jego umysł zasnęła ciężka mgła, która lekko się rozsunała, by mógł zobaczyć wilgotny bruk i lejącą się po nim krew. Krew Zory, której głowa opadła na bok, a ręce zwisały bezwładnie wzdłuż skulonego ciała.

Levi się ocknął i wziął potężny haust powietrza, jakby dopiero co wyłonił się spod tafli wody. Zatoczył się do tyłu i nieomal upadł na podłogę, ale przytrzymał się wciąż otwartego okna.

Szeroko rozszerzonymi oczami spojrzał na swojego kruka, a potem natychmiast wybiegł z gabinetu.

Bez pukania wpadł do pokoju Františka, gdyż w tych okolicznościach nie mógł pozwolić sobie na kurtuazję. Złapał staruszkę za ramionami i go obudził. Lokaj zamrugnął, po czym spojrzał na niego zdumiewająco przytomnie.

– Sprowadź Hanuša – nakazał szorstko. – Teraz.

František o nic nie pytał, tylko kiwnął głową. Gdy jego pan odwrócił się, już łapał za szlafrok i z jękiem podnosił się z łóżka.

Levi nie miał czasu, by przygotować powóz, więc zwykły koń musiał mu wystarczyć. Wpadł do stajni, błyskawicznie zapalił światło i przygotował zwierzę do drogi. Z gracją wskoczył na siodło i popędził konia, który wystrzelił jak z procy. Mknęli po ulicach miasta, przedzierając się przez mgłę i wilgoć, a późna pora zapewniała im niemal całkowity bezruch na alejach. Levi się nie rozglądał, ale wiedział, że Roh leciał tuż nad nim, pilnując go.

Dlaczego postanowił doprowadzić go do umierającej Zory Muškatovej, zastanowi się nad tym później.

Raróg nie stanął w ogniu, by oświetlić drogę, ale nie musiał. Mimo że widoczność nie była za dobra, Levi z wielką wprawą manewrował wśród węższych i szerszych alejek.

Prowadził go umysł Roha, który instynktownie wskazywał mu miejsce, do którego dążył. Jedną ulicę na południe od siedziby Rady Miasta, pod ścianę jednej z kamienic.

Gdy dotarli, Levi zeskoczył z konia, zanim ten zdążył całkowicie się zatrzymać. W świetle księżyca, który raz po raz wyłaniał się zza chmur, dojrzał jej nieruchome, wygięte ciało. Przypadł do niej na kolanach i z wahaniem unióś nad nią rękę.

– Zora? – wyszeptał, a z jego ust buchnął kłęb pary.

Nie odpowiedziała. Kosmyki wilgotnych włosów przykleiły jej się do czoła oraz policzka i nawet w mroku nocy wydawała się nienaturalnie blada. Przód jej koszuli pokryty był mokrą czernią, a jej oddech ledwie wyczuwalny. Levi wyjął z przytroczonej do siodła torby czyste płótno. Zora straciła już tyle krwi... Ogarnął go strach, że było już za późno, ale nie mógł się teraz poddać. Dopóki jej klatka piersiowa unosiła się i opadała, istniała nadzieja.

Rozerwał jej koszulę, która oderwała się od jej skóry z nieprzyjemnym dla ucha młamsnięciem, i owinął jej tułów materiałem, mocno zaciskając. Ociężałe ciało poddawało się każdemu ruchowi, ale kiedy przyszedł etap, by umieścić je na końskim grzbiecie, Levi musiał się natrudzić. Na czoło wystąpiły mu krople potu, gdy wreszcie udało mu się usiąść w siodle i unieruchomić Zorę przed sobą. Wtedy zauważył księgę, która leżała jakiś metr od nich. Z jękiem podjechał do niej i schyliwszy się lekko na koniu, chwycił ją i schował do torby. Wbił piętę w koński brzuch, więc ruszyli w drogę powrotną. Mężczyzna otaczał kobietę ramionami, trzymając przed nią wodze. Zmysłownica opadła w tył, prosto na niego, a do jego nosa docierał ostry zapach krwi mieszający się ze słodkim jaśminem.

– Trzymaj się – szeptał, gdy galopowali do domu. – Musisz się trzymać. Trzymaj się.

Służba w jego posiadłości była gotowa na jego przyjazd. Stajenny natychmiast przejął konia, jak tylko Levi zsiadł z siodła i porwał w objęcia Zorę. W drzwiach przywitał go František w pogniecionej koszuli.

– Prowadź – rzucił, ciężko oddychając.

Medyk, z którego usług zawsze korzystali, już na nich czekał w jadalni. Wciąż przygotowywał miejsce swojej pracy, ale wystarczył mu jeden rzut oka, by kazać Leviemu ułożyć Zorę na stole.

– Mów – nakazał łagodnie, wkładając na dłonie rękawiczki.

Światło lamp gazowych zostawiało na jego włosach rude refleksy, a barczyste ramiona pod fartuchem sprawiały wrażenie silnych.

– Nie jestem pewien – rzekł Levi, czując, jak serce waliło mu w piersi. Odsunął się, nie chcąc przeszkadzać medykowi przy pracy, ale nie odrywał wzroku od złudnie spokojnej twarzy Zory. – Poczekaj chwilę.

Wziął się w garść i przeskanował jej ciało. Jego natura wizualnego nie zawsze prześwieślała ludzkie ciało w taki sposób, by dostrzegał jego wnętrze, ale jeśli odpowiednio się skupił, jeśli akurat miał szczęście... A obecność Roha dzisiejszego wieczora prawdopodobnie oznaczała, że mu się uda.

Początkowo przebijał ją wzrokiem na wylot, ale po kilku niepomyślnych próbach zwolnił i zrobił to krok po kroku. Najpierw ubranie, następnie cieniutka warstwa skóry. I już. Tapłał się w jej wnętrznościach. Skupił się na własnym oddechu i starał się odnaleźć jej ranę.

– Dostała nożem albo sztyletem – powiedział.

– Dwa razy. Widzę – dodał Hanuš, który sprawnie zajmował się jej brzuchem, oczyszczając go. – Obrażenia wewnętrzne?

– Tak – wyszeptał z bólem. – Widzę krwotok i uszkodzenie jelita, ale niewielkie.

Hanuš przeklął.

– Zaczyna się robić poważnie – mruknął. – Ta dziewczyna ma pecha. Ciągle coś jej się przytrafia.

– Co takiego? – Levi zmarszczył brwi. – Co masz na myśli?

– Niedawno u mnie była – odpowiedział, choć jego umysł już skupiał się na dalszych procedurach medycznych. – Cała w siniakach i ze złamanymi żebrami. Zobacz, siniaki na brzuchu zbladły, ale wciąż są widoczne.

Poczucie winy sprawiło, że Levi stracił dech.

Zostawiłeś mnie. Zostawiłeś mnie samą.

Doprowadził do tego, że nie wykonała zadania. Nie do końca celowo, ale liczył się efekt.

Poprzysiągł sobie, że jej to wynagrodzi. Później. Gdy przeżyje tę noc.

Od początku wiedziała, co planuję.

Te przebłytki wspomnień zaczynały go doprowadzać do szału. Zirytował się i wyrzucił je wszystkie z głowy, skupiając się na bladej, oblanej potem sylwetce leżącej na jego stole.

– Nienawidzę robić operacji nie w moim gabinecie – mruknął Hanuš pod nosem i westchnął. – Chodź, Levi. Będziesz musiał mi pomóc.

Medyk wreszcie zamilkł i tylko co jakiś czas rzucał komendy ochryplym głosem. Zręcznie znalazł źródło krwotoku i choć kosztowało go to mnóstwo potu, zatrzymał go. Naprawił też jelito i na samym końcu założył szwy na skórze. Przygotował silne zioła przeciwbólowe, które w nią wmusili razem z wodą. Wiedzieli, że potem będzie ich potrzebowała, gdy już się wybudzi.

Jeśli się wybudzi.

Hanuš zerknął na siedzącego przy kobiecie Leviego. Nie dotykał jej, ale wpatrywał się w nią tak uważnie, jakby sądził, że samym wzrokiem może przywrócić ją do życia. Medyk nie miał serca, by przekazać mu wieści. Zora straciła bardzo dużo krwi. Z doświadczenia Hanuša wynikało, że takie obrażenia zwalczały tylko najsilniejsze organizmy. Wierzył, że dziewczyna jest w stanie to przeczłuć, ale...

Nigdy nie wiadomo.

Wyszedł, by obmyć się w łazience, a Levi wciąż nie ruszył się z miejsca. Nawet wtedy, gdy František zaproponował, że go zmieni. Nawet wtedy, gdy zasnął z głową tuż przy jej jasnej dłoni, którą tak bardzo chciał wziąć w swoją. Ale nie pozwalał sobie na to. Mógł tylko przy niej czuwać i modlić się do duchów o błogosławieństwo.

O nową nadzieję.

22

Zora sądziła, że po śmierci uwolni się od bólu. Czy nie taka była zaleta zostania duchem? Co prawda rzadko bywała w świątyniach, ale znała te nauki.

Dlaczego zatem miała wrażenie, że ktoś wepchnął ją w żywy ogień i nie pozwalał jej z niego wyjść?

Poruszyła lekko palcami, ale nawet one zdawały się nieprzyjemnie mrowić, choć zdecydowanie najgorsze fale bólu promieniowały od brzucha i klatki piersiowej. Zora bała się podnieść, przeczuwając, że mogłaby zemdleć z nadmiaru wrażeń, i to nie w dobrym znaczeniu tego słowa.

Zamiast tego spróbowała ustalić, co się właściwie stało i gdzie teraz mogła się znajdować.

Powoli przypominała sobie siedzibę Rady Miasta i walkę z Dusą. Coś schwyciło ją za gardło. Nie z Dusą. Z Irmą, która ugodziła ją nożem w brzuch. Mimo tej rany udało jej się wyjść, a potem... Czy to możliwe, że przebudziła się tylko na chwilę i nadal leżała pod brudną ścianą kamienicy? Wciągnęła powietrze do płuc. Nie czuła zapachu ścieków, wilgoci czy końskiej sierści. Jedynie kurz, trochę ziół i... drzewo sosnowe?

Odważyła się unieść powieki i zmarszczyć lekko brwi. Gdy już przyzwyczaiła się do wpadającego przez okna porannego światła, uzmysłowiła sobie, że przebywała w bardzo ładnym pomieszczeniu. Z Levim Drabońem, który spokojnie spał tuż obok niej. Z trudem obróciła głowę, by spojrzeć na rozluźnione rysy tej pięknej twarzy i cień rzęs opadający na jasnobrażowy policzek. Włosy miał w nieładzie, a kamizelkę i koszulę wygniecione. Nie rozumiała, jak się tu dostała i dlaczego znajdowała się w jego towarzystwie.

Zagryzła zęby i spięła się, żeby wstać, ale już na tym etapie pulsowanie przybrało na sile, więc zrezygnowała z pomysłu i tylko jęknęła bezsilnie. Ten dźwięk musiał wyrwać Leviego ze snu, bo raptownie poderwał głowę i rozgorączkowanym wzrokiem prześlizgnął się po jej ciele, zatrzymując na twarzy.

– Leż i nie wstawaj – powiedział z taką chrypką, że musiał potężnie odchrząknąć, jeśli chciał dalej przemówić.

Wstał i Zora spostrzegła, że ledwie trzymał się na nogach, a oczy miał przekrwione. Zdawał się jednak na to nie zważać, bo nalał coś do kubka i podsunął jej pod nos.

– Wypij – nakazał surowo i przytknął jej naczynie do ust.

– Co to? – Obróciła lekko głowę, odmawiając przyjęcia, dopóki jej nie odpowie.

– Środki łagodzące ból. Pij.

Więcej nie protestowała. Po przełknięciu napoju opadła na... na stół, jak sobie uświadomiła, i czekała, aż zioła zaczną działać.

– Dlaczego leżę na stole? Co tu w ogóle robię? Co ty tu robisz? Co...

– Ciii... – Przytknął jej palec do warg, co tak ją zdumiało, że rzeczywiście zamilkła. – Odpoczywaj. Później porozmawiamy.

– Ten stół nie jest najwygodniejszy – mruknęła, gdy się cofnęła.

– Wyobrażam sobie, ale nie chciałem... Medyk powiedział, że lepiej będzie cię nie przenosić, żeby nie narażać na urazy twoich delikatnych narządów wewnętrznych.

Zora nie odpowiedziała. Patrzyła, jak Levi kręcił się przy stole pełnym narzędzi medycznych: skalpeli, kleszczy i innych, których nie potrafiła nazwać. Stał tam też moździerz i słoiczki z ziołami. Jej uwagę odciągnął lokaj, który pojawił się w drzwiach.

– Obudziłaś się – rzucił z małym uśmiechem na jego pokrytej zmarszczkami twarzy i skłonił przed nią głowę. – To pocieszające.

– Zawołasz Hanuša? – wtrącił Levi. – Powinien na nią zerknąć.

– Medyk nadal śpi – odpowiedział, kątem oka zerkając na swojego pana, ale zaraz znowu spojrzął na Zorę. – Jak się czujesz?

– Chyba tak, jakby mnie ktoś zasztyletował – wymamrotała.

Ku jej zdumieniu staruszek parsknął śmiechem.

– Nie obchodzi mnie, że on śpi – wciął zmysłownik z nachmurzoną miną. – Obudź go. Powinien obejrzeć Zorę i zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

– Jest w porządku – zapewniła, czując już, jak zioła zaczęły działać. – Boli tylko trochę.

– Wolałbym, żeby Hanuś to ocenił.

František z westchnieniem oznajmił, że postąpi zgodnie z życzeniem młodzieńca. Chwilę później do jadalni wkroczył barczysty mężczyzna z lekkim zarostem na policzkach i czerwonaworudymi włosami, zaczesanymi na jedną stronę.

– No proszę! I nawet jakieś rumieńce się pojawiły! – powiedział głośno zamiast przywitania i od razu zabrał się za sprawdzenie rany oraz wszystkich jej czynności życiowych. W jego oczach mignęło lekkie zdumienie. – Wygląda na to, że wszystko poszło dobrze, aż zadziwiająco dobrze. Do wieczora powinnaś przeżyć.

– A co po wieczorze? – spytała podejrzliwie.

– Jeszcze może ci się pogorszyć. – Medyk wzruszył ramionami. Podszedł do stołu pod oknem, wyjął spod blatu torbę i zaczął pakować do niej przedmioty medyczne. Zora zagryzła wargi. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli jej się „pogorszy”, nie przeżyje tego. Na tę chorobę nie było lekarstwa. – Chociaż dla pocieszenia powiem, że rana wygląda lepiej, niż się spodziewałem. Wieczorem przyjdę i sprawdzę, czy wszystko nadal wygląda dobrze. Może tak być?

Popatrzył na Leviego, który zacisnął szczękę i wbił rękę do kieszeni spodni.

– Obyś nie zapomniał – rzekł tylko.

– Bez obaw.

Hanuś kiwnął głową wszystkim zebrany w pomieszczeniu i wyszedł. Zora zawahała się, po czym spróbowała usiąść. Od razu znalazł się przy niej Levi, który ją asekurował, choć jej nie dotknął.

– Uprzedzaj przed wykonaniem gwałtownych ruchów – mruknął niezadowolony.

– Nie potrzebuję twojej łaski – odparła opryskliwie, z jękiem zrzuciła nogi ze stołu i chwiejnie stanęła na własnych stopach. Zakręciło jej się w głowie, więc przytrzymała się blatu. Do wszystkich duchów... Przez moment myślała, że zemdleje z bólu.

– Może cię zaniosę? Nie powinnaś wstawać.

– Nie. – Ruszyła w stronę drzwi.

– A gdzie tak właściwie idziesz?

– Do domu.

Levi parsknął.

– Co, proszę?

– Dobrze słyszałeś.

Zagroził jej drogę, zakładając ramiona na klatce piersiowej.

– Uratowałem ci życie – powiadomił ją.

– Nie prosiłam cię o to.

– Ale mogłabyś chociaż podziękować.

– Przed czy po tym, jak zaczniesz obwiniać mnie o śmierć matki?

Oboje odwrócili głowy w stronę Františka, który ze świstem wciągnął powietrze do płuc. Lokaj miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego, ale jednocześnie nie zostawił ich samych, zbyt łasy na obejrzenie dobrego przedstawienia.

– Nie zamierzałem cię obwiniać. – Levi wrócił spojrzeniem do lekko zarumienionej twarzy Zory.

– Po tobie spodziewam się wszystkiego.

– Zora... – Urwał, jakby szukał odpowiednich słów. – Zjedz coś, odpocznij. A potem porozmawiamy. Mam do ciebie parę pytań i podejrzewam, że ty do mnie także.

Zmysłownicy wcale nie podobał się ten pomysł, ale musiała się z nim zgodzić. Kiwnęła głową.

– Dobrze. Ale zamierzam narzekać przez cały ten czas.

Minęła go, więc nie dojrzała, jak oblicze Leviego rozświetlił pełen rozbawienia uśmiech.

Późnym popołudniem – tuż po tym, jak Zora porządnie się najadła, wykąpała i założyła ubrania Leviego – dwoje ludzi wypełnionych pytaniami i rezerwą usiadło na kanapie w saloniku w posiadłości Draboña. Na małym stole o trzech wykręconych nogach stały dwie filiżanki z parującą herbatą.

– Nie mogę tu za długo przebywać. – Zora się zawahała, patrząc na ciężkie kotary przy oknach. – Właściwie w ogóle nie mogę tu zostać. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Gustav, Emil, Dana, rodzice... Nie mogę tak po prostu zniknąć jak mój godny pożałowania brat. Muszę się z nimi skontaktować.

– Wyślesz wiadomość po naszej rozmowie – stwierdził Levi krótko, sięgając po filiżankę. Upił łyk i odłożył ją na spodek.

– A więc zaplanowałaś już cały mój czas?

– Lubię, gdy wszystko idzie po mojej myśli – wyjaśnił ze wzruszeniem ramion, jakby opowiadał o tym, jaką mieli dzisiaj pogodę.

Zmysłownica przewróciła oczami.

– Jesteś taki...

– Czarujący? Urzekający? Pociągający?

Posłała mu pełne niedowierzania spojrzenie.

– Uparty i nieznośny.

Levi machnął ręką.

– To skutek uboczny mojej wspaniałości.

Zora wzniosła oczy do nieba, ale zaraz zamarła.

– Zaraz. Gustav. Krakavce. – Wstrzymała oddech, a cała krew odpłynęła jej z twarzy. Następne słowa wypowiedziała szeptem. – Pierwszy Kodeks Bydgoski. Co z nim?

– Z czym?

Zakręciło się jej w głowie. Nie, nie, nie... Była tak blisko. Wytoczyła się z pałacu z księgą pod pachą, walczyła o nią całym swoim życiem, co więcej, prawie zginęła przez ten przeklęty przedmiot, a teraz wszystko przepadło, wszystko poszło na marne. Nagle straciła apetyt i poczuła mdłości. Nie wróci do bazy Krakavców. Nie bez księgi. Nie może tam wrócić, nie przeżyje tego, nie chce...

– Aha! Mówisz o tej książce, z którą cię znalazłem? Jest w moim gabinecie.

Zora właśnie zaczęła planować brutalne morderstwo popełnione z zimną krwią. Ale tak, żeby ofiara na pewno cierpiała.

Levi uniósł dłonie.

– Nie patrz tak na mnie – rzucił beztrosko. – Mogłem w pierwszej chwili nie skojarzyć, o czym mowa.

Jasne. Zora tłumaczyła to na: postanowiłem głupio zażartować, ale nie wyszło, a teraz mam wyrzuty sumienia.

– Do szafu mnie doprowadzasz – syknęła.

Mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie ciebie pierwszą. Nie ciebie ostatnią.

Znowu przewróciła oczami.

– Wraz z wiadomością prześlę Gustawowi tę głupią księgę. Mam nadzieję, że znasz kogoś, kto ją bezpiecznie dostarczy?

– Oczywiście.

– Świetnie. Czy teraz możemy przejść do rzeczy? – Nie dała mu szansy na odpowiedź.

– Jak mnie znalazłeś?

– Właściwie wolałbym, żebyś mi najpierw opowiedziała, co się stało.

Zora pomodliła się do duchów o cierpliwość. Nie miała sił, żeby się sprzeczać, więc upiła mały łyk herbaty i powiedziała. Wszystko. Ze szczegółami.

– Wciąż mam wrażenie, że to ułuda. Albo że coś źle widziałam – wyznała ze ściśniętym sercem. – Nie mieści mi się w głowie, że to Irma.

– Każę ją śledzić moim ludziom i prześwietlić jej życiorys. Może to nas doprowadzi do miejsca, gdzie trzyma te wszystkie skradzione artefakty, bo jak na razie moi informatory nie mają nawet śladu.

– A co z tą „zjawą”? – Zora zmarszczyła brwi. – Nie. Czeka. To była „zmora”. W każdym razie wiesz, co to jest? Bo ja pierwszy raz słyszałam to słowo.

– Obiło mi się o uszy. – Przechylił lekko głowę na bok. – Ale nie jestem pewien. Będę musiał wybrać się do Edity, ona to rozwiąże.

– Chcę iść z tobą – oznajmiła zmysłownica szybko. – Chcę i koniec. Nie odwiedzisz mnie od tego pomysłu.

– W porządku – mruknął Levi niechętnie. – Poślę jej wiadomość i jak będzie coś miała, to wybierzemy się do niej z wizytą.

Dzień pełen wysyłania wiadomości.

– Teraz twoja kolej – powiedziała Zora, rozsiadając się wygodniej, ale uważając na swoją ranę. – Jak mnie znalazłeś?

– Cóż... Nie zrobiłem tego sam.

Zmysłownica zmarszczyła brwi.

– Jeśli mi powiesz, że kazałeś mnie śledzić...

– Nic z tych rzeczy, nie obawiaj się. – Levi przełknął ślinę i zerknął w bok. – Pamiętasz tego raroga z lasu?

Zora zmrużyła lekko powieki, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierzało.

– Tak.
– To Roh. To jest... To mój raróg.
– Nie rozumiem. – Kobieta zacisnęła palce na filizance.
Levi wciąż na nią nie patrzył, bawiąc się jakąś wystającą nitką ze swojej kamizelki.
– Co wiesz o rarogach? – spytał od niechcienia.
– Chyba to, co wszyscy. Że przynoszą szczęście.
– Tak. Ludzie opowiadają, że trzeba je złapać, żeby przyniosły szczęście. Ale to bez sensu, nigdy o tym nie pomyślałaś? Dlaczego zwierzę w klatce miałoby obdarzyć szczęściem tego, kto go tam umieścił?

Zora wyduła lekko wargi, analizując te słowa.

– To się zdarzyło parę lat temu, nie pamiętam dokładnie – podjął Levi po chwili z nutą melancholii w głosie. – Matka kazała mi złapać raroga. Chciała zbić na nim fortunę. Nie uśmiechało jej się tylko, żeby samej iść do lasu, więc wysłała tam mnie. – Wciąż pamiętał jej głos: *Nie zawieź mnie. Dowiedz, że jesteś godnym następcą.* – Mnie z kolei nie za bardzo uśmiechało się łapanie żywego zwierzęcia, ale mimo wszystko poszedłem do lasu. Chodziłem tam przez jakiś czas codziennie, czasami towarzyszyła mi Nina, jeśli miała akurat czas i ochotę. Wypatrywaliśmy raroga, choć pamiętam, że już wtedy nie wiązałem ze złapaniem go wielkich nadziei. W końcu bez ognia to zwyczajny kruk, a tych mamy aż nadto. Ale któregoś razu poszedłem i znalazłem.

Umilkł, a Zora wypalała wzrokiem dziurę w jego policzku.

– Znalazłem raroga w klatce, w pułapce, którą nie ja zastawiłem. Potwornie się miotał. Raz się zapalał, potem gasił, ale nie mógł przepalić prętów. Ani ich przegryźć. Kiedy mnie zauważył, znieruchomiał i patrzył na mnie. Usiadłem tuż przed tą klatką i się wahałem. Jak mnie kusiło, żeby go zabrać i podarować matce... Tak bardzo chciałem, żeby była ze mnie dumna. – Odetchnął głęboko. – Ale patrzyłem temu zwierzęciu w oczy i nie mogłem tego zrobić. Rozwaliłem więc klatkę, to był jakiś skomplikowany, samoza-mykający się mechanizm, i wypuściłem raroga na wolność.

Levi upił łyk herbaty, a Zora niecierpliwie wyczekiwała dalszego ciągu.

– I co było dalej? – Wreszcie nie wytrzymała.

Mężczyzna zerknął na nią przelotnie.

– Wtedy się dowiedziałem, że to wdzięczność raroga przynosi szczęście, a nie jego uwięzienie. Skłonił przede mną głowę i mi się przedstawił.

– Przedstawił? – Brwi Zory powędrowały w górę. – To one potrafią mówić?

– Nie... Nie jak my. One bardziej... – Levi przechylił lekko głowę na bok, a kosmyk włosów opadł mu na czoło. – Wciągają do swojego umysłu. Pozwalają zobaczyć rzeczywistość z ich punktu widzenia. To skomplikowane. To w pewnym sensie rodzaj więzi.

Coś w rodzaju dozgonnej lojalności. Roh wyczuwa, kiedy grozi mi niebezpieczeństwo. Albo czasem zwraca moją uwagę na coś, co powinienem zobaczyć. Albo zrobić. W każdym razie czuwa nade mną i nad moim szczęściem.

– Widziałam go – wyznała Zora. – Zanim zemdlałam. Widziałam go.

Levi skinął głową.

– To on mnie do ciebie doprowadził.

– Czy twoja matka... – Zmysłownica nie wiedziała, jak ma zadać to pytanie ani czy w ogóle powinna. Może lepiej nie wkładać kija w mrowisko.

– Nie powiedziałem o tym mojej matce. – Odłożył filiżankę na stół i przeczesał palcami włosy. – Powiedziałem jej, że złapanie raroga jest niemożliwe. Uwierzyła mi.

Wkraczali na grząski grunt.

– Levi.

– Przepraszam.

Skonsternowana Zora złapała jego pełne poczucia winy spojrzenie.

– Za co? – spytała powściągliwie.

– Za to, co mówiłem. I co zrobiłem. Za to, że cię zostawiłem. Za sytuację w posiadłości Lobkoviców. Do wszystkich duchów, to wszystko poszło nie tak. Ja... przepraszam. Nie uważam cię za tchórza ani za osobę potulną. To było... Wcale taka nie jesteś. Ale wtedy byłem zły i... powiedziałem parę głupot.

– Czyli...

– Przemyslałem parę rzeczy. Nie uważam, żebyś brała udział w śmierci mojej matki, a nawet jeśli miałem jakieś wątpliwości, Roh mnie ich pozbawił. Ten ptak nigdy by mnie do ciebie nie sprowadził, gdybyś chciała mnie skrzywdzić. A co do Lobkoviców...

– Jęknął. – Chciałem cię tylko nastraszyć, bo byłem... zły. A potem to się wymknęło spod kontroli i... Jestem głupcem.

– Z grzeczności nie zaprzeczę – wymamrotała, odkładając pustą filiżankę na stół.

Levi przysunął się do Zory i z sercem w gardle złapał ją za dłoń. Gdy nie wyrwała się z jego uścisku, palce mocniej owinęły się wokół niej.

– Czy Gustav... – Urwał.

Tym razem to zmysłownica odwróciła wzrok.

– Nie był zadowolony, ale mogło być gorzej – mruknęła.

– Masz złamane żebra. I siniaki.

Nie odpowiedziała.

– Nie mogę znieść, że do tego doprowadziłem.

Wzruszyła ramionami.

– Było, minęło.

– Nieprawda.

Gdy na niego spojrzała, był jeszcze bliżej. Wstrzymała oddech, gdy uniósł wolną dłoń i wsunął jej za ucho luźny kosmyk włosów.

– Co ty robisz? – szepnęła. – Bo zacznę myśleć, że naprawdę jesteś obłąkany.

Ścisnął jej dłoń.

– Jesteś niezwykła, Zoro. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Jestem nieistotna. – Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała.

– Gdyby tak było, nie powodowałabyś wokół siebie tyle zamieszania.

– Przestań. – Przełknęła ślinę, widząc tylko jego jasnoniebieskie tęczę i czując jego upajający zapach. – Wciąż jestem na ciebie zła.

– Nie dziwię ci się.

– Ale też ci dziękuję. Za uratowanie życia.

– Po prostu spłacałem dług, bo, o ile mnie pamięć nie myli, kiedyś ty uratowałaś mnie z rąk rusałki.

– Powinniśmy uważać – wyszeptała, mimowolnie nachylając się w jego stronę – bo to ratowanie wejdzie nam w nawyk.

– Lepiej nie. Nigdy więcej nie chcę patrzeć na to, jak umierasz.

Serce waliło jej jak młot, a w głowie poczuła lekkie zawroty.

– Fascynujesz mnie. Mówiłem ci to kiedyś? – wyznał Levi cicho.

Żadne z nich nie pokonywało tego niewielkiego dystansu między nimi. Zora chciała. Bardzo. Ale to zmieniłoby wszystko, a ona nie była pewna, czy jest na to gotowa. Między nimi narosło tyle słów i czynów, a nie wszystkie jeszcze przepracowali.

– Raz chyba. W teatrze. Wspominałeś, że wyglądam obłądnie i że podglądałeś mnie na balu.

Uśmiechnął się.

– To prawda. Widziałem cię. Widzę cię ciągle.

O, na wszystkie duchy świata... Uderzyło w nią takie gorąco, że nie mogła tego wytrzymać.

– Trochę... trochę mnie boli. Mógłbyś podać mi coś na złagodzenie bólu?

Świadomie zepsuła moment, ale kiedy Levi odsunął się od niej i ją puścił, odczuła ulgę. A przynajmniej to dławienie w gardle wzięła za ulgę. Na pewno nie za rozczarowanie.

Mężczyzna odchrząknął i poprawił na sobie kamizelkę.

– Oczywiście. Tym razem zamierzam o ciebie zadbać. Czy tego chcesz, czy nie, na razie jesteś na mnie skazana.

Trudno było jej się przyznać przed samą sobą, ale wizja tego, że miałyby stać się obiektem troski Leviego Draboña, podobała jej się aż za bardzo.

Zora przeżyła wieczór, a nawet noc, a raniem czuła się na tyle dobrze, by opuścić dom Leviego. Mimo że musiała go przekonywać, w końcu się ugiął i odwiózł ją pod drzwi Pohlednej Beruški.

– Odprowadzić cię do środka?

– Nie. – Zmysłownica przewróciła oczami, choć ta opieka częściowo ją rozczulała. – Dam sobie radę.

– Na pewno?

– Levi. – Złapała jego strapiony wzrok. – Na pewno. I... – Zawahała się, ale nachyliła się w jego stronę, zanurzając się w intensywnym zapachu drzewa sosnowego. Delikatnie pocałowała go w gładki policzek, przesuwając ustami po miękkiej skórze dłużej niż konieczne, ale nie mogła się powstrzymać. – Dziękuję – rzuciła, odsuwając się i czując napływającą do twarzy krew. – Przyjdiesz później? Musimy obmyślić plan złapania Dusy.

Zora odmawiała nazywania ją „Irmą”.

– Przyjdę.

Uśmiechnęła się do niego, mrużąc radośnie oczy, i wyszła z powozu. Zanim przekroczyła próg kawiarni, uzbroiła się w cierpliwość i wymówki. Miała na nią spaść lawina pytań, której Zora nijak nie mogła ominąć. Musiała stawić jej czoła.

Dwie pary oczu za ladą spoczęły na niej, jak tylko przeszła przez próg kawiarni. Z udręczoną miną zbliżyła się do wrogo zatroskanej Dany i uroczo rozmarzonego Vita, którego kręcone włosy sterczały dziś na wszystkie strony.

– Czy ja dobrze widziałem, że przywiózł cię Levi Draboń? – spytał z tęsknotą w głosie, wbijając maślany wzrok w drzwi, jakby oczekiwał, że zaraz stanie w nich rzeczona osoba.

Zora jęknęła w duchu. Vit w kilku słowach sprawił, że cała ta sytuacja stała się o wiele gorsza.

– No właśnie, Zoro. – Dana mocno akcentowała każdy wyraz. – Przywiózł cię Draboń?

Kobieta westchnęła, co nie należało do jej najlepszych pomysłów, bo od razu wszystko jeszcze mocniej ją rozboleło.

– Tak.

Vit pisnął, patrząc na nią z zachwytem, a Dana spochmurniała jeszcze bardziej.

– Zdurniałaś – skwitowała i wróciła do swoich obowiązków.

– Dana, to o wiele bardziej...

– Nie wiem, czy mnie to obchodzi w tej chwili.

Zora ze skrzywioną miną poszła za nią i złapała ją za ramię, odwracając w swoją stronę. Początkowo rozważała zdradzenie rudowłosej całej prawdy. O Irmie. Ale to pociągało za sobą także konieczność powiedzenia o innych tajemnicach, więc zmysłownica ostatecznie zrezygnowała z tego zamiaru.

– Jestem ranna – wyznała cicho. – Oberwałam. – Zawahała się, wpatrując się w ciemne oczy przyjaciółki, wypełniające się zmartwieniem. – Sztyletem.

– Co takiego?

– Nie mogę ci powiedzieć...

Dana wyrwała się z uścisku i uniosła wypielęgnowaną dłoń, ucinając jej wypowiedź.

– Albo powiesz mi całą prawdę, albo zamilcz.

Więc Zora trzymała język za zębami, a Dana odwróciła się od niej i zabrała się do pracy. Zmysłownica z nieszczęśliwą miną wróciła do Vita, który nadal przetwarzał rewelacje o Levim.

– Jestem trochę zazdrosny – wyznał figlarnie. – Kto by nie chciał takiego mężczyzny dla siebie?

Zora powstrzymała przewrócenie oczami i bez słowa przeszła na tyły kawiarni, by wspiąć się po schodach do domu. Z poczuciem winy wetknęła głowę do kuchni, gdzie ku swojemu utrapieniu spotkała matkę gawędzącą ze służącą. Na jej widok kobieta zerwała się na równe nogi, a kok na czubku jej głowy zabawnie się zakołysał.

– Zoro Muškátova.

Znowu poczuła się jak jedenastoletnia dziewczynka przynosząca tylko problemy. Wypuściła powietrze ze świstem, walcząc z narastającym kluciem w brzuchu. Powinna wypić zioła.

– Przepraszam za zniknięcie i za spowodowanie zamieszania w kawiarni – rzekła ze skruchą, której nie musiała udawać.

– Dobrze, że chociaż wysłałaś wiadomość – mruknęła Jiřina, wciągając córkę w objęcia. Na szczęście nie ścisnęła za mocno. – Gdzie byłaś?

– Ja...

Kobieta westchnęła, odsuwając się.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. To twoje życie. Nie chciałabym tylko, żebyś zniknęła jak...

Jak Petr.

– Mamo. – Zamknęła spracowane dłonie Jiřiny w swoich. – Ja nigdy nie ucieknę tak jak mój brat. O to nie musisz się martwić.

Jiřina kiwnęła głową, a w jej oczach malowała się ulga. Zora po raz pierwszy dostrzegła w jej zgarbionych barkach zmęczenie oraz smutek i w jej sercu coś pękło na ten widok.

– Wiem, córuś. A teraz... – wskazała palcem na świeżo wyjęty chleb z pieca i uśmiechniętą służącą umorusaną mąką – może zjesz z nami?

– A gdzie jest ojciec?

Ojciec, który wołał, gdy schodziła mu z drogi.

– Przegląda rachunki. Pracuje.

– Więc dobrze. Zjem z chęcią. – Uśmiechnęła się blado. – Ale najpierw chciałabym zaparzyć zioła.

Młoda służąca od razu się rzuciła, by wstawić czajnik z czystą wodą.

23

Levi stawiał się w kawiarni po południu i nawet się za bardzo nie spóźnił. Gdy odkładał marynarkę na wieszaku przy drzwiach i ignorował niepokojące spojrzenia młodego kelnera, jego wzrok odnalazł Zorę siedzącą przy ich stałym stoliku. Znajdowała się plecami do niego, więc go jeszcze nie dostrzegła. Dlatego Levi zbliżał się do niej powoli, rozkoszując się uczuciem ciepła, które rozpływało się po nim na sam jej widok. Brązowe, falowane włosy spływały luzem w dół, obejmując jej szczupłą sylwetkę. Wyobraził sobie, jak zaciska pięść na tych nieziemskich włosach, przyciąga jej głowę do siebie i napiera na nią całym ciałem.

Potrząsnął głową. Niestety nie po to tu dzisiaj przyszedł.

Ale może innym razem.

Zora spojrzała na niego podejrzliwie, gdy usiadł naprzeciwko niej z psotnym uśmiechem rozciągającym mu usta.

– Jakieś wieści o Dusy? – spytała, wciąż badawczo lustrując go wzrokiem.

Lubił, gdy patrzyła na niego w ten sposób, więc jego uśmiech się powiększył.

– Niestety, żadnych. – Niechętnie oderwał od niej oczy i zerknął na kędzierzawego kelnera, który natychmiast ruszył w ich stronę.

Zamówił kawę z kawałkiem ciasta czekoladowego, a blondyn z niebywałym zapałem zabrał się do realizowania zamówienia.

– Irma Hajnova jest jak... Cóż, jak duch. Mieszkanie, w którym się zatrzymała, wygląda na opuszczone, a cała jej tożsamość wydaje się wydmuszką. Nie wiadomo nic o jej rodzinie, pracy, o niczym. – Levi pokręcił głową. – Z lepszych wiadomości. Edita do mnie napisała.

– Co? – Zora gwałtownie nachyliła się w jego stronę. – Co napisała?

– Że ma wieści i zaprasza jutro. Tak więc zacząłem się zastanawiać, czy jest sens teraz o tym dalej dyskutować, skoro dopiero jutro dostaniemy jakieś pewniejsze informacje o Dusy.

Zmysłownica cofnęła się i skinęła głową.

– Tak. Nie ma sensu teraz opracowywać jakiegoś planu, jeśli jutro musielibyśmy go zupełnie zmieniać. Ale w takim razie po co tu przyszedłeś? Mogłeś wysłać mi wiadomość.

Jego oczy błysnęły.

– Chciałem cię zobaczyć.

Uwielbiał, gdy Zora Muškatoва się rumieniła.

– I zapytać, jak się czujesz – dodał.

Zmysłownica odchrząknęła i lekko wzruszyła ramionami.

– Piję zioła, więc jest dobrze. – Kelner przyniósł właśnie kawę i ciasto, więc urwała na moment. Podjęła dalszą wypowiedź dopiero po odejściu chłopaka. – Nie mogę wykonywać gwałtownych ruchów i szybko się męczę. Ale mogło być gorzej.

– Mogłaś umrzeć.

– Chociażby. Albo skończyć bez ręki.

Levi zmarszczył brwi.

– Nie byłaś ranna w rękę.

– Wiem. To była tylko taka... Zresztą, nieważne.

Zmysłownik z namysłem ugryzł kęs wypieku.

– Jestem tu także, bo chcę być przy tym, jak Hanuš cię zbada – zaczął po chwili. – Powinien pojawić się tu lada chwila.

Zora nawet nie skomentowała tego, że Levi rządził się jej życiem. Zacisnęła tylko usta w kreskę i nieco zbyt energicznym ruchem podniosła filiżankę ze stołu.

Przez następne minuty oddali się jedzeniu, picciu i słuchaniu delikatnych dźwięków dobiegających z gramofonu. Aż mężczyzna powiedział ostrożnie:

– Kiedyś pytałem, jak to się stało, że twój brat zaciągnął dług, a ty spłacasz go zamiast niego.

– W istocie, pytałeś.

Nie dodała niczego więcej, więc Levi musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

– Opowiesz mi?

Zora westchnęła cierpiętniczo, co odbiło się nieprzyjemnym pulsowaniem w okolicy klatki piersiowej i brzucha.

– To nie jest tak skomplikowane, jak ci się wydaje – stwierdziła, wykrzywiając usta. – Petr wziął pożyczkę od Krakavców, Petr źle zainwestował, Petr został z gigantycznym długiem, którego nie umiał spłacić. Petr postawił w zastaw siostrę zmysłownicę i Petr uciekł, nikomu nic nie mówiąc.

– W co chciał inwestować?

– Nawet nie wiem. – Jej grymas się pogłębił. – To miał być chyba jakiś biznes towarami sprowadzanymi ze Svitani, ale nie jestem pewna. Mało mnie to obchodzi.

– I on tak po prostu... spakował się i wyjechał?

– Uciekł – podkreśliła. – Nie wyjechał. Uciekł z wrzaskiem, bo się bał. Jednego wieczora jadłam z nim spokojnie kolację, a rankiem już go nie było. Zostawił tylko liścik. *Musiałem wyjechać. Odezwe się, gdy będzie okazja. Przepraszam.* Znam go na pamięć, te słowa wryły mi się w umysł. – Popukała palcem w skroń.

– I się odezwał?

Zora machnęła ręką.

– A gdzie tam. Od czterech lat nie daje znaku życia. Gdyby nie to, że Krakavce kontrolują każdy skrawek miasta, pomyślałabym, że siedzi w kanałach. Ale tak naprawdę to myślę, że opuścił nasz kontynent.

– I pojechał do Svitani?

– Albo gorzej.

Levi uniósł brwi i ściszył głos.

– Do Polednika?

– Myślę, że mój brat był zdesperowany, a macki Krakavców mogą sięgnąć nawet do Svitani. W końcu od Šero dzieli je tylko kilka dni statkiem. Ale tajemniczy Polednik, leżący na południu tuż za Szerokim Oceanem, to podróż trwająca kilka tygodni czy nawet miesięcy. Ale z drugiej strony, mój brat to tchórz. Czy zaryzykowałby tak daleką podróż w nieznaną, z prawie zerową wiedzą na temat tego kontynentu? – Rozłożyła ramiona. – Nie znam odpowiedzi.

– A kiedy Krakavce przyszli po ciebie?

Zora niechętnie wróciła myślami do tamtego poranka.

– Jakiś dzień po ucieczce Petra. Jadłam śniadanie. Oni wpadli przez drzwi kuchenne. Związali mnie i zawlekli do Gustava. Tam wszystkiego się dowiedziałam. – Wzruszyła ramionami. – Reszta wypadków potoczyła się szybko. Najpierw mnie przeszkolili, a potem dostałam pierwsze zlecenie.

– Dużo ci jeszcze zostało tego długu do spłacenia?

– Ta rozmowa zaczyna niebezpiecznie przypominać przesłuchanie – zauważyła pośpiesznie.

Levi uśmiechnął się psotnie i mrugnął do niej.

– Raczej dociekania serdecznego przyjaciela.

Zora z pewnością nie użyłaby tego sformułowania.

– Więc? – Mężczyzna ją ponaglił.

– Tak. Dużo – oznajmiła krótko.

Levi otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale do kawiarni przyszedł medyk, co od razu odwróciło jego uwagę. Hanuš stanął jak wryty na widok swojej pacjentki.

– Ty... Wstałaś z łóżka? – wykrztusił. – I normalnie chodzisz?

– Tak. – Zora nie rozumiała, co w tym takiego dziwnego.

Przeszli na piętro, a medyk cały czas przyglądał się podejrzliwie zmysłownicy. Obejrzał ranę i zbadał ją, kazał się schylić i wykonać kilka innych nieszkodliwych ćwiczeń.

– Przysięgam, że nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś się tak szybko regenerował – obwieścił z namysłem, zakładając na szyję stetoskop. – Twoja rana goi się w ekspres-

wym tempie. Właściwie to aż zbyt szybko. To... niebywałe.

Zora milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.

– W każdym razie twoje szanse na przeżycie znacząco się zwiększyły. O żadnym zakazaniu nie powinno być mowy.

Wkrótce po tym Hanuš zabrał torbę oraz płaszcz i wyszedł, a na jego twarzy nadal malowało się zdumienie. Levi wkrótce potem także pożegnał się ze zmysłownicą, uprzednio umawiając z nią godzinę wizyty w domu Edity Denrovej.

– Poszukałam, poszperałam i mam. – Jasnowłosa kobieta jak zwykle gubiła się we własnych notatkach, a kartki wypadały jej z rąk. – Wasze informacje bardzo mi pomogły. Naprowadziły mnie na właściwy trop.

– Czyli co dla nas masz? – spytał Levi, siedząc wygodnie w fotelu w kącie salonowym w pracowni naukowczynie.

– Chwileczkę, chwileczkę...

Zora wymieniła rozbawione spojrzenie z Levim.

– Och! Tak. Już chyba wszystko uporządkowałam.

Edita trzymała w dłoniach plik postrzępionych kartek, a każda miała różną długość i szerokość. Zmysłownica stwierdziła w duchu, że przydałyby się jej jakieś solidne zeszyty.

– Zmora – oznajmiła naukowczynie uroczystym głosem. – W starych dialektach bywa zapisywane jako „mara” oraz „mora”. Z biblioteki uniwersyteckiej wypożyczyłam wszystkie książki o dawnych wierzeniach, pieśniach, wierszach, opowieściach. Wszystko, co mogłoby mi się przydać. Spędziłam całą noc na czytaniu i sporządzaniu notatek...

– Więc czym jest zmora? – przerwała jej Zora.

– Brakującym ogniwem w moim wcześniejszym rozumowaniu – oznajmiła z błyskiem w oczach, a jej ciemna skóra zaczęła się lekko rumienić. – Zmora to szczególny rodzaj ducha. Taki, który znalazł ludzkiego posiadacza, czy też – odchrząknęła – „ludzkie naczynie, które swoją chęcią i wolą udostępnia się jako mieszkanie dla obcego bytu”. Jest... pieśń, która dość obrazowo to wyjaśnia. To najczystszy rodzaj pradawnej magii, o jakiej słyszałam. Przeczytać?

– Tak.

Edita wzięła głęboki oddech.

– *Samotny i smutny żes*

*Albo pełen chytróści,
Taki, który gotów jesteś
Oddać się dla chciwości.*

*Twoje pragnienie
Może cię pochłonąć
Twoje czynienie
Może splotnąć.*

*Pamiętaj, głupcze,
Nie będzie rejterady,
Jedną duszę podepcze
Druga ze zdrady.*

*Równno o północy
Do dwugodzinnego
Paleniska mocy
Wskazujący od lewego.*

*Będziesz potrzebował
Noża ukrytego,
Będziesz próbował
Pięć krwi utoczonego.*

*Kiedy to już zrobisz,
Stając nad popiołem,
Wtedy powiesz:
Na mocy danej żywiołem
Daję ci dom
W ciele mojem
Zmoro.*

Edyta skończyła recytować, a cisza po jej wypowiedzi aż brzęczała w uszach.

– Chyba nie do końca zrozumiałem – mruknął wreszcie Levi, marszcząc brwi.

– Najpierw jest mowa o powodach, dla których ktoś może chcieć przywołać ducha.

Smutek. Samotność. Chciwość. Potem jest ostrzeżenie, że nie będzie odwrotu. Jeśli ktoś się na to decyduje, jest to decyzja ostateczna. „Jedną duszę podepcze druga ze zdrady”, to jest ciekawy fragment, bo sugeruje, że jedna dusza będzie dominować nad drugą. Ale która nad którą? Dusza właściciela nad duszą zmory?

– Może to zależy od przebiegu rytuału – mruknęła Zora, mając przed oczami dziwne zachowanie Dusy. To, jak się miotał, jak mówił sam do siebie. – A może nikt nie będzie dominował. Może takie przywołanie oznacza szaleństwo, ciągłą walkę. Nikt by się na to nie zdecydował bez korzyści. Co to daje?

– Zaraz do tego przejdziemy. – Edita kiwnęła głową, wyciągając z garści inną kartkę. – Dalsza część pieśni opisuje przebieg rytuału.

– Chyba dość niejasno – wtrącił Levi.

– Niekoniecznie. Trzeba trochę to przeanalizować, ale słowa mówią wprost, co trzeba zrobić. O północy trzeba przyjść do ognia czy też paleniska, które jest wygasłe od dwóch godzin. Nad popiołami trzeba utoczyć samemu sobie pięć kropli krwi z palca wskazującego lewej ręki. I wtedy wypowiedzieć słowa kończące rytuał.

– Dwie dusze, jedno ciało – podsumowała Zora. – Korzyści?

– Niematerialność. – Edita odłożyła notatki na kolana i spojrzała na swoich gości. – O to chodziło w tej „nietykalności”. Duszy nie da się złapać ani zobaczyć. Kiedy następuje rytuał połączenia, dusza łączy się z ciałem, ale zachowuje przy tym swoje pierwotne cechy. Niematerialność. Oznacza to, że osoba, w której ciele mieszkają dwa duchy, może być cielesna lub nie. Na zawołanie.

– Czyli to nie niewidzialność – rzuciła zamyślona Zora, wymieniając kolejne spojrzenie z Levim.

– Ani przechodzenie przez ściany – dodał.

– Nie, to jest...

– ...gorsze.

– Czy zmorem można złapać? Unieruchomić? – Zmysłownica zawahała się i znienawidziła za następne słowa. – Zabić?

– Nawet jeśli, księgi nic nie mówią na ten temat. Tak właściwie, to ktoś powinien się tym zająć. Zrobić jakiś porządny spis pradawnej magii i wywodzącej się z niej istot. Może ja to zrobię, gdy skończę ze zmysłownictwem.

– Właśnie, jeśli chodzi o zmysłownictwo... – Zora urwała z namysłem. – Dusa powiedział mi coś ciekawego.

Oczy Edity zabłyśły. Wpatrywała się w nią w napięciu.

– Powiedział, że zmysłownictwo pochodzi od pradawnej magii. Że to efekt daru, który ludziom dali... Niech sobie przypomnę... – Podrapała się po głowie, a naukowczyni wyglądała, jakby miała zaraz paznokciami wyrwać odpowiedź prosto z jej gardła. – Bies, borowy, rusałka... I chyba południca oraz żmij. Pięć istot.

– Pięć zmysłów. Pięć kategorii – wyszeptała oniemiała Edita.

Wargi miała rozchylone, a policzki zaróżowione z podniecenia. Zerwała się na nogi, a notatki rozsypały się po podłodze. Rozejrzała się po pomieszczeniu, ale zanim pobięła w jego głąb, doskoczyła do Zory i ją uściskała. Zdumiona zmysłownica poklepała Editę po plecach.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Naukowczynie uśmiechnęła się promiennie, po czym pobiegła w stronę stołów i zaczęła gorączkowo czegoś szukać. Zaśmiała się sama do siebie i mamrotała coś pod nosem.

Zora spojrzała na Leviego.

– Sądzę, że przyszedł na nas czas – stwierdziła, po czym uniosła jeden kącik ust.

Pożegnali się i pośpiesznie opuścili pracownię, zostawiając w niej szamoczącą się Editę Denrovą, wspominającą coś o zrewolucjonizowaniu nauki.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zagadnął Levi, gdy wsiadali do jego powozu.

Zora potrząsnęła głową.

– Jeszcze nic. To dużo informacji do przemyślenia.

– To wydaje się sprawą beznadziejną. Jak mamy złapać coś, co jest niematerialne?

Pytanie zawisło między nimi, kiedy strzelił bat, a karoca ruszyła z szarpnięciem.

– Coś wymyślimy – mruknęła, choć bez przekonania.

Nie było jednak innej możliwości. Albo to oni unieszkodliwią Dusę, albo on wykończy ich.

Baza Krakavców śmierdziała dymem, pachniała likierem i wybrzmiewała śmiechem. Zora wcale za tym nie tęskniła, gdy przeciskała się między ludźmi i meblami w kierunku ulubionego saloniku Emila.

Blondyn na jej widok szeroko otworzył oczy, odłożył pióro, podbiegł do niej i wziął ją w ramiona.

– Nie za mocno – stęknęła.

– Tak, tak, przepraszam. – Rozluźnił uścisk, odsunął się i zlustrował jej sylwetkę. – Wyglądasz normalnie.

– Mam podnieść koszulę, żebyś mógł obejrzeć szwy?

Emil rozchylił usta, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk, a potem się spłonił.

– Nie. Nie trzeba – wymamrotał, odwracając się od niej.

Wrócił do swojego kącika z teczkami i kartkami. Chwycił za butelkę z likierem i nalał odrobinę do pustego kieliszka, podając go Zorze. Przyjęła go od niego i usiadła naprze-

ciwko ze zduszonym jękiem. Wiedziała, że to trochę potrwa, zanim wróci do formy. Nie uśmiechało jej się to.

– Gustav był zachwycony księgą – oznajmił Emil, upijając łyk swojego trunku. – Wybaczył ci spóźnienie i to, że nie stawiałaś się osobiście. Ale lepiej będzie, jak do niego zajrzesz.

Zora skinęła głową, krzywiąc się.

– A teraz opowiedz mi, co się właściwie stało. – Blondyn spojrzał na nią uważnymi oczami, chowającymi się za drucianymi oprawkami.

Westchnęła i zdała mu relację, pomijając tylko kwestię raroga. Swoje znalezienie wyjaśniła tym, że Levi ją śledził.

– Myślisz, że Gustav wie? – spytała, patrząc w swój kieliszek i wydymając wargi. – Że Irma za tym stoi?

– Nie sądzę. Nigdy by nie pozwolił na kradzież swojej własności. Nie. Myślę, że Irma oszukała nas wszystkich.

– Wyobrażasz to sobie?

– Szczerze mówiąc, to nie. Irma jest raczej dość...

– Niepozorna.

– Właśnie.

Oboje pokręcili głowami jak na jakiś umówiony znak.

– Czy Irma ostatnio pojawiała się w bazie?

– Nie i Gustav się na nią wścieka. – Emil poprawił okulary na nosie. – Miała zająć się organizacją najnowszej walki. Nie stawiała się na miejscu, zawałiła to zadanie.

Zora zagwizdała.

– Więc Krakavce ostatnio stracili.

Blondyn potwierdził ruchem głowy.

– Dlatego, Zoro – złapał jej spojrzenie – jak pójdziesz do Gustava, uważaj. Z ciebie jest zadowolony, ale ogółem jest wściekły. Po prostu... Uważaj.

Ścisnęło ją za gardło. Gdyby tylko czujność mogła ją uratować.

– Dobrze.

Spotkanie z szefem gangu na szczęście przebiegło bez większych wrażeń. Gustav ją pochwalił, trochę napsioczył na temat strat, po czym marszczył brwi, słuchając o Irmie. Zora powiadomiła go, że zamierza się zająć jej złapaniem. Mężczyzna przystał na ten plan. Gdy zmysłownica opuściła jego gabinet, ogarnęła ją niewysłowiona ulga.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się, kiedy zdoła uwolnić się ze smyczy zaciskającej się wokół szyi.

Dana nie odzywała się do Zory mimo jej usilnych prób nawiązania kontaktu. Wreszcie zmysłownica westchnęła tylko cierpiętniczo i stwierdziła, że nie zrobi tego na siłę. Zajął się więc pracą, aż przyszedł Levi i jej myśli skupiły się na nim.

Podeszła do stolika, przy którym rozsiadł się ze swoją aurą. Wygładziła fartuch i posłała mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Miałeś przyjść później – skwitowała. – Nadal pracuję.

Levi machnął ręką.

– Nie przejmuj się. – Uśmiechnął się psotnie. – Popatrzę.

Zora zmrużyła powieki, nie komentując, i wróciła za ladę. Dana zerknęła tylko na Drabońa, potem na nią i pokręciła głową.

– Współpracuję z nim – wytłumaczyła się Zora.

Jakby rzucała grochem o ścianę.

– On nie jest taki zły, jak się wydaje – dodała. – Pomógł mi. Nie przesadzę, jeśli powiem, że zawdzięczam mu życie.

Rudowłosa spokojnym ruchem zaparzyła kawę i rozlała ją do filizanek.

– Nie bądź na mnie zła – wyszeptała.

Dana złapała tacę w dłoń i ruszyła w głąb kawiarni. Zora westchnęła i złapała za swój warkocz, mnąc go w dłoniach.

Skup się. Pamiętaj, że Dana jest bezpieczniejsza wtedy, gdy niczego nie wie.

Ale co, jeśli Irma się z nią skontaktuje? Niewiedza w tym wypadku czyniła ją bezbronną.

Zora pomasowała sobie skronie, po czym wzięła się w garść i zajęła się następnym zamówieniem. Jak tylko została wymieniona przez Vita, który przyszedł na wieczorną zmianę, pomknęła na poddasze, by przebrać się w jasną koszulę z falbanami i spódnicę wyszytą u dołu krukami. Gdy dołączyła do Leviego, czekał już na nią pysznie wyglądający kawałek ciasta czekoladowego oraz kubek parującej kawy. Jej skupiony towarzysz ubrany w swoją ulubioną różową kamizelkę pochylał się nad zeszytem.

– Zaczynajmy – mruknął.

– Tak bez przekomarzania się? – Zora nie mogła się oprzeć.

– To my się przekomarzamy? Kiedy? – spytał z przekąsem, nie odrywając oczu od kartek.

Przez umysł zmysłownicy przemknęło kilka odpowiedzi, ale w końcu na żadną się nie zdecydowała, dochodząc do wniosku, że skoncentrowanie się na celu miało większy sens.

– Od czego zaczniemy?

Levi pozwolił sobie na irytujący uśmiezek, zanim przemówił.

– Wypisałem najważniejsze punkty, które musimy uzupełnić. Po pierwsze, przynęta, po drugie, pułapka, po trzecie, sposób na unieszkodliwienie.

Unieszkodliwienie. Jakie ładne określenie na morderstwo.

– Moglibyśmy spróbować połączyć siły z kolekcjonerem, którego Dusa jeszcze nie okradł – podsunęła.

Levi pokręcił głową.

– Sprawdziłem tę opcję dzisiaj. Nie został już nikt, kogo Dusa mógłby obrabować. – Z jego głosu sęczyło się niedowierzanie. – Zabrał już wszystko.

– Poważnie? To co teraz? Ma wszystko. Co on zamierza?

– Nie wiem. Podbić inne miasta? Szukać artefaktów na własną rękę? Trudno przeniknąć umysł szaleńca.

– Tobie powinno pójść łatwo – mruknęła Zora.

Levi spiorunował ją wzrokiem, ale nie połknął haczyka.

– Skontaktowałem się ze Złotym Domem Aukcyjnym z pytaniem o najbliższe aukcje. Powiedzieli mi, że za parę dni na wybrzeże przyplynie statek z aż dwoma artefaktami zza morza. Zamierzają za jakieś dwa tygodnie urządzić z nimi licytację.

– Dusa nie przejdzie obok tego obojętnie.

– Nie.

– Świetnie. To mamy przynętę. Co z pułapką?

– Pułapką będziemy my. Będziemy musieli pilnować tych artefaktów od momentu ich przybycia. Wątpię, żeby Dusa czekał aż do aukcji, na pewno spróbuje ukraść je wcześniej. Pułapka mnie nie martwi. To, co mnie martwi, to jego niematerialność.

Levi popadł w zadumę, ale Zora uśmiechnęła się lekko i z pewną dozą przebiegłości.

– Zostaw to mnie – powiedziała tajemniczo.

– Zostaw to... Co takiego? Co wymyśliłaś? – spytał podejrzliwie.

– Jedyne rozwiązanie, jakie może zadziałać na kogoś, kogo nie da się zobaczyć ani dotknąć. Patrzył na nią tak długo, aż mu zdradziła swój pomysł. Następnie spędzili długie godziny nad blatem stolika w Pohlednej Berušce, dopracowując szczegóły planu.

– To, co teraz powiem, nie spodoba ci się – oznajmił Levi.

Ich spojrzenia zetknęły się ze sobą ze skwierczącą iskrą.

Zora czekała.

– Myślę, że powinnaś się wycofać – uzupełnił.

– Wycofać? – Zmarszczyła brwi.

– Nie ryzykować. Zostać w tyle.

Od razu podłapała.

– Zostać w tyle, być niewidzialną, umrzeć w zapomnieniu?
– Czy ty musisz być taka dramatyczna? – Levi westchnął, trąc wierzchem dłoni oko. Ta dyskusja oboje ich męczyła. – Chodzi o to, że jesteś ranna. Powinnaś zostać w domu i dać sobie czas na dojście do zdrowia.

Zmysłownica doceniła troskę, ale uważała ją za niepotrzebną.

– Nie.

– Nawet tego nie przemyślałaś.

– Nie muszę. Ten plan wymaga mojej czynnej obecności.

– Możemy go opracować tak, żebyś się nie przemęczała.

Jej spojrzenie stało się ostrzejsze.

– Czuję się wystarczająco dobrze, a ty mnie nie wykluczysz.

– Wcale tego nie chcę – zapewnił ją, a ona prawie dała się nabrać na łagodność jego głosu i słodczy uśmiechu. – Proszę cię tylko o odrobinę rozwagi.

Zora pokręciła głową.

– Spójrz jeszcze raz na plan. – Postukała palcem w zamknięty już kajet. – Spójrz na rolę, jaką w nim odgrywam. Jestem potrzebna.

– Tak, ale...

– Przestań. Nie przekonasz mnie.

Levi zacisnął wargi tak mocno, że pobieleły. Nie dodał nic więcej, a zmysłownica podejrzewała, że to wcale nie był koniec. Drabon nie przyjmie do wiadomości faktu, że ktoś mu się sprzeciwił i nie chciał działać zgodnie z jego wolą.

A powinien się do tego przyzwyczajać.

Kiedy wreszcie skończyli, plecy bolały ich od nachylania się, a oczy od wyęźniania w słabym świetle lamp gazowych.

Levi złapał laskę w dłoń i ruszył w kierunku wyjścia. Zora podreptała za nim. Obserwowała, jak ubierał się w swoją marynarkę, i trzymała w tym czasie jego rzeczy.

– Myślisz, że to się uda? – W przyćmionym świetle odważyła się, by wyrazić na głos swoje obawy, posyłając w chwilowe zapomnienie sprzeczkę.

– Mam nadzieję.

Skinął jej głową i złapał za gałkę drzwi, gdy zmysłownica złapała go za ramię.

– Levi.

Spojrzał na nią uważnie, aż zrobiło jej się gorąco. Niemal zapomniała o tym, co zamierzała powiedzieć.

– Uważaj na siebie – wydusiła z siebie, wytrzymując jego bladoniebieski, intensywny wzrok. – Dusa... nie waha się przed niczym. Musisz być sprytniejszy.

– Zoro Muškatoва. – Jego wargi powoli rozciągnął uśmiech. – Ty się o mnie martwisz.

– Martwię się o to, że zawalisz zadanie. – Obruszyła się.
– Martwisz się o mnie. Ale bez obaw. – Zawahał się i przez chwilę wyglądał, jakby zamierzał zrobić... coś. Ostatecznie cofnął się, walcząc o to, by utrzymać neutralny wyraz twarzy. Tylko oczy go zdradzały. Tylko w nich Zora wyczytała to, co chciał zrobić i z czego zrezygnował. – Jestem silniejszy, niż wyglądam.
Wyszedł, zostawiając ją z łomoczącym sercem w piersi.

24

Z Bydgošcy na wybrzeże można udać się w trzech kierunkach: na północ, na wschód i na zachód. Najdalszą, bo tygodniową drogę trzeba pokonać do wschodniego wybrzeża i ku nieszczęściu wszystkich mieszkańców miasta to do tego brzegu dobijały statki z za morza. Wschodnie nabrzeże pełne było naturalnych klifów i tylko w nielicznych miejscach linia brzegowa się zniżala, tworząc porty, w których cumowały łodzie.

Levi razem z pracownikiem Złotego Domu Aukcyjnego, Klementem, wyruszyli na wschód z samego rana, ale nie mieli nadziei na dotarcie do portu przed przybyciem artefaktów. Nie było czasu na powiadomienie osób odpowiedzialnych za transport o dodatkowej eskorcie, więc Levi z towarzyszem będą musieli łapać powóz gdzieś na środku traktu prowadzącego do Bydgošcy.

W niektórych miejscach drogę wypełniono brukiem, w innych żwirem, ale w większości była piaszczysta lub błotnista. Prowadziła poprzez ciemne lasy i wsie, w których czas płynął wolniej i leniwiej, a zamiast kruków często występowały wrony. Najważniejsze, że szlak nie przecinał żadnych większych, liczących się miast, bo te zawsze chciały naliczyć opłaty od wędrowców za przekroczenie traktu.

Jechali niemal pięć dni, kiedy ich oczom ukazała się karoca na czterech dużych kołach z emblematem Złotego Domu Aukcyjnego na drzwiach: złotym kole przeciętym literą A. Klement był starszym mężczyzną, blisko sześćdziesiątki, o siwiejących włosach i bujnym, nieokrzesanym zarostem. To on krzyknął do woźnicy, który momentalnie ściągnął lejce. Powóz zaczął stawać, a konie zamłóciły kopytami o ubitą nawierzchnię.

– Stary druhu! – Stangret pozdrowił go ruchem dłoni, po czym skinął głową Leviemu, od razu wyczuwając w nim arystokratyczną aurę. – Panie.

– Leopoldzie, cieszę się, że was znaleźliśmy. Czy wszystko z wami w porządku? – spytał Klement.

Drzwiczki karocy się otworzyły, a ze środka wyskoczyła kobieta z mężczyzną, oboje z pistoletami w dłoniach. Na widok swojego kompana skupione miny zostały zastąpione ostrożnymi uśmiechami, a ręce z bronią opadły.

– Czy coś się stało? – Wysoka, stojąca w rozkroku kobieta zmarszczyła brwi.

– Okazało się, że nasz ładunek może być bardziej podatny na kradzież, niż początkowo sądziliśmy – wyjaśnił Klement. – Przyjechaliśmy, żeby wzmocnić eskortę. Panie Draboń, woźnicą jest mój stary przyjaciel Leopold, a tych dwoje – wskazał na ludzi wyłonionych z wnętrza karocy – to strażnicy domu aukcyjnego. Agata oraz Oldik. Moi mi-

li zebrani, moim towarzyszem jest Levi Draboń, stały bywalec Złotego Domu Aukcyjnego.

Levi odpowiedział kiwnięciem głowy na ich skinienie.

– Skoro wszystko w porządku, powinniśmy przestać tarasować trakt i jechać dalej – oznajmił. – Ale przygotujcie się na atak. Na pewno słyszeliście o tajemniczym kolekcjonerze, który rabuje wszystkie artefakty w mieście.

Potaknęli.

– Podejrzewamy, że zaatakuje ten powóz, żeby przechwycić zamorskie artefakty – dodał.

Agata z Oldikiem przyjęli to do wiadomości i wsiedli z powrotem do karocy, a Leopold strzelił batem. Levi co jakiś czas rozglądał się na boki, mrużył oczy i skanował okolicę wzrokiem. Oprócz mijanych podróżnych i wsi w oddali nie dostrzegał jednak niczego podejrzanego.

Wieczorem zjechali z drogi i rozbili obóz na granicy lasu. Rozpalili ognisko, podając sobie z rąk do rąk butelkę z miodem oraz racje żywnościowe.

Klement z Oldikiem pilnowali przesyłki, więc Levi skupił wzrok na Agacie. Miała krótkie, jasne włosy założone za uszy, czym odsłaniała małą bliznę na czole. Wydawała się mrukliwa jak Zora, ale bez jej błysku rozbawienia w oczach.

– Co to są właściwie za artefakty? – zagadnął kobietę, która posłała mu przeciągłe spojrzenie. Levi uniósł brwi, widząc jej niechęć.

– Wybierasz się na misję i nie wiesz najbardziej podstawowej rzeczy? – spytała rzeczowo.

Levi nie spuszczał z niej oczu, aż ona pierwsza odwróciła wzrok.

– Nie było czasu – wyjaśnił, a po chwili dodał, próbując się usprawiedliwić: – A Klement też nie wiedział.

Agata westchnęła, prostując długie nogi odziane w spodnie. Odłożyła swój posiłek z powrotem do torby, jednocześnie wyjmując z niej bukłak z wodą.

– Jeden to pierścień z bursztynem. Drugi to najwyższej jakości naczynie gliniane. Mały dzban o trójlistnym wylewie o lśniącej, czarnej powierzchni. Zdobiony motywem figuralnym. – Zerknęła na niego uważnie, jakby go sprawdzając. – Nazywają takie naczynia *bucchero nero*.

Levi zagwizdał.

– Słyszałem, że zachowało się raptem sto egzemplarzy tej ceramiki. – Po jej oczach poznał, że ją zaskoczył. Uśmiechnął się psotnie, a przez umysł przemknęło mu wspomnienie matki, która wciskała w niego wszelką historyczną wiedzę, jaka mogłaby przydać się w fachu kolekcjonera i handlarza zabytkami. – Jak udało wam się je zdobyć?

– Ktoś chciał sprzedać, my chcieliśmy kupić – wyjaśniła ze wzruszeniem ramion i wzięła łyk wody.

– Któryś z tych artefaktów jest magiczny?

– Jeśli tak, nikt nas o tym nie powiadomił.

Mężczyzna skinął głową, kończąc swój posiłek. Agata nie dawała znaków, że jest zirytowana jego pytaniami, więc zmysłownik postanowił kontynuować.

– Jak to się stało, że pracujesz dla Złotego Domu Aukcyjnego?

– Znam się na broni, trochę też na sztukach walki, a po porodzie szukałam nowej pracy. Dowiedziałam się, że w ZDA zwolniła się posada, więc na nią aplikowałam. Taka historia.

Levi także rozprostował nogi. Zakołysał stopami.

– Więc masz dzieci?

Strażniczka przytaknęła.

– Dwójkę. – Uśmiechnęła się ciepło, a jej twarz momentalnie straciła na ostrości. – Syna i córkę. A ty masz dzieci?

– Nie. Na razie nie planuję.

Kobieta zaśmiała się lekko.

– My z Oldikiem też nie planowaliśmy, to się samo zdarzyło. Ale muszę przyznać, że to była miła niespodzianka.

Brwi Leviego wystrzeliły do góry.

– Z Oldikiem? Oldik jest twoim...

– Mężem. Jesteśmy razem już piętnaście lat.

Oboje spojrzeli na karocę, w środku której siedział rzeczony mężczyzna.

Zmysłownik popadł w zadumę. Coś takiego. Pracujące razem małżeństwo. Czy jego matka i ojciec prezentowali się podobnie w czasach, gdy razem działali?

– Wydajesz się zaskoczony – stwierdziła Agata.

– Wcześniej nie wyglądaliście, jakby coś was łączyło – wytłumaczył.

– Staramy się nie przenosić małżeństwa do pracy i chyba całkiem nam się to udaje.

– Tak. Rzeczywiście.

Dołączył do nich Leopold, który natychmiast zdominował rozmowę. Długie, siwe włosy miał spięte na karku, a dłonie pokryte bliznami i zgrubieniami. Opowiadał historie ze swojej młodości, co wkrótce znużyło Leviego. Gdy płomienie ogniska zmalowały, ułożył się do snu, z którego w ciągu nocy został wyrwany. Początkowo myślał, że Dusa ich zaatakował, ale to tylko przyszedł czas na jego wartę.

Ruszyli w dalszą drogę wraz ze wschodem słońca. Dzień mijał monotennie, co wprawiło Leviego w nerwowość. Miał wory pod oczami, a jego włosy bez ulubionego żelu

nie chciały się gładko układać. Oczy bolały go od ciągłego wyężania wzroku i wypatrywania wroga. Miał wrażenie, że oszaleje z powodu tego wyczekiwania.

– Jest za spokojnie – mamrotał Klement, jadąc gdzieś za Levim. – Jest za spokojnie.

Mało co się odzywali; komunikowali ze sobą bieżące, najważniejsze sprawy, dotyczące jedzenia i artefaktów. Podróż wszystkich męczyła, ale zmysłownik tym bardziej nie mógł pozwolić sobie na odrętwienie. Musiał być czujny. Mieć oczy dokoła głowy. Mięśnie gotowe do walki.

A jednak, gdy tylko rozbili obóz na noc, zasnął jako pierwszy. Ledwie przyłożył głowę do tobołka, który udawał nie do końca miękką poduszkę, a jego oddech się unormował. Agata obierała jabłka kupione tego dnia w jednej z wiosek i patrzyła na Leviego z rozba-wieniem.

Strażniczka zjadała się przysmakiem, gdy jej włoski na karku stanęły dęba. Był to znak, który już wiele razy ocalił jej życie. Oznaczał rychłe niebezpieczeństwo. Agata odłożyła jabłko i wstała z posłania, lustrując wzrokiem obozowisko. Łuna ognia odbijała się od karocy i ją oslepiała, ale okolica wydawała się spokojna. Zarżał koń, a w pobliskich krzakach musiał ukrywać się świerszcz. Stary Leopold siedział niedaleko na trawie i czyścił buty, natomiast Oldik z Klementem pilnowali zabytków.

Mimo tego kobieta wyciągnęła i odbezpieczyła broń.

Do jej uszu dobiegł zduszony jęk – nikły i tak cichy, że mógł być świstem wiatru – ale postanowiła go nie ignorować. Podbiegła do karocy, do Klementa, który stał na zewnątrz i bronią wskazała mu na drzwiczki, niemo oznajmiając, co zamierzała zrobić. Otworzyła je zamaszyście, w półmroku dostrzegając dwie sylwetki. Ta mniejsza zaciskała dłonie na szyi tej większej.

Agata zareagowała instynktownie. Złapała agresora za koszulę i pociągnęła w tył, spodziewając się, że osobnik wypadnie na zewnątrz z hukiem. Tak powinny potoczyć się wypadki i pewnie by się potoczyły, gdyby walczyli z kimś materialnym. Nie mieli tyle szczęścia, więc ciało rozpląnęło się w powietrzu, zanim boleśnie zderzyło się z ziemią. Strażniczka z niepokojem zlustrowała męża wzrokiem. Szeroki w barkach mężczyzna brał łapczywe wdechy, a ciemne włosy wpadły mu do oczu.

– Oldik?

– Nic mi nie jest – wychrypiał.

– Artefakty?

– Są ze mną.

– Pilnuj ich.

Kobieta odwróciła się, ale w obozie i w jego okolicach panowała cisza. Leopold prze-rwał pracę i patrzył na nich z niepokojem, a Levi nadal spał. Klement obok niej spał się

cały; trzymał pistolet w gotowości.

– On tu wróci – rzucił w eter.

Jego słowa nabrały realnych kształtów kilka sekund później. Zakapturzony Dusa niespodziewanie stanął koło Agaty i pociągnął ją za włosy. Strażniczka jęknęła ze zdziwieniem, a jej wyuczona dłoń automatycznie wycelowała w napastnika. Strzeliła, a wybuch spłoszył kilka ptaków z okolicznych drzew. Mimo tego kolekcjoner znowu zniknął nie-
tknięty, by po chwili pojawić się zaraz obok i podważyć pistolet w ręce kobiety. Broń wypadła, a w efekcie przechwycił ją Dusa. Złapał ją pewnie i uniósł niemal od niechcienia. Agata była pewna, że gdyby mogła zobaczyć jego twarz, ujrzałaby na niej uśmiech. Zamiast tego patrzyła w nieprzeniknioną czerń, w dojmującą pustkę, w widmo tego, co nieuniknione.

Stojący z boku Klement starał się namierzyć przeciwnika, ale szamotanina i ciemność znacznie utrudniały mu zadanie. Przeklął pod nosem, cały czas próbując znaleźć moment, w którym mógłby wystrzelić.

Huk ponownie przeszył powietrze, ale to nie Klement odpalił.

Czerwień wykwitła na koszuli Agaty i przybierała coraz to większe rozmiary. Oldik krzyknął, Klement krzyknął, a Dusa przygotował się do oddania następnego strzału. Być może by mu się udało, ale w tym zamieszaniu nie wyczuł Leviego, który zdołał do niego podejść od tyłu. Zmysłownik dzierzył sztylet tak mocno, że zbieleły mu kostki. Gdy znalazł się dostatecznie blisko, zamachnął się i wbił ostrze w plecy Irmy. Zaciskając szczękę, przesunął rękę w dół, przecinając mięśnie i tkanki. Z gardła kolekcjonera wydobyło się zatrważające zawodzenie, po którym wkrótce zostało tylko echo. Kilka plam krwi zawisło w powietrzu i szybko wsiąknęło w glebę.

Oszołomiony Levi przeniósł uwagę na Agatę, która leżała tuż u drzwi karocy. Oldik klęczał obok niej i próbował zatamować krwawienie. Trzymał swoją żonę za dłoni i szeptał coś do niej gorączkowo.

Pierś kobiety się nie poruszała.

Zmysłownik wymienił spojrzenie ze wstrząśniętym Klementem.

Nikt nie zmrużył oka przez kilka następnych godzin. Żadne z nich nie było w stanie uspokoić roztrzęsionego Oldika, który nie odstępował stygającego ciała małżonki nawet na krok.

Spakowali się i wyruszyli jeszcze przed świtem. Oldik z nabożną czcią owinął ciało Agaty we własny płaszcz i włożył jej zwłoki do powozu.

Tego dnia nie omawiali między sobą nawet bieżących spraw. W miękko kołyszącej się ciszy opłakiwali zmarłą, oddawali jej szacunek i zmagali się z własnym lękiem. Karoca szybko toczyła się po trakcie, a Leopold cały czas popędzał konie. Mknęli tak prędko, jak zdołali, ale zwierzęta opadały z sił i jeśli nie chcieli ich zajechać na śmierć, musieli zrobić przerwę.

Tym razem nawet nie rozpalili ogniska. Oldik siedział, oparty o pień drzewa i samotnie popijał miód. Levi musiał zająć się artefaktami. Zabrał je z karocy, która przypominała raczej tymczasową trumnę, i podzielił się nimi z Klementem. Dał mu pierścień, a sobie zachował połyskliwy dzban. Obejrzał go w świetle księżyca i przesunął palcem po nierównościach zdobień. Podobało mu się to naczynie. Chętnie ujrzałby je w swojej kolekcji.

Irma nie pojawiła się tej nocy. Ani następnej.

Levi miał nadzieję, że wykrwawiła się gdzieś na śmierć. Zmora czy nie, w końcu posiadała ludzkie ciało, a ono miało różne wady, jak chociażby kruchość i podatność na zranienia. Przy odrobinie szczęście wykończy ją zakażenie albo sepsa.

Dotarli do ZDA popołudniem wraz z nisko wiszącymi promieniami słońca, oświetlającymi złote liście na drzewach otaczających budynek. Konie zostały odprowadzone do stajni, a Leopold zniknął wraz z nimi. Błady Oldik ze łzami w oczach tulił do piersi zwłok żony, aż jeden ze strażników się nimi zaopiekował. Dwoje innych pracowników przejęło artefakty, chowając je w skarbcu. Levi upewnił się, że były dobrze zabezpieczone, żeby nie powtórzyła się sytuacja z figurką bożka, którą kiedyś trzymali razem z biesem.

Wciąż nie miał pojęcia, jak ktokolwiek mógł dopuścić do takiego zaniedbania.

Po utwierdzeniu się w przekonaniu, że zabytki pozostawały pod dobrą (lub przynajmniej przyzwoitą) ochroną, Levi wrócił do domu. Wziął ciepłą kąpiel, zbawienną dla jego zeszywniałych od jazdy konnej i zmartwień mięśni. Zafarbował włosy. Zjadł smaczny posiłek i zaczął zastanawiać się nad tym, jak poszło Zorze z jej zadaniem.

Miał nadzieję, że wszystko było z nią w porządku.

Pogrzeb Agaty odbył się już następnego dnia na cmentarzu na Ziarenkach, małej dzielnicy leżącej nad Veslą między Piaskami a Zachodnią Dzielnicą. Zmysłownik czuł się w obowiązku, żeby się na nim pojawić. Stał na samym końcu zebranego tłumu i obserwował zapłakanego Oldika oraz dwójkę przytulających się do jego nóg dzieci. Mężczyzna przyciągał je do siebie bliżej i klepał je po głowie. Cierpiał, ale dzielił ten ból z córką i synem. W obliczu tragedii nie przestał się o nie troszczyć.

Zmysłownik nie mógł odwrócić wzroku.

Kiedy zmarł jego ojciec, a Levi niczego tak nie pragnął, jak znalezienia ukojenia w ramionach matki, Andrea spojrzała na niego z pogardą i kazała Františkowi zająć się „tym problemem”. Levi nie pamiętał o tym zdarzeniu aż do teraz.

Andrea Draboňowa na dobre zaczęła spadać z piedestału.

Las za dnia robił odrobinę mniej mroczne wrażenie niż nocą. Było znacznie jaśniej, choć przebijające się przez chmury promienie słońca nie zawsze docierały do poszycia. Większość światła wchłaniały rozłożyste korony drzew sosnowych, szumiące melodią, którą rozumiały tylko istoty związane z borem.

Zora powoli szła po ścieżce wydeptanej przez zwierzęta, czując gęsią skórę na ramionach. Mimo niskiej temperatury i zbliżającej się zimy nie powodowało jej zimno, a raczej aura niepokoju wisząca w powietrzu, zaklęta w igłach i w mchu, i w skaczących z gałęzi na gałąź wiewiórkach, i w oddechach wydostających się z ich małych gardeł.

Z każdym krokiem pchającym ją w głąb lasu nie mogła oprzeć się poczuciu, że oszalała. Jej pomysł był niemożliwy do wykonania. Co ją skłoniło do tego, by spróbować?

A, tak. Desperacja.

Zmysłownica westchnęła i ciaśniej opatulila się płaszczem. Rozglądała się uważnie wokół, a waga sztyletu przy pasie przyjemnie jej ciążyła. Musiała kupić nową broń, bo starą zabrał jej Dusa tuż po tym, jak nią oberwała. Na tę myśl niemal jak na zawołanie zapulsowała rana na brzuchu.

Zora zmierzała do konkretnego celu, ale jednocześnie nie miała pojęcia, gdzie on się znajdował. To też doprowadzało ją do szału.

W ogóle wszystko ją irytowało.

To nie była żadna nowość, ale zwykle jej rozdrażnienie utrzymywało się raczej na znośnym poziomie, natomiast w ostatnich dniach podskoczyło dwukrotnie. Zmysłownica niechętnie przyznawała to przed samą sobą, ale martwiła się o Leviego. Oczami wyobraźni widziała go leżącego gdzieś na środku traktu między Bydgością a wybrzeżem i wykrwawiającego się na śmierć. Chciała zacisnąć palce na Lunuli Tety, ale muskała tylko własną skórę. Zdarzało jej się zapomnieć, że straciła wisiołek i mimo że wcześniej na niego narzekała, z jakiegoś powodu teraz jej go brakowało.

Desperacja. To właśnie ona – tęsknota za dawnym życiem i nadzieja na odzyskanie go – popchnęła ją tego pięknego ranka do lasu, do drzew, które szeptały między sobą o skradającym się wśród pni intruzie.

W oddali, ale zbyt blisko, by móc to zignorować, z trzaskiem pękła gałązka.

Zora przysunęła się do cienia i znieruchomiła. To mogło być jakieś niewielkie leśne zwierzę. Zajaczek. Sarenka.

Mogło.

Ale lodowaty dreszcz na plecach Zory podpowiadał, że nie będzie miała takiego szczęścia.

Powoli, ostrożnie wyjęła sztylet z pokrowca i zacisnęła na nim palce. Uważnie lustrowała okolicę i wtedy go dostrzegła.

Ze wszystkich stworzeń zamieszkujących tę ziemię... musiała trafić na prężącego grzbiet biesa o rogach tak ostrych, że jego końce aż lśniły niebezpiecznie.

Zmysłownica złała się z tłem, modląc się do duchów o pozostanie całkowicie niewidoczną. Kołnierz płaszcza dotykał jej zimnego policzka, a stopy bez skarpet i rajstop zaczynały drętwieć w wysokich, sznurowanych butach. Sztylet trzymała blisko siebie i nie spuszczała oczu z biesa.

Zwierzę potrząsnęło potężną głową, a potem całym cielskiem, jakby chciało pozbyć się czegoś ze swojej czarnej sierści. Wesoło spacerowało po runie, obwąchując krzaki i drzewa. Zora poczuła krople potu na karku spływające w dół pod koszulą. Zaczynała wątpić, by decyzja o ukryciu się była dobrym wyborem.

Nie wydała żadnego dźwięku. Jej oddech się nie zmienił, bo kontrolowała go z mistrzowską precyzją. Nie poruszyła także palcem, nawet koniuszkiem. I mimo tego bies zamarł, uniósł głowę, poniuchał i wbił swój inteligentny wzrok prosto w nią. Dzieliło ich dobre dziesięć, może piętnaście metrów, ale wiatr poniósł w jej stronę ostrzegawczy warkot.

Zora działała błyskawicznie. Oderwała się od chropowatej kory i wystrzeliła w kierunku, który oddalał ją od zagrożenia. Serce waliło jej w piersi, a szum w uszach utrudniał nieco skupienie się, jednak stopy stawiała lekko i z gracją omijała napotykaną przeszkodę.

Obawiała się tylko, że z biesem mogła nie mieć szans w tym wyścigu.

Hanuś stanowczo odradzał jej jakikolwiek ruch, ale ona czuła się dobrze, a brzuch bolał ją tylko trochę. Medyk sam stwierdził zresztą, że rana goiła się w tempie, którego nigdy wcześniej u nikogo nie widział. Co prawda, to było trochę niepokojące, choć Zora wyjątkowo skupiła się na pozytywach tej sytuacji.

Nie słyszała za sobą żadnych dźwięków, ale to jej nie pocieszało. Zaczynało jej brakować tchu, a w klatce piersiowej coś ją boleśnie zakłuło.

W takim tempie ładowania się w kłopoty skończę martwa jeszcze przed końcem roku, pomyślała z rozgoryczeniem.

Przeskoczyła nad niskim krzakiem, schyliła się nad wyjątkowo niską gałęzią i znalazła się na polance, którą przecinał strumyk, tworzący na środku staw. Czy to ten sam, na który natrafiła ostatnio? Może tak. Może nie. W świetle dnia i w spadającym z nieba złocie trawiasta łąka wyglądała uroczo i zachęcająco. Gdyby przybyła tu w innym celu, z chęcią rozłożyłaby tu koc i rozkoszowała się chłodnym powiewem we włosach i smakiem nazbieranых jagód. Ale nie przyszła tu na piknik.

Bies, który ją minął i zagroził jej drogę z poślizgiem, boleśnie jej to uświadomił.

Zatrzymała się, walcząc z przyspieszonym oddechem i kłuciem w brzuchu. Zwierzę przed nią też sapało, lustrując ją byстрыm wzrokiem.

Zora stanęła pewniej na nogach i uniosła sztylet, a jej oczy straciły oznaki strachu, mimo że jej serce nadal drżało. Była przygotowana na moment, w którym bies wybił się tylnymi nogami i skoczył na nią, celując pazurami w jej twarz. Wykonała półobrót i z całej siły grzmotnęła istotę w plecy rękojęścią. Bies upadł z tłumionym warkotem, a Zora biegła już w kierunku drzewa. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Mogła się schować, ale musiała to zrobić wysoko.

Instynktownie wyczuła zwierzę za sobą i odskoczyła w bok, ale bies zdołał drasnąć ją zakrzywionym rogiem w ramię, rozdzierając skórę. Z jej gardła uciekł niski krzyk, a krew natychmiast zaplamiła koszulę i płaszcz. Stwór rzucił się na nią raz jeszcze. Gdy chciała wykonać ten sam unik co ostatnio – wymijając i zadając cios – doznała przykrego rozczarowania. Bies szybko się uczył, bo odwrócił głowę i zacisnął ostre zęby na połach jej płaszcza. Zora natychmiast odsunęła się od niego, wyjmując z rękawów ramiona. Pobieгла w stronę stawu, pozwalając, by woda oddzieliła ją od napastnika. Jęknęła, widząc furię w oczach mknącego ku niej zwierzęcia, i napięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu. Dotarło do niej, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, przegra.

Wtedy ze stawu wypełzło drobne ciało i ociekając wodą, stanęło na drodze biesa. Mokra, zielona skóra rusalki lśniła w słońcu, a włosy przypominające łodygi miała zaplecione wokół głowy i ozdobione białym kwiatem. Jej chude plecy wyprostowały się jak drut, a w mięśniach kryła się moc, gdy samą siłą umysłu zdołała zatrzymać biesa, z którego nozdrzy ulatywała para. Wodnica ostrożnie podeszła do większego od siebie agresora i pogłaskała go za uszami, a potem po grzbiecie. Zora ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że w reakcji bies wydał z siebie dźwięk łudząco przypominający śmiech. Zawałała się, widząc tę scenę. Czy powinna...

Coś poszło nie tak. Czy to rusalka zbyt wcześnie wypuściła biesa z uścisku, czy on sam zdołał się wydostać, trudno stwierdzić. Zmysłownica dostrzegła tylko, że potrząsnął głową i wyszczerzył kły, które miały zbyt łatwy dostęp do delikatnej szyi rusalki. Skupiony na wodnicy zdawał się zapomnieć o obecności Zory. Kobieta w tempie szybszym

niż atak biesa podbiegła i z wysiłkiem wbiła ostrze w jego bok twardy niemal jak kamień. Głęboko rozcięła skórę, a ostry zapach krwi rozniósł się w powietrzu.

Zwierzę zawyło i natychmiast zwróciło spojrzenie wściekłych oczu ku swojej przeciwnicze. Zora nie chciała go zabijać. Nie znosiła tego. Miała przy sobie sztylet tylko do obrony, ale nawet wtedy nie lubiła go używać. Nie była jednak na tyle altruistyczna, by poświęcić własne życie w imię swoich przekonań. Zabranie oddechu szarżującego na nią rozjuszonego biesa napawało ją bezsilnością.

Oslabione zwierzę próbowało rzucić się na nią ponownie, ale zrobiło się zbyt niezdarne. Zora z łatwością zdołała go ominąć i zadała ostateczny cios, dosięgając dłonią do szyi stwora i mocno wbijając w nią sztylet. Znienawidziła odgłos chrzęstu kości, którą trafiła, i bulgoczący dźwięk, jaki przy tym usłyszała. W oczach wezbrały jej łzy, gdy patrzyła, jak bies opadł, a pod nim tworzyła się coraz większa kałuża krwi. Stworzenie wydało ostatni dech, po czym zapanowała dzwoniąca w uszach cisza.

– Pomogłaś mi – oznajmiła, przetykając łzy i odwracając się do niskiej, chudej rusałki, wpatrującej się w nią wielkimi oczami.

– Ty mi także. – Z jej ust wysunął się zielonkawy język, który oblizwał wargi. Żarłoczne spojrzenie przeniosło się na zwłoki. – Dawno nie miałam takiej uczyty.

Zorze zrobiło się niedobrze, więc wzięła uspokajający oddech.

– Skoro już tu jesteś... – zaczęła zmysłownica, opłukując ostrze w wodzie stawu. Później wytarła go trawą. – Mam dla ciebie propozycję.

Rusałka przechyliła głowę z zainteresowaniem.

Ramię piekło ją niemiłosiernie, a z rany wciąż sączyła się krew. Nie minęło nawet południe, gdy brudna i spocona Zora szła ulicami Dzielnicy Bogaczy. Przechodnie, których mijiała, wpatrywali się w nią ze zgrozą, szybko odwracając wzrok od niej i od czerwonych plam na jej ubraniu.

Wolną ręką prowadziła za wodze swojego konia. Miarowy stukot jego kopyt o bruk przynosił jej spokój, mimo że uraz na ramieniu dawał jej się we znaki. Początkowo próbowała swojego rumaka dosiąść, ale zrezygnowała, gdy jednocześnie zaprotestował jej brzuch i ręka. Wpadła na inny pomysł.

Z wahaniem przystanęła przed żelazną bramą i spojrzała na wznoszącą się w oddali dumną rezydencję o ciemnym dachu i jasnych ścianach. Przygryzła wargę i pchnęła furtkę, ale zdążyła postawić ledwie krok na ścieżce prowadzącej do drzwi, gdy zatrzy-

mał ją strażnik. Zora wiedziała, że Levi jeszcze nie wrócił ze swojej misji, ale to jej nie przeszkadzało.

Wymusiła na mężczyźnie przekazanie wiadomości Františkowi. Strażnik obserwował ją podejrzliwie, ale pozwolił podejść bliżej drzwi. Niechętnie zostawił ją pod opieką swojego kompana, a sam zniknął w środku. Już po chwili na progu ujrzała starszego, ale eleganckiego mężczyznę o pomarszczonej, przyjaznej twarzy. Nakazał stajennemu oporządzenie konia, a sam zaprosił Zorę do wnętrza budowli. Na korytarzu, tuż pod kryształowym żyrandolem, spracowana dłoń delikatnie ujęła jej ramię. František westchnął i pokręcił głową.

– Gabrielu.

Z salonu obok wyłonił się wysoki, milczący służący.

– Przygotuj, proszę, w łazience miskę z ciepłą wodą, czyste ściereczki i trochę alkoholu. A także igły i nici.

Zora zmarkotniała.

– Następne szycie? – mruknęła.

– Nie pakuj się w kłopoty i nie dawaj się tak łatwo zranić, to żadnego szycia już nie będzie – odparował staruszek natychmiast z naganą.

Prowadził ją po schodach w górę.

– Jakies wieści od Leviego? – Zmysłownica nie mogła się powstrzymać.

František szedł przed nią, więc nie miała możliwości, by zobaczyć jego uśmiech.

– Nie, panienko.

Gdy dotarli do łazienki, a lokaj zabrał się za oczyszczanie i opatrywanie rany, Zora starała się nie krzywić. Po wszystkim podziękowała staruszkowi.

– To ja ci dziękuję – odparł.

Uniosła brwi.

– Za co?

František złapał ją za dłoń i poklepał ją łagodnie.

– Za pokazanie Levieju, że istnieje świat poza jego matką i pragnieniem przypodobania się jej.

Zora przygryzła wewnątrz policzka, nie wiedząc, co powiedzieć. Ale lokaj nie oczekiwał komentarza. Nucąc coś pod nosem, zaczął sprzątać miejsce swojej niedawnej pracy, więc zmysłownica nie chciała mu przeszkadzać. Podziękowała raz jeszcze, pożegnała się i opuściła rezydencję Leviego Draboña.

Wspięcie się na koński grzbiet jej nie przerosło, zrobiła to z typową dla siebie gracją i ruszyła w stronę domu.

25

Odnajdywała ukojenie w naturze. Wiatr chłodzący skórę był jej sprzymierzeńcem, leczył rany na jej nieśmiertelnym ciele. Promienie słońca dawały jej siłę, a dotyk trawy na nagich stopach przypominał jej o czasach, kiedy istniała i nie istniała jednocześnie.

Widziała ciemne kamienice nachylające się ku sobie nad brukowaną uliczką jak dwaj starzy przyjaciele spotykający się na pogawędkę. Ale wystarczyło mrugnąć, by przed oczami stanął jej obraz drewnianych budynków, błota między nimi oraz brudnych dzieci żebrzących pod ścianą.

– Księgi mówiły co innego, księgi mówiły co innego, księgi mówiły co innego – mamrotała do siebie jak mantrę, siedząc na brązowym dachu i obserwując. Ludzi. Konie. Bogaczy. Żebraków. Kruki. Muchy. Nic jej nie umykało.

– *Księgi kłamią.*

– Ludzie kłamią.

– *Tak. A księgi są pisane przez ludzi. Nie wierz we wszystko, co czytasz.*

W jej umyśle rozbrzmiał drwiący śmiech.

– *Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co czytasz.*

– Zamknij się – syknęła.

Śmiech przybrał na sile.

– To nie tak miało być – wyszeptwała, kuląc głowę w ramionach.

– *Ja też spodziewałem się czegoś innego.*

– Chciałeś mnie zmiażdżyć. – Nie mówiła tego ani z wyrzutem, ani z gniewem, ani nawet ze smutkiem. Przywykła już do tej myśli.

– *Tak. Tak powinno być. Silniejsza dusza niszczy słabszą duszę.*

– Nie jestem słaba.

– *I przez to oboje już na zawsze będziemy nieszczęśliwi.*

– To ja miałam okiełznać ciebie.

Odpowiedział jej tylko śmiech.

Istota zrodzona z popiołu i z prochu, z krwi i z ognia, z duszy i z ciała zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie będziemy nieszczęśliwi. – Z jej głosu spływała moc silniejsza od niej samej, pochodząca z miejsca, do którego nie miała dostępu, z czasów, których nie miała prawa pamiętać. – Będziemy najsilniejsi. Jesteśmy najsilniejsi.

– *Ci głupcy chcą cię powstrzymać.*

Tym razem to ona pozwoliła sobie na chrapliwy śmiech.

– Niech spróbują. Niech spróbują.

Jej słowa porwał wiatr, powtarzający echem zasłyszane wieści od dachu do dachu, od ściany do ściany, od drzewa do drzewa i od ucha do ucha.

Ale nikt nie słuchał.

26

Zora zamarła w wahadłowych drzwiach między kawiarnią a kuchnią na widok rozluźnionych pleców Leviego. Koszula opinała mięśnie jego ramion, a uprasowana ciemna kamizelka pasowała do jego starannie ułożonych włosów. Siedział na swoim miejscu, a laska ze złotą gałką stała oparta o drewniany stół obok niego. Wyciągał szyję, próbując dostrzec coś w głębi lokalu, między meblami i roślinami. Zmysłownica podeszła do niego i zajęła miejsce naprzeciwko. Jego spojrzenie natychmiast się na niej skupiło.

– Żyjesz – powiedział ze zdziwieniem.

Zora parsknęła.

– Nie musisz już brzmieć na takiego zszokowanego.

Mężczyzna odchrząknął, a żeby ukryć zakłopotanie, zlustrował swoją towarzyszkę wzrokiem. Dokładnie i uważnie, w starym stylu. Zora poczuła, że się rumieni.

– Miałeś już się tak na mnie nie gapić – syknęła.

– Naprawdę? – spytał, leniwie przeciągając samogłoski.

Zora pstryknęła palcami tuż przed jego nosem, wywołując w nim śmiech.

– Ładnie dzisiaj wyglądasz – wymruczał.

Ku jej utrapieniu gorąco na twarzy się zwiększyło. Postanowiła je po prostu ignorować, tak jak przesywający wzrok Leviego.

W międzyczasie Vit przyniósł zmysłownikowi kawę, przy czym uśmiechał się od ucha do ucha.

– Słyszałam, że Dusa zaatakował i że straciliście strażniczkę – zaczęła spokojnym tonem, mając nadzieję, że sprowadzi tę rozmowę na odpowiednie tory.

– A ja słyszałem, że znowu dałaś się zranić.

Wyciągnął rękę w jej stronę, jakby chciał jej dotknąć, ale ostatecznie położył dłoń na blacie wierzchem do dołu. Zora przelotnie zerknęła na jego palce, długie i rozpraszające. Zabrakło jej tchu, gdy wyobraziła sobie, że ich dotyka.

Levi Draboń nieustannie mieszał jej w głowie.

Nie podobało jej się to.

– Tylko trochę – podjęła po chwili, przegrywając z pragnieniem.

Od niechcienia uniosła dłoń i zastukała paznokciami w drewno, po czym położyła ją płasko na stole. Blisko, ale wciąż za daleko.

– Co się stało? – zapytał chrapliwie.

– Zaatakował mnie bies – wyjaśniła z roztargnieniem, czując, jak serce waliło jej w piersi. Gorzej niż podczas ucieczki. To nie świadczyło o niej dobrze.

Uspokój się. Do wszystkich duchów, przecież to tylko dłonie.

Już jej dotykała. Więc dlaczego teraz kręciło jej się w głowie na myśl o fizycznym kontakcie?

– Zoro Muškatoва... Jesteś chodzącym magnesem przyciągającym zagrożenie.

Zmysłownica nieśpiesznie uniosła rękę, a puls na szyi zaczął szaleć. A potem zrobiła coś absurdalnego, bo położyła swoją dłoń na jego. Jego palce od razu zacisnęły się na jej miękkiej skórze, a po plecach przeszedł rozkoszny dreszcz. Powietrze ugrzęzło w płucach, gdy odważnie zmierzyła się z palącym, bladoniebieskim wzrokiem mężczyzny.

– Levi.

– Zoro.

Z trudem przełknęła ślinę. Przez chwilę straciła panowanie nad buzującą pod skórą mocą i ich dłonie zniknęły ze stołu. To wprawiło ją w przerażenie, więc wzięła się w garść i wszystko wróciło do normy. Drabon uśmiechnął się krzywo i z satysfakcją.

Zora zabrała rękę, walcząc z dojmującym poczuciem straty. Pod stołem zacisnęła palce na nieco szorstkim materiale granatowej spódnicy.

Odetchnęła.

To wszystko dlatego, że Levi też był hmatowym. Nie widziała innego wyjaśnienia. Ona polegała na dotyku, on też, więc to oczywiste, że razem tworzyli coś, co mieszało jej zmysły.

– Dobrze, że tu jesteś – wyznała opryskliwie. – Im szybciej złapiemy Dusę, tym szybciej nasze drogi się rozejdą.

– Tak. Jeśli tego właśnie chcesz.

Czy ona usłyszała... to, co usłyszała? Jej czoło przecięła zmarszczka.

– Udało ci się wypełnić twoją część planu? – Levi z uniesionymi kącikami ust wyrwał ją z zamyślenia. Uniósł filiżankę i upił łyk kawy.

– Tak.

– Świetnie. Lubię, gdy wszystko idzie po mojej myśli.

Czy to jest jego mantra?, pomyślała Zora złośliwie. *Bo wypowiada ją zadziwiająco często.*

– A twoja część planu?

– Artefakty są bezpieczne, jeśli o to pytasz. Złoty Dom Aukcyjny ich pilnuje. Natomiast co do reszty... Tak, Dusa nas zaatakował, a ja raniłem go w plecy. Nie wiem, czy rzeczywiście wyrządziłem mu jakąś szkodę, bo zniknął i już się nie pojawił.

– Słyszałam, że w walce zginęła strażniczka – powtórzyła zmysłownica ostrożnie, uważnie spoglądając w twarz Lewiego. Od razu dostrzegła, jak posmutniał i wbił zamglony wzrok w kruka wymalowanego na filiżance.

– Miała na imię Agata. Dusa ją postrzelił.

Zora kiwnęła głową, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powinna dodać. Zamiast tego odchrząknęła i zerknęła na Vita, który sam obsługiwał klientów. Ledwo się wyrabiał. Powinna do niego wrócić, ale jej nogi nawet nie drgnęły, zachowując się jak przyklejone do podłogi.

– Co teraz? – zapytała.

– Złoty Dom Aukcyjny planuje zorganizować z artefaktami aukcję. Do tego czasu powinniśmy spodziewać się włamania.

– Nie powinniśmy wziąć pod uwagę pojawienia się Dusy na aukcji?

Levi zmarszczył brwi.

– Tak, dobry pomysł. Powinniśmy być przygotowani na wszystkie opcje. Mamy sojuszników w domu aukcyjnym. Moglibyśmy tam pójść jutro i wszystko jeszcze raz, dokładnie obmyślić.

Zora przytaknęła, patrząc na stygnący na stoliku napój.

– Nie pijesz kawy? – spytała roztargniona, znowu spoglądając na ladę.

Vit przywoływał ją gestem ręki, a w jego ruchach kryła się panika.

Zmysłownica zdusiła westchnienie.

– Wolałbym mieć w ustach coś innego.

Zora tak szybko obróciła głowę, że coś strzyknęło jej w karku.

– Co takiego? – wyrwało jej się.

Levi przechylił głowę i uśmiechnął się psotnie.

– Powiedziałem, że na mnie czas. – Wyglądał na rozbawionego, gdy chwycił laskę i wstał. – Zobaczymy się jutro. – Kiedy przechodził obok niej, przystanął i nachylił się nad jej włosami. – Już nie mogę się doczekać.

Szybki rytm serca Zory sygnalizował, że i ona odliczała już minuty.

Złoty Dom Aukcyjny przywodził wspomnienia. Ładne obrazy i lustra w złotych ramach wiszące na ścianach, ciemna wykładzina na podłodze, jasne listwy wykończeniowe i dziwny zapach wiszący w powietrzu, mieszanka świeżej ziemi i wosku – to wszystko przypominało Zorze o tym, że kiedyś spotkała tu Leviego. Została wciągnięta przez niego do saloniku. Miała wrażenie, że było to dawno temu, ale gdyby przeliczyła dni, mogłaby się zdziwić.

Levi zajmował jedno z miejsc przy okrągłym stole w jednym z pomieszczeń budynku. Pochylał się nad zeszytem z piórem w ręce w sposób, który Zorze zaczynał wydawać się

znajomy. Obserwowała go z jakąś dozą tęsknoty za tym, czego nigdy nie będzie mieć, ale gdy próbowała zdefiniować to „coś”, w jej umyśle pojawiała się pustka.

Oprócz niego przy stole zasiadała Vanda, ciemnoskóra kobieta w spiętych włosach i w jasnej sukni, Klement z bujnym zarostem i siwiejącymi włosami, Marika z piegami na jasnym nosie i burzą ciemnych kręciołków na głowie oraz Kamil o sceptycznym spojrzeniu i dorodnym wąsie nad pełną wargą.

Zarząd ZDA w komplecie.

Zora głównie przysłuchiwała się dyskusji. Każdy z członków dyrekcji miał jakiś pomysł i wizję na to, co powinni zrobić z artefaktami. Zmysłownica czuła się tu niekomfortowo, najchętniej wtopiłaby się w cień, jaki utworzył się pod oknem, w miejscu, do którego nie docierało światło słońca. Ubrana w zwykłą koszulę i spodnie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie pasowała do tego towarzystwa wystrojonego w kunsztowne szaty i drogą biżuterię.

Szara dziewczyna wśród złotej szlachty, pomyślała zgryźliwie. Jeszcze sto lat temu takie spoufalanie się klas byłoby nie do pomyślenia. Teraz zdarzało się coraz częściej i z większym społecznym przyzwoleniem, chociaż nikomu nie weszło to w nawyk.

– Zoro.

Wyrwała się z zamyślenia i złapała bladoniebieski, odrobinę rozbawiony wzrok. Odchrząknęła.

– Tak?

– Mówiłem, że Irma Hajnova przysłała prośbę o znalezienie się na liście gości. Albo chce nas zmylić, albo naprawdę zamierza pojawić się na aukcji.

Mieli tylko nieco ponad tydzień na przygotowania. Mniej, jeśli Dusa postanowi zaatakować zaplecze domu aukcyjnego.

– Przyjdzie na aukcję – oznajmiła z namysłem.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał od razu Kamil.

– Przeczucie – wyjaśniła z przekąsem. – Nie mam pewności. Ale czuję, że pojawi się na aukcji. To będzie jej pierwsze, oficjalne wejście jako najpotężniejszego kolekcjonera w mieście. Ona... On chce aprobaty, chce chełpić się swoim statusem, chce, żeby go podziwiano i mu zazdrozczono.

Jej słowa zawisły w powietrzu.

– Może to myślenie życzeniowe – zauważyła Vanda. – Czyż nie łatwiej będzie ją pokonać na aukcji?

– I tak, i nie – wtrącił Levi, odchylając się na krześle. – Wszystko ma swoje wady i zalety, Vando.

Kobieta ściągnęła brwi z irytacją. Od początku spotkania nie pałała sympatią do Dra-
boña, a on ją ciągle prowokował. Zorze się to nie podobało.

– Najważniejsze to zabezpieczyć zabytki – skwitował Klement. – Możemy przedysku-
tować sposoby, by jeszcze wzmocnić ochronę.

Więc tak zrobili. Podwoili strażę. Levi udostępnił im Dozorcę, choć nie był pewien,
czy ten poskutkuje, jako że ostatnio zawiódł. Zarząd postanowił na czas przygotowań
nocować w budynku. Do tego Zora zaproponowała, żeby ktoś nosił przez ten czas pier-
ścień, a na miejsce autentycznego podstawił fałszywkę. W ten sposób w razie skutecz-
nego włamania uratuje się przynajmniej jeden artefakt. Marika zgłosiła się na ochotni-
ka.

Levi uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, jak tylko ten pomysł opuścił jej umysł
i rozprzestrzenił się pomiędzy innych. W odpowiedzi kącik jej ust drgnął.

Słońce przemknęło po wyjątkowo czystym niebie i chowało się za horyzontem, gdy
wreszcie skończyli obrady. Jutro mieli jeszcze wprowadzić ostatnie poprawki, ale w tym
Zora nie miała już brać udziału. Najważniejsze, że przygotowali się na każdą sposob-
ność. A pewnych rzeczy nie wiedział nawet zarząd – sposób na unieruchomienie Dusy
Zora z Levim zostawili dla siebie.

Nie chodziło o to, że nie ufali członkom zarządu. Jednak przezorny zawsze ubezpie-
czony.

Kiedy opuszczali Złoty Dom Aukcyjny w aurze mgły i półmroku, zmysłownica miała
wrażenie, że połączyła ich jakaś nić zaufania. Wspólne sekrety. Wspólne plany. To na-
pawało ją ekscytacją i poczuciem przynależności do czegoś, w czym chciała uczestni-
czyć. Zerknęła na profil idącego koło niej Leviego oraz na parę wydostającą się z jego
ust i z żalem pomyślała o tym, że w innych okolicznościach mogliby zostać partnerami.

Uśmiechnęła się lekko i z goryczą. Byliby niepokonani. Dusa nie mógłby się równać
z ich duetem. To dawało jej nadzieję na to, że naprawdę zwyciężą w tym starciu.

W stajni każde z nich udało się w stronę swojego konia, po czym wyjechało z posesji
domu aukcyjnego tuż obok siebie. Wieczór był chłodniejszy od wszystkich innych,
a ziąb dostawał się pod kołnierze płaszczy.

– Chyba niczego nie pominęliśmy? – spytała Zora, gdy spokojnie przemierzali ulice
miasta, a stukot kopyt roznosił się echem po okolicy.

– Nie sędzę.

Nie rozmawiali więcej, a po chwili ich drogi się rozeszły. Pożegnali się skinieniem głó-
wy, choć Levi po kilku krokach ściągnął lejce, odwrócił się i obserwował sylwetkę Zory
na koniu, aż zniknęła we mgle.

Ostatnio podjął pewne decyzje. Zamierzał wprowadzić je w życie tuż po tym, jak unieszkodliwił Dusę. Uśmiechnął się, ruszając w stronę domu.

To będą dobre zmiany.

Tydzień zleciał jak z bicia strzelił. Zora miała na sobie fioletową suknię z trenem, zwężającą się w pasie, ozdobioną cekinami przy bardzo głębokim dekolcie. Emil upiął jej włosy na czubku głowy, nałożył róż na policzki i podkreślił rzęsy tuszem.

Sunąc korytarzami Złotego Domu Aukcyjnego, Zora nie przejmowała się strojem. Ograniczał jej ruchy i irytował ją, ale pod spodem miała już założone spodnie i koszulę. W razie potrzeby pozbędzie się sukni i od razu będzie przygotowana do tego, by walczyć – choć bitwa w ich planie miała być ostatecznością. Mimo tego pod fałdami materiału ukryła też sztylet.

Spacerowała po budynku w całkiem dobrym humorze.

Z naprzeciwka szła piegowata Marika w olśniewającej niebieskiej sukni. Zatrzymała się na widok Zory.

– Wszystko w porządku? – spytała z uśmiechem.

– Tak – mruknęła Zora. – A reszta?

– Bez zmian. – Marika uniosła dłoń i poklepała zmysłownicę po ramieniu. Przez cienką tkaninę Zora wyczuła pierścień. – Goście już się zbierają, ale kolekcjoner nadal się nie pojawił.

– Już niedługo. Wszyscy na miejscach, jak rozumiem?

Kobieta kiwnęła głową.

– Vanda jest już za kulisami i przygotowuje się do roli prowadzącej. Kamil jej pomaga. Klement sterczy na zapleczu. A Levi stoi przy drzwiach.

Teraz pozostało im tylko czekać.

– Dobrze. Idę. W końcu to my mamy być doręczycielkami wieści.

– Właśnie. – Marika posłała jej ostatni uśmiech i ruszyła dalej, a burza jej kręconych włosów się zakołysała.

Zora skręciła za róg i ku swojemu zdumieniu spostrzegła idącego w jej kierunku Levia. Jej serce przyspieszyło i to bynajmniej nie na widok jego dobrze skrojonej marynarki czy idealnie leżących na nim spodni. Skoro on tu był, to znaczyło, że Irma... Levi uśmiechnął się na jej widok i złapał ją za nadgarstek, ciągnąc w stronę, z której przyszła.

– Co? Co się dzieje? – Patrzyła z niepokojem na jego profil.

Nie odpowiedział ani nie zwalniał.

– Levi, co się stało?

Zaczynało ją irytować, że ją ignorował i kazał za sobą iść jak psu. Zamierzała wbić obcaszki sznurowanych butów w podłogę, ale wtedy Drabon przenetnął przez ścianę po prawej. Zora miała tylko ułamek sekundy na zamknięcie oczu i wstrzymanie oddechu. Zmarszczyła brwi na widok dwóch kanap, stolika i dużego regału ciągnącego się pod ścianą. Wszystko zostało utrzymane w ciepłych odcieniach żółtego z domieszką zieleni, a motyw kwiatów zdawał się tu wylewać z każdego kąta.

Od razu rozpoznała to pomieszczenie.

– Pamiętasz? – szepnął.

Zora zamrużyła, walcząc z falą dezorientacji i wspomnień.

– Niby co? Jak mnie nie pocałowałeś? – Nie mogła się powstrzymać. – Czy to, jak mnie zostawiłeś?

Z jego gardła uciekł śmiech, a oczy zmarszczyły się w kącikach.

Zmysłownica krótko westchnęła i potrząsnęła głową.

– Co my tu robimy? – zapytała rzeczowo, opierając dłonie o biodra.

Levi skrzywił się lekko i podrapał się po gładkim podbródku. Przez chwilę wydawał się rozdarty i winny. Zora zaczynała być podejrzliwa.

– Levi? – ponagliła go. – Nie mamy na to czasu.

Odwróciła się, ale mężczyzna złapał ją za łokieć i ponownie odwrócił w swoją stronę. Jego spojrzenie złagodniało, a dłoń, która dotknęła jej policzka, przyniosła kojące ciepło i obietnicę bezpieczeństwa. Zora na krótką chwilę przymknęła powieki, pozwalając, by wrażenie dotyku rozprzestrzeniło się po całym jej ciele. W głowie jej od tego zaszumiło, a zapach drzewa sosnowego przyjemnie ją ukoił.

– Zostań tu, Zora. – Zesztywniała. – Nie musisz walczyć. Nadal jesteś ranna. Dopiero co zdjęto ci szwy...

Odepchnęła go ze złością, czego ewidentnie się nie spodziewał. Sapnął, podczas gdy ona ruszyła do wyjścia, stawiając długie kroki. Za sobą usłyszała przekleństwo, a po chwili Levi znowu chwycił ją za łokieć i obrócił w swoim kierunku.

– Zora. Nie wściekaj się. – Ten pokojowy ton jeszcze bardzo ją rozjuszył. – Ja się tylko o ciebie martwię.

– Wiesz, twoje uczucia względem mnie zmieniają się jak chorągiewka na wietrze – zdrwiła i zaczęła wyliczać na palcach. – Grozisz mi, martwisz się, grozisz mi, martwisz się. Zgodnie z tą sinusoidą niedługo zaczniesz mi grozić.

– Nie zapomnisz mi tego. – Westchnął.

Czego?, chciała krzyknąć. Tego, jak mnie zmuszałeś do kradzieży Figurki Założycieli? Do szpiegowania Krakavców? Jak mnie oskarżałeś o udział w morderstwie twojej matki?

– Nie o to chodzi – powiedziała głosem podszytym furją. – Ciężko ci zaufać, Levi. Do tego wiecznie się rządź, próbujesz rozstawiać mnie po kątach, traktujesz jak... jak część swojej kolekcji. Dosłownie od pierwszej chwili naszej znajomości.

– Gdybyś zachowywała się racjonalnie, nie musiałbym cię do tego zmuszać.

– Jestem racjonalna!

– Teraz też? Kiedy pchasz się do walki, do której nie jesteś przygotowana? Z raną na brzuchu i na ramieniu?

– Jak chcesz zrealizować nasz plan beze mnie? Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to nawet nie będziemy walczyć. Dam sobie radę.

Jego spokój stopniowo wypierała irytacja. Potrząsnął ją za łokieć, który nadal trzymał w żelaznym uścisku.

– Nie mówię, że nie dasz! Mówię tylko: jakim kosztem?

– Każdym! – Podniosła głos. – Każdym, byle tyle ją powstrzymać!

– Przysięgam, jesteś najbardziej nieznośną osobą, jaką znam!

Spiorunował ją wzrokiem, puścił jej rękę i oddalił się na parę kroków, wplątując dłonie we włosy. Wpatrywała się w jego plecy, podejmując decyzję. Zacisnęła szczękę i ruszyła do niego. Odwrócił się, gdy ją usłyszał.

– Ja? – Dźgnęła go palcem w pierś, aż cofnął się o krok. – Ja jestem nieznośna? – Szturchnęła go znowu, zapędzając go pod ścianę. – To ty jesteś najbardziej upierdliwym, męczącym, zuchwałym, impertynenckim, nieuprzejmym, niekulturalnym...

Wybił ją z rytmu, gdy chwycił jej twarz w dłonie. Zapowietrzyła się, widząc jego pełne żaru oczy.

– Dość tego – warknął. – Zostaniesz tutaj.

– Nie ma...

Schylił głowę i przycisnął swoje wargi do jej, sprawiając, że połknęła wszystkie sylaby. Spodziewała się, że tylko ją cmoknie ich dziwnym zwyczajem, ale on się nie cofał. Wręcz przeciwnie. Przyciągał ją do siebie, a jego delikatne usta kusiły ją, by zareagowała. Rozchyliła wargi chyba bardziej z zaskoczenia niż z chęci kontynuowania, ale kiedy ich języki się spotkały, a Levi zamruczał, przestała walczyć z tym pragnieniem. Tępy ból, promieniujący od brzucha i ramienia, odszedł w zapomnienie.

Naparła na niego, przycisnęła go do ściany i wplątała mu dłonie we włosy, burząc ich staranne ułożenie. Zdobyła się nawet na mały, pełen satysfakcji uśmiech między pożądliwymi pocałunkami, jakimi wzajemnie się obdarowywali. Levi przesunął dłońmi po jej szyi i piersiach, obejmując ją mocno, aż między nimi nie pozostał nawet centymetr wolnej przestrzeni. Zorze szumiało w uszach, a w żyłach płynęła czysta rozkosz. Jakże

ona tego pragnęła... Po takim czasie odmawiania sobie tej przyjemności teraz się nią zachłysnęła i czerpała z niej garściami.

Muskała palcami jego policzki, szyję i ramiona, po czym wsunęła dłonie pod marynarkę. Wtedy Levi złapał ją za nadgarstki i znieruchomiał, przerywając ten szaleńczy, pełen pasji pocałunek. Spojrzał na nią zamglonymi oczami i jęknął cicho. Nadal ją trzymając, opuścił ich ręce, tworząc między nimi przerwę, która nie spodobała się Zorze. Dyszeli, a ich serca były w przyspieszonym rytmie. Przysłonięty pożądaniem umysł Zory i jej szalejący puls na szyi nakazały jej powtórkę. Tym razem to ona odszukała swoimi ustami jego usta.

Do wszystkich duchów. Mogłaby to robić codziennie.

Levi miał chyba inne zdanie na ten temat, bo ponownie się odsunął i puścił nadgarstki Zory. Kiedy zmysłownica uniosła powieki, na rozgrzanych policzkach poczuła tylko powiew chłodu, który pozostał w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał Draboń.

Ten drań przeniknął przez ścianę. Zostawił ją i uciekł.

Zaparło jej dech w piersi z szoku, złości i zranienia.

Tępo gapiała się na ścianę, aż uderzyła w nią pięścią. Od razu syknęła, gdy odezwała się rana na ramieniu. Nie zważała jednak na żadne urazy i podbiegła do drzwi. Szarpnęła za klamkę, a jej nos niemal rozkwaśił się na drewnie. Przeklęła. Oczywiście, że były zamknięte. Levi miał w zwyczaju zamykać ją w różnych pomieszczeniach jak niewolnicę.

Jej wzrok przesłoniła furia. To uczucie wypierało powietrze z płuc i studziło krew w żyłach w ekspresowym tempie. Z rozmysłem wyjęła z fryzury szpilkę i z zimną determinacją wymalowaną na twarzy włożyła ją w zamek.

27

Sala aukcyjna wypełniła się gośćmi, którzy zajęli krzesła obite złotym materiałem. Elegancko ubrani przybysze emanowali bogactwem i prestiżem. Levi skanował ich wzrokiem, ale nigdzie nie widział niskiej czarnowłosej kobiety przy kości, która mogłaby pasować do opisu Zory.

Tamtej nocy, gdy Dusa zastrzelił Agatę, nie widział jego twarzy, gdyż przysłał go kaptur.

Uśmiechnął się lekko, choć z poczuciem winy, na myśl o Zorze Muškatovej. Wiedział, że tego zamknięcia mu pewnie nie przebaczy, a przynajmniej nie od razu. Nie dbał o to. Obchodziło go tylko to, że była bezpieczna i nic jej się dzisiaj nie stanie. Gdyby sama pomyślała rozsądnie, wiedziałaby, że nie nadaje się do walki. Jej zębra, brzuch i ramię powinny się spokojnie zagoić. Poza tym Zora nie była wojowniczką! Jej specjalnością jest unikanie i chowanie się, do wszystkich duchów. Z nich dwóch do walki lepiej przystosowany był Levi. To jego matka posyłała na boks i szermierkę, regularnie ćwiczył też strzelanie do celu.

Panował nad sytuacją. Mógł udźwignąć to bez Zory, zrealizować plan bez niej, wszystko przemyślał. Wiedział, że będzie ciężej, ale nie było to niewykonalne.

Pozostało mu czekać na przybycie gościa numer jeden.

Marika stanęła przy nim przy drzwiach, skąd miał dobry widok zarówno na salę, jak i na wejście do budynku.

– Widziałeś gdzieś Zorę? – spytała zmartwiona.

– Tak – westchnął. – Nic jej nie jest, ale jest obecnie... niedysponowana.

– Co takiego? – Przez piegi i słodki głos Marika przypominała kogoś młodego i nieszkodliwego, ale jej spojrzenie potrafiło zdradzić doświadczenie, jakie zdobyła wraz z wiekiem. – Co zrobiłeś?

– Upewniłem się tylko, że będzie bezpieczna.

Marika pokręciła głową i trzepnęła go dłonią w pierś.

– Głupcze.

– Co takiego? – powtórzył jej słowa na poły z rozbawieniem, na poły z konsternacją.

– Z daleka widać, że Zora Muškatova znaczy dla ciebie wiele. Ale, na wszystkie duchy, izolowanie jej nie jest sposobem, w jaki zdobędziesz jej przychyłność. – Brzmiała jak strofująca matka, co wywołało ukłucie bólu w jego sercu.

– Nie staram się zdobyć jej przychyłności – odpowiedział z łagodną irytacją. – Chcę tylko, żeby nic się jej nie stało.

– A więc nie wybrałaś dobrej drogi – wyznała, unosząc brew. Dawała mu znać, że uważa go za ostatniego idiotę, co przyjął z beztroskim spokojem. – Wracając do tematu, po kolekcjonerce nie ma śladu?

– Nie.

– Aukcja rozpocznie się lada chwila. Vanda już się niecierpliwi.

– Więc rozpocznijmy. Może nasz kolekcjoner chce mieć wielkie wejście.

Marika potaknęła i ruszyła naprzód sali, by wślizgnąć się za kulisy, gdzie dreptała nerwowa Vanda w towarzystwie Kamila. Na ciele kobiety mieniła się zielona sukienka, a mężczyzna miał na sobie zwykły garnitur.

– Już czas – powiadomiła ich Marika.

Vanda odetchnęła, odebrała od Kamila plik kartek i wyszła na scenę, stając za mównicą. Na wystawionym obok postumencie położono pierwszą atrakcję tego wieczoru, czyli stuletni obraz. Nie zamierzali od razu wyciągać najcenniejszych artefaktów.

Tłum się wyciszył, a Vanda, odszukując wzrokiem Leviego, który kiwnął jej głową, rozpoczęła licytację. Słuchała cen i tego, jak zostawały przebijane, aż huknęła młotkiem o drewno i oznajmiła:

– Sprzedane!

Ze sceny zdjęto obraz, zastępując go zardzewiałym mieczem z rękojeścią wysadzaną kamieniami szlachetnymi.

Aukcja trwała, a Dusa się nie pojawiał. Levi poczuł krople potu na karku. Co, jeśli się pomylili? Co, jeśli zostaną przechytrzeni? O czym nie pomyśleli? Co przeoczyli? Jak echem wróciło do niego pytanie Zory: *Chyba niczego nie pominęliśmy?*

Nie był już teraz taki pewien.

Założyli, że Dusy łatwiej będzie zdobyć zabytki na aukcji, wszystkie za jednym zamachem. Ale może się przeliczyli? Może wolał poczekać i ukraść je pojedynczo?

Levi przygryzł wewnątrz policzka, popadając w coraz większą nerwowość. Po raz kolejny przeskanował wzrokiem salę i okoliczne korytarze, aż jego uwagę zwróciła postać w cieniu. Ściągnął brwi, gdy kształt wydał mu się znajomy i zaraz popadł w złość, gdy domyślił się, na kogo patrzył.

Przeklęta, nieznośna, krnąbrna... Miała tylko zostać w bezpiecznym miejscu! Czy prosił o tak wiele? Zamierzał podejść do niej i przemówić jej do rozumu, ale szmer przebiegający między gośćmi go zaalarmował. Zamarł i zaraz też dostrzegł winowajcę zamieszania: na środku przejścia między krzesłami powoli materializował się człowiek. Najpierw widać było stopy, potem kolana, biodra, szyję i wreszcie głowę. Levi miał widok na tę kobietę od tyłu, ale pasowała do opisu: niska, przysadzista i o czarnych wło-

sach. Srebrna sukienka, w którą była ubrana, odkrywała nawet ciemne tatuaże wijące się po jej ramionach.

Dusa błyszczał i lśnił. Przyciągał wszystkie spojrzenia i napawał się niepokojem, jaki wywołało jego najście.

Nie sprawiał wrażenia rannego.

– Nie obawiajcie się – rzuciła aksamitnym głosem, idąc w stronę podwyższenia.

Levi zmarszczył brwi. Przysięgłby... Chociaż nie. Skąd miałby znać ten głos? Nigdy wcześniej nie spotkał Irmy Hajnowej.

– Nie zrobię wam krzywdy – dodała i roześmiała się głośno, czym wprowadziła wszystkich w jeszcze większy popłoch. – Oczywiście pod jednym warunkiem.

Marika już zakradała się do tylnych rzędów i szeptem prosiła zebranych o opuszczenie sali. Powoli. Po cichu. Goście stopniowo wychodzili.

– Oddajcie mi artefakty – zwróciła się bezpośrednio do Vandy, która stała sztywno wyprostowana.

– To aukcja – oświadczyła ostro. – Jeśli chcesz coś kupić, licytuj.

– Chcę zabrać to, co mi się należy!

Ona oszalała, przemknęło Leviemu przez myśl.

– I żadne z was mnie nie powstrzyma – uzupełniła. – Nawet ty, Levi Draboń.

Dusa odwrócił się i spojrzał prosto na mężczyźnę, a on cały zeszytniał. Opadła mu szczęka, a w umyśle momentalnie zapanował zamęt.

To nie było możliwe.

Sprawdził to.

Nina Wilčekova, jego dawna przyjaciółka i asystentka matki, pracowała w tawernie. Żyła spokojnie. Nie wykazywała żadnych oznak odstępstwa od normy.

– Wyraz twojej twarzy niemal wynagradza mi wszystkie trudy, jakich przez ciebie zaznałam – oznajmiła, unosząc kącik ust w półuśmiechu, po czym znowu zwróciła się do Vandy. Jej policzki uroczo się zaróżowiły. – Oddajcie mi artefakty po dobroci.

Ledwie skończyła mówić i zniknęła, pozostawiając po sobie latające w powietrzu drobinki kurzu. Przez miejsce, w którym stała, przeleciał sztylet. Ostrze wbiło się w ścianę, wibrując niebezpiecznie. Zamroczony Levi, walcząc z narastającym szumem w uszach, spojrzał na Zorę, która wyszła z cienia, z ręką wciąż wyciągniętą do rzutu. Nie miała już na sobie sukni, a czarne spodnie i koszulę. Włosy natomiast zaplotła w warkocz.

Złapała zdumione, rozproszone spojrzenie Leviego i wzruszyła ramionami.

– Musiałam spróbować – wyjaśniła. – Ale teraz się zacznij. Uważajcie!

Reszta gości z piskami i szeptami na ustach opuściła aukcję, a Klement z Wandą i Kamilem zabezpieczali artefakty. Zmysłownica podeszła do Leviego z niechęcią. Trzymała

się na dystans, choć na potrzeby wspólnego celu postanowiła współpracować. Na razie.

– Jak tylko znowu się pojawi, działaj zgodnie z planem – nakazała mu. – I nigdy więcej mną nie dyryguj. Poza tym to było głupie, Levi. Nie dasz sobie beze mnie rady.

Złapał ją za niezranione ramię.

– Coś jest nie tak – wyszeptał, próbując się otrząsnąć. – To nie jest Irma.

Zmysłownica wyrwała się z uścisku i posłała mu badawcze spojrzenie. Wtem jej uwagę przyciągnęło coś za Levim.

– Marika!

Krzyk Zory przeciął powietrze.

Dusa pojawił się u boku piegowatej kobiety i z czułością ujął jej dłoń. Marika wstrzymała oddech i z zaskoczenia cała zeszywniała.

– Zostaw ją!

Irma przechyliła głowę, a w świetle lampy gazowej błysnęło ostrze. Pieszczotliwie przesunęła palcem po pierścieniu; w następnej chwili szybko uniosła nóż i wykonała jeden ruch. To było proste, czyste cięcie, wykonane bez żadnego zawahania.

Marika wrzasnęła i się cofnęła. Przycisnęła dłoń do piersi, potknęła się o nogę krzesła i runęła na ziemię. Niebieska barwa jej sukni pociemniała, rozlewając się plamą od miejsca, w którym trzymała swoją okaleczoną dłoń. Po jej piegowatej twarzy popłynęły łzy.

Irma stała nad nią, trzymając palec, z którego kapwały krople krwi. Marika pobladła i trzęsła się jak liść na wietrze.

– Nie chcieliście po dobroci – stwierdziła Irma. Zabrała pierścień i od razu zniknęła, porzucając odciętą część ciała, której już nie potrzebowała.

Levi patrzył, jak do szlochającej, mamroczącej Mariki podbiegła Vanda. Zora rozplynęła się w powietrzu, a wkrótce ze ściany zniknął też sztylet.

Działaj zgodnie z planem.

Mężczyzna wziął się w garść. Nie mógł pozwolić na to, by duchy przeszłości przejęły nad nim kontrolę. Jego spojrzenie wreszcie się wyostrzyło, a nogi same porwały go w stronę drzwi. Przebiegł korytarzem, wypadając na zewnątrz. W słabym świetle lamp niewiele dostrzegął, ale gdzieś z boku dobiegło go warczenie biesa, trzymanego na uwięzi przez strażników, którym polecili usunięcie się na bok. Mogliby niechcący zniweczyć ich plan, a do tego za wszelką cenę nie mogli dopuścić.

Z ust wydostawała się para, a chłód wdzierał się w każdą przestrzeń między fałdami ubrania. Zwolnił, czując bicie serca aż w gardle. Rozglądał się, stąpając po trawie tak cicho, jak potrafił. Między płynącymi po niebie chmurami raz po raz mrugały do niego gwiazdy.

Głos Zory rozbrzmiał gdzieś dalej i niżej. Levi od razu ruszył w tę stronę, ślizgając się po wilgotnym podłożu. Zbiegł po kamiennych, wyrytych we wzgórzu schodach, niemal z nich spadając. Na polanie niżej spostrzegł dwie krążące wokół siebie sylwetki.

Irma zamarła i zerknęła na niego.

– No, wreszcie – rzuciła, a jej zielone oczy błyszczały w półmroku. – Teraz jesteśmy w komplecie.

Stali za daleko. Musieli ją zwabić bliżej.

Leviemu zakręciło się w głowie, gdy dołączył do Zory. Z niechęcią przyznał przed sobą, że opanowała go ulga. W pojedynkę o wiele trudniej byłoby mu pokonać Dusę.

Niny Wilčekovej.

Zacisnął szczękę. Należało mu się jakieś wyjaśnienie.

– Robisz to, żeby pokonać moją matkę? – wycedził. – Nie masz już komu imponować. Ona nie żyje.

– O czym ty mówisz? – wymsknęło się Zorze.

– Irma Hajnova to Nina Wilčekova, Zoro. Cały czas z nami pogrywała.

Dusa zaśmiał się, rozluźniając ramiona. Levi z Zorą cały czas cofali się, a ich przeciwnik szedł za nimi, pewnie myśląc, że to on zapędza ich w pułapkę.

– Och, tak. Wiem, że nie żyje. I nie chcę jej imponować. Chcę ją pokonać. I upewniłam się, żeby się o tym dowiedziała.

Levi zmrużył powieki.

– Wyraz jej twarzy, gdy dobiłam ją kulką w łeb, był bezcenny – zaszczębiotała.

Wzrok zasnuła mu furia. Ruszyłby do przodu, ale w miejscu przytrzymała go dłoń Zory.

– Niezły z was zrobił się duecik, co? – zachichotała.

– Zamordowałaś moją matkę? – rzucił przez zęby.

Irma machnęła ręką.

– W ramach małej zemsty, tak. Twoja żalosna matka powiedziała mi, że jestem beznadziejna i że nigdy nie będę potężną kolekcjonerką. Powiedziała, że nie mam „tego czegoś”. Po tylu latach wspólnej pracy odstawiła mnie w kąt. Obraziła. – Jej głos stawał się twardszy. – Znieważyla. Nie mogłam na to pozwolić.

– Więc ją zabiłaś?

– Zabiłam, pokonałam, ośmieszyłam, zmanipulowałam. Nazywaj to, jak chcesz. Ale tak. To ja pociągnęłam za spust. Gustav zresztą jakoś długo nie kazał się przekonywać do tego planu. Wiecie, że to on załatwił broń. Czy raczej... – uśmiechnęła się jak kot zaganiający mysz w kozi róg – ...to Zora załatwiła broń.

Levi nic nie mógł poradzić na sztywnienie mięśni. Zora z wahaniem zabrała dłoń, jakby niepewna jego reakcji na te słowa, ale on już to przetrwał i przeanalizował. Jakikolwiek powiązania Zory ze śmiercią Andrei już go nie obchodziły. Powoli docierało do niego, że rzeczywiście mógł odrobinę idealizować matkę.

Co nie znaczyło, że nie doprowadzała go do furii informacja, że wreszcie znalazł jej prawdziwą zabójczynię. Musiał tylko nieco powściągnąć emocje, żeby niczego nie zepsuć.

– Zora, Zora, Zora. – Irma zacmokała. – Zawsze pozostaniesz niewidzialna. Zawsze pozostaniesz popychadłem. Jak nie Gustava, to moim. Jeśli nie moim, to Leviego. Zawsze wykonujesz czyjeś rozkazy i szukasz silniejszych od siebie. Twoja udręka i twój ból są takie zabawne, ale niech będzie. Przyznam ci, że skoro nadal żyjesz, musisz być twardsza, niż na to wyglądasz. Dlatego dam ci wybór. Jeśli nie chcesz stracić swojej nędznej głowy, oddaj mi resztę artefaktów. Widziałas, co zrobiłam z pierścionkiem, odczułaś to, jak cię dźgnęłam nożem. Nie masz ze mną szans.

– Za dużo gadasz – mruknęła Zora odrobinę prowokacyjnie.

Serce Leviego znowu przyspieszyło, a w żyłach popłynął strach. Doszli do tego momentu, którego się tak obawiał.

– Nigdy nie będę z tobą współpracować – dodała.

– Dobrze zatem.

Zniknęła.

Zatrzymali się tuż pod drzewem z rozłożystą koroną i nagimi gałęziami, pozbawionymi liści.

– Nie jesteś popychadłem – powiedział Levi od razu, powstrzymując się od tego, by nie chwycić Zory za rękę i nie zabrać jej daleko stąd. Teraz musieli wytrzymać do końca.

– Daruj sobie.

Draboń westchnął.

– Czy plan...

– Tak.

Nie zdążyli wymienić więcej słów, bo Irma stanęła przy Zorze i przystawiła jej sztylet do szyi. Zanim jednak zadała cios, spojrzała na Leviego.

– Początkowo miałam ci za złe – wyznała.

– Co?

– Co? Jeszcze śmiesz pytać? – Jej głos brzmiał ostro i nieprzyjemnie. – Gdy twoja matka mnie wyrzuciła, nawet nie próbowałeś mnie zatrzymać! Ha, co za ironia losu, co? Gdyby tylko zależało ci na naszej przyjaźni tak ja mnie, nie byłbyś teraz taki samotny.

A ja teraz zabiorę ci jedyną osobę, która mogłaby dotrzymać ci towarzystwa. Zabawne, co? Ciągłe tracisz osoby, na których ci zależy.

– Nie próbowałem? – warknął, przebiegając ostrożnym wzrokiem po jej twarzy i ostrzu dociskany do wrażliwej skóry. Wyjątkowo dobrze ukrywał swój strach o życie Zory. – To ty nie chciałaś! Wysyłałem listy, nalegałem na spotkanie. Odrzuciłaś mnie!

– Jak śmiesz! Kiedy przyszedłem do waszej cholernej rezydencji, służący nawet nie chcieli mnie wpuścić! Powiedzieli, że nie chcesz mnie widzieć!

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałem!

Irma pokręciła głową z rezygnacją.

– Teraz to bez znaczenia. Już mnie nie powstrzymasz. Już mnie nikt...

W jej polu widzenia coś się pojawiło. Irma chciała odsunąć się do Zory, ale tamta, ryzykując poderżnięciem gardła, przytrzymała ją w miejscu. Zmysłownica z paniką zdała sobie sprawę, że miękkie ciało zaczynało wyslizgiwać się z jej palców, ale wtedy znieruchomiało. Sztylet przy jej gardle także zawisł w powietrzu jak wykuty z marmuru.

Levi obserwował to wszystko, wstrzymując oddech.

Kiedy ruszka uczepiona skóry Zory oderwała się od niej, jej oczy spoczęły na Irmie i unieruchomiły ją w miejscu urokiem.

Levi nie mógł w to uwierzyć. To zadziało. To naprawdę podziało!

– Nie ruszaj się – wyszeptała Zora do skupionej wodnicy. Jej zielone, drobne ramiona zaczęły drżeć. – Wytrzymaj.

Wywinęła się z uścisku napastniczki, przystając koło ruszki. Levi znalazł się po jej drugiej stronie, spoglądając na Irmę. W niektórych częściach zaczęła już znikać albo to może srebrzysta suknia tworzyła taki efekt. Jej zielone oczy były szeroko otwarte, a usta rozchylone. Nic nie mogła poradzić na czar ruszki.

– Jesteś genialna – mruknął Levi w stronę Zory.

– Nie ciesz się tak. Jeszcze trzeba... – To słowo nie chciało przejść jej przez gardło.

Wyjęła jednak sztylet i z wahaniem go uniosła. Przełknęła ślinę i podeszła bliżej dawnej przyjaciółki, ale zaraz cofnęła się o krok. Wciągnęła do płuc powietrze i raz jeszcze się zbliżyła, po czym gwałtownie się cofnęła.

– Nie dam rady, Levi. – Posłała mu przerażone, spanikowane spojrzenie. – Ja... nie dam rady. Ona wciąż... Nie mogę tego zrobić.

Wyjął jej broń z dłoni.

– Nie musisz.

Ale kiedy zbliżył się do Niny, on także zamarł, a w gardle stanęła mu gula. Przed oczami widział tylko momenty, które spędzili razem na wspólnych wygłupach czy pakowaniu się w tarapaty.

– Do wszystkich duchów. – Usłyszał za sobą jęk Zory. – Tego nie przewidzieliśmy.
– Zaszliśmy tak daleko – oznajmił zduszonym głosem. – Nie możemy teraz zawieść.
Ona nie przestanie. Zawsze będzie zagrożeniem. Będzie krzywdzić innych. Trzeba ją powstrzymać.

Poczuł, jak na jego dłoni zaciskają się zimne palce Zory.

– Masz rację. – Pociągnęła nosem. – Jeśli było inne wyjście, ja go nie znalazłam.

– Ja też nie.

Zbliżyli się do prowodyrki całego zajścia. Stopniowo unieśli ostrze, czerpiąc otuchę z wzajemnego dotyku. Przystawili broń do jej gardła i odetchnęli jednym rytmem. Razem przesunęli sztyletem po skórze, z której trysnęła krew. Odsunęli się i od Armii, i od siebie, z bólem wymalowanym na twarzach.

Dziwny to był widok. Kobieta stała sztywno, mimo że ulatywała z niej krew, plamiąc piękną, połyskującą suknię, i nie drgnęła nawet palcem. Ale wtedy rusalka straciła kontrolę. Kiedy Irma wzięła urywany oddech, Zora się wzdrygnęła.

Nina złapała się za gardło i upadła na kolana. Zamrugła, próbując stać się niematerialną, ale najwyraźniej nie miała już na to sił. Zamiast tego poświęciła ostatnie zapasy energii, by popatrzeć z nienawiścią na swoich przeciwników, aż opadła twarzą w trawę. Jej ciałem wstrząsnęły ostatnie dreszcze i znieruchomiała. Na dobre.

Zora odwróciła się od tego widoku, a jej pierś falowała. Walczyła z nieprzyjemną falą mdłości.

Dotyk mokrej dłoni przywrócił ją nieco do porządku. Rusalka z białym kwiatem we włosach spoglądała na nią z oczekiwaniem.

– Dziękuję – powiedziała Zora z trudem. Zaczęły jej szczekać zęby. – Spełniłaś swoje zadanie. Wiesz, gdzie mnie szukać?

Wodnica kiwnęła głową.

– Współpraca z tobą była dla mnie zaszczytem – oznajmiła i cofnęła się, aż pochłonał ją mrok.

Levi zawahał się z dłonią nad plecami Zory. Zmysłownica jakby to wyczuła, bo odskoczyła od niego i zlustrowała go wrogim wzrokiem.

– Pójdę poszukać strażników.

Wtem i ona stopiła się z cieniem, a Levi został sam z martwym ciałem u stóp.

Przepełniła go gorycz. Powinien się cieszyć. Właśnie pokonali kogoś, kto im zagrażał. Kogoś opętanego, kto nie wahał się przed niczym dla osiągnięcia swojego celu. Mimo tego Levi Draboń już dawno nie czuł się tak smutny i opuszczony jak w tej właśnie chwili.

28

Reszta wypadków potoczyła się bardzo szybko.

Strażnicy zabrali ciało Niny Wilčekovej, dla innych Armii Hajnovej, i zanieśli je na zaplecze Złotego Domu Aukcyjnego. Dłoń Mariki została opatrzona, choć po jej twarzy nadal płynęły słone łzy. Pierścienia nie udało się odnaleźć, ale dzban i inne zabytki pozostały nienaruszone.

Z tych wszystkich artefaktów utraconych Levi najbardziej żałował Lunuli Tety. Żywił jednak nadzieję, że jeszcze zdoła ją odzyskać – wtedy, gdy odnajdą miejsce, w którym Nina przetrzymywała swój łup.

Rozpoczęło się sprzątanie sali. Do rana budynek lśnił, a krew na zewnątrz zdążyła wsiąknąć w trawę i ziemię. Wszystkie ślady zajścia powoli znikwały, a Levi nie mógł oprzeć się surrealistycznemu wrażeniu, że to się nie wydarzyło. Skoro nie pozostanie żaden dowód, skąd mógł wiedzieć, że sobie tego nie wyobraził?

Potrzebował kajetu, by uporządkować myśli, ale nawet bez pióra zdrowo myśląc część niego podpowiadała mu, że te zdarzenia nie przeminęły bez echa. Nadal przecież nie odnaleziono skradzionych artefaktów, a to, że ran na psychice nie widać gołym okiem, nie znaczy, że nie istniały.

Tuż przed świtem do uszu Leviego dotarły informacje o nadejściu strażników miejskich. Ktoś musiał ich zawiadomić, choć żaden z pracowników ZDA nie chciał się do tego przyznać.

Mężczyzna stwierdził, że przyście strażników miejskich mogło obrócić się na ich korzyść. Problem z ciałem spadnie na nich, choć zmysłownik podejrzewał, że je po prostu spala, zwłaszcza gdy nie znajdą ani miejsca zamieszkania, ani danych rodziny, ani niczego. A tego, że nie znajdą, Levi był pewien. Nina Wilčekova potrafiła zacierać za sobą ślady i wątpił, by cokolwiek zmieniło się po jej śmierci.

Przed odejściem, żeby uniknąć z pewnością nieprzyjemnej konfrontacji ze strażnikami miejskimi, Levi chciał zamienić słowo z Zorą, ale kobieta przepadła jak kamfora. Domyślał się, że wchłonał ją cień, a jej koń zabrał ją już daleko stąd.

Wkrótce Levi także pozostawił w tyle Złoty Dom Aukcyjny, konieczność tłumaczenia rzucając na zarząd. Nikt z nich nie wiedział, kim właściwie był Dusa. Obowiązywała ich również dyskrecja, co dawało Drabońowi pewność, że żaden z członków zarządu nie piśnie ani słowa o udziale jego i Zory.

Kiedy zmysłownik dotarł do swojego domu, senność i zmęczenie rozplynęły się po całym jego ciele. Zbudził stajennego, któremu polecił oporządzenie konia, po czym na

słaniających się nogach ruszył w stronę rezydencji. W holu czekał na niego František, który od razu rzucił się, by złapać za ramię swojego pana. Razem wdrapali się po schodach.

– Kąpiel? – spytał lokaj.

– Później.

Został doprowadzony do łóżka, na które rzucił się w ubraniach, i niemal od razu pochłonął go sen. František stał przez chwilę w progu, z zatroskanym wyrazem twarzy wpatrując się w młodego mężczyznę i jego spokojnie unoszącą się klatkę piersiową. W takich chwilach przypominał mu Ambroža Draboňa, który także zasłynął ze swojej nieustępliwości, poza tym oboje mieli podobny zarys podbródka. Gdy Levi spał w półmroku, František mógłby przysiąc, że zamiast niego na pościeli leży jego dawny przyjaciel Ambrož. I tylko bolące stawy przypominały mu, że tamte czasy bezpowrotnie przeminęły.

Levi poprzysiągł sobie, że to ostatni raz, gdy odwiedził jakąkolwiek siedzibę Krakavców.

Pewnie nie powinien składać sobie takich obietnic, bo życie bywało przewrotne, ale w tamtym momencie zaduch i przytłumione głosy roznoszące się po pomieszczeniach przyprawiały go o gęsią skórę i odruch wymiotny.

Czekał na wezwanie szefa gangu w jednym z ich saloników i ze zmarszczonym nosem przyglądał się palonym fajkom, likierowi i aurze rozpusty. Gdyby nie wiedział lepiej, pomyślałby, że przebywający tu ludzie nie byli zdolni do brutalności czy przemocy, że zależy im tylko na luksusie i swawoli.

Podano mu kieliszek z alkoholem, żeby umilić mu czas oczekiwania, ale nie tknął trunku. Nie chodziło o to, że nie miał ochoty, raczej obawiał się otrucia. Z Krakavcami nic nie było pewne. Mogliby chcieć mu zaszkodzić tylko dla zabawy. Siedział więc w miękkim fotelu, opierając kostkę prawej nogi o kolano, podczas gdy stopa drgała mu niecierpliwie. Palcami jednej ręki podpierał głowę, a drugiej uderzał o podłokietnik. Miał dość tego zapachu i dość rzucanych mu spojrzeń. Nieustannie musiał sobie przypominać, dlaczego się tu znalazł.

Aż wreszcie jeden ze sług Gustava skinął na niego i zaprowadził go do gabinetu. Do pomieszczenia, do którego raz wkradł się z Zorą, a potem ją tu zostawił. Jego żołądek skręcił się nieprzyjemnie na to wspomnienie.

Zamierzał wszystko naprawić.

Gustav wstał na jego widok, ale nie podał mu ręki. Był szerszy w ramionach od Leviego, miał też ciemniejszą skórę i kilkudniowy zarost na twarzy. Zmierzył swojego gościa zaciekawionym spojrzeniem, a po chwili oboje usiedli po dwóch stronach masywnego biurka.

– Przyznam, że twoja wiadomość mnie zaskoczyła, Draboń – zaczął Gustav. Zmrużył lekko powieki, a jego głos przybrał władcze nuty. – Nie sądziłem, że będziesz jeszcze chciał mnie widzieć, a co dopiero ze mną rozmawiać.

– Łączą nas pewne... sprawy – wycedził, starając się rozluźnić szczękę.

– Ach. – Gustav opadł na oparcie fotela, przybierając wszystkowiedzącą minę. – I, jak rozumiem, sprawy te nazywają się Zora Muškátova?

– Dobrze rozumiesz.

Mężczyzna roześmiał się głośno i pokręcił głową. Z szafki wyciągnął dwa kieliszki oraz butelkę likieru i rozlał płyn do naczyń, po czym jedno z nich podał Leviemu. Ten nawet na nie nie spojrzał.

– Coś takiego. Mała, niepozorna Zora jednak wywarła na ciebie jakiś wpływ – stwierdził z rozbawieniem. – No, to jest całkiem zaskakujące. To, że ona ma do ciebie słabość, to było do przewidzenia. Ale ty...

Leviemu nawet nie zadrgała powieka. Siedział z typową dla siebie gracją, a wzrok miał na poły psotny, na poły nieznoszący sprzeciwu.

– Jeśli zależy ci na tym, żeby zaciągnąć ją do łóżka, o ile już tego nie zrobiłeś – szef Krakavców mrugnął do niego – to możesz się rozczarować. Próbowałem ją uczyć sztuki przyjemności, ale nie była za bardzo pojętną uczennicą. Choć, dla oddania sprawiedliwości, muszę przyznać, że ta jej niewinność i zagubienie potrafiły na mnie zadziałać.

Levi zeszywniał i mimo wszystko musiał się czymś zdradzić, czy to spojrzeniem, czy wyrazem twarzy, bo Gustav uśmiechnął się z zadowoleniem i upił łyk likieru, a potem przemówił:

– Nie powiedziała ci – stwierdził. – Nie, pewnie nie. Nasz romans zresztą nie trwał długo. Raptem kilka tygodni, aż mi się znudziło. – Zamilkł, taksując swojego gościa wzrokiem. – Jeśli zamierzasz przeżyć dzisiejszy dzień, Draboń, to albo wyjdź, albo się uspokój.

Jestem spokojny, pomyślał z irytacją.

W takim razie, dlaczego gniew zbierał się tuż pod powierzchnią jego skóry, grożąc wybuchem?

– Chcesz ją wykupić. Spłacić dług jej brata – ciągnął dalej Gustav, dolewając sobie likieru do kieliszka.

– Tak – rzekł Levi przez zaciśnięte zęby.

– To będzie cię dużo kosztować.
– Ile?
– Sześćset tysięcy koron.
– Chcę zobaczyć wszystkie dokumenty i rachunki.
Gustav zatarł ręce.
– Musisz wiedzieć, że zamierzam zwerbować Zorę jako pełnoprawną członkinię, jeśli ją spłacisz – dodał.
Levi zmrużył oczy.
– Próbować możesz – rzucił.
Gustav się zaśmiał.
– Efrem! – wrzasnął chwilę później, a w progu pojawił się jego ochroniarz. – Sprowadź Emila.
Mężczyzna mruknął i zniknął. Levi popadł w zadumę.
– Nawiasem mówiąc, rozmawiałeś już z Zorą o naszym kolekcjonerze? – spytał.
– Nie.
Tym razem to Levi uśmiechnął się chytrze.
– Lepiej to zrób, zanim plotki za bardzo się rozniosą.
Uniósł brwi, widząc, że Gustav zamierzał go o coś dopytać, ale zrezygnował. Od informacji miał innych ludzi.
– No, Emil – rzucił do okularnika, który wślizgnął się do gabinetu. Levi widział go już wcześniej. Zirytowała go jego obecność i wspomnienie jego zażyłości z Zorą. – Przynies wszystkie dokumenty dotyczące długu Zory Muškatovej.
Emil wydawał się zdumiony, ale kiwnął tylko głową. Wrócił niedługo później. Levi od razu zabrał się do przeglądania papierów.

Trzy łyzy potoczyły się po policzkach Zory i spadły na trzymaną przez nią kartkę. Słona woda rozmazała lekko tusz, którym rysownik naszkicował portret jej, Dany... i Irmy. Na ilustracji stała w środku, na jej szyję zarzucała ramię Dana, a Irma wychylała się lekko do przodu, robiąc zeza. Przesunęła kciukiem po tej ostatniej, aż nie mogła znieść widoku jej twarzy i odłożyła rysunek dołem do blatu.

Od trzech dni chowała się w swoim pokoju, wymawiając się przeziębieniem. Musiała kiedyś zejść z poddasza, iść na swoją zmianę w kawiarni, pójść do Gustava i zdać mu relację, ale jeszcze nie potrafiła.

Rzeczywistość dogoniła ją jednak szybciej, niżby chciała.

Służąca zapukała do jej drzwi, mówiąc, że w kawiarni czeka na nią gość.

– Ma laskę ze złotą gałką? Ciemne włosy? – Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie, panienko. To blondyn w okularach.

Rozczarowanie walczyło w niej z ulgą. Otworzyła usta, każąc go odprawić, ale zamknęła je, zastanawiając się nad sytuacją.

– Dobrze. Zaraz zejdę – powiedziała wreszcie, a po wyjściu kobiety przebrała się w granatową spódnicę z wyszytymi krukami u dołu i bluzkę z koronką przy dekolcie. Ciekawość pchała ją do przodu.

Emil nigdy jej nie odwiedzał. Dlaczego teraz?

Zbiegła po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz, i z impetem wpadła do kawiarni. Jej wzrok najpierw pomknął do lady, ale to nie była pora zmiany Dany. Na myśl o przyjaciółce poczuła ukłucie w sercu, więc odwróciła głowę, dostrzegając Emila siedzącego przy okrągłym stoliku na środku lokalu. Podeszła do niego i opadła na krzesło tuż obok niego.

– To ci niespodzianka – stwierdziła z krzywym uśmiechem.

– Gustav chce się z tobą widzieć – powiedział.

Brwi Zory wystrzeliły do góry.

– Dlaczego nie przysłał mi wiadomości? Jak zawsze?

– Gustav nie wie, że tu jestem. Na pewno jeszcze dzisiaj dostaniesz od niego wiadomość, ale musiałem tu przyjść.

Jego przejęta mina zaczynała wprawiać zmysłownicę w niepokój.

– Coś się stało?

– Tak.

Jej serce niebezpiecznie przyspieszyło.

– Co?

– Zmieniły się zasady gry.

– Co to znaczy?

Emil zacisnął usta, a potem rzekł:

– Nie jesteś już dłużniczką Krakavców.

Chyba się przesłyszała.

– Co ty mówisz?

– Ktoś cię spłacił – dodał Emil z naciskiem.

– Kto?

Blondyn posłał jej spojrzenie pełne politowania.

– Wiesz kto.

Wcale nie. Jeśli to był ten, o kim pomyślała, to... nie miało sensu.

– Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać. Teraz pewnie nie będziemy się widywać.

– Emilu... – Złapała go za dłoń.

– Ja nie mam bogatego sponsora, który by mnie spłacił – dodał z nutą goryczy w głosie.

Wzdrygnęła się na dobór jego słów, ale nie wypuściła jego ręki z uścisku.

– Emilu...

– Albo trzydzieści lat służby, albo milion koron do zapłaty. A to wszystko dla siostry, która już nie żyje. Cieszę się twoim szczęściem, Zoro, ale byłaś jedyną jasną rzeczą u Krakavców. A bez ciebie...

– Pomogę ci – zaoferowała naprędce. – Nie wiem jak, ale nie zostawię cię.

Delikatnie wyrwał się z jej chwytu i schował ręce pod stołem.

– Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać. – Spojrzał na nią ze smutkiem, od którego zabrakło jej tchu. Odchrząknął i poprawił okulary na nosie. – Nie zadręczaj się tym – rzucił lekko i machnął dłonią, umniejszając swoim uczuciom. – Co teraz zamierzasz?

Zakręciło jej się w głowie, a w głowie miała pustkę.

– Ja... nie wiem – wyszeptwała. Pomyślała o Danie, o Irmie, o Levim, o kawiarni i o swoich niespełnionych marzeniach. – Będę musiała to przemyśleć.

Kiwnął głową, ale nagle drgnął.

– Tylko ani mi się waż wstępować do Krakavców. Mówię poważnie, Zoro. Nie rób tego. To nie jest tego warte.

Tyle wiedziała.

Emil zaczął zbierać się do wyjścia.

– To nie jest pożegnanie. – Zora też wstała. – Będziemy się widywać.

Objęła go, zanim zdążył zaprotestować.

– Nie zostawię cię – powtórzyła.

Emil opuścił kawiarnię w lepszym nastroju, niż miał, gdy do niej wszedł.

Zora pognęła po płaszcz. Nie chciała marnować nawet sekundy, więc wciskała ręce do rękawów podczas biegu. Przemierzyła kuchnię i Pohledną Beruškę, ale w drzwiach natknęła na przeszkodę. Niemal zderzyła się z Levim, który automatycznie przytrzymał ją za ramiona, żeby się nie przewróciła. Na jej widok rozciągnął usta w typowym dla siebie, psotnym uśmiechu i włożył dłonie do kieszeni spodni.

– Dobrze. – Kiwnął głową. – Właśnie do ciebie szedłem.

Zora spojrzała na niego z ukosa. Wyszli przed kawiarnię na gwarną ulicę, a zmysłowica ciaśniej opatulila się płaszczem. Nad nimi szyld z nazwą lokalu i prostym rysun-

kiem biodronki kołysał się lekko na żelaznym łańcuchu.

Kobieta nie obejrzała się za siebie ani nie poczekała na Leviego, tylko szybkim krokiem ruszyła zatłoczonym chodnikiem.

– Ejże!

Mężczyzna znalazł się u jej boku i nawet mimo zwykłej, ulicznej wrzawy usłyszała jego westchnienie.

– Musimy porozmawiać – rzekł.

– Nie wiem, czy chcę.

Levi mruknął coś pod nosem, po czym chwycił Zorę pod niezranione ramię i pociągnął w prawo. Wędrowali, mijając innych przechodniów. Draboń zaprowadził ją wąskimi alejkami, ciągnącymi się pomiędzy szarymi kamienicami, aż do małego skweru, wypełnionego bujnymi drzewami i krzewami. Stanęli pod dużym dębem, a ich buty zaszeleściły na odłamkach kory i zeschniętych liściach.

Levi nie mógł się powstrzymać i objął wzrokiem sylwetkę kobiety, uśmiechając się z uznaniem. Zora z trudem powstrzymywała się, by go nie znokautować.

– Spieszę się, więc gdybyś mógł się streszczać... – odparła ostro, zakładając dłonie na piersi i ignorując gorący dreszcz na plecach.

Starannie ignorowała też przebłyski wspomnień własnych rąk burzących tę fryzurę czy napierających słodkich ust. Tamta chwila zapomnienia była całkowitą pomyłką.

– Przepraszam – powiedział wreszcie.

Zora uniosła brwi.

– Za to, że byłeś apodyktycznym kretynek? – podsunęła.

Skrzywił się.

– Tak – przyznał z niechęcią, co niemal ją rozbawiło. – Powinnaś też wiedzieć... Dogadałem się z Krakavcami.

Zmysłownica zeszywniała.

– I spłaciłem twój dług. A raczej dług twojego brata – dodał ostrożnie, uważnie przypatrując się jej twarzy.

Kiedy nie dopatrzył się żadnej reakcji, prychnął ze zdumieniem.

– Ty już wiesz. – Pokręcił głową. – Uprzedził mnie, tak? Ten blondynek.

Pogarda w jego głosie sprawiła, że Zora straciła nad sobą resztki panowania.

– I co teraz, co? Jak to sobie wyobrażasz? Zamieniłeś mi tylko jednego wierzyciela na drugiego!

– Co takiego? – Aż sapnął z oburzenia. – Nie oczekuję, że będziesz mnie spłacać!

– Nie? Więc to jałmużna? Zrobiłeś to z litości? Było ci mnie żal? Wcześniej nie miałeś skrupułów, żeby mi grozić albo mną pomiatać!

– Do wszystkich duchów, Zoro! – Uniósł ręce, ale odsunęła się od niego, zanim zdążył ją dotknąć. – Jesteś teraz wolna! Tylko tego chciałem! Tego i złożenia ci propozycji, żebyś została moją partnerką!

– „Partnerką”, tak? Czym to się różni od sytuacji, jaką miałam u Krakavców?

– Jak to czym? Zapomnij o tym długu! Oferuję ci partnerstwo. Całkowite.

– Czy „partnerstwo” to nowe określenie „niewolnictwa”? – zaszydziła.

Jęknął przeciągle.

– Na wszystkie duchy, znowu źle to rozegrałem. Dlaczego z tobą wszystko jest tak cholernie trudne?

Oboje wzięli głęboki oddech.

– Posłuchaj, Zoro. – Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tym razem Levi był szybszy i przycisnął palec do jej warg. – Nie. Posłuchaj. Nie miałem złych zamiarów. Przepraszam za to, że cię uraziłem. – Cofnął się lekko, wyglądał na strapionego. – Uważam, że ty i ja jako duet jesteśmy niesamowici. Powinniśmy pracować razem. Naprawdę współpracować. Ale do niczego nie będę cię zmuszał. Nie musisz przyjmować mojej propozycji, ale proszę cię chociaż o to, żebyś to przemyślała.

Zmysłownica zmierzyła go wzrokiem, jakby szukając fałszu. Levi dostrzegł w jej wzroku wahanie, które napełniło go nadzieją. Wahanie nie oznaczało natychmiastowej odmowy.

– Potrzebuję partnerki. Samotność... – Przełknął ślinę. – Samotność mnie dobija. A z tobą bardzo dobrze mi się pracowało. Nie jestem bez wad, Zoro. I nie mogę ci obiecać tego, że nie będziemy się spierać, że nie będę próbował narzucić ci mojej woli. Ale jesteś na tyle silna, żeby mi się przeciwstawić, i ten upór, tę determinację bardzo w tobie podziwiam.

Wziął oddech, chcąc powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie zrezygnował. Zamiast tego uśmiechnął się psotnie i zaczął się cofać, stawiając powolne kroki. Nie spuszczał przy tym z niej bladoniebieskich oczu.

Chmury na niebie zgęstniały, aż z jękiem wypuściły z siebie zbędny balast. Pierwsze krople deszczu spadły na policzek Zory Muškatovej, wybijając stały, miarowy rytm. Kobieta stała pod dębem z mętlikiem w głowie i obserwowała oddalającego się od niej mężczyznę, który złożył jej propozycję. Ofertę, która mogła zmienić jej życie. I tym razem byłby to jej wybór.

Levi mrugnął do niej, co irracjonalnie sprawiło, że jej serce zabiło żywiej.

– Będę na ciebie czekał. Wiesz, gdzie mieszkam.

W istocie akurat z tego zdawała sobie sprawę aż za dobrze.



KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

Podziękowania

Nigdy nie napisałabym „Złodziejki artefaktów”, gdyby nie pewien nabór opowiadań do antologii pod hasłem „erotyka w fantastyce”. Szybko się okazało, że opowieść o Zorze i Levim nie nadaje się do tej antologii, ale ich organizatorom jestem za nią bardzo wdzięczna.

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie na Instagramie, którzy pytali o postępy prac nad książką i którzy reagowali na każdą wzmiankę o „Złodziejce”. Szczególne podziękowania należą się Karolinie Przybył @gabinet.slowa. Każdy twój komentarz wywoływał uśmiech, a twoje uwagi do tekstu były na wagę złota. Bez ciebie nie byłoby „Złodziejki” w tej postaci, w jakiej jest teraz. Chcę też podziękować @sm.sofiamaria za każdy przejaw wsparcia, jaki od ciebie dostałam. To dużo dla mnie znaczy!

Pisanie książki zawsze pociąga za sobą ogromny research, nie inaczej było w tym przypadku. Za inspirację do Wielkiej Piątki posłużyły mi notatki z okresu, kiedy studiowałam. Chodzi o zapiski z zajęć o pradziejach powszechnych, szczególnie te poświęcone powstaniu Słowian i zabytkom wczesnośredniowiecznym. Profesorowie prowadzący te zajęcia pewnie nie spodziewali się, że wiedza, którą przekazali, zostanie wykorzystana w taki sposób, ale cóż mogę powiedzieć? Zrobiłam z niej użytek na swój własny sposób.

Dziękuję moim przyjaciołom za niecierpliwe wyczekiwanie premiery! Uwielbiam was za to. I wreszcie bardzo, bardzo dziękuję mojej siostrze Klaudii, która wysłuchiwała każdego pomysłu i doradzała mi w kwestiach fabularnych, narzekając przy tym tylko trochę. Wiem, że mogłaś bardziej <side eye>.

Ostatnie, ale nie mniej ważne: dziękuję każdej osobie, która sięgnęła po „Złodziejkę artefaktów”! Jesteście super!

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28